

BAMBUSOWA KLEPSYDRA

P
W

Wiesław

BAMBUSOWA KLEPSYDRA

Górnicki

Jak mogło dojść w drugiej połowie XX wieku do wymordowania prawie dwóch milionów ludzi w kraju tak niewielkim jak Kambodża? Jakie przesłanki skłoniły reżim Pol Pota do podjęcia wojny ze wszystkimi właściwie elementami cywilizacji współczesnej? Kim byli Czerwoni Khmerowie? Wiesław Górnicki stara się w swej książce znaleźć odpowiedź na te pytania. Był w Kambodży w trzy tygodnie po zajęciu Phnom Penh przez siły wyzwolenicze, kiedy trwały jeszcze walki. Oglądał sceny, w które trudno uwierzyć. Rozmawiał z ludźmi, którzy ocaleli.

Wiesław Górnicki
**BAMBUSOWA
KLEPSYDRA**

Państwowy Instytut Wydawniczy
Warszawa 1980

1-11-80 10 124

WYJAŚNIENIE

Nazwę „Kambodża” na określenie dawnego państwa Khmerów wprowadzili kolonizatorzy francuscy w drugiej połowie XIX w. Powstała ona prawdopodobnie wskutek zniekształcenia nazwy „Cambuya”, oznaczającej w języku khmerskim jedną z krain geograficznych Półwyspu Indochińskiego. Część Khmerów wymawia nazwę swego kraju (w polskiej transkrypcji fonetycznej) jako Kampucz'a, inni zaś jako Kampuczéa, z wyraźnym akcentem na przedostatniej samogłosce. Poprzednia nazwa łączyła się więc wyraźnie z okresem kolonialnej zależności i była jednocześnie fonetycznie i geograficznie nieprawidłowa.

Nazwa kraju, któremu poświęcona jest ta książka, brzmi obecnie w języku polskim „Kampucza”, a w formie rozwiniętej „Kampuczańska Republika Ludowa”, co odpowiada oficjalnej nazwie przyjętej i zatwierdzonej przez władze państwowe Ludowej Kampuczy.

Ponieważ pisanie książki ukończyłem przed oficjalnym przyjęciem nowej nazwy w języku polskim, w jej tekście używałem jeszcze dawnego określenia „Kambodża”.

Autor

I. Kwadrans po piątej dojechaliśmy do granicy. Było jeszcze ciemno, przymglony, źle widoczny księżyc wisiał resztkami sił nad uschniętym, poszarpanym przez pociski lasem pogranicza. Z pogmatwanych transzei i zniszczonych bunkrów parowała cisza, przerywana tylko słabym pluskiem uklejek w przydrożnym rowie.

Dowódca konwoju zdecydował, że będzie lepiej, jeżeli poczekamy do świtu. Po tamtej stronie, powiedział z przepraszającym uśmiechem, nie jest jeszcze bezpiecznie waleśać się po ciemku. *Złe elementy* dają czasem o sobie znać. Nie za często, oczywiście. Raczej rzadko. Można powiedzieć, że zupełnie sporadycznie. Dowódca odpowiada jednak za nasze bezpieczeństwo i prosi, abyśmy się zgodzili na tę krótką zwłokę. Długo to zresztą nie potrwa. Słońce wzejdzie za dwadzieścia minut.

Wygaszono silniki, żołnierze z eskorty przesunęli broń na plecy. Tylko na początku kolumny młodzutki żołnierzyk w lekkim, kapeluszowatym hełmie mierzył z automatu w lepką ciemność. Przyczał się, jak młody tygrys, za maską łazika; jego brązowe oczy cierpliwie lustrowały mrok.

Ziewając, klnąc, mamrocząc rozleźliśmy się po drodze. Można było oszczędzić sobie zrywania się o trzeciej. Osiągnęliśmy całkowitą zgodność poglądów w tej sprawie. Pojawiła się butelka wietnamskiej wódki,

zwanej *lua moi*. Piąta rano jest świetną porą, aby wojować z bólem istnienia, zwłaszcza gdy ostatni bój zakończył się po północy w swarliwych dyskusjach i w czadzie nieprzystawalnych pojęć. Tylko zwaśnieni, nie ogoleni mężczyźni ze szklankami w ręku potrafią ocenić wielkość takich złych, głupich nocy.

Poszedłem leniwie przed siebie, zataczając się z niewyspania, roztrącając czubkiem buta odpalone luski i skawalone grudki bawolego łąjna.

Wstawanie o trzeciej nad ranem ma jednak swoje zalety. Lubię tę porę półsenną, pełną wściekłości i niedomytych, wulgarnych snów, porę codziennego odkupienia grzechów. Myśli się wtedy najlepiej, to znaczy niechlujnie, arogancko, bez troski o logikę wnioskowania, bez póż i lęków dnia. Czyli szczerze. Może to jest jedyny moment w ciągu doby, kiedy z człowieka opada wieczne zmartwienie o to, żeby był grzeczny i ładnie uczesany, żeby go wszyscy lubili i żeby nikt się nie obraził.

II. Więc nie: nie będę stąd pisał żadnej książki. Mam już powyżej uszu zbierania materiałów do książki, międlenia, przykrawania, poprawiania, recenzji wewnętrznych i zewnętrznych, zaproszeń na spotkania autorskie, goryczy porównań, liczenia błędów. Dosyć. Starczy. Mam z czego żyć. Z jakich właściwie powodów miałbym powiększać ten potop słów i udawać, że mam coś ważnego do powiedzenia? Nie mam nic ważnego do powiedzenia.

To wszystko zaczyna być śmieszne i nieprzyzwoite. Naokoło wszyscy coś piszą, na wyprzódki, w pośpiechu, w gorączce, jak gdyby już jutro miało na zawsze zabraknąć papieru i farby drukarskiej, w kraju rozlega się oszalały łoskot maszyn do pisania i przejmujący skrzyp długopisów. Młodzi prozaicy zawiadamiają nas znacząco, że jedna pani odmówiła im skarbów

swego ciała, w związku z czym przyjęli nadmierną ilość alkoholu. Papierowi porucznicy w stu tysiącach egzemplarzy zwycięsko gromią nikczemnych przestępców. Satyrycy biczują biczem, *apo* cztery siedemset pięćdziesiąt od arkusza. Ludzie jadą na wyprawę naukową w sprawie biedronek arktycznych lub tropikalnych i potem latami snują szpalty o smaku i barwie rycyny. Nasi specjaliści korespondenci i wysłannicy też są dobrzy: co wyjazd, to książka. Cały świat jest już opisany sto sześćdziesiąt osiem razy, od Spitsbergenu po Gobi, nasi ludzie byli nawet na Malwinach, Trio-brandach i Andamanach. Kosmos, biegun, pustynia — nie ma sprawy. Pan również, mister G., ma sporo na sumieniu.

Normalnie tkwi się w tym kinematografie siłą inercji, jest fajnie, stawiane są problemy, kształtowane są poglądy, giełda pracuje, zwierzchność dobrotliwie patrzy na igraszki, życie płynie. Ale czasem gaśnie projektor podczas seansu, zapalają się światła na sali i wtedy z osłupieniem patrzymy na siebie nawzajem, spoconych od pisania, zdyszanych od przepychanki, unurzanych w burym łajnie karier naszych powszednich albo w zawiści zalewającej oczy. Chciałoby się wtedy krzyknąć, żeśmy to wszystko wymyślili, że prawdziwe sprawy naszego wieku są zupełnie inne i rozstrzygają się w zupełnie innych miejscach globu, ale kinematograf za chwilę leci dalej i rozterki mamy z głowy. Aby naprzód. Aby do wiosny. Jeśli ktoś nawet odczuwa potrzebę uporządkowania swych myśli, to na pewno nie będzie szukał pomocy w dziełach licencjonowanych korespondentów zagranicznych. Tych potrzebujących też jest zresztą niewiele.

Papierowy świat, guma do żucia, dusze z plastiku, zmęczone oczy korektorek i bibliotekarek, deficyt celulozy, padające sosny, nuda taka, że aż się prosi o setkę żytniówki.

Pewno tak musi być. Każdy ma swoją opowieść

i chce ją wykrzyzczyć, póki można. Niektóre opowieści są nawet niezłe. Moje czasem też są niezłe.

Ale to nie jest zajęcie dla mężczyzny.

III. Gdybym nawet darował sobie te płaskie złośliwości, zrodzone z półsennego mroku i z zakłóconych procesów chemicznych w podkorzu i tak przecież muszę przyjąć do wiadomości, że od dawna już przestaliśmy mówić wspólnym językiem. Kogo nawracać, kogo przekonywać? Cokolwiek bym stąd napisał i tak mnie przecież dopadną lub pokażą różne znaczące przemilczenia w zupełnie innych sprawach.

Od dwudziestu lat jestem przekonany, że wszystkie prawdziwe sprawy rodu ludzkiego dzieją się tylko w Azji i nigdzie więcej. Ale jakież mam na to dowody, poza czysto subiektywnym przeświadczeniem, które łatwo uznać za obsesję lub bezpieczny wykręt? Kogo naprawdę interesuje najdalsza Azja jako poligon pojęć elementarnych? Pisarz, który poszukuje nieskażonego człowieczeństwa wśród podstołecznych lumpów, nigdy nie przystanie na mój postulat, aby poszukiwania doli człowieczej przenieść o trzynaście tysięcy kilometrów na południowy wschód od Krakowskiego Przedmieścia. Jeśli mu powiem, że znam tych lumpów nie gorzej niż on i że nie wolno w nich poszukiwać człowieczeństwa kosztem milczenia o tamtych, dalekich — zapyta, nie bez racji, co proponuję, skoro nie wszyscy dobrze znoszą tropiki. Tu dyskusja się urwie, ponieważ moja azjatycka obsesja nie sprostą surowym kryteriom zła i dobra, ustalonym codziennie w południe przez czytanie i wrażliwe środowisko ludzi o czystych lub prawie czystych rękach. Gdybym im nawet powiedział, że każdy milczy o czym innym i że te dwa milczenia mają różną wartość, gdyż rzeczywista miara krzywd jest rzeczą obiektywną i łatwą do sprawdzenia, pokażą mi znacząco swój prywatny kosmos, skurczony do czterech warszawskich

ulic, i spytają ironicznie, czy doprawdy nie dostrzegam tu nic interesującego. Tu właśnie, ich zdaniem, najdotkliwiej doznaje się egzystencjalnych oraz codziennych udrek, godnych uwiecznienia na papierze. Pierwiastkowe doświadczenie jest zawsze najlepszym punktem wyjścia przy budowie światów moralności i jedynej prawdy. Reszta jest lepszym lub gorszym gazeciarstwem. Na ogół gorszym. Sarknę na to, że wolę autentyzm narodu Zimbabwe niż model wrażliwości społecznej importowany z Paryżewa, i to jeszcze przejęty nie od tych, którzy mają coś nowego do powiedzenia; parskną szyderczym śmiechem i zapytają, znowu nie bez racji, który to sposób myślenia wydaje mi się bardziej rozpowszechniony, a w końcu stopień rozpowszechnienia powinien chyba być pewnym wskaźnikiem dla osób tak chętnie przemawiających w imieniu całych narodów i kontynentów.

To nie ma żadnego sensu. To już nigdy nie będzie miało żadnego sensu. Istnieje nieprzewycięzalna bariera wyobraźni, doświadczenia, skali porównawczej, wykluczających się sposobów myślenia, z których jeden na pewno musi być fałszywy. Kiedyś sądziłem, że mnogość postaw przyczynia się do poznania prawdy i urody świata, lecz odebrano mi to złudzenie. Jest to już tylko rozmowa ślepych z głuchymi, która nigdy nie przyniesie żadnych rezultatów.

Ale po stwierdzeniu takich rozbieżności najzupełniej wystarczy milczenie.

IV. Owszem: napiszę, co do mnie należy. Ten regulamin znam na pamięć. Trzeba się po prostu zorientować, jak wygląda sytuacja w Kambodży w trzy tygodnie po obaleniu Pol Pota. Trzeba wyjaśnić, jak to się stało, że Czerwoni Khmerowie, o których jeszcze całkiem niedawno pisywaliśmy pochwalne komentarze, tak nieoczekiwanie przedzierzgnęli się z przyjaciół we wrogów. I dalej: sprawdzić, o ile odpowiadają praw-

dzie doniesienia prasy światowej o szczególnych okrucieństwach obalonego właśnie reżimu. I jak to właściwie było, że przez cztery lata nikt naprawdę nie wiedział o Kambodży nic pewnego. Starczy tego na pięć, może sześć rzeczowych materiałów informacyjnych.

No i dobrze. Więcej nie trzeba.

V. Nagle zza milczącego wzgórza wyprysnęło rude słońce i zaczęło się wspinać po wschodniej ścianie nieba tak szybko, jak gdyby je ciągnięto wysięgnikiem dźwigu. Wschód słońca w tropikach jest zawsze przedstawieniem fatalnie reżyserowanym, jego amatorska nieudolność przyprawia o zażenowanie. Świat staje się sztuczny, niedbały, nieprawdziwy, tandeta wyziera zza każdego drzewa, domy chwieją się na kurzych łapkach, na ludzkich twarzach z papier-mâché widnieją ślady karykaturalnej charakteryzacji.

W ciągu minuty rozjazgotowały się ptaki, z uciekających chmur spłynęły strugi jasnego, suchego żaru, w przydrożnych chaszczach zaczęło się sapanie, młaskanie, szelesty, chroboty. Warknęły silniki, eskorta podbiegła do wozów. Światło dnia ukazało spopieloną przez słońce ziemię, porośniętą rzadkimi kłaczkami perzu i kępkami zakurzonych łopianów. Z ciemności wyjrzały porzucone hełmy i manierki, spalony odwłok transportera, rozwłóczone niewypały, pojedynczy sandał z opony samochodowej, szczątki wojskowego oporządzenia o niejasnym przeznaczeniu.

Od kilkunastu lat chadza tędy wojna. Rejon Papuziego Dziobu jest jednym z najdokładniej zniszczonych miejsc Azji: gdzieś tu w pobliżu legendarna droga indochińska nr 1 krzyżuje się z dawnym szlakiem Ho Szi Minha. Nie można już ustalić, kto rozszarpał te żelbetowe bunkry i rozorał bombami stanowiska strzeleckie pełne łusek, odłamków i pokrwawionych szmat. Skrzynki po amunicji artyleryjskiej są pokryte chiń-

skimi ideogramami. Taśmy do cekaemów noszą amerykańskie numery seryjne i dobrze widoczną nazwę producenta: Brunswick Mfg.Co, USA. Pognieciona pancierzownica ma znajomy kształt, przypominający niemieckie panzerfausty sprzed czterdziestu lat.

Partyzanci walczyli tu z wojskami reżimu sajgońskiego, Amerykanie z Wietnamczykami, Czerwoni Khmerowie z wojskami Lon Nola, brygady szturmowe Pol Pota z obroną terytorialną zjednoczonego Wietnamu, nowa partyzantka khmerska z ekspedycjami karnymi Czerwonych Khmerów. Strzelano do umundurowanych żołnierzy i do bosych chłopów, do uchodźców, kobiet i małych dzieci.

Nie oszczędzono temu skrawkowi Azji żadnej zbrodni i żadnej krzywdy, ponieważ kto panuje nad tym obszarem, ten ma w rękę klucz do Indochin, a to przenosi losy tego niewielkiego obszaru w najwyższe rejestry polityki światowej. Wystarczy spojrzeć na mapę: dwie szczęki smoka, zwierające się wokół Zatoki Syjamskiej, muszą działać piorunująco na wyobrażenie sztabów generalnych. Przecinają się tutaj przypuszczalne trajektorie rakiet średniego zasięgu, biegnące z Sinkiangu po Cieśninę Malakka, z Diego Garcia po Sachalin; wiodą najkrótsze szlaki powietrzne; rozciągają się strategiczne akweny flot Dalekiego Wschodu i rejony myszkowania okrętów podwodnych, które wkrótce zostaną uzbrojone w rakiety krążące z głowicami jądrowymi o mocy kilkunastu kiloton i znów będą musiały się trzymać płytszych, przybrzeżnych szelfów południowej Azji. Tędy, pod wargą smoka, płyną statki z ładunkiem malajskiej cyny, koreańskiego wolframu, indonezyjskiej ropy.

Od kilku dziesięcioleci spotykają się tu globalne interesy, strategie wyliczone przez komputery, ideologie doprowadzone do postaci elementarnej, przemoc obdarta ze wszelkich pretekstów i plebejskie rewolucje, czyste i straszne jak płomień. To się odnosi do

całego obszaru, lecz tutaj, na wygasłym poboju Papuziego Dziobu, można to wszystko dostrzec za jednym zamachem, w formie laboratoryjnego kondensatu historii. Wystarczy przejść dziesięć kroków. Padały tu bomby lotnicze, pociski z haubic, serie z działek pokładowych i zamaskowanych enkaemów, ale najwięcej jest jednak śladów po strzeleckiej broni automatycznej.

VI. Ani chleb, ani pieniądze, ani lekarstwa nie mają dziś tak uniwersalnych właściwości i tak ogólnoludzkich zastosowań, jak automatyczna broń palna z odpowiednim zapasem amunicji. Pięciostrzałowy karabin w rodzaju mausera 08/15 był jednak bronią zbyt skomplikowaną, jak na umiejętności chłopskiej partyzantki. Wymagał znajomości trójkąta błędów, nastawiania celownika, na którym widniały cyfry, uciążliwego pucowania długiej lufy; był nieporęczny, trudny do ukrycia, niewygodny w dżungli. Tymczasem z automatu potrafi strzelać każdy, nawet dziesięciolatek. Celność strzałów ma mniejsze znaczenie, bo ściana ognia z jednego magazynka przygnie na chwilę do ziemi nawet pluton doborowej piechoty. Broń automatyczną można wyprodukować w dowolnym miejscu świata i wykorzystać z pożytkiem zupełnie gdzie indziej, w ogóle wszędzie, gdzie uda się dowieźć skrzynie z ładunkiem. Nie trzeba do obsługi tej broni długotrwałego szkolenia, znajomości języków obcych, nawet umiejętności czytania i pisania. Posługiwanie się automatem jest czynnością prostą i łatwą, dostępną również dla stuprocentowych analfabetów. Wystarczy wprowadzić nabój do komory zamkowej i nacisnąć język spustu.

Wielki, wspaniały wynalazek. Kto służył w jakimkolwiek wojsku świata, ten na pewno pamięta ów odruch powolnego zginania palca wskazującego prawej ręki i zarazem napinania mięśni lewego przedramie-

nia w celu złagodzenia odrzutu. Po pierwszym strzale ma się to już na zawsze w mięśniach, nerwach i w mózgu.

Nam, w Europie, po trzydziestu latach pokoju, pistolet automatyczny kojarzy się wyłącznie z mundurami regularnej armii. Ale w ciągu tych samych trzydziestu lat na świecie toczyło się ze dwieście wojen wyzwoleniczych, powstań, rebelii i walk partyzanckich, w których automaty zawsze odgrywały rolę najważniejszą.

Automat stał się bronią chłopską, ludową, elementarną tak samo, jak niegdyś były nią spisy i siekiery. Dał chłopom azjatyckim coś, czego nie mieli przez całą swoją długą historię, a była to przecież historia nieprzeliczonych buntów i desperackich zrywów, prawie zawsze kończących się klęską: dał im zwielokrotnioną siłę rażenia. Zależnie od pojemności magazynka dwadzieścia cztery albo nawet siedemdziesiąt dwa razy skuteczniejszą niż jedno pchnięcie ostrzem spisy lub jeden cios maczetą. Grzechot nabojów, wrzuconych luzem do kieszeni chłopskiego chałata, jest dziś mniej więcej tym samym, czym było niegdyś w Europie posiadanie osiodłanego konia i dobrze wyostrzonej, sprężystej szabli.

Nie, to jest coś więcej.

Pistolet maszynowy stał się dziś najskuteczniejszym instrumentem przekształcania świata dla tych, którzy mają powody, aby go przekształcać lub bronić, jeśli już został odmieniony zgodnie z ich życzeniem. Stał się najbardziej niezawodnym i w pełni uniwersalnym miernikiem ideologii, władzy, linii politycznej, systemu rządów. Jeżeli w wielu rejonach Wietnamu niemal każdy jadący na rowerze chłop ma przewieszony przez plecy automat, to wnioski, jakie z tego wynikają, są jednoznaczne. Na uzbrojenie ludu może się w Azji zdobyć tylko taka władza, która w codziennym, milczącym plebiscycie uzyskuje wśród podstawowych

warstw społecznych aprobatę dla swego postępowania. Masowe posiadanie broni i powszechna umiejętność walki partyzanckiej wykluczają możliwość dłuższego manipulowania liczmanami, weryfikują każdy z osobna punkt każdego programu.

Na kontynencie azjatyckim jest to zjawisko całkowicie nowe, o konsekwencjach trudnych jeszcze do przewidzenia. To się już chyba nigdy nie zmieni. Trzeba to koniecznie brać pod uwagę, kiedy myślimy o bliskiej i dalszej przyszłości.

Rzadko pisuje się o tych sprawach z całą otwartością. Nasze europejskie duszyczki nie wszystko mogłyby strawić, wymogi protokołu i wzgląd na rozsądek w polityce zagranicznej odzierają Azję z prawdziwych barw i dramatów. Nie wiemy prawie nic dokładnego o desperackich powstaniach w Madjunie i Telenganie, o walkach Hukbalahap na Filipinach, o długotrwałej partyzantce malajskiej, o birmańskiej Białej i Czerwonej Fladze. Ale szczegóły nie są naprawdę najważniejsze. Najważniejsza jest istota tego, co się tam dzieje.

Na dłuższą metę pukanie z automatów jest tu nie do powstrzymania, nie do zdławienia, dopóki istnieją przyczyny, dla których chłopci są gotowi pociągać za spust. Prędzej czy później leje porosną trawą, dżungla zeżre betonowe schrony, nad górskimi strumieniami zawisną nowe mostki z lian i chłop z pistoletem maszynowym w ręku znów stanie się ostateczną instancją, orzekającą o biegu azjatyckiej historii.

O przyszłości tych trzech miliardów ludzi rozstrzygną tylko cztery czynniki: produkcja ryżu, stopa przyrostu naturalnego, ideologia doprowadzona do postaci elementarnej — i chłop z pistoletem maszynowym. Nic więcej. Nikt więcej.

VII. W tym miejscu świata trzeba opiewać wielkość pistoletu maszynowego. Nie można tego nie czynić, po-

niował od półwiecza, to znaczy co najmniej od powstania szanghajskiego w 1927 roku, ścierają się tu ze sobą racje tak ostateczne, że nie ma już miejsca na żadne dalsze dyskusje. Nie można pogodzić punktu widzenia tych, którzy uważają za rzecz normalną zapędzanie sześciolletnich dzieci do dwunastogodzinnej pracy w przedsiębiorstwach, jak się to do dziś dzieje w wielu krajach tego regionu, z punktem widzenia tych, którzy pragną ten stan rzeczy zmienić przemocą, bez względu na opłacalność lokalnego przemysłu tekstylnego i ewentualną konieczność rozstrzelania właściciela przedsiębiorstwa. Nie istnieje sposób, aby łagodnie, bez użycia przemocy, metodą samej tylko perswazji, zharmonizować interesy jawańskiego lichwiarza, który na najbliższe pięćdziesiąt lat ma już w kieszeni połowę wsi i przekaże dłużników synowi w spadku, jak domowe bydło, z poglądami tych, którzy sądzą, że jest rzeczą moralnie usprawiedliwioną zbuntowanie chłopów przeciw lichwiarzowi, choćby nawet miało to doprowadzić do dekapitacji wyzyskiwacza, bez czego zresztą chłop azjatycki nigdy nie uwierzy w reformy i zmiany.

Można dowolnie wybierać między odciętą głową obszarnika lub lichwiarza oraz „moralnością sześciuset kalorii dziennie” narzuconą nie przez przyrodę i nie przez samo tylko przeludnienie, lecz przez struktury społeczne, których istnienie jest obrazą dla jakiegokolwiek moralności. Nie jest znana żadna w pełni obiektywna miara, która pozwoliłaby orzec, co jest bliższe człowieczeństwu, a zatem bardziej godne aprobaty: dzielnica dziesięcioletnich prostytutek w Kalkucie, przywożonych wprost ze wsi na resztę życia do cuchnących domów publicznych, czy też zatopienie barek z kilkoma tysiącami szanghajskich prostytutek, wobec których nie powiodły się żadne próby reedukacji. Oba te fakty są w pełni sprawdzalne i każdy może je dla siebie skomentować według własnych kryteriów.

Rozmiary krzywdy i udręki człowieka w tej części świata nie mieszczą się w żadnym opisie, lecz nigdy nie nabierają rozgłosu, dopóki nie doprowadzą do zbrojnego powstania z użyciem pistoletów maszynowych. Wówczas najbardziej interesującą sprawą staje się pochodzenie tych pistoletów, nie zaś przyczyny, które skłoniły plebejuszy do chwycenia za broń. Istnieje około stu książek, opisujących piekło ludzkie w Chinach na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych, lecz żadna z nich nie zwróciła uwagi wytwornych klerków Zachodu na to, co ich mandatariusze wyprawiają w koncesjach międzynarodowych Szanghaju. Dopiero sukcesy Ósmej Armii zrodziły nagły wylew serdeczności wobec małych, chińskich sierotek, szybko zresztą zamieniony na bojkot trwający przez ćwierć wieku. Istnieje około trzystu książek opisujących powojenne odmiany tego samego piekła w innych częściach Azji, ale nie odwiodło to Francuzów i Amerykanów od interwencji w Wietnamie ani Anglików od obcinania głów na Malajach.

Wielkość pistoletu maszynowego polega na tym, że z powodu prostej przewagi technicznej powstanie tai-pingów czy zryw szanghajski można było kiedyś zdławić do samego końca, natomiast dziś chłopską partyzantkę można najwyżej przejściowo przygasić.

Mniej więcej od początku stulecia nikt, kto w południowej Azji dostrzegł coś więcej niż palmy i chaty na palach, nie mógł się uwolnić od myślenia w kategoriach ostatecznych wyborów. W tamtych stronach jest się albo moralnym współnikiem krzywdzicieli, albo przynajmniej moralnym, jeśli nie politycznym, stronnikiem azjatyckich rewolucji. Prawidłowość ta, niezbyt przecież rozpowszechniona w Europie, gdzie zawsze istniały jakieś boczne wyjścia z dylematów, w Azji nie ominęła nikogo, poczynając od Conrada i Małraux. Wolni od niej byli tylko ludzie pozbawieni mózgu i serca. Takich nigdy nie brakło. I nie brak ich również dziś.

Instynktownie staramy się stronić od sytuacji zbyt krańcowych, wierzymy, że powinno istnieć jakieś pośrednie rozwiązanie, jakieś skuteczne reformy bez użycia przemocy, jakiś nie znany jeszcze tor, na który trzeba by było skierować tę straszną maszynę nędzy, krzywdy i okrucieństwa. Możliwe, że coś takiego istnieje. Ale przez ostatnie trzydzieści lat nie ma wystarczających dowodów, że praworzędność i łagodna perswazja były tu skuteczniejsze niż brutalna przemoc.

Zbyt dobrze znam południowo-wschodnią Azję, aby sobie pozwolić na złudzenia w tej sprawie. To znaczy żywię je, oczywiście; co pewien czas popadam w zachwyty na widok kielków postępu, zaczynam nagle wierzyć w powolną ewolucję, zdumiewam się ASEAN-em, sławię zwiększoną wydajność upraw ryżowych. Wystarczy jednak pojechać tam jeszcze raz, aby na nowo wstydzić się tych infantylnych nadziei. Inna rzecz, że nie brak już takich, którzy przestali się wstydzić i stwierdzają na głos, że głód i krzywda Azji dobiegły końca. Ich sumienia są już spokojne. Czekam tylko, kiedy powiedzą, że lenistwo Azjatów jest główną przyczyną ich biedy. Jest to niezniszczalny szlagier euro-pejsko-amerykańskiego kołtuna, powracający co pokolenie jak *Tango Milonga* lub *Przeminęło z wiatrem*.

A przecież to wszystko nieprawda. W niesocjalistycznych krajach południowo-wschodniej Azji nie zmienia się nic, a jeśli nawet, to tylko w większych ośrodkach przemysłowych, wśród stosunkowo lepiej sytuowanych grup i w stopniu tak mało dostrzegalnym, że zmiany nie stanowią na razie argumentu o charakterze ideologicznym.

Do czego właściwie służy cała ta prawno-dyplomatyczna gadanina, UNIDO i UNCTAD, Borlaugh i Myrdal, konferencje i sympozja? To wszystko jest zabawą w ciuciubabkę, strojeniem min, chuchaniem na broczącą ranę.

Sto razy była o tym mowa.

VIII. Dlatego warto by może było napisać z Kambodży coś więcej niż prostą relację informacyjną. Nastąpiło tu, jeżeli dobrze rozumiem, zwarcie dwóch ideologii na poziomie elementarnym; myślę o modelu chińskim i modelu wietnamskim. Powstał pierwszy w tym rejonie świata konflikt plebejskich rewolucji, którego prawdziwe przyczyny należałoby dokładnie zrozumieć, ponieważ mogą z niego wynikać niebłahе wnioski na przyszłość. Trzeba by uważniej przypatrzeć się losom znajomych haseł, a tego nie da się jednak zrobić w krótkiej serii korespondencji.

Starcie biednych z biednymi, wojna domowa z użyciem chłopskich automatów, rozdźwięk znaczeniowy w pojmowaniu tych samych słów — to wszystko jest po stokroć ciekawsze i ważniejsze niż opisywanie konfliktów, o których wszystko już wiadomo od lat. Sam fakt, że przeważającą część nowych władz Kambodży stanowią ludzie, którzy jeszcze niedawno zajmowali stanowiska oficerskie u Czerwonych Khmerów, skłania do tego, by głębiej poszperać w rzeczywistych przyczynach upadku Pol Pota. W końcu, nie bez ważnych powodów trzymałem do niedawna z Czerwonymi Khmerami. Jeżeli zanosi się na to, że będę im teraz musiał odmówić solidarności, wypadałoby się z tego jakoś opowiedzieć, choćby dla przyzwoitości. Nie jest to dziś rzecz najniezbędniejsza, większość ludzi w ogóle nie doznaje takiej potrzeby, zresztą ja także przeprowadziłbym tę operację wyłącznie na papierze, podczas gdy w grudniu 1978 roku brytyjski profesor Malcolm Caldwell przypłacił życiem podobną zmianę poglądów na temat Czerwonych Khmerów. Co do mnie, widzę tu wystarczająco silną eskortę wojskową, aby wszelkie subtelne dywagacje mogły się toczyć w atmosferze całkowitego bezpieczeństwa.

IX. A poza tym — kogo to właściwie obchodzi? Kto ma u nas głowę, aby się zamartwiać ~~swatami~~ i bój-

kami tak zwanej żółtej rasy? Ci, których to interesuje, i tak wiedzą swoje; mój punkt widzenia jest skrajny, pozbawiony tolerancji, trudny do przyjęcia, graniczący raz po raz z niewczesnym dogmatyzmem. Czerwony Khmer z Nowego Świata jest bardziej śmieszny niż groźny, zresztą i tak wszystkie te rozważania mogłyby w najlepszym razie zainteresować u nas piętnastu honorowych Azjatów. Dla wszystkich innych jest to sprawa idealnie obojętna, nużąca lub wręcz przyprawiająca o chichot satysfakcji. Nie powinienem sam sobie wmawiać, że jest inaczej. Brak akumulatorów do małego fiata, zdrożał szczypiorek, nie ma przecieru, nie dowieźli, nie załatwili, wieczne urwanie głowy, pośpiech, premia, chapanie, rwanie, budowanie, mnożenie, a tutaj kolejny specjalny wysłannik opowiada historyjki, których nie można sprawdzić. Co nam do tego? Co my możemy? Nasza chata z kraja. Niech się nie mnożą jak króliki. Niech lepiej pracują. A w ogóle dajcie nam święty spokój, przestańcie zbawiać świat naszym kosztem.

Owszem, kulturalna publiczność lubi wiedzieć, co jest grane, kto górą, kto bierze po tyłku, czy Chińczyki trzymają się mocno, czy będzie wojna, o co poszło, co dalej. To życzenie Sz. Publiczności powinienem spełnić. Pracuję w tej branży od lat i wiem, jak się to robi.

X. Więc nie. Żadnych rozterek, żadnych rozważań. *Ne sutor supra crepidam*. Ta prosta maksyma zaprowadza nagle porządek w skotłowanych myślach. Chwila bezgranicznej antropofobii mija, znów zaczynam dostrzegać złożoność problemów, zawile uwarunkowania, gorycz historii i szereg innych rzeczy.

XI. Podniosłem z ziemi cztery chińskie naboje kalibru 7,62 i ukradkiem wsunąłem je do kieszeni. Jeże-

li celnicy nie przyczepią się na granicy, będzie co pokazywać po powrocie. Fajna sprawa. Chińskiej amunicji do licencyjnego kałasznikowa jeszcze w Warszawie nie widzieliśmy.

XII. Posterunek graniczny znajdował się o sto pięćdziesiąt metrów od nas, ale dopiero teraz, w mętym blasku słońca, można go było obejrzeć. Drogę przegradzał w poprzek długi, niedbale ociosany pień bambusa, osadzony w bambusowych widelkach i zaczopowany przegubowo klinami z zaostzonego bambusa. Podziurawiony pociskami kanister po oleju, wypełniony kamieniami i przywiązany lianą do dłuższego końca zapory, służył jako przeciwwaga. Budkę wartowniczą wykonano z bambusowych pni, ściągniętych spagami z bambusa i pokrytych strzechą z wysuszonych liści palmy sagowej.

Jeden granat załatwiłby to wszystko w ciągu sekundy. Wywnioskowałem z tej niewymyślnej konstrukcji, że na granicy wietnamsko-kambodżańskiej panuje już spokój, choć jeszcze sześć tygodni temu, do końca grudnia 1978 roku, strzały nie milkły tu ani na chwilę. To znaczy, że w rejonie Papuziego Dziobu dokonał się pewien fakt wojskowo-polityczny o dość rozległych następstwach. Tutaj każdy bambus o czymś świadczy i czemuś służy.

Warto to odnotować. Pierwszy konkretny fakt do zapisania w notesie.

Mój notes był jeszcze prawie pusty i cierpliwie czekał, kiedy się zacznie coś dziać. Na razie widniała w nim tylko wyrwana z „Newsweeku” mapka Kambodży z pewnymi szczegółami natury wojskowej, które należałoby sprawdzić, oraz sześć słów w języku khmerskim, które wydały mi się godne zapamiętania na wszelki wypadek: *sibai* — jeść, *phak* — pić, *Polonh* — Polska, *nekasat* — dziennikarz, *same mot* — towarzyszy, *sanglekh* — prozę.

Zapisałem w notesie, że na granicy wietnamsko-kambodżańskiej panuje spokój.

Wewnątrz budki wartowniczej dwaj młodzieńcy w miękkich czapkach chińskiego kroju, wyprężeni, przejęci, bezwzględnie bojowi, ściskali w dłoniach pistolety maszynowe z odwiedzionym kurkiem bezpiecznika. Pokazałem im, jak trzeba zabezpieczyć broń, potem rzuciłem okiem po ich gospodarstwie. Telefon polowy z rodzaju tych, które uczyłem się obsługiwać dwadzieścia pięć lat temu. Łuska artyleryjska jako wazon na polne kwiaty, rzecz nie do pomyslenia na jakimkolwiek posterunku wojskowym w Europie. Na ławeczce sześć granatów obronnych, w tym jeden bez zapalnika i zawlecзки. Pogniecione wiadro z wodą do picia. Jedna para sandałów, widocznie dyżurna, ponieważ obaj byli bosi. Woreczek z ryżem, obok osmolony saganek i węzełek z solą. Plakat-manifest w języku khmerskim z fotografiami Heng Somrina i Pen Sovana.

Pierwszy jest przewodniczącym Zjednoczonego Frontu Narodowego Ocalenia Kambodży; jeszcze rok temu był dowódcą dywizji u Czerwonych Khmerów i wysokim funkcjonariuszem partyjnym. Drugi pełni funkcje wiceprzewodniczącego ZFNOK i odpowiada w nowym rządzie za sprawy wojskowe.

Pen Sovan jest jedynym człowiekiem w nowym rządzie Kambodży, który nigdy nie miał nic wspólnego z Czerwonymi Khmerami.

XIII. Nad posterunkiem powiewała flaga Nowej Kambodży: pięć złotych wież na czerwonym tle. To bardzo ważne, że pięć, słyszałem już o tym przedtem. Z przyczyn, których nikt nie umiał wyjaśnić, reżim Lon Nola miał w herbie tylko trzy wieże, i to na biało-granatowym tle, najwidoczniej zapożyczonym od Amerykanów. Reżim Pol Pota dla odmiany miał początkowo cztery wieże, ale wkrótce całkowicie z nich

zrezygnował i przeszedł na koszmarny bohomas, gdzie były gwiazdy, sierpy, pola ryżowe, promienna przeszłość ludu i coś tam jeszcze. A stale przecież chodziło o te same wieże świątyń z Angkor Wat. Podobno kryła się za tym jakaś zawiła symbolika na pograniczu magii czy astrologii, lecz nie pozostał już przy życiu nikt, kto by to umiał objaśnić.

Chwileczkę. Co to znaczy, że nikt nie pozostał przy życiu? Przecież herb kraju musi być chyba powszechnie zrozumiały dla wszystkich?

Otóż nie, wcale tak nie jest. Towarzyszący nam od granicy młody człowiek z resortu informacji i kultury (ministerstw tu jeszcze nie ma, rangi służbowe są płynne, zakres kompetencji dość nieokreślony) chciał odpowiedzieć na moje pytanie, lecz po kilku podejściach dał za wygraną; jego szkolna francuszczyzna zawiodła jak popsuta zapalniczka. Tłumacze rzucili się na pomoc, powietrze zostało napełnione ćwierkaniem i zgrzytaniem, krążyły przydechy, dzwoniły nosówki. W końcu ustalono, że ci, którzy rozumieli symbolikę khmerskiego herbu, rzeczywiście zostali wymordowani do ostatniego człowieka.

Chodzi o tak zwanych *krou sangkriech*, najwyższe duchowieństwo buddyjskie, które od tysiąca lat pełniło w państwie Khmerów mniej więcej takie same funkcje, jakie pełnili kapłani w starożytnym Egipcie. *Krou sangkriech* byli tu strażnikami tradycji, pieczętarzami niewymawialnych tajemnic, znawcami gwiazd i monsunów. Byli ciągłym, wiecznym, niezmiennym dopełnieniem historii narodu. Tylko oni umieli czytać stare pergaminy khmerskie, uratowane z tysiąca pożóg, owinięte w złoty brokat, pochowane w najgłębszych zakamarkach świątynnych skarbców. To właśnie od nich André Malraux dowiadywał się prawd nie znanych archeologom, kiedy wędrował swą „drogą królewską”, ponieważ tylko oni potrafili bez trudu odczytywać buddyjskie antyfony na wydobytych z ziemi kolumnach sprzed jedenastu wieków i nieomylnie

wskazywali miejsca w dżungli, gdzie należy szukać świętych budowli przeszłości.

No i teraz już ich nie ma. Nigdy więcej nie będzie.

Jak powiadasz, towarzyszu — zostali wymordowani? Wszyscy? Co do jednego? Z jakiego powodu? Kiedy? Gdzie? Czy to w ogóle możliwe?

Ano tak, powiada młody człowiek z resortu (biała koszula, czarny krawat, czarny garnitur, beżowe buty produkcji wschodnioeuropejskiej). Wymordowano ich. Pol Pot uznał bonzów buddyjskich za szczególnie groźnych wrogów ludu. *Les ennemis du peuple, vous savez.*

XIV. Nigdy nie podzielałem popolitych w Europie i Ameryce roztkliwień na temat buddyzmu i lamaizmu. Wiem wszystko, co trzeba, o mongolskich i tybetańskich lamach, pogrążonych w sytym, syfilitycznym pedastwie. Mniej interesowała mnie reinkarnacja, Mantry i klepanie pacierzy, a dużo bardziej nikczemny system superniewolnictwa, budowany cierpliwie i skutecznie przez dziesiątki pokoleń. Znam dobrze dzieje ich bezgranicznej chciwości na złoto i ziemię. Widywałem tych świętych ascetów na poduszkach ze złotogłowi w Kandy, na Cejlonie, oglądałem Szmaragdowego Budę, który ustami arcykapłanów każe godzić się z krzywdą dzieci i cierpieniami zwierząt w dorzeczu rzeki Chaophraya, patrzyłem w martwe oczy Czarnego Buddy, który nigdy nie wezwał do walki uciemiężonych mieszkańców Annamu, Tonkinu i Kochinchiny. Trzymałem z Chińczykami, kiedy zajmowali Tybet, trzymałbym z Czojbałsanem, kiedy rozpędzał świątobliwych brudasów i zabierał im broń pozostawioną pewno przez barona Ungerna; nie będę teraz robił z siebie wstrząśniętego humanisty. Dlaczego właściwie nie miałbym powiedzieć otwarcie, że likwidację pasożytów pozbawionych sumienia uważam za rzecz słuszniejszą niż kontynuowanie zbudowanego przez z nich systemu?

Może jeszcze powinienem ubolewać nad losem Dalaj Lamy Czternastego, przepędzonego przez Chińczyków ze złotego pałacu w Lhassie?

Nie mam żadnego powodu, aby rozpaczać nad losem bonzów, ale mimo wszystko wydaje mi się to trochę niewiarygodne: wytepić jak szczury mędrców, dzięki którym kultura khmerska przetrwała jedenaście wieków klęsk, zaborów, podbojów, obcej kolonizacji? Czy rzeczywiście istniały tu przesłanki uzasadniające aż tak rozległą operację? Za mało wiem o Indochinach, żeby już teraz uformować sobie jakiś pogląd na tę sprawę. A może po prostu stawili zbrojny opór podczas przeprowadzania reformy rolnej?

XV. Och, nie, powiada młody człowiek z resortu. Klasztory w Kambodży nigdy nie miały tyle ziemi, co w Tybecie. Nasz buddyzm był inny, ludowy, bardziej skłonny do kontemplacji niż do gromadzenia bogactw. Bonzowie żyli bardzo skromnie, byli szanowani przez ludność, dzielili z nią wszystkie niedole. A *krou sang-kriech* w ogóle nie posiadali żadnej własności, żyli z jałmużny i z uprawy niewielkich ogrodów przy pagodach. Klika Pol Pota i Ieng Sary'ego zniszczyła duchowieństwo buddyjskie wyłącznie z powodów ideologicznych. Nie chcieli mieć żadnej konkurencji, żadnych pretendentów do władzy nad umysłami. Mniejszym bonzom kazano własnoręcznie spalić pomarańczowe szaty i posłano ich do kolumn z III lub IV kategorią. Najwyższych bonzów rozstrzelano od razu, w ciągu pierwszego tygodnia po zdobyciu władzy. O tyle im się powiodło, że zostali rozstrzelani, co trwa krótko i nie boli, a innych zabijano motykami, co trwa długo i jest bardzo bolesne.

Młody człowiek z resortu klepie automat wartownika, wskazuje na własną pierś, a potem kantem dłoni bije się w potylicę.

Proszę, ustalmy to bardzo dokładnie. Więc napraw-

dę nie ma dziś w Kambodży nikogo, kto potrafiłby objaśnić różnicę między trzema, czterema i pięcioma wieżami w herbie państwa?

Nie wiem, mówi młody człowiek z resortu. Zdaje się, że nie ma nikogo. Pięć wież wzięliśmy dlatego, że znajdowały się kiedyś w dawnym herbie państwa, jeszcze przed najazdem francuskim. Owszem, ocalał przypadkiem jeden z wyższych bonzów, nazywa się Long Sim, podpisał manifest ZFNOK, ale on jest chyba za młody, ma najwyżej pięćdziesiątkę. Na tych herbowych zawłóściach znali się tylko starcy, właśnie ci, których wymordowano. Zresztą, postaramy się wyjaśnić tę sprawę.

Tu młody człowiek sięga do wspaniałego notesu o-prawnego w cielejącą skórę — jest to kieszonkowy ka-lendarzyk na rok 1974, wydany jako prezent dla klien-tów przez Banque Militaire Khmer — i notuje, że trze-ba wyjaśnić sprawę wież. W nawiasie: *pour le cama-rade polonais*.

XVI. Okazaliśmy wartownikom nasze wizy wysta-wione w Hanoi przez ambasadę nowego rządu. Począt-kowo oglądali je bardzo dokładnie, w nieco nadmier-nym skupieniu, potem przywołali na swe dziecinne twarze szeroki, przyjazny uśmiech i odprawili nas hur-tem, jednym gestem dłoni.

Wjechaliśmy do Kambodży. Zanotowałem tę chwilę: 4 lutego 1979 roku, godzina 5.48 rano.

Więc naprawdę zabijano tu ludzi motykami, dzielo-no na kategorie, podjęto walkę z historią? Do tego słu-żyły chłopskie, ludowe automaty? Czytałem o tym kil-ka razy, ale czegóż to się nie czytuje w zachodniej prasie. Za dużo już widziałem tych humbugów *made-by-you-know-whom*, żebyśmy miał w to wierzyć od rę-ki. Trzeba będzie bardzo uważnie patrzeć. To może się okazać trudniejsze, niż sądziłem przed kwadran-sem.

XVII. Wkrótce wyszło na jaw, że podróżowanie wojskowym łażnikiem po Kambodży graniczy z torturą. Saperzy Czerwonych Khmerów zniszczyli w praktyce wszystkie bez wyjątku drogi bite lub przynajmniej prowizorycznie utwardzone. Co siedemdziesiąt lub sto metrów biegnie w poprzek jezdni wąski rów, głęboki na dwadzieścia centymetrów, wygrzebany kilofem do samych trzewi gliniastego podłoża, przypominający ciętą ranę po uderzeniu toporem.

Zniszczenie dróg tylko częściowo było motywowane względami natury militarnej. Kryły się za tym, jak nam wyjaśniono, głównie przesłanki doktrynalne, ideologia powszechnego unieruchomienia ludności, filozoficzna wrogość wobec wszelkich mechanicznych środków przenoszenia się z miejsca na miejsce. Lud, jak twierdzili komisarze polityczni, otrzymuje w komunach wszystko, co mu jest potrzebne do życia, nie ma więc żadnych powodów, aby się poruszać po kraju, a jeśli odczuwa taką potrzebę, to pragnienie takie jest niesłuszne, zdrożne, zrodzone przez kapitalistyczne stosunki społeczne, które zawsze przecież zawierały w sobie domysł, że gdzie indziej może być lepiej lub przynajmniej inaczej. Byłaby to zresztą czynność w dużej mierze absurdalna, ponieważ opuszczanie komuny bez zezwolenia było karane najczęściej śmiercią, jako dezercja z frontu pracy, zezwoleń zaś nie wydawano z zasady, gdyż nie istniała taka potrzeba. Poczta przestała istnieć. Opiekę lekarską zlikwidowano. Zamarła wymiana towarów. Poszukiwanie czy tym bardziej odwiedzanie krewnych było niedopuszczalne — więzy krwi nie są pojęciem ze słownika terminów rewolucyjnych.

Niszczenie dróg rozpoczęto w drugiej połowie 1975 roku; trwało ono do ostatnich miesięcy 1978 roku, w ostatniej fazie objęło również mosty i nasypy. Trzy lata to aż nadto, jak na kraj o tak rzadkiej sieci dróg. Długo jeszcze każda podróż samochodem po tym kraju będzie przeżyciem na granicy wytrzyma-

łości fizycznej. Samochody osobowe w ogóle nie powinny się tu pokazywać, a łaźnik jest twardym, frontowym pojazdem dla ludzi zaprawionych w znoszeniu niewygód. Nie wiadomo, czy to ma jakieś resory lub amortyzację. W tym pojeździe poruszanie się po kambodżańskich drogach jest dużo bardziej uciążliwe niż po leśnych wertepach: sprzęgło, pierwszy bieg, gwałtowne hamowanie, podskok, szamotanie się w szczelinie, znów pierwszy bieg, znów hamowanie do deski. Wyliczyłem, że średnia szybkość jazdy ani razu nie przekroczyła piętnastu kilometrów na godzinę.

To ważny szczegół. Ci, którzy chcieliby tu teraz zrobić coś dobrego, muszą pamiętać, że ich poruszanie się po Kambodży zostanie zredukowane do pełzania. Po kilku godzinach jazdy zaczynają boleć nerki, ramiona, szyja, mięśnie brzucha. We śnie ciągle słyszałem uderzenia własnego ciała o burtę łaźnika, biłem głową o brezent dachu, czułem na plecach pręgi od objających się bezładnie pistoletów eskorty. Tak miało już być do końca.

XVIII. Na osiemnastym kilometrze od granicy zobaczyliśmy pierwszych mieszkańców. Właściwie nie, nie mieszkańców; to słowo zawiera w sobie stan osiadłości, trwania, stabilności, a ci, których zobaczyliśmy, byli kwintesencją ruchu, przemieszczania się, parcia. Chłopi prowincji Svay Rieng wracali do swoich domostw, których na pewno nie było, ponieważ to my jechaliśmy od granicy i widzieliśmy najlepiej, że na tej spalonej, rozoranej pustyni nie pozostała żadna chata, nic w ogóle, oprócz zrujnowanych pagód i niewielkich kupek popiołu. Tych zgliszcz było tyle, że wkrótce przestaliśmy je fotografować, nawet wyszczerzone zęby demonów na podwórcach szybko się opatrzyły.

Ale chłopom nie robiło to różnicy, chcieli być jak najdalej od piekła, z którego udało im się uciec, i jak najbliższej stron, które nadal uważali za rodzinne.

Przypominaliby kolorowy cygański tabor, gdyby nie to, że szli w zupełnym milczeniu, w przeraźliwym skrzypie kół, bez jednego uśmiechu, pogrzebowo, ospale, niemal bezwiednie. Stare, obdarte kobiety o głowach ostrzyżonych na jeża pchały jakieś nieprawdopodobne wózki, sklecone z byłych rowerów, zmontowane z patyków i połamanych kół pasowych, wleczone na jednej obręczy i zdartej płozie z pandanusa; co kilkaset metrów człapał stary bawół o wilgotnych oczach, pełnych udręki i rozpaczy, ciągnący wysoką na piętro piramidę rupieci, bambetli, gratów, klamotów, pogniecionych imbryków, dziurawych krzesel, zrolowanych mat z łyka; w środku tych piramid siedziały czasem nastroszone kury lub przerażone szczeniaki o zasiusianych brzuskach; ale piramidy należały do lokalnych krezusów, do grup dwudziestoosobowych, w których każdy coś po drodze zebrał, dorzucił, dołożył; przeważającą większość tego upiornego orszaku stanowili osowiali nędzarze, którzy cały swój dobytek ciągnęli na jednym maleńkim wózku albo nawet nieśli go w bambusowym koromyśle, przeskakując z nogi na nogę, aby ciężar równomiernie rozłożyć na ramię, obojczyk i kręgosłup; nagie, apatyczne dzieci o krzywych nóżkach miały brzuchy wzdęte od manioku, rudawe od głodu włosy, buzie czarne od pyłu i błota. Szli i szli; zdawało się, że kolumna w ogóle nie ma końca, że ten milczący pochód idzie od samej granicy tajlandzkiej, może nawet z gór Tybetu, z jakichś odwiecznych mateczników *martwego serca Azji*. Niektóre wózki wydawały ze swych osi rozdzierający jęk, inne turkotały nierównomiernie i przechylały się gwałtownie przy każdym poprzecznym rowie wygrzebanym w jezdni; jeszcze inne toczyły się tylko na jednym kole, podczas gdy piastę drugiego podtrzymywały czyjeś dłonie; pchano, ciągnięto, zapierano się w dyszle, niesiono tobołki na głowie, w ręku, na plecach, znów na płaskich, sprężynujących koromysłach, znów na głowie, znów na brzuchu.

Zauważyłem, że w tłumie widać bardzo niewielu młodych mężczyzn, ale to było zupełnie zrozumiałe, nie musiałem u nikogo szukać wyjaśnień. Brak było również małych dzieci, poniżej czwartego roku życia. Ten wibrujący bezgłośnie tłum, nie kończący się, pulsujący, szurający bosymi nogami, składał się głównie z kobiet, których głowy były zakutane w kunsztownie związane zawój lub ostrzyżone na jeża, i z niezliczonej ilości dzieci powyżej szóstego czy siódmego roku życia. Dzieci biegły, podtrzymywały luźno, rozpięły bambusowe wasagi, wspierały nagimi plecami półkoszki arby, zbierały przy drodze chrust z uschniętych drzew kauczukowych, czasem zanurzały się po pępek w gęstej, zielonej mazi przydrożnych rowów, aby gołymi rękami łowić cienkie jak gałązka uklejki.

Zatrzymaliśmy samochody. Operatorzy pobiegli przed siebie, szukając dobrych planów. Zaczęło się trzaskanie migawek, komponowanie kadrów, pozorowanie różnych ruchów, aby wędrowcy nie patrzyli prosto w obiektyw kamer. Ich twarze, wózki i zwierzęta powinny dotrzeć do czytelnika europejskich magazynów ilustrowanych. Widz i czytelnik bardzo lubią dobre zdjęcia z egzotycznych krajów.

Nikt nie zasłaniał twarzy i nie ogarniał w pośpiechu lachmanów, ale też nikt nie szczyrzył zębów w uśmiechu i nie wznosił monosylabowych okrzyków, jak to się często zdarza w Azji. Nie budziliśmy żadnych widocznych emocji; wózki, ozdobione papierowymi flagami Nowej Kambodży, nie zatrzymywały się nawet na chwilę, przyływały i odływały w monotonnym skrzypie i stękanii, jak gdyby nas wcale nie było. Nawet dzieci nie okazywały nam większego zainteresowania, lypały czujnie i nicufnie, niszcząc na nitkach uklejki złowione na południowy posiłek. Starcy, drepający ostatkiem sił z tikowymi laskami w powykręcanych dłoniach, spoglądali na nas wzrokiem pustym, lecz nie pozbawionym lęku.

Potem wezwaliśmy tłumaczy i zaczęliśmy wędrow-

com zadawać pytania. Mnóstwo pytań, chaotycznych, natręczywych, podpowiedzianych przez tę półsenną porę, kiedy wszyscy przeżywalimy po swojemu kwadrans gorzkich porachunków z nędzami własnego zawodu.

XIX. Niemal każdy szczegół, zaobserwowany w tym korowodzie wynędzniałych widm, miał swoje uzasadnienie, wymowę socjologiczną i znaczenie polityczne.

Małych dzieci nie było dlatego, że przez te cztery lata nie rodziły się prawie w ogóle. Małżeństwa rozdzielono podczas wysiedleń, zawieranie nowych związków zostało zakazane, każda próba zbliżenia między mężczyzną i kobietą była karana, zazwyczaj bardzo surowo. W latach 1976—1979 stopa urodzeń w Kambodży spadła niemal do zera.

Kobietom strzyżono włosy dopiero wtedy, gdy przeszły klimakterium i nie zagrażały już światu wydaniem potomstwa. Ostrzyżenie włosów do gołej skóry było tu dla kobiety, jak wszędzie indziej, znamieniem hańby i upokorzenia lub przynajmniej ascezy, ale to właśnie był jeden z tych obyczajów, który należało z ludu wyplenić do samego końca. Ostrzyżone kobiety łatwiej było odróżnić podczas pracy w polu. Im wolno już było przebywać w towarzystwie mężczyzn.

Wydęte brzuchy starszych dzieci, koślawe nóżki i apatyczne twarze były wynikiem chronicznego deficytu białka zwierzęcego w ciągu ostatnich trzech lat. Państwo Czerwonych Khmerów osiągnęło wprawdzie pewne sukcesy w produkcji ryżu, z którego uczyniono totalną, pozbawioną odpowiedników monokulturę, lecz podczas strasznego głodu w 1976 roku, związanego z przesiedleniami i powszechnym chaosem, chłopcy wyróżnili trzodę i bydło niemal do ostatniej sztuki. Większość z wędrujących ludzi od trzech lat nie miała w ustach skrawka mięsa lub ryby, choć jezioro Tonle

Sap jest najbardziej zarybionym zbiornikiem wodnym na świecie.

Nieliczne bawoły, człapiące w zaprzęgach, zostały albo zabrane z opuszczonych komun, albo schwytane na przydrożnych pastwiskach, ponieważ za rządów Pol Pota nikomu nie wolno było posiadać bawołu na własność.

Brak zainteresowania dla nas wynikał po prostu z lęku. W zapadłych wsiach Kambodży biali pojawiali się rzadko, właściwie od pokoleń widywano tu tylko Francuzów i Amerykanów. Po jednych i drugich nie należało oczekiwać nic dobrego. Chłopi uznali, że skoro obalono władzę Czerwonych Khmerów, to widocznie znów wrócili Amerykanie albo Francuzi; na pewno byliśmy kolejną forpoczta tych przeklętych ciemieców. Wieś kambodżańska nie miała żadnego powodu, aby nas witać i pozdrawiać. O istnieniu europejskich krajów socjalistycznych nie słyszeli chyba nigdy.

Papierowe flagi, zawieszane na tyczkach nad każdym niemal najlichszym wózkiem, rozdawało wojsko na punktach kontrolnych. Był to znak milczącej solidarności z nową władzą, ostrożny, lecz wyraźny sygnał, że na tych, którzy się wloką do swych nie istniejących domostw, Czerwoni Khmerowie nie mogą więcej liczyć. A i wojsko będzie wiedziało, kogo bronić przed podstępna napaścią na przydrożnym biwaku lub przed nagłymi strzałami z dżungli.

Żaden z mężczyzn, idących w tym pochodzie, nie miał przy sobie broni palnej.

XX. Ci wszyscy ludzie, ciągnący już od trzech tygodni przez opustoszały kraj, zostali wysiedleni ze swych siedzib między grudniem 1975 roku i majem lub czerwcem 1976 roku.

Wysiedlenia obejmowały początkowo tylko mieszkańców miast, lecz potem, kiedy się z tym uporano — co nie było łatwe, gdyż chodziło w sumie o mniej wię-

cej trzy miliony osób — przyszła kolej na chłopów. W odróżnieniu od mieszkańców miast, których wypędzono z domów tak, jak stali, chłopci otrzymali wiele cennych przywilejów, zwłaszcza gdy byli zupełnie biedni i zupełnie niepiśmienni, gdyż tylko tacy stanowili w oczach Czerwonych Khmerów jedyną naprawdę zdrową i wartościową warstwę ludu, od której miała się rozpocząć budowa „nowej społeczności”. Uprzedzono ich o wysiedleniu na tydzień z góry. Pozwalano zebrać ryż i wziąć ze sobą tyle osobistego dobytku, ile się mieściło na arbie lub wózku, pod warunkiem, że każda rodzina sama się będzie troszczyć o transport i nie skorzysta ze zwierzęcej siły pociągowej. Bawołów, krów, świń i drobiu nie wolno było ze sobą zabierać, gdyż inwentarz żywy razem z chatami miał przypaść innym chłopom, którzy zostaną osiedleni w opuszczonej wsi.

Właśnie na tym pomysłe opierał się cały plan przymusowej transmigracji, opracowany osobiście przez Pol Potą. Chłopów postanowiono przesiedlić ze wschodu na zachód, z południa na północ, z Gór Kardamonowych na granicę laotańską, z rozlewisk Mekongu do Battambang. Postanowiono ich przemieszać, zatombować, zemleć na pył, aby raz na zawsze unicestwić ukształtowaną przez wieki strukturę socjalną, wykorzenić doszczętnie lokalne układy odniesienia i skamieniałą jak system kastowy hierarchię biednych i bogatych.

Mieszkańcy wsi wędrowali wspólnie tylko do najbliższego punktu rozdzielczego, mieszczącego się zazwyczaj w stolicy powiatu. Tam rozdzielano małżeństwa i rodziny, badano umiejętność pisania i czytania, przyznawano kategorie przydatności socjalnej, odbierano wszelkie pamiątki i dokumenty, niekiedy nawet od razu zmieniano ludziom nazwiska, które zresztą rozpowszechniły się w Kambodży dopiero w bieżącym stuleciu, głównie za sprawą zniecierpliwionej administracji francuskiej. Odbieranie i zmienianie nazwisk

nie było stosowane powszechnie, lecz ogromnie ułatwiało proces przemian. Jedynym śladem tożsamości człowieka było odtąd coś, co od roku 1949 nosi w Chinach nazwę *hu kou pu*; jest to rodzaj książeczki lojalności czy też obszernego kwestionariusza personalnego. Zawiera on szczegóły na temat pochodzenia klasowego o trzy pokolenia wstecz, pełny wykaz grzechów, złożonych samokrytyk, osiągnięć w pracy, a także wyniki okresowych przeglądów świadomości klasowej. Do kwestionariusza dołącza się również każdy, nawet najbliższy donos. Egzemplarze chińskich *hu kou pu* dotarły za granicę i stąd wiadomo, co zawierają; nie ma powodu przypuszczać, że w Kambodży wyglądało to inaczej. Z tą może różnicą, że poza *hu kou pu* mieszkańcy komun nie mieli żadnych innych dowodów tożsamości, a wykazy grzechów były przechowywane przez szefa bezpieczeństwa w komunie. Zapewne na tej podstawie ustalano listy egzekucyjne.

Potem z punktów rozdzielczych ruszały długie kolumny ludzi, którzy się nigdy przedtem nie znali i mieli wszelkie powody, aby sobie nawzajem nie ufać. O to właśnie chodziło, aby się stali cząstkami amorficznej zawiesziny społecznej, molekułami superkolektywu, samotnymi komórkami owej magmy, która zdaniem Pol Pota zawsze rozstrzygała o prawdziwej historii świata.

Chłopów wysyłało pieszko o setki kilometrów do odległych, nie znanych im komun, z takim wyliczeniem, aby w żadnej komunie nie znalazło się więcej niż dwóch ziomków z jednej wsi, ponieważ mogliby zmówić się ze sobą. W niektórych komunach północnej i wschodniej części kraju, gdzie Czerwoni Khmerowie znajdowali wśród biedoty oparcie podczas swych walk z reżimem Lon Nola, postępowano początkowo akurat na odwrót. Wysiedlano tylko chłopów zamożniejszych lub umiejących czytać, cała zaś reszta pozostawała na miejscu i uzyskiwała pełnię kolektywnej władzy nad „nowymi mieszkańcami”. Byli to głównie wysiedleni

z miast urzędnicy, nauczyciele, felczerzy, niżsi bonzowie buddyjscy, kwalifikowani robotnicy, służba domowa, czasem drobni kupcy lub przekupnie, których cały majątek mieścił się niegdyś w jednym zawiniątku. Niepiśmienni chłopcy otrzymali polecenie, aby „nowych mieszkańców” nauczyć szacunku dla pracy fizycznej i odzwyczaić ich od szkodliwych nawyków. Mieli ich poddać głębokiej, wszechstronnej reedukacji, aby szybko i dokładnie upodobnili się do ludu. Komisarz z ramienia Czerwonych Khmerów doglądał tylko postępów reedukacji i pouczał, co należy czynić, aby była skuteczna. Ci, wobec których nie była skuteczna, znikali którejs nocy na zawsze.

XXI. Uchwycilem się tego tematu. Mógł to być pierwszy dowód, że doniesienia prasowe nie były bezpodstawne.

Młoda, może dwudziestopięcioletnia kobieta, z którą wdaliśmy się w rozmowę, sprawiała wrażenie inteligentnej i rzeczowej. Nie ukrywała swej niechęci. Jej nazwisko brzmi Nuan Vanh Ong, choć nie dam głowy, czy jest prawdziwe; podyktowała je pośpiesznie i niewyraźnie, a potem nie chciała powtórzyć. Pochodzi stąd, z prowincji Svay Rieng, z pewnej wsi, której nazwa nie jest istotna. Od czerwca 1976 roku do stycznia 1979 pracowała w komunie Kanh Len, w prowincji Kratie. Teraz wraca do domu.

Czy odnalazła kogoś ze swej rodziny?

Tak. Młodszego brata. Tam stoi, z tym kijem w rękę.

Czy była zamężna?

Tak.

Gdzie jest mąż?

Kobieta wzruszyła ramionami i odwróciła głowę.

Czy miała dzieci?

Brak odpowiedzi.

Co się stało z rodzicami?

Umarli. A może jeszcze żyją.

Czy wie o kimś, kto pochodził ze wsi, pracował w komunie i został zamordowany przez Czerwonych Khmerów?

Tłumacze przełożyli pytanie, kobieta spojrzała mi prosto w oczy z mieszaniną lęku, złości i niepewności, potem szybko szepnęła coś, co spowodowało zamęt wśród tłumaczy.

Tak, powiedzieli w końcu tłumacze, ona zna takie wypadki, ale nie chce o nich mówić.

Dlaczego nie chce mówić?

Ona mówi, że się boi Czerwonych Khmerów, ale niech towarzysz tego nie pisze, to jest prosta kobieta, ona dotąd nie rozumie, że Kambodża została wyzwolona i że zbrodnicza klika Pol Pot-Jeng Sary nigdy już nie wróci.

Dobrze. Nie będę o tym pisał w gazecie.

XXII. Potem i to się zmieniło, niepiśmiennym chłopom odebrano monopol na wychowywanie „nowych mieszkańców”. Zajęła się tym kadra Czerwonych Khmerów, miotana co kwartał z komuny do komuny. Wieczna mobilność, ruch żaren, nie kończąca się nigdy rotacja, płynność, nieokreśloność, niepewność stanowiły doktrynalne założenia władzy Czerwonych Khmerów. Były stosunkowo najlepszą gwarancją, że ludzki perz, wyrwany z gleby, nie zacznie się zakorzeniać na nowo.

Człowiek jest nieznośnym stworzeniem. Wystarczy mu pozwolić, aby się na chwilę zatrzymał, osiadł, potrwał, a już zapuszcza korzenie, obrasta przedmiotami, zaczyna budować delikatną tkankę nowych związków wokół siebie, domaga się spełnienia dla swej *niepowtarzalnej osobowości*, choćby nawet nie umiał tego tak sformułować. To lubi, tamtego nie lubi, przeszkadza w marszu, poszukuje szczęścia na własną rękę. Z ta-

kich ludzi nie mogłaby się w przyszłości wyłonić „nowa społeczność”.

Pol Pot pisywał kiedyś pod pseudonimem Saloth Sar (niektórzy twierdzą, że to właśnie było jego prawdziwe nazwisko) interesujące eseje z pogranicza antropologii i socjologii, w których ta ciemna strona ludzkiej natury została poddana obszernej analizie. Właśnie ta nieprzeparta potrzeba osiadłości i trwania budziła jego najgorętszy sprzeciw, bo wszyscy przecież zaczęliśmy swe dzieje od koczownictwa, od luźnych i przypadkowych związków. Nie można niczego naprawdę nowego zbudować z ludźmi, których pierwszym zmartwieniem jest wygrzebywanie grajdołka i którzy przeważając część swej energii obracają na to, żeby im było lepiej, lżej, wygodniej. Człowiek jest częścią natury i nie powinien podważać jej praw; natura nie zna takiego prawa, z którego by wynikało, że ma być lepiej.

Pod względem klasy intelektualnej eseje Pol Pota o niebo przewyższają prace teoretyczne Lin Piao, jednego z głównych ideologów chińskiej „rewolucji kulturalnej”. Lin Piao z oczywistych powodów nie mógł przyćmiewać słońca, był zresztą prymitywny i ustępował umysłowo nie tylko wykształconym mandarynom rewolucji w rodzaju Czou En-laja, lecz również wszystkim wybitniejszym działaczom z okresu jenańskiego. Nie znał żadnego obcego języka, chyba nigdy poza okresem 1939—1941 nie opuścił Chin, jego lektury są beznadziejne. Może właśnie dlatego Mao wybrał go na proroka nowej ery. Intelektualiści nie są do niczego potrzebni, kiedy nadciąga „godzina zero”. Głośny artykuł Lin Piao z sierpnia 1965 roku, proklamujący nowy podział świata na „miasto” i „wies”, zawiera czternaście błędów geograficznych, historycznych i rzeczowych, co nigdy przedtem nie zdarzało się w chińskiej publicystyce partyjnej.

Inaczej z Pol Potem. Trudno już w końcu ustalić, czy rzeczywiście uzyskał doktorat nauk politycznych

z École des Sciences Politiques, co sam wielokrotnie głosił; niektórzy w ogóle kwestionują jego wyższe studia w Paryżu. Ale nie ma to większego znaczenia; podana przez „Le Monde” informacja, jakoby Pol Pot ukończył tylko szkołę radiotechniczną we Francji, z całą pewnością nie odpowiada prawdzie. Pol Pot był człowiekiem niewątpliwie wykształconym ponad przeciętną miarę azjatyckich elit intelektualnych. Znać w jego pracach ślady poważnych lektur, nie brak odwołań do neofreudyzmu i nowszej antropologii, bez trudu można odnaleźć fascynację Bakuninem i klasykami anarchizmu.

Jeśli nawet Pol Pot wymyślił sobie ów doktorat, to jego najbliższy przyjaciel, Hu Nim, zamordowany w 1977 roku z powodu rozbieżności ideologicznych, był z całą pewnością doktorem Sorbony, co można bez trudu sprawdzić w rocznikach; dyplom uzyskał w maju 1965 roku, pisywał też całkiem niezłe wiersze, znał osobiście Tristana Tzarę, Aragona i Sartre'a. Ieng Sary studiował socjologię. Khieu Sampan, również doktor Sorbony, publikował w „Sztandarze Rewolucji” zajmujące artykuły i rozprawy. Kiedy na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ci ludzie formułowali w Paryżu swe pierwsze koncepcje rewolucji kambodżańskiej, nie odbiegali zbyt poglądami od innych rzeczników azjatyckiego radykalizmu społecznego. Nie byli garstką socjopatycznych opryszków i krzykliwych miernot w rodzaju tych, którzy niegdyś zawiązywali NSDAP lub maszerowali na Rzym. Przeciwnie. Przesłanki ich rozumowania były w pełni sprawdzalne, wnioski — logiczne, ideowość motywów — nie do zakwestionowania. Znali języki obce, podróżowali po Europie i Azji, przypuszczalnie niejedną noc strawili na dyskusjach nad Sorelem i Proudhonem. Byli dalecy od mistycyzmu, inteligentni, przejęci potrzebą czynu i z całą pewnością ożywieni motywacjami, których nie wolno skwitować wzruszeniem ramion.

Wielka Transmigracja w Kambodży nie była objawem amoku, barbarzyńskiej głupoty ani żołdackiej samowoli. Wynikła z żarliwej i głęboko przemyślanej doktryny, z rozpaczyny nad nędzną niezmiennością świata i zbyt powolnym tempem dokonywania się wszelkich dotychczasowych rewolucji. Zrodziła się z tęsknoty za wizją czystego i jasnego społeczeństwa, wolnego od garbów nierówności i od krzywd, czynionych co godzinę przez zdeprawowaną naturę ludzką. Ludzie skupieni wokół Pol Pota nie byli w tej tęsknocie odosobnieni. Poczynając od Robespierre'a podobne wizje raz po raz skłaniały natchnionych ideologów do sięgania po katharsis ślepego terroru. Od Bakunina po Stirnera motyw oczyszczenia poprzez terror powtarza się nieustannie w dziejach nowożytnej myśli politycznej; różnice dotyczą tylko skali. I trudno utrzymywać, że pochwałę terroru głosili tylko ludzie umysłowo chorzy. Grupa Pol Pota składała się wręcz z umysłów na swój sposób wybitnych, przynajmniej w lokalnej skali odniesienia.

Traktowanie tych ludzi jako chińską agenturę byłoby przed piętnastu laty niedorzecznością. Gdyby przyjął ten punkt widzenia, chińskim agentem musiałby być Guevara, Rudi Dutschke, Feltrinelli, Herbert Marcuse, ludzie z Czarnych Panter, chilijski MIR, argentyńscy montoneros. Chodziło raczej o luźną osmozę ideową, o pokrewieństwo rewolucyjnych postaw i poglądów na prawdziwe wymiary *doli człowieczej*. O konsekwentny i autentyczny radykalizm społeczny bez wykrętów, kompromisów i złudzeń, pojmowany jako integralny sposób myślenia o świecie.

Jeżeli grupa Pol Pota tak zidentyfikowała się potem z koncepcją chińskiej „rewolucji kulturalnej”, jeżeli dostrzegła w niej zapowiedź prawdziwie nowego ładu społecznego i przelknęła bez wahania prymitywne agitki Lin Piao — nie uczyniła tego na skutek oportunistycznego; to przyszło dopiero później. Uczyniła to ze świadomego i dobrowolnego wyboru, na podstawie

przesłanek, które w drugiej połowie lat sześćdziesiątych stulecia olśniły nie tylko małą grupkę kambodżańskich intelektualistów.

XXIII. Wielka Transmigracja nie mogła być zjawiskiem jednorazowym. Chaos wiecznych przesiedleń, ruchu kadr, przyspieszonego krążenia materii społecznej stał się regułą w państwie Czerwonych Khmerów. Doprowadziło to wkrótce do tego, że niepiśmienni chłopcy, niezbyt biegli w geografii własnego kraju, często nie wiedzieli już, gdzie się znajdują. Wszędzie, gdzie się znaleźli, były podobne pola ryżowe, które trzeba było uprawiać; były podobne prycze pod lada jaką strzechą, jakiś komisarz komuny, milczący pluton strażniczo-egzekucyjny, wspólny kocioł, nie kończące się zebrania poświęcone samokrytyce i indoktrynacji. I praca. Praca do utraty tchu, granicząca z całkowitym zezwierzeczeniem.

Opowiedziano nam dokładnie, jak wyglądała, ile i komu dawano ryżu, jakie kary groziły opieszalym, jaki był los starców i dzieci, na których od piątego roku życia ciążył obowiązek zbierania ziół i chrustu oraz zmywania naczyń.

W ciągu jednego tygodnia, między 2 i 9 stycznia 1979 roku, ten system rozpadł się całkowicie, przynajmniej na tych obszarach, gdzie nowa władza uzyskała pełnię kontroli militarnej. Nie został odwołany ani unieważniony; nie było na to czasu. Rozpadł się po prostu bez śladu, jak gdyby nigdy nie istniał. Chłopcy ruszyli z powrotem do swych dawnych wsi, nie czekając na żadne instrukcje i nie domagając się żadnych wyjaśnień. Oni to mają we krwi od pokoleń. Przeżyli setki wojen, ekspedycji karnych, przewrotów, własni feudalnych, niepojętych konfliktów. Wiedzą, że trzeba przetrwać wszystko i wszystko wytrzymać. Khmerskie przysłowie powiada, że łódź przepłynie, rzeka zostanie.

XXIV. Idą znów setki kilometrów, koczują przy zakurzonych drogach, rankami spoglądają w słońce, aby im wyznaczyło kierunek dalszego marszu, nocami wystawiają przy legowiskach warty, aby odpędzały kijami łakome węże, piżmaki i wydry. Idą, kroczą, drepczą, dźwigają, popychają objuczone wózki, poganiają umęczone bawoły, naprawiają w biegu koła u arby, głaszczą spłoszone koguty, szarpią szleje, a na postoju zbierają troskliwie wyschnięte gałęzie, aby kobiety o wyschniętych piersiach mogły na przydrożnym ognisku uwarzyć garstkę ryżu. Oto sól ziemi, bracia ciemni, najpierwsi, elementarni jak ziemia, woda i słońce; oto punkt zerowy wszystkich nie skłamanych myśli i ostateczna miara wszystkich bez wyjątku doktryn współczesnego świata. Tylko wśród nich należałoby weryfikować motywy działania państw, klas i jednostek, odsączać czystą substancję ze zmyśleń i arbitralnych domniemań, szukać prawd równie niezmiennych i niepodważalnych, jak prawa przyrody.

Ale nie wiadomo, co myślą. Ich oczy wyrażają lęk, głód i cierpienie całej Azji; ich płaskie, znużone twarze, pozbawione mimiki, cięte w bryle śniadego kamienia, są najwierniejszym zwierciadłem nieopowiedzianej historii pokoleń, plemion, narodów. Tylko jak odczytać to nieme posłanie, jak dokonać syntezy, która nie byłaby kolejną wersją blankizmu i abstrakcyjną grą niesprawdzalnych pojęć?

XXV. Ten milczący pochód przywodzi na myśl film, który puszczono w odwrotnym kierunku. Chłopi sami nie wiedzieliby, jak dojść do swych dawnych siedzib, nigdy nie mieli w ręku mapy, nie pojmują, że drogi mogą biec ukośnie w stosunku do stron świata. Więc znów przejściowe zgrupowania, rozdzielanie, sortowanie, łączenie, nagle spotkania ocalałych, wieści o tych, którzy nie dożyli. Wojsko tłumaczy, któredy wracać:

odtąd-dotąd, na prawo, za słońcem, prosto, przed lasem w lewo. Znów ktoś umiera po drodze i zostaje w niedbale usypanym kopczyku, znów ktoś się rodzi w krzemiennym pyłe, pod brudną płachtą wojskowej ciężarówki. Znów dążenie, zmierzanie, parcie, wędrowanie tak nieskończone jak chińskie tao. Oni to mają zakodowane w genach od tysiącleci, od najdawniejszych praczasów, kiedy koczownicze plemiona z Altaju i bezkresnych stepów środkowej Azji przekroczyły Pamir i po raz pierwszy zeszyły w żyzne wówczas doliny Południa, aby szukać swego miejsca na ziemi. Z każdym ich krokiem naprzód, z każdym obrotem skrzypiących kół, dzieje tych czterech lat biegną wstecz, wracają do punktu wyjścia, ulegają samolikwidacji. Nie ma już żadnej „nowej społeczności”. Klany, familie, rodziny i wsie odradzają się co godzinę, na każdym skrzyżowaniu dróg, na każdym przygodnym biwaku.

Tajfun ucichł, fale opadły, wraca trwanie. Wieczne, straszne, niezniszczalne, azjatyckie trwanie.

I taka odpowiedź na dylematy.

XXVI. Zapewne w żadnym innym rejonie świata więzy rodzinne nie są tak silne jak tu, w południowo-wschodniej Azji. Liczebność klanu rodzinnego jest stosunkowo najlepszym zabezpieczeniem ekonomicznym na wypadek nieszczęścia lub starości; obowiązek wzajemnej pomocy i wzajemnego świadczenia jest tak głęboko zakorzeniony, że nie słabnie nawet u ludzi wykształconych i samodzielnych. Pięćdziesiąt wieków doświadczeń nauczyło azjatyckich chłopów, że nie można liczyć na obcych, przyjaciół, sąsiadów. Można liczyć tylko na rodzinę.

Przymusowe rozdzielanie rodzin było najcięższym, rozstrzygającym ciosem w tkankę społeczną narodu khmerskiego. Cios ten był wymierzony precyzyjnie i dokładnie przez ludzi doskonale znających tę społeczność i wiedzących, dokąd zmierzają.

XXVII. Wysiedlanie chłopów z miejsc, w których żyli od niepamiętnych czasów, nie jest oczywiście czymś, co mogłoby budzić bezwarunkową aprobatę, zwłaszcza w Europie. Warto by jednak dokładniej popatrzeć, co się za tym naprawdę kryło i co z tego w końcu wynikło. Przecież nawet teraz widzę wśród powracających takich ludzi, którzy mają bawołu, załadowaną arbę, koguta i psa na dokładkę, a obok takich, którzy cały swój dobytek niosą w jednym węzélku na grzbiecie. Może jednak te cztery lata pozostawiły w nich jakieś nowe, trwałe reakcje? Może brutalność metod wcale nie oznaczała, że cel był fałszywy?

Wież azjatycka zawsze była miniaturą piekła, a może miniaturą świata, jeśli mu się dobrze przyjrzeć. Jest rozwarstwiona na wszelkie możliwe sposoby, nieludzka dla słabszych i biedniejszych, okrutna dla zwierząt i dzieci, bezwzględna dla ułomnych, obcoplemiennych, innomyślnych, skamieniała w niepisanym, niewolniczym hierarchizmie. Azjatyckie trwanie, które nas czasem tak zachwyca, najczęściej jest bezmyślnym, katonicznym bezruchem, dużo rzadziej zachowaniem substancji. Kto może zagwarantować, że w tym pochodzie widm nie ma już nikczemnych dzierżawców, lichwiarzy bez serca, zaciekłych i niepoprawnych zdzierców, którzy za kwartał, kiedy trochę odsapną po przykrych przejściach, znów zaczną głodzić i poniżać innych, ponieważ wynika to z nieodgadnionego porządku wszechrzeczy? Wielki posiadacz ziemski, wysoki urzędnik, właściciel fabryki — to są w Azji pojęcia niebotycznie odległe, graniczące z abstrakcją lub teologią. Wszystkie zasadnicze fronty społeczne przebiegają tu z reguły w jednej wiosce, wśród ludzi widujących się codziennie i wśród rodzin żyjących od pokoleń koło siebie.

To zrozumiałe, że teraz wszyscy z nich budzą współczucie, ponieważ są wynędzniali, obdarci, znużeni, głodni. Ale współczucie nikogo nie zwalnia ze znajomości elementarza. To właśnie wśród takich jak oni brały

swój początek wszystkie nieszczęścia Azji przed epoką kolonizacji. Właśnie wśród nich trwający od pokoleń głód zamieniał serca i umysły w martwą bryłę granitu; chroniczny deficyt białka i niedostatek energii organizmów utrzymywały bezgraniczną ciemnotę, podnoszoną przez okrutnych starców do rangi cnoty i normy etycznej. Może naprawdę nie było innego wyjścia, żeby skruszyć tę osadową skalę apatycznego trwania?

Trzeba by znacznie dłużej rozmawiać z tymi ludźmi, aby się ustrzec przed pochopnymi sądami.

Strzyżenie starych kobiet — tak, to odrażające. Nie wszystkie są jednak ostrzyżone. Może te, które z nami rozmawiały, padły po prostu ofiarą nadgorliwości szefa jakiejś wyjątkowej komuny?

Ograniczenie urodzeń... nie trzeba być maltuzjanistą, żeby wiedzieć, co to za problem dla Azji i reszty świata. Wszystkie dotychczasowe metody powstrzymywania eksplozji demograficznej w Azji zawiodły całkowicie lub przyniosły tylko miejscowe, ograniczone rezultaty. Zresztą, kilka lat temu w Indiach przystąpiono do półprzymusowej sterylizacji i świat się od tego nie zawalił.

Powinienem zachować rozsądek, jeżeli chcę pojąć, co się tu naprawdę stało.

XXVIII. „Metafizycy sądzą, że rzecz może jedynie bez końca odtwarzać samą siebie, lecz nie może się przekształcać w inną, odmienną rzecz.” (Mao Ce-tung, *W sprawie sprzeczności*, Warszawa 1952. Praca ta została napisana w Jenanie w roku 1937.)

XXIX. Jechaliśmy dalej w trąbieniu, hamowaniu, szarpaniu, w coraz gęstszych kłębach żółtego kurzu, który leniwie osiadał na ciągnących poboczem zaprzęgach, głowach, wózkach, bawolich rogach. Kurz gęstniał

z każdym kilometrem, pokrywał burty łażika i broń żołnierzy z eskorty, napełniał nasze nosy i uszy, osiadał w gardle, gęstniał pod powiekami. W końcu musieliśmy się zatrzymać, żeby strząsnąć z koszul grubą, lepłą warstwę pyłu. Rozpalone powietrze uderzyło w nas jak pięść zza węgła, było suche i ostre jak klinga maczety. Dochodziła dopiero ósma rano, ale w ciągu jednej minuty postoju trysnęły z nas strugi potu, ciekły z czoł i nogawek, wyrzucane w pośpiechu przez zaalarmowany organizm. Wodnisty pot zmieszany z kurzem tworzył piekącą breję nawet na dłoniach i powiekach.

Nigdy przedtem nie doświadczyłem podobnego szoku klimatycznego. O sto dwadzieścia kilometrów na wschód, w mieście, które opuściliśmy przed pięcioma godzinami, temperatura w południe nie przekracza trzydziestu dwóch stopni, wilgotność obraca się w granicach sześćdziesięciu procent; luty jest tam najłaskawszą dla północnego Europejczyka porą roku. Tu znaleźliśmy się nagle w środku pustyni, w rozwieczonym żarze i pyłe, którego niewidoczne cząstki działały jak małe soczewki, koncentrując promienie słoneczne i zwiększając ich porażającą siłę. Wilgotność przypuszczalnie sięgała zera. Na przestrzeni zaledwie stu dwudziestu kilometrów różnica temperatur przekraczała dwadzieścia stopni. Nagłość tego odkrycia była obezwładniająca; podczas jazdy ruch powietrza łagodził kąśliwość żaru, dopiero chwila postoju sprawiała, że zaczęliśmy z trudem oddychać. Graniczyło to z przywidzeniem. W tropikach nie ma tak wielkich skoków temperatury i wilgotności na tak niewielkim obszarze.

Nie padliśmy jednak ofiarą halucynacji. Nasze odczucia były zgodne z rzeczywistością, organizmy nie mogły się mylić. Powód był tak trudny do pojęcia, że tłumacze trzykrotnie musieli powtarzać wyjaśnienie, jakiego nam udzielił młody człowiek z resortu. W tej

części Kambodży Czerwoni Khmerowie zamordowali klimat.

Zamordowali? *Ah, oui, ont assassiné.*

XXX. Ściśle biorąc, zamordowali najpierw ziemię. Dwa lata temu specjalne oddziały Czerwonych Khmerów pozrywały granatami groble pól ryżowych w trzech południowo-wschodnich prowincjach kraju: Svay Rieng, Prey Veng i Kompong Cham. W ciągu kilku miesięcy zniszczono dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy przepustów, śluz, stawów retencyjnych, kanałów, okrężnic, zapasowych tarasów, piętrowych grobli. System irygacyjny na polach ryżowych Azji jest dziełem wielu pokoleń, produktem milionów roboczo-dni, wytworem odwiecznej mądrości, przekazywanej z ojca na syna. Obieg wody z opadów monsunowych jest tak pomyślany, że każdy taras otrzymuje swą porcję wody akurat wtedy, gdy kolejne stadium wegetacyjne ryżu wymaga zmiany poziomu nawodnienia. Nawet w latach suszy lub nadmiernego urodzaju, gdy obszarnicy ugorują pola, aby zmniejszyć podaż ryżu i podnieść jego cenę, system irygacyjny działa nieprzerwanie, ponieważ wykorzystuje trzy prawa natury, których zawiesić nie można: siłę ciężenia, regularność pór monsunowych i prawo Bernoulliego, które w tym wypadku oznacza nieprzepuszczalność starannie uklepanych grobli z tłustej gliny.

Obcy nigdy się nie zorientuje w tej płataninie tarasów i kanałów, lecz ten, kto ją rozumie, wie doskonale, co należy uczynić, aby przestała funkcjonować. Wystarczyło kilkaset granatów i ładunków wybuchowych, umieszczonych w najczulszych miejscach systemu, aby woda z pól trzech prowincji spłynęła do delty Mekongu. Gdzieś widać jeszcze woreczki zapomnianego trotylu i trzonki nie odpalonych granatów. Odwodnieniu uległo około 200 tysięcy hektarów. Całymi kilometrami ciągną się płachty poszarzałego, nie

zżętego ryżu, w którym szeleszczą węże i szaleją ptaki; operacji dokonywano w pośpiechu, jak wszystkiego u Czerwonych Khmerów, w porze najbujniejszej wegetacji, bez troski o kłoszący się właśnie plon.

Ziemia, pozbawiona wilgoci i wystawiona na niczym już nie temperowane działanie słońca, stopniowo zaczęła zmieniać się w pył. Wiatry poroznosiły wierzchnią warstwę gleby po zaroślach, ryżowiska zarosły zdziczałą trzcina cukrową i skarłałym bananowcem. Miejscami skłębione chaszczki mają już wysokość człowiecka. Z braku wilgoci i normalnego obiegu wody w atmosferze zmienił się również miejscowy mikroklimat. Mokry tropik ustąpił przed stepem, step przed pustynią. Ekologia tego obszaru została zachwiana tak głęboko, że sucha śmierć może się jak dzuma lub trąd rozprzestrzenić na sąsiednie rejony. W prowincjach Takeo i Kratie są już pierwsze oznaki zarazy.

Trudno orzec, jak długo może potrwać odbudowa zniszczonego systemu. Został tu stworzony pewien fakt geograficzny, pomnik Czerwonych Khmerów o trwałości znacznie dłuższej niż ich broszurki i hasła. Zalałanie zerwanych grobli jest sprawą stosunkowo prostą, cierpliwych rąk do pracy ciągle tu nie brak. Ale napełnienie zbiorników i kanałów musi potrwać co najmniej pięć, może siedem sezonów monsunowych. Ponadto spływająca woda rozmyła niezliczone elementy systemu irygacyjnego, wszystkie te ledwo dostrzegalne przepusty, syfony ziemne, stawy i śluzy. Trzeba to będzie bez końca sprawdzać po zgromadzeniu pierwszego zapasu wody, obserwować przecieki, naprawiać i przebudowywać wiele lat. Ile lat? Nie wiadomo. Nikt tego nie potrafi ocenić.

Kilka dni później oglądałem ten sam obszar z powietrza. Rozległa płaszczyna pogranicza wyglądała jak ropiejący wrzód wśród bujnej, gęstej zieleni po obu brzegach Mekongu. Obłok jadowicie żółtego kurzu unosił się pionowo w powietrzu na wysokość kilkuset metrów niczym chmura trującego gazu.

Jedna szósta areału uprawnego Kambodży została zniszczona poza możliwość szybkiej odbudowy. To rzeczywiście trzeba by nazwać morderstwem popełnionym na ziemi.

Powody, dla których to uczyniono, nie są całkiem jasne. Przedstawiono nam dwa wyjaśnienia. Pierwsze: Czerwoni Khmerowie postanowili przekształcić całą prowincję Svay Rieng i część dwóch przyległych prowincji w bazę wypadową przeciw Wietnamowi, pozbawioną zupełnie osadnictwa. Ten obszar leżał zbyt blisko granicy, ucieczki z komun były na porządku dziennym, wschodni pas był doszczętnie zbombardowany i spalony przez Amerykanów podczas ich interwencji w Wietnamie.

Wyjaśnienie drugie brzmiało tak: Pol Pot uznał, że wobec przeludnienia Kambodży należy w sposób trwały i nieodwracalny ograniczyć areał ziemi uprawnej, aby stworzyć naturalną zaporę przeciwko zbytlicznemu przyrostowi ludności. Z przyczyn streszczonych powyżej najlepiej nadawały się do tego celu trzy prowincje południowo-wschodnie.

Przyjąłem to wyjaśnienie z głębokim niedowierzaniem. W chwili objęcia władzy przez Czerwonych Khmerów Kambodża liczyła prawdopodobnie około ośmiu i pół miliona mieszkańców. (Jedyny spis ludności przeprowadzono tu w roku 1962, na jego podstawie demografowie dokonywali corocznych ocen.) Powierzchnia kraju wynosi 180 tysięcy kilometrów kwadratowych, czyli 57 procent powierzchni Polski. Przypadało więc w przybliżeniu 47 osób na kilometr kwadratowy, co jest jednym z najniższych wskaźników w Azji Południowo-Wschodniej. Nawet gdyby przyjąć z możliwie największą przesadą, że połowę terytorium kraju stanowią obszary niedostępne dla osadnictwa i kultury rolnej, wskaźnik zagęszczenia i tak kształtowałby się poniżej norm europejskich, nie mówiąc już o azjatyckich. W żaden sposób nie można tego nazwać przeludnieniem, nawet względnym.

XXXI. Dopiero w kilkanaście dni później udało mi się znaleźć dowody, że teoria o przeludnieniu Kambodży rzeczywiście stanowiła podstawę działań reżimu Pol Pota.

V Pierwsza zasada maoizmu, sformułowana jeszcze w Jenanie, porzucona między rokiem 1944 i 1957, a potem znów triumfalnie ogłoszona w latach „rewolucji kulturalnej” i „wielkiego skoku”, sprowadza się do tego, że należy polegać wyłącznie na własnych siłach. Nie liczyć na czyjąkolwiek pomoc. Nie uzależniać się ani od wrogów, ani od przyjaciół. Zrezygnować z importu, kredytu, pomocy międzynarodowej i w ogóle z wszystkiego, co nie znajduje się w zasięgu wyciągniętej ręki. Była to nie tylko doktryna ekonomiczna dla biednych i pozbawionych złudzeń, lecz również zabieg psychologiczny, zwiększający wiarę we własne siły i ułatwiający dostrzeżenie tuż koło siebie nie wykorzystanych dotąd rezerw. Nie istnieje kraj, obszar, grupa czy pojedynczy człowiek, z których nie dałoby się wycisnąć dużo więcej, niż to wynika ze zwyczajowych kalkulacji.

V W przekładzie na warunki kambodżańskie oznaczało to przede wszystkim konieczność powrotu do prymitywnej gospodarki rolnej, dużo bardziej prymitywnej niż ta, która się tu rozwinęła za rządów Sihanouka, a potem Lon Nola, gdyż od czasu odzyskania niepodległości w roku 1954 Kambodża dokonała znacznego postępu w rolnictwie, głównie za sprawą pomocy międzynarodowej. Należało więc zrezygnować z nawozów sztucznych, których Kambodża nie wytwarza; z mechanizacji, która jest kosztowna i w całości oparta na stałym imporcie maszyn, paliw i części zamiennych; z nowych, bardziej plennych odmian ryżu, gdyż wymagają skomplikowanych zabiegów agrotechnicznych, czyli stałego dopływu fachowców, zagranicznych bądź kształconych za granicą, a chłop kambodżański nie umie się z tym nowym ryżem obchodzić. Postanowiono zatem powrócić do wydajności sprzed półwiecza, w

granicach półtorej tony ryżu z hektara przy dwukrotnym zbiorze w ciągu roku.

Stwierdzono jednak szybko, że taka gospodarka może w Kambodży wyżywić najwyżej cztery i pół miliona ludzi. Łatwo obliczyć, że było ich o cztery miliony za dużo. A właściwie o pięć milionów. Cztery miliony tych, którzy już żyli, i milion tych, którzy mieli się narodzić w ciągu najbliższego dziesięciolecia.

To zmienia postać rzeczy. Incydentalna kwestia, w której kompetencje niefachowców są nikłe, nabiera nagle znamion zasadniczego dylematu z pogranicza filozofii historii. Nikt nie ma prawa zasłaniać się brakiem kompetencji lub brakiem zainteresowania w takiej akurat sprawie. Jeżeli ktoś publicznie stwierdza, że ludzi jest gdzieś z a d u ż o, należy bardzo czujnie nastawić uszu i wysłuchać wszystkiego, co ma do powiedzenia. Jakkolwiek można pojmować cele azjatyckich rewolucji, muszą być one w każdym razie tak pomyślane i tak przeprowadzone, aby brały za punkt wyjścia istniejący stan zaludnienia. W przeciwnym razie broń termojądrowa lub przynajmniej komory gazowe byłyby jedynym instrumentem skutecznego uporządkowania świata. Nikt nie kwestionuje grozy względnego przeludnienia Kalkuty, Surabai czy Bangkoku, mało kto skłonny jest lekceważyć ostrzeżenia demografów, jednakże tezę o bezwzględnym przeludnieniu całych krajów głosili w XX wieku tylko rzecznicy Lebensraumu z powszechnie znanymi skutkami. Nie było jeszcze wypadku, aby rewolucja podjęta w imię ludu stawiała sobie za cel eksterminację tegoż ludu. ✓

XXXII. Krótco przed jedenastą dojechaliśmy do miasta Svay Rieng, stolicy prowincji o tej samej nazwie. Liczyło kiedyś osiem tysięcy mieszkańców, było gwarnym i chyba stosunkowo zamożnym, jak na tę część świata, ośrodkiem handlowym. Teraz ulice były puste, zaśmiecone, pełne porozrzucanych gratów, po-

palonych skuterów, połamanych krzeseł. Na każdym narożniku głównej ulicy stał posterunek wojskowy, oplątany kablami polowych telefonów, przejeżdżały wyładowane wojskiem ciężarówki, w tle rozlegały się co pewien czas pojedyncze strzały z automatów. Pochód powracających chłopów szedł skrajem miasta, odbijał w prawo przy jakimś zniszczonym pomniku, co podkreślało jeszcze absurdalność pustki i dziwacznej ciszy, spowijającej miasto.

Wydawało się, że lada chwila z rozwartych na oścież sklepów wyjdą kupcy, zachęcając do obejrzenia swych towarów, że na milczących balkonach pojawią się dziewczyny we wzorzystych spódnicach, że ulicą przejedzie wesoły rowerzysta lub rozlegnie się okrzyk przekupnia, zachwalającego pierożki, świecidełka i owoce. Lecz domy były martwe, sklepy opustoszałe, w podwórzach panoszyły się liście dzikiego bananowca, trawa porastała chodniki.

Wszyscy mieszkańcy tego miasta zostali wysiedleni i dotąd nie powrócili. Nikt nie wie, ilu ich ocalało, gdzie są ocaleni, z czego żyją. W każdym razie nie wiedział tego młody człowiek z resortu.

Powieziono nas wprost na konferencję prasową do szefa prowincji, którego należałoby nazwać wojewodą, choć jego formalny tytuł brzmi inaczej: przewodniczący komitetu wykonawczego rewolucyjnej rady ludowej prowincji Svay Rieng. Był to niewysoki, trzydziestoletni mężczyzna w mundurze wojskowym bez dystynkcji, szczerbaty, udręczony, zachrypnięty, o oczach, które już od dawna nie zaznały snu. Wyjął z kieszeni załuszczone kartkę i pospiesznie odczytał przemówienie powitalne, tłumaczone z khmerskiego na wietnamski, z wietnamskiego na hiszpański, rosyjski, francuski i niemiecki.

Witał nas w imieniu władz wyzwolonej Kambodży, w imieniu rewolucyjnej rady ludowej, w imieniu wszystkich mieszkańców prowincji, tych oczywiście, którzy przeżyli. Wizyta towarzyszy z tyłu krajów so-

cialistycznych jest wielkim wydarzeniem w życiu prowincji Svay Rieng, jest świadectwem solidarności — proletariackiej solidarności — i prawdziwie rewolucyjnego ducha. Pozwala również mieć nadzieję, że prawda o cierpieniu ludu Kambodży i o zbrodniach kliky Pol Pot-Ieng Sary dotrze do wiadomości opinii publicznej. Zwycięska walka bohaterskiego narodu Kambodży doprowadziła do obalenia zbrodniczej kliky Pol Pot-Ieng Sary oraz odsłoniła złowrogie machinacje pekińskich ekspansjonistów i hegemonistów. Dla kraju otwiera się nowe życie, lecz zadania są ogromne, ogromne. Trzeba pracować wśród ruin i grobów, pokonywać niezwykle trudności. Warunki są trudne w całym kraju, lud Kambodży zwycięsko odbudowuje swój kraj, ale tu, w prowincji Svay Rieng warunki są szczególnie, wyjątkowo trudne. Zbrodnicza klika Pol Pot-Ieng Sary wymordowała trzydzieści procent mieszkańców naszej prowincji...

Ile?

Jedną trzecią, a może nawet więcej.

To znaczy?

Około siedemdziesięciu tysięcy osób.

Ile?

Siedemdziesiąt tysięcy.

Chwileczkę, towarzyszu, powtórzcie to jeszcze raz, musimy zanotować. Ilu mieszkańców liczyła prowincja Svay Rieng w 1975 roku?

Około ćwierć miliona.

Ilu jest ich dzisiaj?

Oceniamy, że około sto pięćdziesiąt tysięcy, ale to się codziennie zmienia, bo ruch ludności trwa.

Na czym opieracie waszą ocenę, mówiąc o siedemdziesięciu tysiącach wymordowanych?

To łatwo sprawdzić. Są groby. Mamy informacje od wójtów. W niektórych komunach prowadzono wykazy.

Na sali zrobił się ruch, nikt nie chciał słuchać dalszych powitań, przemówień i pozdrowień. Zażądaliśmy, aby nam pokazano dowody zbrodni, otwarto groby,

pozwolono policzyć czaszki. Ku zgrozie tłumaczy i eskorty, wyszliśmy z sali, odmówiliśmy filmowania i fotografowania opustoszałego miasta. Ale szef prowincji nie wydawał się stropiony. Owszem, pokażą nam groby, są całkiem niedaleko. Najpierw jednak pojedziemy do wsi Phoum Ang, aby obejrzyć nowe życie. *La vie nouvelle*.

Siadając do łazika pomyślałem, że nie wierzę w siedemdziesiąt tysięcy zabitych. Znam azjatycką słabość do wielkich liczb, sto razy sparzyłem się na beztróskim operowaniu zerami.

XXXIII. W żrącym kurzu, żarze, strumieniach potu, bijąc głowami o brezent łazików, miotając się od burty do burty, pojechaliśmy do wsi Phoum Ang, aby obejrzyć *nowe życie*.

Słowo *phoum* znaczy po khmersku tyle, co wieś, lecz z niezbyt zrozumiałych powodów stoi ono przed każdą lokalną nazwą, podobnie jak *srok*, czyli powiat. Reżim Pol Pota wykreślił oba te słowa ze słownika, zapewne dlatego, że kojarzyły się ze strukturą przestrzenno-społeczną, która miała ulec anihilacji. Ten sam los spotkał słowo *mekhum*, oznaczające wójta lub naczelnika wsi. Teraz nowa władza przywróciła te trzy słowa do życia. Słowa można wskrzeszać.

Nowe życie w Phoum Ang wyglądało tak, że pięć obdartych i wynędzniałych kobiet młóciło cepami ryż, a następna piątka przesiewała ryż w przetakach. Ryżu dostarczyło wojsko i to był chyba powód, dla którego tak znacząco domagano się naszej obecności. Wojsko broni i żywi. We wsi mieszkało już czterdzieści pięć rodzin, z czego dwadzieścia jeden to dawni mieszkańcy Phoum Ang, resztę stanowili przybysze, o których nic bliższego nie można się było dowiedzieć. Prawdopodobnie nie mogli jeszcze wrócić do swych siedzib lub zastali swe wsie zbyt zniszczone. Nie sądzę, abyśmy tu już oglądali koniec exodusu.

Na głównym placu, wśród poniszczonych domów na palach, hałasowały nagie dzieci o wzdętych brzuchach, biegały nerwowo wychudzone psy, ostrzyżone staruchy rozpałały małe ogniska, śniade dziewczyny w wypłatanych kapeluszach z tyka szarpały konopie i skręcały w zębach nitki, inne tuż obok barwiły je we wrzącym roztworze indyga i jakiegoś roślinnego barwnika, podobnego do koszenili.

Rzeczywiście, można by to nazwać życiem. Ale tylko tutaj i tylko w tym momencie.

Operatorzy udawali, że filmują mówiące kobiety; zbyt dobrze znają swoich widzów, aby marnować taśmę na coś, co zostanie odczytane jako nie zamierzone sztyderstwo. Niektórzy zresztą, mający w pamięci surowe wymagania swych redakcji, dla których słowo jest zawsze ważniejsze niż obraz, filmowali naprawdę, na maksymalnych zbliżeniach, żeby kadry nie straszyły pustką lub widokiem, który normalnie przywozi się z Bombaju lub z rejonów dotkniętych trzęsieniem ziemi.

Dowiedzieliśmy się, że Phoum Ang była jedną z ostatnich działających komun w prowincji Svay Rieng. Zamierzano ją wkrótce zlikwidować, razem z sąsiednią komuną Phoum Tachi, bo brakło już wody do picia i uprawy warzyw, klimat uniemożliwiał życie, ale przez jakieś niedopatrzenie obie komuny istniały aż do dnia wyzwolenia, to znaczy do 7 stycznia 1979. Nie ma jeszcze miesiąca, odkąd stąd przepędzono ludzi Pol Pota. I Ienga Sary, oczywiście.

Co w takim razie stało się z Czerwonymi Khmerami, którzy tu rządzą?

Ano nic. Część uciekła do lasu, ale szef bezpieczeństwa dostał się w ręce nowych władz. Nazywa się Sang Phi. Własnoręcznie zabił 45 osób w obu komunach.

Ile?

Czterdzieści pięć, przecież wójt mówi wyraźnie. Zresztą, ten człowiek tu jest, możemy go sami zapytać.

Jak to, ten człowiek znajduje się w komunie, w której zabił czterdzieści pięć osób?

Ano tak, spieszy z wyjaśnieniem nie znany nam dotąd oficer z rady prowincji. Oddano go chłopom w celu reedukacji.

Przecież ucieknie.

O, nie. Nie ucieknie. To wykluczone.

Na czym polega reedukacja?

Chłopi uświadamiają mu jego błędy.

Czy to będzie długo trwało?

Nie wiadomo.

Towarzyszu wójt, czy możemy zobaczyć tego Sang Phi?

Wójt potakuje w milczeniu. Rusza w kierunku odległej, niepozornej szopy. Operatorzy upychają w torbach nowe kasety i mierzą pospiesznie światło w cieniu palm. Wyciągamy notesy. Nagle oficer z rady prowincji mówi coś ostro do wójta. Tłumacze tracą znajomość języków. Wójt staje i przeciera czoło, on jest także spocony i pokryty kurzem.

Nie. Sang Phi nie jest do oglądania. Dużo ważniejsze jest sfilmowanie *nowego życia*, ryżu dostarczonego przez wojsko, materaców zwiezionych dziś rano dla dzieci, a także skrzynek z chińską amunicją, które tu pozostały po Czerwonych Khmerach.

Rzeczywiście, pozostały, choć większość z nich to są już tylko skrzynki po amunicji. Wałają się w polu, stoją rzędami pod ścianami domów, zalegają południowy skraj głównego placu. Każda z nich ma wyraźny napis: 800. Wyjaśniano nam to już wiele razy. Jest to posłanie Wielkiego Chińskiego Brata dla Czerwonych Khmerów, oznaczające, że 800 milionów Chińczyków stoi po ich stronie.

Pytam wójta, czy w pobliżu zachowały się dowody zbrodni Czerwonych Khmerów i czy możemy je obejrzeć.

Wójt potakuje w milczeniu i wskazuje na skraj horyzontu. Ci ludzie leżą tam, na grobli, ale to już jest

teren wsi Phoum Tachi, trzeba będzie poszukać kogoś, kto pokaże i odkopie.

Zgłaszają się dwaj bezzębni starcy z motykami i młody, milczący chłopak w brązowej szmacie przerzuconej przez ramiona. Oraz gromada półnagich dzieci. Ruszamy.

XXXIV. Było już południe, ziemia, z której cztery lata temu spuszczone ostatnią kroplę wody, dyszała z żaru jak wewnątrz hutniczego pieca. Jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyłem tak potwornego gorąca; chwilkami odnosiłem wrażenie, że moja skóra zaczyna się pokrywać bąblami oparzelizny; płuca i serce tłoczyły ostatki tlenu; głowa ciążyła, jakby ją odiano z ołowiu.

Przeszliśmy około półtora kilometra przez żółte, suche piekło, wznosząc przy każdym kroku obłoki kurzu. Między dwoma gołbami martwego ryżowiska wznosił się niekształtny pagórek, porośnięty klaczkami zrudziałej trawy, długi na osiemdziesiąt metrów i szeroki na sześć, miejscami na osiem metrów. Chłopi pokazali palcami: tutaj. Ale dzieci, które z nami przybiegły, lepiej zapamiętały, gdzie się to działo, i pokazały miejsce odległe o dwa metry na prawo. Dwaj starcy zaczęli dziobać motykami skawaloną, czerwoną ziemię, podobną do betonu. Rozpalone powietrze stało nieruchomo, żar sięgał pięćdziesięciu stopni, pod mętnym niebem kołowały ptaki, ciszy południa nie przerywał żaden dźwięk oprócz metalicznego łomotu motyki o ziemię. Starcy wkrótce opadli z sił, zmienił ich chłopak w brązowej szmacie, którego twarz z każdą chwilą nabierała zaciętości. Operatorzy czatowali przy wizjerach.

Po dwudziestu minutach, kiedy pot zmieszany z pyłem pokrył już nasze powieki warstwą piekącego błota, skamieniała ziemia nagle zmiękła. Spod motyki trysnął strumień odoru, jakiego jeszcze nigdy nie czułem i nie przypuszczałem, że coś takiego może w przy-

rodzie istnieć, choć należą do pokolenia, któremu zapach rozkładających się ciał ludzkich towarzyszy od najwcześniejszej młodości.

W tym klimacie wystarcza zazwyczaj dwóch tygodni, aby z pogrzebanego w ziemi człowieka nie pozostał nawet najmniejszy ślad miękkiej tkanki organicznej, zdarzają się jednak miejscami kieszenie ciężkich, lessowych gleb o właściwościach konserwujących zwłoki. Tak było tutaj.

Na głębokości czterdziestu centymetrów ukazała się najpierw brunatna kość goleniowa, potem fragment podudzia i miednica z jakimiś strzępami odzieży. Niestety, kości ludzkie nie są fotogeniczne. Nawet na czulej taśmie Kodachrom trudno jest odróżnić je od tła. Operatorzy pokręcili głowami: nie, to nie to, kop dalej, przyjacielu, tego się nie da sfotografować. Chłopak zaczął kopać nieco wyżej. Nagle ostrze motyki odłupało sporą grudę ziemi i na sekundę wyjrzała z ciemności twarz kobiety. Długie, czarne włosy, miejscami tylko przysypane pyłem, okalały nieźle zachowane policzki, resztki powiek i nosa. Białe, zdrowe zęby tkwiły w zupełnie różowych dziąsłach. Ale struga trującego zapachu odrzuciła od grobu nawet chłopaka w brązowej szmacie. Odruchowo uniósł motykę i twarz kobiety znów skryła się pod grudami ziemi.

Operatorzy potrzebowali przynajmniej piętnastu sekund ujęcia, inaczej nikt w Europie i obu Amerykach nie uwierzy w prawdziwość sceny, w której uczestniczyliśmy. Dobry fachowiec nie knoci kadrów i nie marnuje importowanej taśmy.

Chłopak w brązowej szmacie jeszcze raz zamachnął się motyką. Ostrze z impetem rozcięło grudę ziemi, uderzyło w brodę martwej kobiety i rozłupało szczękę na pół. Starzec coś krzyknął, chłopak odsunął się, aby zaczerpnąć powietrza, potem delikatnie, samym czubkiem ostrza, zaczął rozgarniać mniejsze grudki wokół twarzy.

Dopiero wtedy zobaczyłem, że wierzch czaszki był

w kilku miejscach potrzaskany, a długie, czarne włosy wtłoczone częściowo do wewnątrz czerepu. Ta kobieta została zamordowana uderzeniem metalowego pręta lub zębatej motyki. Ciosów musiało być kilka, ponieważ jedna dziura znajdowała się w pobliżu skroni, pęknięcie bieгло od drugiej skroni aż do potylicy, następna dziura widniała na samym szczycie czaszki.

Dzieci podchwyciły nasze spojrzenia i zaczęły na wypródki pokazywać, jak się to odbywało. Klepały się po karku, zasłaniały głowy rękami, potem zgodnie biły się pięściami w czaszki lub kantem dłoni uderzały w skroń. Widziały to tak wiele razy, że zdołały opanować wszystkie gesty zabijanych i zabijających.

Starcy bosymi nogami zsykali na zwłoki kilkanaście czerwonych grud, które wyglądały, jak gdyby je poplamiono krwią. Któreś z dzieci trąciło mnie w łokieć, inne zaczęły pokazywać, gdzie jeszcze są pogrzebani ludzie. Czarnooka dziewczynka przyniosła sandał ze śladami krwi. Chłopiec w resztkach wojskowej bluzy pokazał wystający z ziemi kawałek paska czy strzemiączka. Dzieci miały nadzieję, że to wszystko jeszcze trochę potrwa; dzieci na całym świecie lubią przyjazd obcych, ruch, szum, trzaskanie kamer, a zwłaszcza sytuacje, w których mogą się popisać znajomością jakiegoś tematu. Dzieci z Phoum Ang były wyraźnie rozczarowane. Pokazały nam nawet na zachętę niewielki dołek z trzema szarymi puszczelami i czaszkę, do połowy zagrzebaną w piasku.

My jednak ruszyliśmy gęsiego przed siebie — w Kambodży wolno chodzić tylko gęsiego, po dobrze wydeptanych ścieżkach, ze względu na mnogość min i niewypalów — przez morze żaru, które trzeba było rozgarniać jak wrzący olej.

Poszliśmy do wsi Phoum Tachi, gdzie miały czekać nasze samochody. Powitał nas wójt — rosły, siwy mężczyzna w podartym amerykańskim trenczu i czarnej płachtie owiniętej dookoła bioder. Usiłowałem dowiedzieć się czegoś o tej kobiecie, która w połowie była

szkieletem, a w połowie mumią. Ale tłumacze omdlewali już od upału, przedzieranie się przez trzy języki było ponad ich siły.

Zanotowałem tylko tyle, że ta kobieta była mieszkanką komuny Phoum Tachi i została zamordowana prawdopodobnie w końcu grudnia 1978 roku, z przyczyn, których wójt nie umiał wyjaśnić. Zacząłem się domagać, aby przynajmniej ustalono jej nazwisko. Nie, tego wójt nie wiedział. Nie był wówczas wójtem, miał III kategorię, musiał się bardzo pilnować i wołał nie interesować się sprawami, które do niego nie należały. A ta kobieta, jeśli sobie dobrze przypomina, została zabita dlatego, że za dużo mówiła.

Co takiego?

Ano tak. *Elle a parlé trop plus*, powiedzieli jeszcze raz tłumacze.

Ile osób zamordowali Czerwoni Khmerowie we wsi Phoum Tachi?

Wójt przyszedł tu z transportem stosunkowo późno, sądzi, że za jego pamięci załuczono jakieś trzydzieści osób. Razem z tymi z Phoum Ang, bo szef bezpieczeństwa był wspólny dla obu komun, będzie z pięćdziesiąt osób albo i trochę więcej. Może sześćdziesiąt. Albo siedemdziesiąt. Ale to jest trudno ustalić, bo komuna Phoum Tachi coraz bardziej się wyludniała i trudno już dojść, kogo wysiedlono, a kto poszedł na groblę. Z osmiuset pięćdziesięciu mieszkańców pozostało we wsi zaledwie 175 osób, w tym tylko czterdziestu mężczyzn.

Na pytanie, co się stało z resztą, wójt zatoczył ręką koło, które w jednym miejscu dotykało horyzontu, a w drugim — ziemi.

Mieliśmy dość tego upału. Operatorzy ostrożnie złożyli w samochodach swój cenny sprzęt, sięgnęliśmy po piwo i *lua moi*.

Nie wiadomo, kto wymyślił, że w tropikach nie należy pić alkoholu. Ten człowiek nigdy chyba nie sie-

dział w samo południe w oceanie suchego kurzu. A w każdym razie nie był we wsi Phoum Tachi.

Tylko kilku z nas miało jeszcze siłę, aby obejrzeć we wsi Phoum Tachi, jak to powiedziano, „zapasy siły żywej”. Tłumacze oczywiście popełnili błąd, gdyż chodziło po prostu o osiem świń, szarych jak grafit i chudych jak szkielety. Biegały z rozpaczą po swych koj-cach w poszukiwaniu jakiegokolwiek pokarmu. W tym klimacie świń nigdy się niczym nie karmi, same bie-gają po zaroślach i ryżowiskach lub ryją wytrwale w śmietnikach. Ale teraz w Phoum Tachi nie ma w ogóle nic do jedzenia. Dostarczony przez wojsko ryż, ten właśnie tak ochoczo młócony na użytek naszych operatorów, nie starcza nawet na wyżywienie starców i dzieci, inne zapasy już się kończą, świny nie mogłyby liczyć na żadne odpadki i dlatego zamknięto je w koj-cach, aby nie stratowały ognisk, na których warzono właśnie zupę z jakiegoś zielska i śmierdzący maniok. Z rozkazu ostatniego szefa komuny wycięto też za-rośla, palmy kokosowe w wieku owocowania, drzewa chlebowe, nawet mangowce, których gorzki korzeń nie-raz służył świniom za pożywienie. To miała być strefa śmierci — totalnej, wszechogarniającej śmierci.

Z końca zagrody posłyszałem cienki, wibrujący dźwięk. Poszedłem w jego stronę z aparatem nastawionym na najkrótszą migawkę. Nigdy nie wiadomo, co taki dźwięk może oznaczać. Była to jednak tylko chuda, wielka świnka, zdychająca właśnie z głodu; jej puste, wysuszone sutki były pokryte żółtym kurzem. Po jej brzuchu pełzało pięć prosiąt, może dwutygodnio-wych: kostki powleczone owrzodziałą skórą. Szóste pro-się nie miało już siły, aby się dowlec do matki, ugrzęzło w pyle o pół metra od jej pustych sutek, podrzucając co chwilę zakrwawiony ryjek. To ono właśnie wyda-wało ten wibrujący, cienki dźwięk. Siódmy prosiak, już martwy, leżał pod płótem, skurczony i bezbarwny jak kupka błota; jego sztywne nóżki były pionowo wyciągnięte w górę.

O trzy metry od zdychającej maciory warował chudy, żółty pies, śledzący czujnie moje kroki. Psy w Azji panicznie boją się ludzi; mają swoje powody. Widocznie czekał, aż odejdę na bezpieczną odległość.

Spakowaliśmy nasze manatki. Samochody warknęły i znów wzbily tumany gryzącego kurzu. Zaczęło się przewijanie filmów, notowanie na kolanie kadrów i sekwencji, szukanie papierosów, ocieranie czół i karków. Ktoś powiedział, że jest cholernie gorąco.

Odjechaliśmy ze wsi Phoum Tachi, gdzie po raz pierwszy zobaczyłem równocześnie śmierć ludzi, zwierząt, roślin i ziemi.

XXXV. Wróciliśmy do byłego miasta Svay Rieng, ale przed przystąpieniem do dalszych zajęć spożyliśmy południowy posiłek, przywieziony w ostatnim łaziku naszej kolumny. Posiłek składał się z jajek na twardo, piwa, pomidorów, pszennego chleba i konserw mięsnych bez napisu, znanych niegdyś pod nazwą: *swinja tuszonka*.

XXXVI. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że nie widziałem dotychczas ani jednego przekupnia, żadnego towaru do sprzedania, żadnych śladów handlu. Zagadnąłem o to naszych tłumaczy. Wdali się w dyskurs z oficerem ochrony; trwało to z pięć minut, brakowało słów, powtarzały się gesty przeczenia, potwierdzenia, zdziwienia, w końcu wyjaśniono, że w Kambodży nie ma żadnych pieniędzy, wobec czego nie ma również handlu.

Jak to: nie ma żadnych pieniędzy?

Ano nie ma. Cztery lata temu Pol Pot unieważnił wszystkie pieniądze, a nowej waluty dotychczas nie wprowadzono.

No dobrze, a waluty obce?

Nie mają wartości.

Przecież za granicą nikt ich nie unieważnił?

Ale tu nie mają żadnej wartości, ponieważ tu nie ma nic do kupienia.

Zapisałem to wyjaśnienie w notesie, rezygnując z dalszych pytań. Nie widziałem jeszcze kraju, który przez cztery lata mógłby się obejść bez pieniędzy. Miałem w kieszeni wietnamskie dongi, tajlandzkie bahty i amerykańskie dolary; trudno mi było uwierzyć, że wożę ze sobą po prostu pewną ilość kolorowych papierków.

Wymknąłem się dyskretnie z urzędu wojewódzkiego, w którym jedliśmy posiłek. Podszedłem do grupki żołnierzy siedzących na krawężniku, wyciągnąłem banknot z wizerunkiem króla Bhumibola, o wartości dwudziestu bahtów, to znaczy jednego dolara, i pokazałem na migi, że proszę o kupno paczki papierosów — o, takich. Żołnierze uśmiechnęli się z zakłopotaniem i pokręcili przecząco głowami. Wyciągnąłem banknot jednodolarowy. To samo. Kiedy szukałem dongów, napałoczył się młody człowiek z resortu, zaintrygowany moimi konszachtami z wojskiem. Wyjaśniłem mu sprawę, brnąc przez grzęzawisko francuskiej gramatyki, w którym obaj poruszaliśmy się z jednakowym wysiłkiem.

Nie, powiedział młody człowiek. To niemożliwe. Tu żadne pieniądze nie mają wartości. Najwyżej stare, miedziane piastry indochińskie z dziurką w środku, wypuszczone przez Francuzów z początkiem stulecia i wycofane z obiegu w roku 1930. Ale i one nie rozwiązałyby sprawy, bo nie ma tu żadnego sklepu i żadnego towaru do sprzedania. Jeśli chodzi o papierosy, to w całej prowincji na pewno nie ma ani jednej paczki. Pol Pot zabronił palenia papierosów i uprawy tytoniu.

A gdybym chciał kupić coś do jedzenia?

Tym gorzej. Ludzie mają tak mało żywności, że nie ma towaru, na który chcieliby ją zamienić, cóż dopiero na niejadalny papier, choćby z najładniejszymi obrazkami.

XXXVII. Pojechaliśmy obejrzeć szpital wojewódzki w Svay Rieng. Jest to stary budynek w stylu kolonialnym, wzniesiony przez Francuzów w roku 1909 dla ludności tubylczej, pełen krużganków, zakamarków i przewiewnych werand. Mury są pokryte liszajami porostów, tynk odpada płatami, zwietrzała zaprawa wykrusza się z węglów.

W szpitalu nie było ani jednego lekarza. Stary felczer z niezłą francuszczyzną, trzy młodziutkie pielęgniarki, pięć bosych kobiet w kuchni i pralni — to wszystko. Chorzy i ranni leżeli na gołych deskach, przez okna bez szyb widać było ich twarze, stężałe w bezgłośnym cierpieniu. Chcieliśmy ich zobaczyć z bliska, sfilmować, sfotografować, ale przedtem jeszcze felczer opowiedział nam historię szpitala za rządów obalonego właśnie reżimu.

V Była krótka i rzeczowa. Z początkiem maja 1975 roku Czerwoni Khmerowie mianowali w szpitalu komisarza politycznego, który zresztą kazał się nazywać komendantem. Został nim niepiśmienny, trzynastoletni chłopiec imieniem Khoun lub Khen, nie rozstający się nigdy z pistoletem maszynowym. Na mocy jego pierwszego zarządzenia wszyscy chorzy zdolni do poruszania się musieli opuścić szpital i udać się pieszo do swych miejsc zamieszkania. Tych, którzy nie mogli wstać, zabroniono leczyć, aby przyroda sama zdecydowała o ich losie. Prawie wszyscy wymarli w ciągu tygodnia, pogrzebano ich, o tam, za ustępem. Były dyrektor szpitala, absolwent medycyny uniwersytetu w Tuluzie, otrzymał od komendanta rozkaz, aby codziennie, od świtu do zmierzchu, zamiatał i sprzątał dziedzińiec szpitalny, a także gołymi rękami uprzątał zawartość szamba. Sześciu innych lekarzy posłano od razu do odległych komun, oczywiście z IV kategorią. Ten sam los spotkał pielęgniarki, z wyjątkiem tych, które się zaciągnęły do wojska Czerwonych Khmerów. Jesienią szpital opustoszał całkowicie, resztę pracowników wysiedlono. Ściągnięty z miasta pluton Czerwo-

nych Khmerów zniszczył cały zapas środków leczniczych, narzędzia chirurgiczne, a także jedyną w południowej Kambodży aparaturę rentgenowską. Potem wrota szpitala zamknięto, na terenie rozłożono amerykańskie miny. Mury zaczęły stopniowo ginąć wśród bujnej, zachłannej roślinności. 8 stycznia 1979 roku szpital zaczął działać ponownie i to właśnie powinniśmy zobaczyć, aby zaświadczyć, że Kambodża wraca do życia.

Dowódca eskorty zaczął ostrzegać przed minami, bo nie wszystkie zapewne zostały rozbrojone, próbował nas skłonić do zbiorowego zwiedzania, ale bez skutku. Rozpierzchliśmy się po korytarzach, salach, zakamarkach, aby przeprowadzić pierwszy samodzielny zwiad.

XXXVIII. Z notesu. Umierający chłopiec, 3 lata (?), pewno gorączka głodowa, brzuch, zebra. Matka w poplamionej krwią bluzie, lka bez łez, obejmuje za nóżki. Drugi chłopiec, poszarpana lewa noga, mina lub niewypał, owinięty zupełnie zakrwawioną szmatą, nie ma bandaży, nie ma jodyny, oczy otwarte, przytomny, patrzy. Dziewczynka pokryta strupami, czy to nie ospa. Dwie rodzące kobiety na gołych pryczach (ta z prawej zezowata), rozkraczone, wparte nogami bosymi w nie okorowany pień, milczą, spocone, włosy zmierzwione. Ranny żołnierz, powiększające się plamy na brzuchu, długo nie pożyje. Czekają na środki opatrunkowe. (To mówi felczer.) Na razie nie mają nic. Do łagodzenia bólu też nic. Cały pokój zasłany potłuczonymi ampułkami. Amer. ksylokaina. Franc. cardiamid. Szkło, szkło. Stara chłopka, wrzody, strupy. Pielęgn. niosą wodę. 300 m do studni, ale woda niedobra (trupy, płytko), trzeba długo gotować, nie ma czym palić. Kuchnia zniszczona, kafle potł., kotły podziuraw., te kobiety rozpały ogień, wisi kociołek na taśmie ckm. Przed oknem kobieta z gołym dzieciakiem na rękę, kiwa się, mruczy. Chora umysłowo. (?) Podwórce: pokrzwawio-

ne materace, pocięte nożem, bagnetem, pogięte lance-
ty, stetoskop w pół złam., znów ampułki, słoiki. Wita-
mina B6, prod. Ciba. Leukosol Geigy, do czego? Po-
deptane. Potłuczone. Śmiecie. Niesłychane! Scanner
rentgenowski, to kosztuje ze 300 tys. dol., prod. angielska
EMI, do zdjęć warstwowych, tabliczka: *donné par
Croix Rouge Franç.*, warto pokazać Francuzom, ale
ciemno tu, zdj. nie wyjdzie. Potłuczony młotkiem, ka-
mieniami. Panel ze wskaźnikami potł. i pocięty, chyba
mesłem, kable wyciągnięte, poprzecinane. Przekładnie
do stołu rozmontowane, koła zęb. na podłodze. Rozwa-
lone biurko. Ekran ołów. rozcięty też, nawet siatka,
chyba palnikiem, skąd mieli acetylen? To się nie da
już naprawić, szmelc. Dlaczego zniszczyli? Piętro. Nie-
które sale puste, brudne miski, podarte materace. Pies
żółty myszkuje, ucieka. Znów chorzy. Młody, długa
szrama przez pierś i brzuch, jak od szabli, trochę
skrzepło, bez opatrunku. Stary chłop obok, jęczy tak
cicho, oczy w słupek, chyba umiera. Niosą kogoś na no-
szach. Widać tylko bosa stopy, b. brudne, twarz za-
kryta kurtką. Niosą na podwórze. Pielęgn. mówi: *tué,
tué*. Przez kogo? Na podwórzu. Mężczyzna ze 40, twarz
rozdęta, dziś do niego strzelili Cz. Khm, w kark, roz-
niosło. Kiedy strzelili? Wracamy. Felczer, żeby na-
pisać.

XXXIX. Spotkaliśmy się ponownie z szefem pro-
wincji i jego sztabem. Szef wyciągnął z kieszeni za-
tłuszczone kartkę i odczytał przemówienie pożegnalne.
Dziękował nam za wizytę, wyraził przekonanie, że zro-
zumieliśmy ogrom zbrodni kliki Pol Pot-Ieng Sary i że
na własne oczy mogliśmy zobaczyć, jak się odradza
nowe życie w Kambodży. Tym razem słowa szefa pro-
wincji nie wzbudziły już ironicznego zniecierpliwienia;
ten osobliwy język artykułów wstępnych i broszurek
szkoleniowych zabrzmiał czysto i gorzko. Przynajmniej
dla niektórych wśród nas.

Szef pragnął również odpowiedzieć na nasze dalsze

pytania. Mieliśmy tylko jedno: ile naprawdę osób zginęło w prowincji Svay Rieng podczas panowania Czernych Khmerów.

Oficer z rady wojewódzkiej — przypuszczalnie komendant rejonu lub szef wydziału wojskowego — odczytał z kartki następujący tekst:

„Liczba ofiar zbrodniczej kliki Pol Pot-Ieng Sary w prowincji Svay Rieng nie może być jeszcze ustalona z całkowitą dokładnością, ze względu na nieustanny ruch ludności, a także ze względu na fakt, że część dawnych mieszkańców prowincji nadal przebywa w innych rejonach kraju, natomiast w Svay Rieng znajduje się w tej chwili duża liczba ludności przepływowej. Na podstawie najdokładniejszych informacji należy stwierdzić, że liczba ofiar zbrodniczej kliki Pol Pot-Ieng Sary wynosi w każdym razie nie mniej niż 50 tysięcy osób zamordowanych oraz od 20 do 25 tysięcy osób, które zmarły w komunach na skutek głodu i nieludzkich warunków pracy.”

Kambodża składa się z dziewiętnastu prowincji. Gdyby dane ze Svay Rieng odpowiadały przeciętnej krajowej, należałoby uznać, że reżim Pol Pota dokonał około miliona egzekucji, a pół miliona osób straciło życie wskutek wycieńczenia. Byłoby to zgodne z najniższym szacunkiem strat ludzkich, jaki nam dotychczas podano.

Nie mieliśmy już więcej pytań. Chcieliśmy zobaczyć masowe groby.

Wynikła jednak nieoczekiwana przeszkoda. Dowódca naszej eskorty stanowczo zaprotestował przeciw wszelkim dalszym wycieczkom. Dochodziła trzecia, do granicy mieliśmy jeszcze pięć godzin jazdy, podróżowanie po zmroku w ogóle nie wchodzi w rachubę. Powinniśmy wracać natychmiast do Sajgonu. To jest, do Miasta Ho Szi Minha.

Wszczęliśmy tumult w kilku językach. Rozumiemy, że niebezpiecznie tu jeździć po zmroku, ale możemy przecież przenocować na miejscu, w Svay Rieng.

Ekipa polska powołała się na partyzanckie tradycje,

wyraziła gotowość spędzenia nocy w łazikach lub na gołej podłodze w budynku rady.

Nie, powiedział dowódca konwoju. Kończy się zapas wody i żywności. Musimy wracać.

Ekipa radziecka zaznaczyła, że wodę można zmieszać z wódką *lua moi*. Ameby i bakterie zginą bez śladu, co zostało już wielokrotnie wypróbowane.

Nie. Filtrowanej wody nie ma w całej okolicy, studnie są zatrute trupim jadem. Nie mamy już chleba ani konserw, wyjazd był przewidziany na jeden dzień.

Po co chleb? Można jeść ryż, jak żołnierze.

Nie. Ryżu też nie ma. Żołnierze mają dokładnie wyliczone porcje, nie można im odbierać pożywienia.

Dobrze: nie będziemy nic jedli. Zerwie się na podwórzach trochę bananów, wodę przegotujemy na ulicznym ognisku, pełno tu gratów do spalania, liści i gałęzi.

Nie. Jest zakaz palenia ognisk w nocy.

Powracająca ludność pali jednak ogniska przy drogach.

Drogi są silnie strzeżone. A tu jest strefa niebezpieczna.

Towarzyszu, widzimy tu dwie blaszane puszkę. Znajdziemy w opustoszałych sklepach młotek i przecinak, w pół godziny zmajstrujemy bezdymny piecyk na benzynie.

Nie. Nie ma wystarczającego zapasu benzyny.

Mieliśmy zobaczyć masowe groby. Musimy mieć zdjęcia, filmy, materiał dla prasy.

Nie. Musimy wracać. Może przyjedziemy tu jeszcze raz. Jedziemy, towarzysze. Eskortę — do wozów!

Po pierwszej w nocy dotarliśmy do Miasta Ho Szi Minha.

MIĘSIĄC W KAMPUCJI

XL. Znowu dzień w oczekiwaniu na kolejny wyjazd, którego termin zależy od stanu bezpieczeństwa tam, w Kambodży. Łażenie, zwiedzanie, oglądanie, bezna-

dziejne próby wyszorowania żółtego kurzu, trzepanie toreb i notesów, pranie koszul i spodni. Długie dyskusje. Spirytus z pepsi-colą, kupioną za dolary na miejscowym targowisku: sporo tu jeszcze amerykańskich zapasów. Szkice do materiałów, ale więcej w nich pytań niż odpowiedzi. Znow kłótnie, odwieczne dowcipy, które nikogo już nie rozśmieszają. Nagle przyjaźnie, wyprawy do Cholonu po balsam tygrysi, rokowania służbowe i partyjne. Gromadzenie dokumentacji, które trzeba co chwilę przerywać, ponieważ wszystko to razem staje się coraz bardziej nieprzejrzyste.

Także hotel Rex, noszący obecnie nazwę Ben Thanh.

Zapomniałem zapytać, co to oznacza. Szkoda. Każdy ze słynnych niegdyś hoteli sajgońskich nosi obecnie inną, miejscową nazwę. Na przykład Palace to Huu Nghi, czyli przyjaźń, a Majestic to Cuu Long. Dosłownie znaczy to tyle, co dziewięć smoków, lecz w przenośni oznacza dziewięć odnóg Mekongu tworzących deltę.

Hotel, w którym mieszkamy — siedem ekip telewizyjnych i pięciu korespondentów prasowych — stoi na rogu ulicy Tu Do, co znaczy wolność, a jego poprzednią nazwę, Caravelle, zmieniono na Doc Lap, czyli niepodległość. Jest to być może najsłynniejszy hotel w dziejach prasy światowej. Niektórzy wręcz twierdzą, że to właśnie w Caravelle Amerykanie przegrali wojnę wietnamską. Między rokiem 1961 i 1975 rozżyły się tutaj poglądy i postawy, które doprowadziły w końcu do największego rozdarcia w historii społeczeństwa amerykańskiego. Istnieje ze dwieście książek opisujących tutejszą giełdę dziennikarską. Bar na dziesiątym piętrze był kluczowym punktem informacyjnym dla wszystkich wywiadów świata.

To właśnie tutaj zdyszany korespondent NBC przyniósł kiedyś tajną wiadomość, że dowództwo amerykańskie umyśliło obalić Sihanouka, aby osadzić w Phnom Penh swojego człowieka i przerwać wreszcie ten przeklęty szlak Ho Szi Minha. Z chwilą przerwa-

nia tego szlaku zwycięstwo będzie oczywiście zapewnione. Początkowo nikt nie uwierzył w tę plotkę, podobną do tysiąca innych, znoszonych co wieczór z najniezwyklejszych źródeł. Kiedy stała się prawdą, z hotelu Caravelle popłynęły w świat komentarze, rozpatrujące obalenie Sihanouka wyłącznie w kontekście dalszych losów wojny amerykańsko-wietnamskiej. Mało komu przyszło wówczas do głowy, że obalenie Sihanouka rozpocznie sekwencję wydarzeń, które staną się cezurą w nowożytnych dziejach Azji.

Trzeba by jednak mieć w pamięci trochę rozleglejsze tło tego, co tu widzę.

XLI. Wieczorem, w niewielkiej salce gmachu telewizji, pokazano nam dwa filmy dokumentalne, o których istnieniu słyszeliśmy już przedtem. Był to pokaz zupełnie prywatny, o charakterze ściśle informacyjnym. Filmy nie będą pokazywane publicznie i nie zostaną wymienione z żadną z bratnich telewizji ani sprzedane za dewizy za granicę. Powodów nie podano, ale po minucie projekcji można je było bez trudu zrozumieć. Fotoreporter prasowy pracuje zupełnie inaczej niż policyjny fotograf przy oględzinach zwłok i miejsca zabójstwa; kamera filmowa jest wprawdzie przedmiotem martwym, lecz sposób jej użycia pozwala bez trudu ustalić, w jakim celu wykonywano zdjęcia. To był w całym tego słowa znaczeniu film do użytku służbowego, składający się niemal w całości z wielkich zbliżeń i mnóstwa szczegółów, które operator pracujący dla filmu lub telewizji z pewnością by pomiął.

Więc zbliżenia. Trup kobiety, chyba trzydziestoletniej: otwarte usta, zaciśnięte powieki, policzki wykrzywione w grymasie bólu, czarne włosy rozrzucone wokół głowy i częściowo przysypane wyschniętym błotem. Kamera powoli jedzie w dół, ukazuje lewą pierś z dobrze widoczną raną, chyba od noża lub bagnetu.

Prawa pierś jest zasłonięta zmiętą, pokrzwawioną szmatą. Na wysokości pępka spiętrzone nienaturalnie fałdy chłopskiej sukienki. Jeszcze niżej kadr, którego w pierwszej chwili nie można zrozumieć: w kroczu kobiety tkwi zaostrowany pal bambusowy, o średnicy dziesięciu centymetrów, wystający jeszcze o pół metra poniżej bosych stóp. Krwawa miazga w pachwinach i na wzniesieniu łonowym. Kałuża ściemniałej krwi na udach.

Drugi trup kobiety z takim samym bambusowym palem w kroczu. Trzeci. Czwarty. Piąty. Szósty. Dopiero siódma kobieta leży koło zaostrowanego pala, zupełnie naga, zwinięta w kłębek, po poranionych plecach chodzą stada much i mrówek. Jej głowa jest omotana w szmaty.

Kobiety leżą w jakichś zaroślach, słońce prześwituje przez krzaki i resztki zelastwa, między trupami spaceruje kura, zdziobująca mrówki i robaki. Operator filmuje rozwleczone wokół ciał sandały i resztki odzieży, chińskie skrzynki po amunicji, ślady opon transportera, chińskie kanistry po benzynie użytej do podpalenia wsi. Potem przechodzi na plan średni. Spalone doszczętnie domostwa. Zarżnięte bawoły z rozchylonymi w skurczu racicami i ogonami jak dębowy kij. Pogięte w ogniu naczynia kuchenne. Pies o zmiażdżonej głowie. Absurdalna noga ludzka wystająca zza węgła.

Plan ogólny: żołnierze z bronią gotową do strzału przeszukują ruiny wsi. Miejscami snuje się jeszcze dym. Znów zbliżenie. Dwaj młodzi, martwi chłopcy z szeroko rozrzuconymi rękami. Wzdłuż linii śródpiersia biegną identyczne, głębokie nacięcia, ukazujące płaty różowych płuc i krwiste jamy osierdzia. Jeden z mężczyzn ma szeroko otwarte, brązowe oczy, pełne raczej zdziwienia niż bólu. Drugi gryzie zębami własną, zacisniętą pięść.

Jest to film niemy, wykonany na kolorowej taśmie Orwochrom i pozbawiony komentarza, ponieważ spo-

rzędzono służbowy raport, zawierający wszystkie niezbędne szczegóły.

Jeszcze spalony spichlerz z ryżem, rozerwany granatem pług i skurczone, ledwo widoczne zwłoki jakiegoś starca, małe jak kopczyk rudej ziemi. Poza tym żółty pies z wyciągniętym językiem, powieszony na palmie za pomocą pętli ze stalowego drutu.

Koniec filmu.

Wykonała go 28 kwietnia 1978 roku w wietnamskiej wsi Xa Lon, w prowincji Tay Ninh, czołówka filmowa wietnamskiej policji bezpieczeństwa, która przyjechała ze spóźnioną odsieczą w sześć godzin po napadzie Czerwonych Khmerów. Wieś Xa Lon znajduje się o dwadzieścia osiem kilometrów od granicy wietnamsko-kambodżańskiej.

Drugi film jest również dziełem tej samej czołówki, lecz został wzbogacony zdjęciami operatorów telewizji kubańskiej. Tu właśnie, we wsi Xuay Thang Mo, brygady Czerwonych Khmerów dokonały największej ze znanych dotąd masakr na terytorium wietnamskim. Pierwsza miała miejsce w styczniu 1978 roku i trwała półtorej doby; drugiej dokonano w pół roku później, 28 czerwca.

Tym razem film ma ścieżkę dźwiękową, co sprawia, że jego autentyzm jest trudny do zniesienia. Zdjęcia wietnamskie są czarno-białe i pochodzą ze stycznia; zdjęcia kubańskie są kolorowe i pochodzą z czerwca.

Zdjęcia czarno-białe. Młoda, może osiemnastoletnia kobieta w wyraźnie zaawansowanej ciąży zszarpuje z szyi chustkę, wymachuje nią przed obiektywem i szlocha tak rozpaczliwie, że poziom nagrania nie wytrzyma skoków amplitudy i w głośniku raz po raz słychać suchy, płaski trzask. Ocalała cudem jako jedyna z czternastoosobowej rodziny. Czerwoni Khmerowie przyszli o pierwszej w nocy, podpalili wieś, wymordowali bydło i psy, a potem wzięli się za mordowanie ludzi. Zabito jej rodziców, braci, siostry, męża. Kobieta dostaje ataku hysterii.

Teraz kolor: ta sama kobieta, już bez widocznej ciąży, prowadzi operatorów w zarośla, krąży po jakichś wądołach i rozpadlinach. Zbliżenie motyki, w tle dźwiękowym płacz i przytłumione głosy. Rozgrzebany rów pełen kości i czaszek. Kobieta pokazuje jedną z czaszek: to dziadek. Zaczyna płakać coraz głośniej. Schyla się nagle, chwytą jakąś inną czaszkę i wyciąga ją w stronę kamery. To jej matka.

Znów czarno-białe zdjęcia ze stycznia. Dym nad porzeliskiem. Szesnastu, jeśli dobrze liczę, mężczyzn, leżących pokotem na jakimś podwórku. Rany w głowach, dziury w piersiach, kałuże smolistej krwi. Lichy płot, za nim zagroda, przed spaloną chałupą... cóż to takiego? Dwoje, nie, troje zupełnie małych dzieci, może czteroletnich... ale to chyba niemożliwe.

Proszę o zatrzymanie magnetowidu i cofnięcie tego fragmentu.

Jednak wzrok mnie nie myli. Te dzieci są nadziane na bambusowe szpikulce tak samo, jak muchę przebija się szpilką. Zaostrzone pręty wprowadzone w odbytnice. Chłopiec, który leży na prawym skraju kadru, wygląda jak szmata powieszona na haku: poczerniały od krwi szpic wystaje mu z prawego ramienia na wysokość pięciu centymetrów.

Jeszcze dwoje dzieci. Jeszcze jedno. Kamera zaczyna się chwiać, ujęcia są coraz krótsze i coraz bardziej nerwowe. Cięcie. Powrót do planu średniego: na tle bujnej roślinności ze czterdzieści rozrzuconych zwłok różnej płci i wieku.

Kolor, czerwiec. Żołnierz prowadzi Kubańczyków do innego rowu. Czaszki z wyraźnymi pęknięciami potylicy, niektóre z okrągłymi otworami na szczycie. Małeńka jak piąstka czaszka dziecka, chyba niemowlęcia. Piszczele powiązane drutem kolczastym. Miednice przykrywające kości podudzia: widocznie tych ludzi zamordowano w pozycji kłęzącej.

Styczeń. Starzec, któremu napad pomieszał zmysły, opowiada rozwlekłe, jak dokonywano przed kilkunastu

godzinami egzekucji mieszkańców Xuay Thang Mo. Śmieje się. Płacze. Potem zwiija rękaw i podsuwa pod obiektyw wychudłe przedramię, w którym broczy owalna rana o wystrzępionych brzegach.

Koniec filmu.

Od lutego 1977 roku do końca grudnia 1978 roku wojska Pol Pot'a dokonały ośmiuset trzydziestu trzech napadów na terytorium wietnamskie. Zginęło wskutek nich ponad trzydzieści tysięcy Wietnamczyków. Zniszczono ponad połowę gospodarstw w pasie przygranicznym. W jednej tylko prowincji Tay Ninh straty materialne oblicza się na dwadzieścia milionów don-gów (średnia pensja miesięczna nie przekracza 60 don-gów).

Armia wietnamska niewiele mogła pomóc. Walkę z napastnikami toczyły głównie wątłe siły milicji ludowej i samoobrony chłopskiej, których uzbrojenie w najlepszym razie stanowiły pistolety maszynowe. Utrzymanie spokoju w liczącym 700 kilometrów pasie przygranicznym wymagałoby rozłokowania przynajmniej dwudziestu dywizji wojska. Wietnamu nie było stać na taki wysiłek. Dopiero kiedy schwytano dywersantów Pol Pot'a na przedpolach Miasta Ho Szi Minha, kiedy zaczęły wylatywać w powietrze groble w prowincji Vinh Long, a ostrzał artylerii kambodżańskiej zniszczył w biały dzień miasto Tay Ninh — przedsięwzięło poważniejsze kroki wojskowe.

XLII. Przy kilkunastu komisarzach politycznych brygad, które dokonywały napadów na Wietnam, znaleziono drukowaną instrukcję, wyjaśniającą cel operacji. Była przeznaczona do głośnego odczytywania przed frontem każdej kampanii: jej stylistyka przypomina tybetański pacierz. Tekst składa się głównie z powtórzeń, peryfraz i wykrzykników. Zapewne służyły do wprowadzania w trans jak Mantry. Chyba na tym polega słynne azjatyckie *pranie mózgow*.

Końcowy, jedenasty rozdział instrukcji brzmi dosłownie tak:

Wietnam jest wrogiem.

Wietnam jest wrogiem odwiecznym.

Wietnam jest wrogiem każdego Khmera.

Wietnam zdradził rewolucję.

Wietnam jest wrogiem od tysiąca lat.

Wietnam należy zniszczyć.

Wietnam należy poskromić.

Wietnam jest wrogiem dziedzicznym.

Wietnamu trzeba nienawidzić.

Yuonów precz z Sajgonu!

Annamici precz na północ!

Yuonowie precz!

Annamici precz!

Wietnam jest wrogiem.

Wietnam należy zniszczyć.

Słowo *Yuon* jest obelżywym wyzwiskiem pod adresem Wietnamczyków. Jest ono pochodzenia chińskiego i aż do połowy XX wieku nie było w Kambodży znane.

Pogardliwe określenie *Annamita* pochodzi ze słownika francuskich wyzwisk kolonialnych. Francuzi zaczerpnęli je z języka chińskiego.

Zapisałem w notesie, że największym niebezpieczeństwem, jakie grozi każdej rewolucji, jest degeneracja typu nacjonalistycznego. Ale zaraz przekreśliłem to zdanie. Przypomniałem sobie dzieci ponawlekane na bambus i zawstydziłem się takich uogólnień teoretycznych.

XLIII. W hotelu Rex, zwanym obecnie Ben Thanh, odbywają się w soboty i czwartki zabawy taneczne. Wstęp kosztuje pięć dongów, to znaczy równowartość trzydniowej płacy, ale nie ma to wielkiego znaczenia, ponieważ hotel jest w zasadzie dostępny tylko dla cudzoziemców, których diety i zarobki są kilkadziesiąt razy wyższe. Orkiestra w białych smokingach gra

Arrivederci, Roma i *Green Leaves of Summer*, trio kaskaderów dokonuje cudów zręczności, zonglerzy wyczarowują z powietrza sto albo pięćset różnobarwnych kólek. Dziewczyny, które jeszcze niedawno w tej samej sali śpiewały amerykańskiemu oficerom sentymentalną balladę *Red River Valley*, zostały przebrane w stroje ludowe i wykonują stylizowane pieśni, które mają dać cudzoziemcom wyobrażenie o wietnamskim folklorze. Oczywiście są też *Podmoskownyje wieczera* i coś z repertuaru Karela Gotta.

Jest to przedsięwzięcie całkiem sensownie zorganizowane, w gruncie rzeczy nawet miłe, lecz unosi się w nim jakiś klimat śmieszności i nepmaństwa. Można tu bez trudu zamówić Johnnie Walkera, świetnie podgrzane migdały w soli, a także oszałamiający puchar lodów, ukreconych na działającej jeszcze amerykańskiej maszynie. Okna klubu na piętrze są starannie zasłonięte kotarami, wieczorne niebo o barwie cytryny nigdy tu nie zagląda.

Gości z Zachodu jest niewiele. Jacyś Francuzi, których uprzedzająca grzeczność wobec tubylców przyprowadza o wściekłość i niechęć; jacyś poczciwi szwedzcy inżynierowie o twarzach rzeczowych do okropności.

Przeważają w Ben Thanh delegacje z krajów socjalistycznych, nieskore do rozrzutności, lecz łase na egzotykę Orientu. Tuła i Erfurt, Piotrków i Brno, Płowdiw i Pierwouralsk. Ci ludzie przebywają tu służbowo, w ważnych sprawach, o których nie ma powodu mówić ani pisać. Są naprawdę pożyteczni i w miarę możliwości pragnęliby pomóc Wietnamowi. A wiadomo, że europejscy towarzysze odczuwają potrzebę, aby się trochę rozerwać po dniu ciężkiej pracy. Tylko dlatego pozostawiono w centrum Miasta Ho Szi Minha ten dwuznaczny rezerwat, tak jeszcze bliski klimatem czasem minionego Babilonu. To dla europejskich towarzyszy zachowano orkiestrę w białych smokingach, zonglera, który z powodzeniem mógłby uprawiać ryż, i kelnerów, mówiących czterema językami.

Każdy z tych kelnerów na pewno pracował *wtedy* dla sajgońskiego wywiadu, policji i żandarmerii, poza tym dla CIA, Francuzów, Japończyków i Pekinu. Inaczej długo by się w tej branży nie utrzymali.

Nie trzeba być psychologiem, aby wyczuć wokół Rexa atmosferę milczącej przygany i zakłopotania.

Powszechna asceza, racjonowanie żywności, surowość obyczajów, kult pracy, zebrania szkoleniowe, opustoszałe sklepy jubilerskie, zaniedbane knajpy, porozwieszane na ulicach transparenty, wzywające do walki o jedność, wolność, niepodległość i socjalizm. To już nie ten Sajgon, wzdychają starzy bywalcy; jakże tu teraz szaro, biednie i nudno! W sześćdziesiątym trzecim... w sześćdziesiątym piątym...

Słucham cierpliwie tych wzdychań i patrzę starym bywalcom prosto w oczy. Wierzę, oczywiście, że Sajgon był *wtedy* *Paryżem Azji* albo *perłą tropików* albo *stolicą światła*. Każdy burdel jest bardziej zajmujący niż fabryka; każda dobrze zbudowana stripteaserka dostarcza większych emocji niż zgięte wpoi na polu ryżowym dziewczyny w stożkowych kapeluszach, choćby najpiękniejsze. Trzeba sobie po prostu wybrać punkt widzenia.

Kiedy stąd przepędzono Amerykanów, czteromilionowy Sajgon liczył 285 tysięcy prostytutek, 92 tysiące bezdomnych sierot i 350 tysięcy narkomanów. Na jednej tylko ulicy Catinat stało rzędem koło siebie sześćdziesiąt domów publicznych, wśród nich tak sławne jak Orion, gdzie pensjonariuszami byli dwunastoletni chłopcy, lub Gwiazda, gdzie najstarsza pensjonariuszka liczyła lat trzynastcie. Prezydent Południowego Wietnamu, Thieu, zarabiał sto dwadzieścia tysięcy dolarów dziennie na handlu narkotykami. W pewnym rejonie koło doków żyła pod gołym niebem cała kolonia dzieci od piątego do ósmego roku życia, bez jakiegokolwiek opieki, utrzymujących się tylko z kradzieży lub żebrania. Słynna madame Nhu kazała sobie zbudować

ogrody wiszące, do których co tydzień przywożono samolotem z Brazylii szczególnie rzadkie odmiany storczyków. prostytutka ze znajomością angielskiego zarabiała przez jedną noc tyle, ile zarabiał robotnik portowy w ciągu czterech miesięcy. Pod koniec lat sześćdziesiątych umierało tu co dzień 25 osób na skutek zatrucia narkotykami, 11 wskutek nie leczonych chorób wenerycznych i 38 z chronicznego niedożywienia. Pewien chiński przedsiębiorca z Cholonu nazwiskiem Li Czang, który kontrolował trzecią część domów publicznych w mieście, zgromadził w swym domu szesnaście ton złota w sztabach, miał cztery cadillaki i cztery mercedesy, a pensjonariuszki w jego przedsiębiorstwach, najczęściej przywożone wprost ze wsi, już pierwszego dnia otrzymywały porcję heroiny. To wszystko miało miejsce sześć, osiem lat temu, kiedy śródmieście Sajgonu płonęło od najwymyślniejszych neonów, po dzisiejszej ulicy Tu Do przechadzały się dziewczyny piękne jak motyle, a w restauracjach Majesticu i Rexa podawano homary przyrządzone na czterdzieści dwa sposoby.

Istnieją po prostu różne miary takich pojęć jak wolność, radość, barwa życia, uroda miasta. Nie jest to nic nowego i aż dziw, że takie banały trzeba co pewien czas powtarzać od początku. A trzeba. Już są tacy, co jawnie narzekają na monotonną szarzyznę tego miasta; jeszcze trochę i zapytają, czy warto było niszczyć tę śliczną i wesołą mgiełkę, jaka się tu niedgdyś unosiła.

Sajgon za czasów amerykańskich był zapewne najstraszliwszym miastem Azji, przybytkiem zła w postaci skondensowanej, wyzwaniem dla człowieczeństwa. Tu lepiej niż gdziekolwiek indziej można było pojąć i podzielić bezbrzeżną nienawiść grupy Pol Pota do wielkich miast azjatyckich, a właściwie do samej esencji wielkiego miasta.

XLIV. Znaleźliśmy się w Rexie w półtorej godziny po obejrzeniu filmów dokumentalnych z prowincji Tay Ninh.

Nie znoszę nocnych knajp i sztafażu, jaki im towarzyszy: mętnego światła po północy, zachwycających kobiet o twarzach pokrytych szminką, nagłych oczarowań i wódczanych przyjaźni, co nie dotrważą do rana. Patrząc z niechęcią na parkiet, gdzie tupią lekko podochoczone pary, wzajemnie wypatrujące w swych oczach obietnic, które można by złożyć na karb bliskości równika i rozmarzeń tropikalnej nocy. Śmieszają mnie te podrygi i zdawkowe umizgi, żałośnie identyczne pod każdą szerokością geograficzną. Myszkuje wzrokiem za zasłoną, gdzie odpoczywa po występie znużony zongler w przepoconym trykocie, zerkam za uchylone drzwi kuchni, gdzie z poszczerbionej czarki siorbie zieloną herbatę utrudzony kaskader, który przycupnął na trzcinowym stołeczku między drzwiami i kuchennym stołem. Zawsze tak robię; zawsze sprzymierzam się z personelem przeciw klientom. Tym razem też biorę stronę *towarzyszy z sektora usług*, posiadaczy licencji na pracę w tym zadżumionym miejscu. Obliczam w myśli ich skromne pensje i napiwki, z których pewno muszą się teraz rozliczać, zastanawiam się, jak wrócą nad ranem do swych biednych chat na dalekim przedmieściu. Chciałbym im jakoś powiedzieć, że europejscy towarzysze nie są po prostu kolejną zmianą wśród klienteli Rexa, że ich brak fantazji, liczenie każdego donga i pewna sztywność w zabawie świadczą o zupełnie nowym obyczaju, jaki tu ze sobą przywozimy.

Ale nie mówię nic takiego. Zbyt wiele razy musiałem odwoływać takie pospieszne zapewnienia.

Nie mogłem tu nie przyjść razem z kolegami. Gdybym został w hotelu, musiałbym jakoś skomentować, przynajmniej we własnym dzienniku, prawdziwy sens obrazów, które przed godziną oglądałem na ekranie. A nie wiem, jak to wszystko można by objaśnić. Chło-

pi mordują chłopów, nędzarze wbijają na pal dzieci nędzarzy, niedawni towarzysze i sojusznicy zachowują się jeszcze gorzej niż najgorszy okupant. Nienaprawialne zło świata pożera rewolucję? Ciemnota zwycięża światło braterstwa? Wolę już posiedzieć w tym gwarze i dymie, patrzeć na wirujące kółka zonglera, popijać whisky, której butelka kosztuje tyle, ile robotnik zarabia dziś w ciągu miesiąca.

Nie ma takiego przepisu, żebym musiał mieć zdanie na każdy temat. Zresztą, starzeję się chyba, bo coraz mniej rozumiem ze spraw, które jeszcze tak niedawno wydawały mi się zupełnie jasne. Jeśli rzeczywiście na tym miałaby polegać dojrzałość sądów, to wkrótce będę musiał uznać, że wszelkie ludzkie działania o z góry założonym kierunku nie mają sensu, ponieważ nieuchronnie rozbijają się prędzej czy później o nienaruszalną, okrutną, pozbawioną logiki materię świata. Nie chciałbym dożyć takiej chwili.

Znam takich, którym się to przydarzyło, i nie żywię wobec nich żadnych uczuć oprócz zniecierpliwienia i pogardy.

Ach, europejskie dziewczyny, któreście tu zbłądziły przez kaprys losu i przypadku, krasawice nasze słowiańsko-madziarskie, dorodne, odżywione, wesołe, pełne wdzięku! Piję za wasze okazałe piersi i za nogi jak stąd do nieba. Towarzysze inżynierowie, pułkownicy i handlowcy! I za was piję, pobratymcy, znający swoje rzemiosło, zbierający na następny samochód, zaradni i sumienni.

XLV. Czegóż ja się właściwie czepiam tych ludzi, którzy się tutaj bawią? Sam fakt, że chcą potańczyć lub posłuchać miłej muzyczki, nie jest przecież niczym zdrożnym. Przeciwnie. Wręcz przeciwnie. Wypisaliśmy na naszych sztandarach prawo do lepszego życia, co przecież obejmuje również rozrywkę, wypoczynek

i różne niewinne przyjemności. Nikt tu nie uwłacza rewolucjonistom, nie zachowuje się skandalicznie lub obraźliwie. Poza tym trzeba w końcu zachować jakieś proporcje, żeby się ustrzec przed fanatyzmem i obsesją. Nie sposób zamartwiać się całym światem równocześnie; nie można odpowiadać za wszystkich i wszystkich prowadzić za rączkę do utopijnego raj; skrajne pojmowanie równości jest szkodliwe i groźne w skutkach; sprawiedliwość należy rozumieć historycznie; każdy kraj ma swoje problemy, sprawdzalne ponad wszelką wątpliwość; wyprzedzanie przyszłości trąci blankizmem; dysproporcje rozwoju wśród krajów socjalistycznych są godne ubolewania, lecz uwarunkowane odmiennością ich historii; nie wolno mierzyć Azji europejską miarą; istnieją różne koncepcje szczęścia; wszyscy mamy tylko jedno życie, które powinniśmy przeżyć godnie, dostatnio i wesoło.

Gówno prawda.

XLVI. Szóstego lutego o czwartej trzydzieści rano przyjechaliśmy do bazy lotniczej Than Son Nhut. Nie zliczę już, ile razy pisałem z Nowego Jorku o tej bazie, atakowanej przez partyzantów niemal co noc, ostrzeliwanej wytrwale ze wszystkich możliwych środków rażenia, nie wyłączając bambusowych katapult. Do tej pory stoją tu długimi rzędami ciężkie śmigłowce Bella i Sikorskiego, opatrzone białymi gwiazdami amerykańskich wojsk lotniczych i numerami taktycznymi, które dawno już skreślono z rejestrów USAF. Startujący samolot pędzi wśród murszejących, oliwkowych maszyn, mija betonowe przegrody przeciwno granatom i krępe bunkry strażnicze. W miarę nabierania szybkości truchła śmigłowców zlewają się w jedną szarozieloną smugę, a potem pod skrzydłami pojawia się poczwórny krzyż betonowych runwayów, malejące hangary i rozwleczone, utopione w zieleni zabudowania warsztatów.

Dla czterdziestu sześciu tysięcy młodych Amerykanów był to jeden z ostatnich widoków w życiu. Prosto po wylądowaniu w bazie Than Son Nhut jechali do obozów adaptacyjnych, a stamtąd na front — do dżungli, w tłuste błoto ryżowisk, do wrogich, milczących wsi, gdzie na każdej ścieżce czyhała mina lub wilczy dół. Nie minęło jeszcze dziesięć lat, odkąd się to wszystko skończyło.

Lot do Phnom Penh trwa tylko czterdzieści minut. Niemal natychmiast po starcie dostrzeżliśmy jadowicie żółtą plamę, wyżartą przez suszę w trzech pogranicznych rejonach Kambodży. Potem samolot zaczął tracić wysokość, pod skrzydłami pojawiły się drogi, osiedla, pojedyncze skupiska domów — puste jak makieta, bez ludzi i pojazdów.

O szóstej wylądowaliśmy na lotnisku Poczentong.

Jest to jeden z piękniejszych portów lotniczych na świecie, znakomity w proporcjach, funkcjonalny, pełen wesołości. Wymknąłem się na chwilę do holu odlotowego i poczekalni pasażerskiej. Były zupełnie puste. Na kontuarach wały się pieczątki i blankiety, w otwartych szafach leżały paczki banknotów, rzędem stały milczące maszyny do pisania, wagi do bagażu, krzesła dla interesantów. Ostatni samolot chińskich linii lotniczych odleciał stąd piątego stycznia o świcie. Salonik królewski w pawilonie odlotowym wyglądał tak, jak gdyby opuszczono go przed minutą: porcelanowe dzbanuszki stały na bogato zdobionych stolikach, kosztowne dywany były czystuśkie, w rogu saloniku kłaniała się nie istniejącym gościom rzeźba khmerskiej tancerki.

W pomieszczeniach portu lotniczego nie było nikogo. Żołnierze trzymali wartę na zewnątrz budynku, dwa działa przeciwlotnicze wystawiały lufy zza odległego ogrodzenia. W pustych pomieszczeniach portu pogwizdywał wiatr, roznosząc nie wypełnione bilety i przywieszki chińskich linii lotniczych CAAC.

Czekały na nas wygodne, nowiutkie samochody osobowe: chevrolety, peugeoty, mercedesy. Żaden z nich nie miał numerów rejestracyjnych, z czym początkowo nie mogłem się oswoić. Zabrano je po prostu ze składów konsygnacyjnych, ponieważ były potrzebne. Żołnierze-kierowcy mieli pewne trudności z obsługą automatycznych skrzynek i z nadmiarem mocy w silnikach; na obiciach siedzeń widniały plamy od smaru pistoletów maszynowych.

Ruszyliśmy przez miasto, które od pierwszej chwili wprawiało w osłupienie. Im bliżej śródmieścia, tym stawało się piękniejsze. Poprowadzone z rozmachem aleje i bulwary, wysadzone rzadkimi drzewami, pełne wolno stojących rzeźb, za każdym skrzyżowaniem odsłaniające nową perspektywę. Zamożne wille o białych ścianach i przestronnych tarasach, porośnięte aż po dach purpurowymi kwiatami bougainville. Stylowe pałacyki, restaurowane od lat ze smakiem i troską o zachowanie detali. Olśniewające budynki politechniki, czyste, mądre, łączące w sobie prostotę linii ze szlachetnością faktury. Nic widziałem jeszcze w Azji miasta tak harmonijnie pomyślanego i pełnego tyłu zachwycających budynków. Nie dostrzegłem ani jednej rudery, ani jednego śmietniska, ani jednego kixsu stylistycznego. W pewnej chwili pomyślałem, że chyba tylko południowa Kalifornia mogłaby się porównywać z wdziękiem i jakością architektoniczną tego miasta. Spoza każdego zakrętu ukazywały się coraz to nowe i coraz bardziej zdumiewające perspektywy, zwieńczone wieżami pagód lub kępami kwitnących krzewów podobnych do mimozy.

Ale to miasto było puste. Zupełnie, całkowicie puste. Tylko na skrzyżowaniach tkwili w prowizorycznych budkach wyprężeni wartownicy; tylko tuż koło lotniska spostrzegliśmy grupę chłopów, ciągnących na wózku swój dobytek. Potem nie było już nikogo. Sprawiało to wrażenie męczącego snu albo fatamorgany. Jezdnice były całkowicie opustoszałe, chodniki pokry-

wała gruba warstwa zeschniętych liści palmowych, wiatr roznosił zwoje poskręcanych taśm magnetofonowych i filmowych, pod płotami leżały sterty gratów i papierów, przed domami stały krzesła, kanapy, maszyny do szycia.

I nic więcej. Żadnego przechodnia. Żadnego psa. Żadnego pojazdu. Jak po wybuchu bomby neutronowej. Jak po epidemii, która zgładziła wszystkich mieszkańców.

Znów rzędy białych domów, tonących w bujnej zieleni i różnobarwnych kwiatach, surrealistyczne krzesła pośrodku ulicy, przewracane skutery, zarośnięte ogrody, kłęby taśmy, posążki Buddy porzucone brzuchem do góry.

I znów ani jednego żywego człowieka.

Ten widok przekraczał granice naszej wyobraźni. Operatorzy opuścili kamery, przestaliśmy ze sobą rozmawiać, wypatrywaliśmy oczy, aby się upewnić, że ten skąpany w jaskrawym słońcu pejzaż nie jest przywidzeniem.

17 kwietnia 1975 roku, w momencie wkroczenia Czerwonych Khmerów, stolica Kambodży liczyła dwa miliony dwieście tysięcy mieszkańców. Miasto zostało w latach sześćdziesiątych przebudowane przez francuskich urbanistów, przebudowane troskliwie i z rzadkim poczuciem smaku, obdarzone wyjątkową ilością starannie utrzymanej, egzotycznej zieleni. Rozwijało się bardzo szybko, lecz względnie harmonijnie. Teraz na przestrzeni pięciu kilometrów, jakie dzieli lotnisko Pochentong od centrum miasta, nie spotkaliśmy ani jednego żywego człowieka, poza grupą chłopów, przemykających się ukradkiem przez peryferie.

Zawieziono nas na jakąś ulicę w śródmieściu. Chciałem odczytać jej nazwę, ale na narożnikach nie było tabliczek. Czerwoni Khmerowie zerwali wszystkie tabliczki z nazwami ulic, zniszczyli drogowskazy, potłukli szyldy, zdrapali napisy nad sklepami i na murach. Dopiero wtedy zorientowałem się, że widmowość tego

miasta nie polega tylko na całkowitym braku mieszkańców. Może jeszcze bardziej przejmująca jest panująca w nim cisza i całkowity brak czegoś, co należałoby nazwać piktosferą.

Miasto to nie tylko ulice i domy. To także litery, strzałki, reklamy, znaki drogowe, ogłoszenia, szyldy, wystawy. Wystarczy to wszystko usunąć, aby z najpiękniejszego miasta uczynić kamienną pustynię w rodzaju tych, które malował Chirico, pełną lęku i samotności. To tak, jakby człowiekowi odebrać twarz.

Nie jest łatwo zniszczyć twarz dwumilionowego miasta. Trzeba było wykonać prawdopodobnie kilkanaście milionów czynności i użyć nieopisanego nakładu energii. A jednak Czerwonym Khmerom opłacał się ten trud. Phnom Penh zachowało swe nietknięte mury i olśniewające bulwary, ale straciło życie. O to właśnie chodziło.

XLVII. Nie można opisać ciszy panującej w Phnom Penh. Nie ma porównań, które mogłyby wyrazić jej paralizującą głębię i wszechobecność. Żaden wiejski cmentarz, żadne górskie ustronie nie dają nawet przybliżonego pojęcia o rodzaju ciszy, jaka spowija to miasto. Spędziłem w Phnom Penh łącznie sześć dni i trzy noce, widziałem rzeczy trudne do opisanja, lecz najtrwalszym, najbardziej niezatartym wspomnieniem będzie dla mnie na zawsze tamtejsza cisza.

Wystarczy stanąć na dowolnej ulicy i uciszyć echo własnych kroków, aby zrozumieć, że z żadnej klatki schodowej, z żadnego sklepu, ogrodu i magazynu nie dobiegnie nawet najmniejszy, najśłabszy dźwięk. Przebiegający przez ulicę szczur jest słyszalny z odległości czterystu metrów. Szelest węża, pelzającego po rynnie pustego domu, brzmi jak turkot nadjeżdżającej ciężarówki. Skrzyp nie domkniętego okna niesie

się na kilometr. Nawet w najdalszym tle akustycznym nie ma żadnej wyczuwalnej wibracji, stłumionych odgłosów ruchu ulicznego, ludzkich głosów. Zerowy poziom tła powoduje całkowite zachwianie normalnego odbioru; potrącony nogą garnek sprawia wrażenie eksplodującego pocisku, niesiony wiatrem papier przypomina o panikę. Ta cisza jest równie straszna w samo południe, jak i w środku nocy.

Tylko co pewien czas, dwa lub trzy razy na godzinę, zrywa się w pobliżu drzew lub zarośli ogłuszający, spazmatyczny ryk cykad. Nie można tego inaczej nazwać. Nigdy przedtem, nawet w sercu cejlońskiej dżungli ani w lesie tropikalnym na Borneo, nie słyszałem niczego podobnego. Cykady — wielkie, spalone, długie na dwanaście centymetrów, jadowicie zielone i nie lękające się człowieka — były przez cztery lata głównymi mieszkańcami tego miasta. Wraz z ludźmi uciekły stąd ptaki, które kiedyś zmniejszały liczbę cykad. Ziemię opanowały szczury i węże, powietrzem zawładnęły cykady. Kiedy zaczynają swój obłąkany koncert, w odległości pięciu metrów nie można prowadzić rozmowy.

A potem milkną i nad miastem znów zapada totalna, nieograniczona, kosmiczna cisza.

XLVIII. Ulica, na którą nas zawieziono, była zapewne lokalnym centrum handlowym dla najzamożniejszych mieszkańców tej willowej dzielnicy. Wsiadłem z samochodu i zorientowałem się, że stoję przed rzędem sklepów, których wnętrza wypełnione są po brzegi towarem. Nie jest to przenośny zwrot; te sklepy naprawdę były zawałone przedmiotami na całej swej długości i szerokości, ich zawartość długimi językami wylewała się na chodnik.

Stanąłem u otwartego na oścież wejścia i nastawiłem obiektyw aparatu fotograficznego, ale po chwili zrezygnowałem. Żadne zdjęcie nie odda tego surreali-

stycznego widoku. Tuby kremu do golenia marki Colgate leżały na wykwintnej papeterii z monogramami w alfabecie łacińskim i khmerskim; nie odpieczętowana jeszcze gra Monopoly wałała się wśród flakoników z perfumami Lanvina, Coty, Arpège'a i Heleny Rubinstein; tusz do pieczętek i oprawne w perłową masę pędzle do golenia, podeptane spinacze i mydło Palmolive, notesy o pozłacanych grzbietach i podpaski higieniczne. Na usypisku leżało kilka błyszczących, świeżo wystrzelonych łusek kalibru 7,62, pokrwawiony gałgan i spleśniała ładownica.

Wołano nas na konferencję prasową, ale poszedłem wzdłuż ulicy, aby obejrzeć dalszy ciąg tej wystawy. Koło sklepu z materiałami piśmiennymi i drogerii mieścił się sklep z aparaturą radiową. Zajrzałem do środka. Półki były puste, lecz na podłodze leżała ster-ta potłuczonych magnetofonów firmy National Panasonic, tranzystorowe radioodbiorniki ze strzaskaną skalą, zdeptane lub zmiażdżone kamieniem mikrofony, płyty, baterie, kasety. Tuż obok, w sklepie z antykami, stała skrzynka pałeczek starego chińskiego tuszu. Nie mogłem opanować ciekawości, wsunąłem głowę do wnętrza, nie zwracając uwagi na wołanie eskorty i tłumaczy.

Na kontuarze, przewieszony jak szmata, wisiał jedwabny zwój, na którym nieznany mandaryn wypisał przed stuleciami jakieś myśli lub cytaty. Przy górnej krawędzi, wśród złotych i szkarłatnych frędzli, widniała karteczka z ceną: 3 500 dolarów amerykańskich. To nie był falsyfikat; prawie nikt już dziś nie zna takiej kaligrafii, nie ma takich tuszów i pędzli.

Dolna część zwoju spoczywała na kamiennej podłodze sklepu. Była pokryta ludzkimi ekskrementami. Prawy róg rozpadł się prawie całkowicie, łatwo było ustalić, dlaczego. Na jedwabnym zwoju sprzed kilkuset lat leżał przewrócony akumulator samochodowy z odkręconymi korkami ogniwi. Kwas siarkowy wyciekł

na jedwab i przeżarł tkaninę wraz z nitkami złotogłowa.

W głębi sklepu, wśród porozbijanych regałów z popękanymi szybami, majaczyła sterta starannie potłuczonych, porcelanowych posążków uśmiechniętego Buddy, jakieś pogięte misy i oblane moczem manuskrypty.

XLIX. Naszym pierwszym rozmówcą był Van Son — burmistrz Phnom Penh, członek rewolucyjnej rady ludowej. Powitał nas serdecznie w imieniu rady i wyraził radość, że towarzysze z krajów socjalistycznych będą mogli przekonać się na własne oczy, jak straszne szkody wyrządziła ludowi Kambodży zbrodnicza klika Pol Pot-Ieng Sary. Ludność stolicy wynosi w tej chwili osiemset osób. Władze kraju zachęcają dawnych mieszkańców miasta do stopniowego, właśnie stopniowego powrotu. Miasto powoli wraca do życia, lecz jest to zadanie niezmiernie trudne, niezmiernie skomplikowane. Zbrodnicza klika Pol Pot-Ieng Sary zniszczyła w praktyce wszystkie urządzenia komunalne: prawie całą sieć elektryczną, stację filtrów, ujęcia wody pitnej z Mekongu i z obu odnóg, telefony, autobusy, cały przemysł. Nieliczne studnie są zatrute trupim jadem, mamy kłopoty z wodą. Żywność jest racjonowana, ale w tym gronie można powiedzieć, że administracja jedynie rozdziela zapasy, jakie pozostały po Czerwonych Khmerach, a nie jest ich wiele i wkrótce stanie przed władzami problem zaopatrzenia. Dlatego zezwala się na powrót tylko tych mieszkańców, którzy są dla miasta niezbędni i dysponują własnymi zapasami żywności. Oczywiście, mogą oni zasiedlać tylko te rejony miasta, gdzie można im gwarantować pełne bezpieczeństwo. *Złe elementy* jeszcze się ukrywają po opustoszałych domach, zdarzają się strzelaniny. Ale to oczywiście nie do publikacji. Udało się przywrócić część oświetlenia ulicznego w rejonie bulwaru Moni-

vonga, jeden z generatorów naprawili wietnamscy saperzy. Niestety, brak jest paliwa, dlatego generator pracuje tylko przez dwie godziny dziennie. Godzinę rano, aby dostarczyć energii fabryce lemoniady, którą zaraz towarzyszą pokażemy, i godzinę wieczorem, aby można było oświetlić choć trochę główną arterię miasta, raczej zresztą dla bezpieczeństwa niż dla dekoracji. Duch mieszkańców jest dobry, bardzo dobry. Naszym największym problemem jest zaopatrzenie w wodę. Sieć wodociągowa jest pozrywana, nawet na poziomie parteru trudno utrzymać ciśnienie w śródmieściu, kiedy pracuje generator.

Potem zadawaliśmy pytania.

Czy w Phnom Penh ukazuje się jakaś gazeta?

Nie. Nie ukazuje się żadna gazeta. Nie ma maszyn drukarskich, bo je zniszczono albo wywieziono do Chin. Nie ma papieru. Nie ma ludzi, którzy potrafią drukować.

Czy w Phnom Penh działa jakaś szkoła?

Nie. Mamy zamiar uruchomić szkołę podstawową jesienią, ale na razie nie mamy ani jednego nauczyciela.

Ile wynosi dzienny przydział żywności dla mieszkańców?

Van Son naradza się przez chwilę z Khan Sarinem, dowódcą batalionu, który zdobył stolicę.

Niewiele, powiada burmistrz. To się zresztą zmienia.

No, ale ile, w przybliżeniu?

Och, trudno to powiedzieć. Są trudności, towarzysze. Ogromne trudności.

Czy są w obiegu jakieś pieniądze?

Nie. Nie ma żadnych pieniędzy.

Kiedy zostaną wprowadzone?

Nie wiadomo. Może towarzysze Heng Somrin będzie wiedział.

Kto zerwał most na Mekongu?

Zbrodnicza klika Pol Pot-leng Sary na tydzień przed zdobyciem miasta.

To był jedyny most w obrębie Phnom Penh?

Tak. Jedyny.

Czy są plany jego odbudowy?

Van Son nie może pohamować śmiechu. Może za pięć lat albo za piętnaście.

Czy w mieście nie grozi wybuch epidemii?

Staramy się temu zapobiec.

Towarzyszu Van Son, widzieliśmy tu setki wspa-
niałych, bogatych domów. Jak zamierzacie postępo-
wać, kiedy zgłoszą się ich właściciele?

Jeśli się zgłoszą, to będą mogli wrócić do swej włas-
ności. Ale wątpię, czy to się zdarzy. Przeważająca
większość tych ludzi została wymordowana przez
zbrodniczą klikę Pol Pot-Ieng Sary.

Ale macie przecież jakąś koncepcję reform społecz-
nych i ekonomicznych?

Nie. Nie mamy takiego programu, poza tym, co zo-
stało ogłoszone w jedenastu punktach ZFNOK. Pro-
blem klas wyzyskujących został rozwiązany przez cał-
kowitą eksterminację posiadaczy. Nie mieliśmy nawet
czasu, aby rozważać tę kwestię.

Czy macie tu rozgłośnię radiową?

O, tak, mamy, i to niezłą. Jej dyrektorem była żona
Ieng Sary'ego. Ona była Chinką, to wiecie. A jej sio-
stra była żoną Pol Pota. Pekin wiedział wszystko, co
ci dwaj mówią nawet przed snem. Więc mamy ra-
diostację. Początkowo wyposażyli ją Francuzi, potem,
za rządów Lon Nola, przebudowali ją Amerykanie.
Nadajemy pięć godzin programu dziennie. Cały naród
nas słucha. W przeddzień wyzwolenia zbrodnicza kli-
ka Pol Pot-Ieng Sary uszkodziła tam jakąś lampę
czy coś takiego, ale towarzysze pomogli i naprawili.

Na jakich falach nadajecie?

Van Son konsultuje się z doradcami, idą w ruch
notatki. Okazuje się, że Głos Wolnej Kambodży na-
daje w paśmie 31 i 41 metrów na falach krótkich, to
znaczy na częstotliwościach najmniej odpowiednich
dla strefy tropikalnej, oraz na fali 230 metrów w

paśmie fal średnich, czyli na częstotliwości szczególnie tu podatnej na zakłócenia atmosferyczne. Mocy nadajnika nie udaje się ustalić. Poza tym do odbioru fal krótkich potrzeba albo odbiorników sieciowych, a sieć elektryczna została zniszczona, albo niezłej klasy odbiorników przenośnych, których nie ma, bo je zniszczyli Czerwoni Khmerowie, a gdyby były, to i tak nie ma do nich baterii.

Towarzyszu Van Son, co możecie powiedzieć o programach tak zwanego Radia Demokratycznej Kambodży, to znaczy rozgłośni niedobitków Pol Pota? Oni nadają przez całą dobę w paśmie 16 i 59 metrów, są dobrze słyszalni, przekazują zaszyfrowane instrukcje i komunikaty.

Mówiono mi, że nadają z terytorium chińskiego, ale nic bliższego na ten temat nie wiem. To nie ma znaczenia.

Nie ma znaczenia? Przecież niedobitki Pol Pota walczą jeszcze z wojskami wyzwolenческими?

Nie ma znaczenia.

Nie słuchacie tych programów?

Nie. Nikt nie ma na to czasu. Są ważniejsze sprawy do załatwienia.

L. Porozmawiałem przez chwilę z Khan Sarinem, komendantem garnizonu, dowódcą 1 batalionu 1 dywizji ZFNOK, który 7 stycznia o godzinie 12.36 zajął pałac królewski. Nieduży, w tak samo nicokreślonym mundurze bez dystynkcji i w miękkiej czapce chińskiego kroju, małowówny, o twarzy ściągniętej i surowej. Do kwietnia 1977 roku był komisarzem politycznym w IV okręgu wojskowym Czerwonych Khmerów, potem zdezertował do dżungli, dowodził zgrupowaniem i szkolił kadre partyzancką.

Czy dobrze rozumiem, towarzyszu dowódczo, że dwa razy wyzwalaliście Phnom Penh?

Tak. Po raz pierwszy 17 kwietnia 1975 roku, po raz drugi miesiąc temu.

Co sprawiło, że rozstaliście się z Czerwonymi Khmerami?

Rewolucja ludu khmerskiego została zdradzona przez zbrodniczą klikę Pol Pot-Ieng Sary.

Co się właściwie tutaj stało w 1977 roku? Od tego momentu zaczęły się masowe dezercje, rozstrzelano podobno Hu Nima...

Angkar został opanowany przez zbrodniczą klikę Pol Pot-Ieng Sary. Lud Kambodży nie mógł się pogodzić z uciskiem.

Ale przecież Pol Pot był przywódcą Angkaru od pierwszej chwili?

Khan Sarin wzrusza ramionami i mówi do khmerskiego tłumacza coś, co mogę zrozumieć bez słów.

LI. Znow opustoszałe ulice, milczące bulwary i aleje, sklepy pełne towarów, wielopiętrowe domy o martwych oknach, splątane taśmy filmowe i magnetofonowe, tysiące porzuconych butów, bezmiar krzeseł i kanap. Niewielki prostokąt dzielnicy, chyba rządowej lub wojskowej, obwarowany ze wszystkich stron barakadami i kozłami z drutem kolczastym, ryjki erkaemów ukrytych za workami z piaskiem, splątane kable telefonów polowych, anteny radiostacji. Pagoda na wzgórku porośnięta już wewnątrz tamaryszkiem i rdzawymi pędami łopianów. Miasto-widmo, miasto-przywidzenie.

LII. Pojechaliśmy obejrzeć *nowe życie*, to znaczy pierwszy uruchomiony w Phnom Penh zakład przemysłowy. Przemysł — to duże słowo. Jest to po prostu wytwórnia lemoniady, stanowiąca część dawnego browaru. Pracuje przez godzinę na dobę, właściwie tylko na potrzeby wojska, ponieważ nie ma nikogo, kto mógłby kupić ten produkt. Zdaje się, że jej zna-

czenie jest raczej symboliczne. Chodzi zapewne o to, aby drgnęły mieszadła w kadziach, sapnęły automaty do napełniania butelek, ruszył skrzypiący konwejer. Wytwórnia pobiera wodę z odnogi Mekongu i sama ją filtruje; system filtracyjny znajduje się w podziemnych komorach i tylko dlatego uniknął zniszczenia.

Browar w praktyce przestał istnieć. Przez dwa tygodnie lipca 1975 roku pracowała tu w pocie czoła specjalna brygada Czerwonych Khmerów, która otrzymała zadanie zniszczenia wszystkich instalacji bez użycia materiałów wybuchowych. Oprócz browaru znajdowała się tu rozlewnia whisky i pepsy-coli, spory warsztat wulkanizacyjny i zakład remontowy dla ciężarówek.

Oglądanie tego obiektu, stosunkowo nowocześnie niegdyś wyposażonego, przyprawia co krok o niewiarę w świadectwo własnych oczu. Szwedzkie kotły i kadzie fermentacyjne są dokładnie podziurawione pociskami z pistoletów maszynowych. Mosiężna armatura zdemontowana, zawory spustowe wyrzucone do rzeki, uszczelki i manometry zniszczone bagnetem. Powyrywane kable, oprawki żarówek, przełączniki; tablice rozdzielcze zerwane ze ścian; z amperomierzy wyciągnięto nawet cewki i magnesy. Zbiorniki na sól wytoczono na podwórze i tak długo najeżdżano na nie samochodami, aż zamieniły się w absurdalne, rogate placki. W laboratorium ślady amoku, ponieważ nikt nie byłby w stanie dokonać tak dokładnego zniszczenia na trzeźwo: nie ocalała ani jedna szyjka kolby, ani jedna zlewka. Wagi analityczne pokrzywione i połamane, odczynniki rozsypane po stołach, balon z kwasem solnym rzucono o ścianę. Receptury, dokumenty handlowe, wyniki testów, kopie zamówień — zwałone z szuflad na wielki stos w budynku administracyjnym i częściowo spalane.

Mimo prośb przewodnika wymknąłem się w głąb zabudowań fabrycznych. Wszedłem do zakładowej stołówki, która także nie uchroniła się przed zniszcze-

niem. Sarta potłuczonych misek i porcelanowych łyżeczek sięga prawie sufitu jadalni. Zerwane palenisko kuchenne, podziurawione kotły na zupę. Zachował się tylko długi regał z nazwiskami pracowników, na którym przechowywano ich miski, pałeczki i łyżeczki do zupy. Na podwórzu porzucone buty, zmurszała odzież, papiery, ampułki, nity, narzędzia.

Trafiłem do warsztatu naprawczego, gdzie stała to-karka, jak gdyby wymyślona przez Duchampa lub Salvadora Dalí: śruba pociągowa i docierane prowad-nice łoża były polane kwasem azotowym lub chlor-kiem żelaza, aby przyspieszyć korozję, zamiast koni-ka widniała bańka po oleju, suport rozmontowano na części składowe, korpus suportu w jakiś sposób, chy-ba młotem, odchyłono od pionu. Rozgrzebana skrzynka przekładniowa ziała pustymi wałkami, koła zmiano-we rozwleczono po podłodze.

Na uboczu, między brzegiem rzeki i zarośniętym torem bocznicą kolejowej, stał dwupiętrowy budynek bez okien, zapewne rodzaj elewatora na chmiel i jęcz-mień. Zajrzałem tam przez wyrwane drzwi, ale na-tychmiast cofnąłem się jak oparzony. Wśród resztek ziarna kłębiło się z piętnaście długich, metrowych wę-ży o brunatnych grzbietach i seledynowych pod-brzuszach. Zdaje się, że trafiłem na polowanie, ponie-waż dookoła przemykały z piskiem dziesiątki czar-nych, oszalałych szczurów, w mroku dochodziło do walk, jeden z węży leżał nieruchomo, wyprostowany jak kij.

Walki węży ze szczurami oglądałem dotychczas tyl-ko w indyjskich ogrodach zoologicznych, gdzie za dwie rupie pokażą desperacką śmierć szczura i triumfalny syk kobry. Teraz zobaczyłem to widowisko w naturze, w centrum najpiękniejszego miasta Azji.

LIII. Od robotników w wytwórni lemoniady dowie-dzieliśmy się, że do kwietnia 1975 roku browar wraz

z przyległymi zakładami zatrudniał 720 osób; sporo, jak na tutejsze stosunki. Obecnie przy porządkowaniu terenu i produkcji lemoniady pracuje 41 osób, z tego tylko 17 z poprzedniej załogi. Co się stało z resztą? Zostali wysiedleni jak wszyscy. Robotników też wysiedlano? Tak, wysiedlano. Czy wróca? Nie wiadomo. Nikt tego nie wie.

Browar stanowił własność drugiego po Lon Nolu najbogatszego człowieka w Kambodży. Był to chiński biznesmen, nazwiskiem Sien-tai, multimilioner, bywalec Monte Carlo i Las Vegas, doradca Lon Nola, osobisty przyjaciel ambasadora amerykańskiego w Phnom Penh, podobno krewniak wysoko postawionych osobistości w Taipei, monopolista w dystrybucji paliw płynnych, potentat takiej miary, że jeszcze za królewskich czasów pożyczał Sihanoukowi pieniądze na wystawianie owych obłąkanych baletów i produkcję filmów z Sihanoukiem w roli głównej. Sien-tai popełnił prawdopodobnie wszelkie dające się pomyśleć grzechy z katalogu Czerwonych Khmerów.

Rozstrzelano go, oczywiście?

Robotnicy, którym zadaliśmy to pytanie, zdobyli się tylko na nieznaczny uśmiech. Nie. Sien-tai nie został rozstrzelany. Przed jego pałacem postawiono wartę. Dwudziestego kwietnia, w trzy dni po zdobyciu miasta, przysłano po Sien-tai z Pekinu *bardzo duży samolot*. Bardzo duży. Przez cały dzień ładowano na pokład skrzynie ze sztabami złota (szesnaście skrzyń, dla ścisłości), najcenniejsze antyki, kosztowne ubrania, stare książki, telewizory, nawet niektóre wartościowsze meble. Na koniec zjawiała się rodzina Sien-tai, którą jeden z robotników dobrze znał, ponieważ przez jakiś czas pracował w pałacu Sien-tai jako pomocnik ogrodnika. Przyjechała więc żona, pewna młoda tancerka, trzech synów z trzema synowymi, cztery córki z trzema zięciami i siedmioro wnucząt, nie licząc kamerdynerów i starych służek. Miasto przeżywało w tym dniu konwulsje ewakuacji, ulice były wypełnione zroz-

paczonym, przerażonym tłumem, w którejs z kolumn pędzono boso nawet córkę i wnuczkę Sihanouka, rozstrzeliwano bez przerwy oficerów armii Lon Nola, bonzów buddyjskich, najbogatszych kapitalistów, ale rodzina pana Sien-tai spokojnie dojechała mercedesa-mi na lotnisko Poczentong, a potem odleciała do Chin.

LIV. Ruszyliśmy na południowy posiłek, ale po minucie samochody zatrzymały się nagle w samym środku jakiejś pustej, zaśmieconej alei. Żołnierze wyskoczyli z wozów. W odległości trzystu metrów zagrzecotała krótka seria strzałów z pistoletu maszynowego. Potem wszystko ucichło i ruszyliśmy dalej.

LV. Przyjęcie na naszą cześć wydawał Keo Chanda, odpowiedzialny w nowym rządzie za sprawy informacji i kultury. Odbywało się w dawnym pałacu królewskim Sihanouka. Jest to budynek dość kiczowaty, pełen prostactwa i bezguścia, zbudowany przez jakiegoś majsterklepkę w XIX wieku. Po obaleniu Sihanouka urzędował tu Lon Nol, potem pałac zamieniono na siedzibę władz Angkaru. Jednak ani Pol Pot, ani żaden z jego ludzi nie mieszkał w pałacu: żyli skromnie, w dobrze strzeżonych willach, w pałacu tylko obradowali lub przyjmowali ważnych gości z zagranicy, to znaczy w praktyce z Chin. Całe wnętrze wygląda dokładnie tak, jak wyglądało w dniu obalenia Sihanouka: wykładane macią perłową stoliczki o wątpliwych proporcjach, mahoniowy stół na trzydzieści cześć osób, etażerki, wazy, taboreciki, fintifluszki. Fatalne malarstwo, pewno też pędzła Sihanouka, który pragnął być ulubieńcem wszystkich możliwych muz, dopełnia miary.

Koniec końców był to jednak prawdziwy pałac królewski. Szóstego lutego obchodzę urodziny. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się obchodzić ich w takim miej-

Gospodarz, któremu przysługiwałby tytuł ministra, powitał nas w imieniu władz naczelných ZFNOK i przeprosił za skromny posiłek. Żołnierze wnieśli blaszane miski z ryżem, który razem z nami przyleciał z Miasta Ho Szi Minha, a także poręczne kociołki, w których znajdowały się pasemka wołowiny zmieszanej z zielonym pieprzem, liśćmi kapusty i makaronem sojowym. Nakładaliśmy obfite porcje na pozłacane talerze z królewskiej zastawy. Ściśle biorąc, talerze były wykonane ze srebrnej blachy, platerowane dość grubo złotem i umocnione na wieńcu dwumilimetrowym drutem z czternastokaratowego złota. Do kryształowych pucharów, ciętych ręcznie, nalano nam chłodnej, czystej wody, także przywiezionej samolotem.

Potem na stole pojawiły się butelki z alkoholem i dopiero wtedy zamilkliśmy na chwilę z wrażenia. Dwunastoletnia whisky Chivas Regal, jedna z najdroższych, jakie istnieją. Białe wina mozelskie z najlepszych piwnic. Ośmioletnia Black and White. Koniak Napoleon z pięcioma gwiazdkami. Portugalska sherry. Rum z Jamajki. Jakiś rzadki sotern francuski, ciężkie burgundy, prawdziwy benedyktyn z czerwoną pieczęcią. To wszystko pochodziło z nietkniętych piwnic królewskich Sihanouka. Uznano, że nasza wizyta jest wystarczającym powodem, aby je uszczuplić.

Surrealizm tej sceny był niemożliwy do opisanja. Żołnierze khmerscy mieli przewieszzone przez plecy automaty, lecz ich dłonie były w białych rękawiczkach. Miasto za murem pałacu było pustynią, ementarzem, przywidzeniem, a my piliśmy alkohole, jakie rzadko zdarza się pić w Europie.

Przez gwar przy królewskim stole znów przedarły się odgłosy strzałów i rozwścieczony, bezczelny hałas cykad.

LVI. Potem w przyległym saloniku, przy zielonej, gorącej herbacie Keo Chanda odpowiadał na nasze py-

tania. W Kambodży, powiedział, brakuje dziś praktycznie wszystkiego — *you name it and we haven't got it*, wymieńcie cokolwiek, a odpowiemy, że nie ma. Ale najdotkliwsze, bo nieodwracalne, są straty w dziedzinie kultury. Czerwoni Khmerowie zniszczyli w praktyce wszystkie zabytki kultury narodowej, na szczęście z wyjątkiem kompleksu świątyń w Angkor Wat, Angkor Thom i Bayon, które otoczono drutem kolczastym, zaminowano i zachowano jako rezerwat dla zagranicznych turystów. Tak, to prawda, zachował się „trędowaty król” i siedmiogłowa Naga, bogini węży. Ale to właściwie wszystko. Sądzymy, że zburzono lub zdewastowano nie mniej niż 90, może nawet 95 procent pagód, zabytkowych budowli, klasztorów buddyjskich. Zniszczono właściwie wszystkie książki...

Co takiego?

Tak. Już jesienią 1975 roku zorganizowano specjalne oddziały Czerwonych Khmerów, które wyszukiwały i paliły nie tylko książki, lecz wszystko, co miało związek z drukiem — dokumenty historyczne, stare czasopisma, kroniki, rachunki, podręczniki. Będziecie sami mogli się o tym przekonać.

Ale dlaczego?

Zbrodnicza klika Pol Pot-Ieng Sary uznała, że należy zniszczyć wszystkie dokumenty przeszłości, żeby budowa, jak to nazwali, „nowego społeczeństwa” rozpoczęła się od zera, bez żadnych obciążeń. Dlatego też zlikwidowali całkowicie system oświatowy.

Czy dobrze przetłumaczono wasze słowa — całkowicie?

Tak. Mówię przecież. Większość szkół została zamieniona na więzienia lub koszary, część nowocześniejszych zniszczono. Nauczycieli wysłano do komun, z reguły z niskimi kategoriami. Nauczanie czegokolwiek zostało zakazane. Pol Pot przewidywał, że system szkolny zostanie stworzony na nowo dopiero w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, kiedy będzie już nowa kadra nauczająca.

Czy to znaczy, że przez te cztery lata nie uczono również czytać i pisać?

Nie, nie uczono. Towarzysze pewno wiecie, że mamy bardzo trudne pismo. Istnieją właściwie cztery różne alfabety, opanowanie sztuki czytania, a zwłaszcza pisania, trwa wiele lat. Właśnie sporządzaliśmy prowizoryczne obliczenie strat w dziedzinie oświaty i doszliśmy do wniosku, że liczba analfabetów w naszym kraju wzrosła z poprzednich 60 procent w roku 1975 do co najmniej 92, a może nawet 95 procent ludności. W tej chwili mamy zaledwie dwudziestu nauczycieli...

Ilu?

Dwudziestu.

Na sześć milionów ludności?

Liczby ludności nie potrafimy dokładnie ocenić. Według ostatniego szacunku ONZ, opartego na spisie z 1962 roku, ludność Kambodży powinna wynosić w roku 1975 nieco ponad osiem i pół miliona ludzi... Ponieważ straty ludzkie wyniosły dwa i pół miliona ludzi...

Dwa i pół miliona? Słyszeliśmy, że półtora miliona.

Ach nie, to wykluczone. Dwa miliony to najmniejsza możliwa ocena. W prowincji Strung Treng na przykład nie zostało przy życiu więcej niż piętnaście procent mieszkańców.

Dobrze, przyjmijmy dwa miliony. Inaczej mówiąc, Czerwoni Khmerowie zredukowali liczbę ludności o prawie jedną czwartą, ale zwiększyli odsetek analfabetów z 60 do 95 procent?

Tak. Właśnie tak.

Przecież w to nie sposób uwierzyć. W dwudziestym wieku?

My musimy wierzyć. My tu żyjemy.

Czy to prawda, że wymordowano *krou sangkriech*?

Tak. Zniszczono również prawie wszystkie stare księgi i manuskrypty. Naprawdę, towarzysze, staliśmy się narodem bez historii, kultury, zabytków. Nie

pozostało nic z naszej wspaniałej niegdyś sztuki i nikt nie potrafi powiedzieć, czy ona się kiedykolwiek odrodzi.

Jakie są wasze plany na najbliższe miesiące?

Chcemy ratować, co się jeszcze da uratować. Przede wszystkim ludzi z jakimkolwiek wykształceniem. Jest projekt uchwały, aby im przyznać wyższy przydział ryżu. Staramy się porządkować szkoły. Może jesienią lub na przyszły rok uda się nam uruchomić choć kilka w większych miastach.

A na wsiach? W mniejszych miasteczkach.

Tego nie wiem. Naprawdę nie potrafię powiedzieć.

Czy w waszym resorcie potrzebna jest jakaś pomoc międzynarodowa?

Potrzebne nam jest praktycznie wszystko. Ale nasz język jest tak mało znany na świecie, nie mamy wystarczających zapasów żywności, środków transportowych, są trudności z wodą do picia... Wyrządźcie nam największą przysługę, towarzysze, zawiadamiając świat o tym, co się stało. I o tym, że lud wolnej Kambodży z całą energią przystępuje do dzieła odbudowy.

LVII. Zaczęliśmy się zbierać do wyjścia, ale nagle Keo Chandę wezwano do któregoś z bocznych salonów, zaczął się ruch, w końcu ktoś powiedział, że czeka na nas przewodniczący ZFNOK, Heng Somrin. Jego funkcja w normalnej terminologii odpowiada urzędowi premiera.

Somrin ma czterdzieści pięć lat, pochodzi z biednej rodziny chłopskiej z prowincji Prey Veng. Od 1959 roku jest członkiem Komunistycznej Partii Kambodży. W partyzantce, która walczyła przeciw Sihanoukowi, pełnił funkcje dowódcy kompanii, potem batalionu. Razem z czołówką Czerwonych Khmerów wkraczał do Phnom Penh 17 kwietnia 1975 roku. Wkrótce potem został mianowany komisarzem politycznym, a następ-

nie dowódcą Czwartej Dywizji. W roku 1976 objął funkcję zastępcy szefa sztabu Wschodniego Okręgu Wojskowego, będąc równocześnie członkiem komitetu wykonawczego partii w Rejonie Wschodnim. W maju 1978 roku stanął na czele największego buntu przeciw Pol Potowi; bunt ten objął dwadzieścia brygad i rozszerzył się na kilkadziesiąt komun w pięciu prowincjach graniczących z Wietnamem. Po stłumieniu buntu przez oddziały wierne Pol Potowi Somrin z kilkoma tysiącami żołnierzy zbiegł do dżungli w północno-wschodniej części kraju i ponownie zaczął dowodzić zgrupowaniem partyzanckim, tym razem przeciw Czerwonym Khmerom. W grudniu 1978 roku stanął na czele Zjednoczonego Frontu Narodowego Ocalenia Kambodży, to znaczy organizacji politycznej skupiającej przeciwników Pol Pota ze wszystkich grup i klas. 8 stycznia 1979 roku, nazajutrz po zdobyciu Phnom Penh, Somrina obrano przewodniczącym Rewolucyjnej Rady Ludowej.

Jest to człowiek niewysokiego wzrostu, o twarzy lekko poznaczonej śladami ospy, małomówny, ostrożny w doborze słów, o ciężkim, przenikliwym spojrzeniu. Dwadzieścia lat w wojsku, z tego siedemnaście w partyzantce. Po buncie majowym jego podobiznę rozdano wszystkim żołnierzom Pol Pota z dokładnym wyszczególnieniem przewin; mieli dostarczyć Somrina żywego lub martwego.

LVIII. Z notesu. Somrin (oświadczenie). Naród kamb. wycierpiał więcej, niż można znieść. Najpierw pod rządami imp. amer., potem pod rządami Chińczyków. (Tak mówi — nic o feudalizmie!) Za to, co się stało w Kamb., odpowiada tylko rząd chiński. Dostarczali broni, amunicji, instruktorów, prowadzili za PP-IS politykę zagr. Ci ludzie nie reprezentowali narodu kamb., nienawidzili go, zachowywali się gorzej niż jakikolwiek okupant. Chińczycy rządzą. Powtarza. Klika

PP-IS doprowadzała do tego, że kraj przestał *fonctionner*. Zniszczono nasz kraj. Zrujnowano wszystkie obiekty ważne dla życia i gospodarki. Zmasakrowano naszą ludność. Mówi, że 3 mln zabito. (Ustalić to, dokładnie!) W Kambodży zdarzyły się rzeczy tak straszne, że sami ciągle nie wierzymy. Co dzień nowe groby masowe. Mamy ogromne, niewypowiedziane potrzeby. Brak wszystkiego. Najbardziej lekarstw, apeluje o lekarstwa, śr. opatrunkowe. Staramy się odrodzić życie kraju, to b. trudne. Straszny brak kadr. Nie ma śr. transportu, nie ma paliw, żywności, maszyn. Najpierw chcą przywrócić do życia stolicę. Dziękuję za nasz przyjazd. Pytania. (Pyt. Węgry). Jaka syt. wojskowa w Kambodży? HS: Kraj pod naszą kontrolą, niedobitki PP-IS w niekt. miastach, na granicy tajlandzkiej. Końcowa faza operacji. Węgier (natrętnie): Port w Kompong Som? HS: Częściowo pod kontrolą, nie ma znaczenia. (?) Węgier (Do kamery! tak nie wolno!): Jaka rola wietnamska? HS: Tow. wietnamscy udzielili pomocy, b. ważnej pomocy. SRW okazała braterską pomoc, ale wyzwolenie K. dziełem narodu khmerskiego, jego najlepszych sił. Ekipa radziecka: Jaka rola Chińczyków? HS: Nie 20, lecz 30 tys. chińskich instruktorów, doradców. Wiedzieli wszystko. To na ich polecenie się działo. Eksterminacja też? HS: *c'est sûre*. Pytanie TVP: Gdzie największe braki? HS: Trzeba wszystko budować od nowa, cały kraj, braki we wszystkim, ale największe — lekarstwa, środki opatrunkowe, pomoce medyczne. Cz. Khmerowie zniszczyli cały zapas lekarstw. Czy grozi epidemia? HS: Nie, naród Kambodży jest dzielny, wytrzyma. Operatorzy biorą HS na podjazd do pałacu, lepsze światło. Ochrona za broń. Strzały daleko, *pm* i chyba *moździerz*. (?) Znow Węgier, pyta o uznanie międzynarodowe dla ZFNOK. HS: Uznało nas 13 krajów, przyjaciele, socjalist. Węgier: są kraje socj., które nie uznały, jak to wytłumaczyć? HS: Najważniejsze jest uznanie bratnich krajów, reszta się przekona, że PP-IS

zbrodniarze, pobici, odrzuceni przez naród. Mówię do Andrieja: totalne dziennikarstwo. Andriej: szto sdielajesz, junyj parień, patom priwykniot. HS odchodzi, trzech z ochrony. Czarny garnitur, biała koszula.

LIX. Przy wjeździe do pałacu królewskiego czekał na nas zdezelowany autobus japoński marki Isuzu, bez hamulców i rozrusznika; miał odtąd stać się naszym wiernym towarzyszem i uczestnikiem naszych doświadczeń. Wojskowy kierowca nosił przy pasie autentycznego colta w amerykańskiej kaburze, manierkę z herbata, fiński nóż i śrubokręt: na nosie miał okulary przeciwsłoneczne *made in Italy*.

Zwiedzanie miasta mieliśmy rozpocząć od martwej hali targowej, lecz o trzysta metrów od pałacu królewskiego operatorzy podnieśli wrzawę. Chcieli wreszcie porządnie sfilmować opustoszałe ulice, zasypane liśćmi chodniki, trupie okna kilkupiętrowych domów.

Kierowca wyhamował biegami. Silnik zgasł. Dowódca ochrony zasłonił sobą jedyne wyjście z autobusu i ponownie przypomniiał, że miasto jest zaminowane, że miejscami ukrywają się jeszcze dywersanci, że on, dowódca, który za nas odpowiada, prosi o zachowanie dyscypliny. Nie wolno chodzić w pojedynkę. Nie wolno zbyt oddalać się od autobusu. Nie wolno wchodzić do pustych domów i sklepów. Nie wolno podnosić i poruszać żadnych przedmiotów. Postój na rondzie będzie trwał dziesięć minut i ani sekundy dłużej.

W ciągu dwudziestu sekund rozbiegliśmy się na wszystkie strony, możliwie jak najdalej od autobusu. Nikt nie miał najmniejszego zamiaru przestrzegać tych poleceń.

Od ronda rozchodziło się promieniście osiem ulic. Poszedłem przed siebie wąską, niepozorną ulicą, której nie wybrał żaden z kolegów. Odruchowo spojrzałem na tabliczkę przy skrzyżowaniu, aby zapisać nazwę, ale tabliczki oczywiście nie było. Minałem długi

mur, spoza którego widać było stromy, ostro zwieńczony dach pagody i ruszyłem środkiem jezdni. W pęknięciach asfaltu rosły wysokie na dwadzieścia centymetrów kępy trawy i łopianu, na chodnikach walały się nowiutkie skutery bez kół, płyty gramofonowe Columbi i Polydora, okulary, buty, butelki, klucz francuski, długopisy, kalendarze na rok 1975.

Dochodziło wpół do trzeciej. Ulica była kompletnie pusta, po wschodniej stronie kładł się już ostry, czarny cień. Słuchałem przez chwilę ogłuszającej ciszy, której nie mącił już żaden dźwięk z pobliza autobusu, i wszedłem do pierwszego lepszego sklepu.

Sprzedawano tu kiedyś farby i chemikalia. Na kontuarze stała zdemolowana, przewrócona na bok kasa automatyczna marki NCR, w wyciągniętych szufladach widać było pieczątki, spinacze, drobne monety. Na ścianie wisiał zakurzony zegar elektryczny; jego tarcza była rozbita uderzeniem kolby, pogniecione wskaźówki zatrzymały się na godzinie 9.46. Kabel zasilający był wyszarpięty, gniazdko wyrwane ze ściany. W jednej z szuflad spostrzegłem poduszkę do stempli. Odcisnąłem na papierze pakowym pieczętkę; oprócz tekstu w alfabecie khmerskim zawierała również napis angielsko-francuski: Lon So Kheu, Paint Suppliers, 12, rue Onalhon, Phnom Penh, Cambodge.

Wiedziałem już, jak się nazywa ulica, na której się znajduję.

Puszki zrzucano z regałów, z niektórych wyciekły długie, kolorowe języki zakrzepłych farb. Potłuczone balony z kwasem były czarne i tłuste od kurzu. Słoiczki z odczynnikami zsunęły się w ciasną gromadkę na przechylonej półce, którą widocznie zamierzano wyrwać ze ściany. Wnętrze pachniało amoniakiem, terpentyną i emalią nitro.

Nie umiałem powściągnąć odruchu ciekawości. Przeskoczyłem przez stertę puszek, rozerwanych worków i zakurzonych pakunków, wszedłem na zaplecze sklepu. Był to niewielki pokój, pogrążony w półmroku.

Przewrócona lodówka ze zniszczonym agregatem i wyłamany mi drzwiami; zrzuczone z paleniska garnki; połamane krany wodociągowe; jakieś miski, miednice, skorupy.

Wszedłem jeszcze dalej, do niewielkiego ogródka, cały czas zdając sobie sprawę, że za chwilę będę musiał wrócić tą samą drogą. Raptowny blask słońca osłepił mnie na moment, potem w bujnej trawie dostrzegłem dwie rzeczy równocześnie: śnieżnobiały szkielet psa i niewielką stertę starannie ułożonych pocisków artyleryjskich kalibru 76 mm. Wszystkie miały wkręczone zapalniki, skierowane w moją stronę. Policzyłem je: czternaście.

Chciałem już wracać, ale nagle spojrzałem w prawo i dostrzegłem drewniane schody, wiodące na niewysokie piętro nad sklepem.

Ostrożnie, krok za krokiem, wszedłem na pierwsze piętro. Seledynowe drzwi były uchylone, w progu leżała jakaś szmata. Przekroczyłem ją ostrożnie, wysoko unosząc stopy. Stałem we wnętrzu pokoju mieszkalnego; wyglądał tak, jakby za chwilę mieli się pojawić jego mieszkańcy. Stół był nakryty do posiłku: sześć misek do zupy, porcelanowe łyżki w kwaciasty wzorek, koszyk z rafii, waza, nieporządnie rozrzucone pałeczki do ryżu. Krzesła były odsunięte od stołu, jedno leżało na boku. Rozejrzałem się po pokoju. Na niedbale pomalowanych, zakurzonych ścianach, wyraźnie odcinały się jaśniejsze plamy po zniszczonych portretach lub obrazach. Niewielka serwantka była otwarta na oścież, skorupy fajansowych misek zaścielały dolną półkę. Na podłodze spostrzegłem dziecięce buciuki, jakiś pasek i ślubne zdjęcie dwojga młodych ludzi. Schyliłem się, aby je podnieść, lecz nagle zrobiło mi się gorąco. Nic się właściwie nie stało, nie było słyhać żadnego dźwięku, półmroku nie zakłócił żaden cień, ale poczułem, że nie jestem tu sam. Przez pół minuty stałem wyprostowany i gotów do odwrotu, obmyślając jakieś niezdarne tłumaczenie. Ale nadal nie działało się

nic. Schyliłem się jeszcze raz i schowałem zdjęcie nowożeńców do kieszeni. Ten prosty ruch przywrócił mi pewność siebie. Poszedłem przez pokój jadalny w kierunku jeszcze jednych drzwi; odgłos swoich kroków słyszałem tak wyraźnie, jak chyba nigdy przedtem.

Sąsiednie pomieszczenie było sypialnią. Niska, bardzo szeroka prycza, pokryta materacem z pianki poliuretanowej była pełna brudnych szmat, nieokreślonych łachów, pootwieranych kasetek, podartych albumów. W rogu stało coś w rodzaju szafy: parawan z wzorzystej tkaniny, zawieszony na niklowanych prętach. Rozchyliłem zasłonę. Na wieszakach wisiały rzędem damskie suknie i sarongi, dwie męskie marynarki, parasol, jakaś torba. W kartonowym pudełku leżała czysta damska bielizna. Ludzie, którzy opuścili to mieszkanie nad sklepem, nie mieli wiele czasu. Przypuszczam, że wysiedlenie zaskoczyło ich przy posiłku.

Zajrzałem jeszcze do alkowy oddzielonej od sypialni plastikową zasłoną. Stały tam dwa rozbabrane kufry, pełne dziwnych przedmiotów, i coś, co przypominało kołyskę lub łóżeczko dla dziecka. Na podłodze dostrzegłem kolorowy kapelusik i śmieszne granatowe spodni z szerokimi szelkami. Ten dzieciak też już pewno nie żyje. Rodzina Lon So Kheu należała do klasy wyzyskiwaczy, handlowała farbami, na pewno sprowadzała coś z zagranicy.

Jesienią 1942 roku, po likwidacji „małego getta” w Warszawie i zburzeniu muru, oglądałem na Lesznie podobne wnętrza. Tyle tylko, że były obrabowane ze wszelkich wartościowych przedmiotów. Tutaj było właściwie wszystko. Oprócz ludzi.

Wróciłem do sypialni i zacząłem się zbierać do powrotu.

Nagle spostrzegłem coś, co mnie znowu przykuło do miejsca. Prycza była nieznacznie odsunięta od okna. Przestrzeń między parapetem i wezgłowiem pryczy wypełniał trudny do określenia kształt, na tyle duży, że serce zaczęło mi bić w przyspieszonym tempie. Tuż

obok leżała nowiutka czapka wojskowa chińskiego kroju, wycior do czyszczenia lufy i ze dwadzieścia błyszczących, niedawno wystrzelonych łusek pistoletowych. Przemknęło mi przez myśl, że jest za późno, żeby uciekać, i za późno, aby mu zniecka skoczyć na plecy. Wykonałem palcami prawej dłoni bezwiedny ruch odwodzenia bezpiecznika, ale nie miałem przecież pistoletu, zresztą broni nie trzymałem w ręku od lat. Musiał mnie widzieć od pierwszej chwili, słyszał moje kroki i wie teraz, że z sypialni już nie wyjdę.

To wszystko trwało nie dłużej niż pięć sekund. Czapka rzeczywiście leżała na pryczy, łuski też nie były przywidzeniem; całkiem niedawno ktoś musiał stąd prowadzić ogień. Jednak ów nieokreślony kształt był po prostu stertą jakichś łachów, wepchniętych za pryczę i ugniecionych jak kapusta w beczce. Może służył jako zasłona.

W tym domu nie było nikogo.

Działo kalibru 76 mm stało o dwa domy dalej. Nie miało zamka. Jego cienka lufa, podobna do żądła, wystawała zza płotu wprost na ulicę.

Wracając do autobusu spostrzegłem, że oba chodniki były zasypane setkami błyszczących łusek z broni maszynowej. Szedłem teraz w innym kierunku i słońce wydobyło z mętnej magmy, zalegającej ulicę Onalhon, ślady niedawnych walk.

LX. Spóźniłem się na zbiórkę przy autobusie, kierowca niecierpliwie trąbił. Zabieraliśmy się już do popychania naszego Isuzu, kiedy Carlos zaczął z podnieceniem opowiadać, że przed chwilą deptał po złocie. Każdy miał jakąś opowieść; w ciągu dwudziestu minut można było z tego miasta przynieść opowieści do diabła i trochę. Ale to złoto nas zainteresowało. Gdzie? W pagodzie, tu obok? Oznajmiliśmy dowódcy ochrony, że potrzebujemy jeszcze dziesięciu minut.

Chodziło właśnie o tę pagodę, którą minąłem w roz-

pędzie, idąc do sklepu z farbami. Nosi ona od kilkuset lat nazwę Onalhon — stąd nazwa ulicy — i jest naj-
słynniejszą świątynią w tej części kraju. Zbudowano ją
prawdopodobnie w złotym wieku królestwa khmer-
skiego, być może za czasów króla Jayawarmana VII.
Była, jak to w Kambodży, palona, burzona, odbudowy-
wana i znów palona. Jej obecny kształt pochodzi na
pewno z połowy XV wieku, ponieważ wzniesiono ją
wkrótce potem, gdy stolica kraju, po spaleniu Angkor
Wat przez Tajów, została przeniesiona do Phnom Penh.
Boczne pawilony są dziełem dużo późniejszym i nie-
zbyt udanym, lecz główny храм, wysoki na cztery
piętra i zwieńczony smoczymi ogonami u zbiegu ka-
lenic, jest budynkiem godnym uwagi. W kronikach
azjatyckich pojawia się już w XVI wieku jako miejsce
pielgrzymek do Złotego Buddy i siedziba *krou sang-
kriech*, a w tej epoce państwo Khmerów obejmuje
również Laos, wschodnią Birnę, trzecią część dzisiej-
szej Tajlandii i południe Wietnamu.

Mury pagody Onalhon są tylko w kilku miejscach
podziurawione przez pociski artyleryjskie niewielkiego
kalibru. Jest to prawdopodobnie jedna z niewielu, a
może jedyna w ogóle pagoda buddyjska w tym kraju,
której mury ocalały.

Ale za to jej wnętrze przyprawia o długą chwilę
osłupienia.

Posągu Złotego Buddy nie ma w ogóle i nigdy już
nie będzie wiadomo, czy istotnie był w całości odlany
z czystego złota, w co wierzyło kilkanaście pokoleń
pielgrzymów. Drewniane ołtarze, bariery i schowki są
połamane z taką furją, że trudno znaleźć choć jedną
deskę, z której nie sterczałyby żółtobrunatne drzazgi.
Strop z grubych pali pandanusa jest w kilku miejscach
osmalony, więźba dachowa spękana wskutek nadpale-
nia, niższe jętki i zastrzały nadrabane siekierą. Na
miejscu dawnego sanktuarium widnieją ślady po ognis-
ku, ludzkie ekskrementy, jakieś parciane pasy, rze-

mienie, brudne tenisówki, porzucony magazynek od pistoletu, kości zwierzęce.

Podłoga jest pokryta do wysokości pół łydki przedmiotami, za które każdy antykwariusz w Europie i Ameryce płaciłby bez wahania tysiące, dziesiątki tysięcy dolarów. Bogato cyzelowane patery i czary wotywny ze ściemniałej blachy srebrnej, pełne wymyślonych i doskonałych w proporcji ornamentów, scen bi tewnych, opowieści z życia Gautamy; magiczne zwierciadła z polerowanego brązu, oprawne w szylkret lub jaspis, zdobione najstarszym pismem ideograficznym, zbliżonym jeszcze do piktogramów; kilkaset, może tysiąc porcelanowych figurek Buddy, od tak małych, że można je zamknąć w dłoni, po półmetrowe, brzuchate, uśmiechnięte — surowy kaolin, matowy farfor, cienka jak papier glinka z prześwitami, barwne polewy, ornamenty ze złotego drutu; pozłacane naczynia na kwiaty, stawiane przed ołtarzem; całe worki najstarszych monet chińskich, khmerskich, wietnamskich, tybetańskich; najcudowniejsze wazy z epoki Ming o niedoścignym, kobaltowym błękitcie delikatnych rysunków; posążki tancerek, kapłanów, proroków, bogów i uczniów Buddy; zwoje pergaminów nawinięte jak Tora na hebanowe wałki; wyszywane złotem szaty, kapy, obrusy, zasłony. Przez siedemset lat zwożono Buddzie te dary z całej Azji.

Nie ma dosłownie ani jednego przedmiotu, który nie byłby zdeptany pogięty, potłuczony, podziurawiony bagnetem. Musiały upłynąć miesiące, zanim to morze przedmiotów udało się całkowicie unicestwić. Jest rzeczą wykluczoną, żeby był to jednorazowy akt furii niszczycielskiej; kilkunastu ludzi musiało od rana do wieczora przez wiele tygodni tłuc porcelanę, deptać naczynia z cienkiej blachy, urywać odlewane głowy posążków.

Ale i ten widok był jeszcze niczym w porównaniu z tym, co można obejrzeć w skrzydle głównej świątyni.

W zupełnym niemal mroku długimi rzędami połysku-

ją złote posążki Buddy, które zapewne stały kiedyś przed głównym ołtarzem. Nie chciałem początkowo wierzyć, że są wykonane ze złota. Wystarczy jednak popatrzeć z bliska na ciepły, miękki blask, jakiego nie ma żaden inny materiał znany człowiekowi, aby wyzbyć się wszelkich wątpliwości. Tylko kilka posagów, o wysokości od trzech do dziesięciu centymetrów, było odlanych w piaskowej formie z czystego, osiemnastokaratowego złota i te akurat były najmniej interesujące. Reszta, to znaczy jakieś pięćdziesiąt sztuk, była wykonana prastarą techniką, sięgającą jeszcze czasów hetyckich: na rdzeniu ze źle wytopionej surówki żelaznej obkuto na gorąco i potem wyrepusowano na zimno złotą, cienką blachę. Jest to ten rodzaj sztuki złotniczej, wobec którego błędną wszystkie europejskie cuda, od średniowiecza poczynając: prostota i niebiański spokój rysów mogły powstać tylko przy użyciu tej techniki i tylko w obrębie tej kultury.

Schyliłem się i podniosłem maleńką, odlamaną od tułowia głowę królewskiej tancerki, która zdobiła prawdopodobnie stopnie któregoś z okazalszych ołtarzyków. Była również wykonana ze złotej blachy, naciągniętej w niepojęty sposób na bury, toporny rdzeń z surówki zmieszanej z żuzłem i szlaką.

Złoto jest jedynym materiałem na Ziemi, który przetrwa wszystko. Nawet Czerwonych Khmerów.

Pod ścianami stały znów wotywny patery, wazy i czary, ale tym razem już zdobione złotą inkrustacją, perłami, rubinami, chyba i szmaragdami, choć trudno to było ocenić w mroku. Można przypuszczać, że najcenniejsze przedmioty zgromadzono osobno, aby je przetopić na złom, a szlachetne kamienie sprzedać na wagę.

Wyszedłem na dziedziniec pagody Onalhon, aby dołączyć do kolegów. Nagły blask słońca sprawił, że zmrużyłem oczy i spojrzałem w dół. Znowu zamigotało coś w wysokiej prawie na metr trawie tygryziej, porastającej dziedziniec. Poszedłem w tamtą stronę tro-

chę zbyt energicznie, ponieważ trawa rozchyłała się niechętnie, cięła ostrymi kantami tkaninę spodni. Chyba to mnie uratowało. W pewnym momencie mój but zatrzymał się o dwa centymetry od niewypału artyleryjskiego. Cofnąłem się, ale trawa nie dawała mi spokoju, kusiła jak grząskie bagno. Ostrożnie, krok za krokiem, zacząłem obchodzić boczny pawilon pagody. W trawie zaszeleścił niewielki, czerwonawy wąż, potem wyjrzała nagle uśmiechnięta twarz Buddy, leżącego na wznak, zabieliły się skorupy, skoczyła ciężko cykada. Znów Budda ze złotej blachy, pognieciona czaraka z mosiądzu, mlecznosrebrny połysk jakiejś pogiętej tacy.

Kiedy dokonałem całego obrotu wokół pawilonu, pośliznąłem się nagle i przez ułamek sekundy czekałem na wybuch, ponieważ pod obcasem usłyszałem grzechot metalu.

Była to jednak kupka starych monet — złotych lub przynajmniej bardzo grubo pozłacanych.

W ten sposób po raz pierwszy i na pewno ostatni w życiu i ja stąpałem po złocie.

LXI. Isuzu obraził się na nas. Charczał, prychał, ale nie chciał zapalić. Pchaliśmy go ze sto metrów, zziębnięci, ubrudzeni, wściekli. W końcu niechętnie zadymił. Powiedzieliśmy kierowcy, żeby nie gasił silnika na postojach; pokręcił głową i pokazał na bezużyteczny pedał hamulca. Hamowanie biegami musiało się przy tej masie kończyć zgaśnięciem silnika. Absurdalność tego miejskiego autobusu — jedyne, jaki ocalał w dwumilionowym niegdyś mieście, bo wszystkie inne spalono lub wywieziono do Chin — była rozśmieszająca, lecz w nieoczekiwany sposób sprawiła, że pojawiło się wśród nas paradoksalne poczucie zadomowienia. Mieliśmy już w tej pustyni swój autobus, swoje w nim miejsca, stały, przytulny kątek na ocenie nicości.



Człowiek jest naprawdę zdumiewającym stworzeniem.

LXII. Znow jechaliśmy przez puste, zaśmiecone ulice, wśród tchnących chłodem jam sklepów i okien, z których nikt nie wyglądał, pośród willi zarosłych krzewami i wielopiętrowych kamienic, które przypominały niedbale wykonaną makietę do filmu. Ciągłe nie było nikogo, nikogo, choć ogrom tego miasta coraz bardziej zdumiewał. Z każdego kolejnego ronda wytryskiwały wiązki nowych ocienionych bulwarów i ulic, w tle majaczyły jakieś potężne gmachy, połyskiwały oślepiające białe mury coraz piękniejszych willi. Mijałyśmy obsypane kwiatami parki, wyniosłe cokoly, z których pozdejmowano pomniki, skręcaliśmy w martwe aleje. Zobaczyliśmy ratusz w stylu kolonialnym z bramą zabita deskami, i budynek poczty, w którym nie było ani jednego interesanta.

Pokazano nam spory prostokątny plac w centrum, między dworcem kolejowym i hotelem Le Royal; stała tu jedyna w Kambodży katedra katolicka. 19 kwietnia 1975 roku, w 48 godzin po wkroczeniu Czerwonych Khmerów do miasta, katedrę wysadzono w powietrze wraz z całym wyposażeniem wnętrza, a gruzy uprzątnięto tak dokładnie, że nie można rozpoznać nawet zarysu fundamentów. A co z księżmi? No, rozstrzelano ich, co do jednego, tak samo, jak duchowieństwo budyjskie.

LXIII. Przemknął mi przez myśl motyw do napastliwego, wściekłego komentarza, jaki powinienem stąd napisać. Ci na Zachodzie mają pełną gębę gadania o prawach człowieka. Wolność, suwerenność, legalizm, demokracja. Nigdy im się to nie nudzi, są niezmordowani w żonglowaniu frazesami, nawet wówczas, gdy w tym samym czasie dopuszczają się masakr w Algierii

czy w My Lai. Ale kiedy przychodzi okazja, aby te śliczne słowa skonfrontować z praktyką polityczną, na ich szlachetnych buziach pojawia się nagle małpi grymas obojętności, zaczynają stroić miny i przytaczają zupełnie nieodparte argumenty, że Kali mieć zawsze rację. Ich sumienia znów są tyle samo warte, ile były warte w epoce konkwisty, wczesnego kolonializmu lub wojen opiumowych. Przecież mają już teraz dokładne informacje, co pozostawili po sobie Czerwoni Khmerowie w Kambodży. Nie mogą mieć żadnych wątpliwości, że Pol Pot wymordowałby następne dwa miliony ludzi, gdyby dłużej pozostał przy władzy. Nic ich to jednak nie obchodzi i nigdy nie obchodziło; w istocie liczą się dla nich tylko kalkulacje strategiczne i bilansy zysków. Oni tylko umieją w niedościgniony sposób pozować na apostołów prawa, moralności i wszelkich swobód. Ściskają dłonie przedstawiciele dyplomatycznych Pol Pota w Narodach Zjednoczonych, może w tej samej chwili, kiedy jadę autobusem Isuzu po tym mieście-cmentarzu; bulgoczą coś o legalizmie, suwerenności i niedopuszczalności agresji. Moralisci najświeższego chowu, nawróceni rzecznicy nieingerencji, Szawłowie cynicznego oportunisty.

A przecież wiedzą doskonale, że do służby zagranicznej Pol Pot kierował tylko takich ludzi, którzy mieli za sobą wystarczająco długi staż w pierwszej linii, gdyż tylko współpracownicy dają gwarancję lojalności. Ci wytworzeni dyplomaci musieli działać przez jakiś czas z pistoletem maszynowym w ręku lub z motyką do rozbijania czaszek. Nie ma wśród nich ani jednego, który byłby tylko „mordercą z za biurka” i nie uczestniczył czynnie w „budowie nowego społeczeństwa”. Trzeba by poprosić tych ludzi o szczegółowe życiorysy, z datami i miejscami pobytu. Warto by spytać z głupia frant, czy oświście likwidowali katolickich księży i buddyjskich bonzów, czy też tylko nadzorowali „ostateczne rozwiązanie”, wybierając miejsca na masowe groby i rozstrzygając skinieniem dłoni, komu kula, komu motyka.

Legalizm jest bardzo ładnym pojęciem. Na przykład legalny prezydent Rzeszy Niemieckiej, marszałek Hindenburg, legalnie przekazał władzę legalnemu kancle rzowi nazwiskiem Adolf Hitler. Legalny rząd Hitlera utworzył legalną policję państwową pod nazwą Gestapo, w której praktyki nie powinien się wtrącać żaden zwolennik nieingerencji. Legalne ministerstwo legalnego rządu Rzeszy utworzyło z pełnym poszanowaniem praw legalny obóz pod nazwą Auschwitz, w którym urzędnicy legalnego państwa niemieckiego dokonywali różnych czynności, mieszczących się całkowicie w prawnych ramach suwerenności. Więcej: obecność wojsk alianckich na terytorium Rzeszy była rzeczą skandalicznie nielegalną, ponieważ żaden rząd niemiecki nie zaprosił tych wojsk na swoje terytorium.

Bezgraniczny cynizm i bezgraniczna entropia świata. Nie twierdzę, że na mojej twarzy nigdy się nie pojawia małpi grymas obojętności i że na moim sumieniu nie ma żadnych skaz. Tyle tylko, że od dawna rozstałem się z pychą i nieomylnością każdego sądu z osobna. Cała reszta jest kwestią subiektywnego, dobrowolnego wyboru. Dokładnie tak samo jak u tamtych. Jest to kwestia różnicy znaków algebraicznych, a nie jakościowej różnicy norm i kodeksów moralnych, które miałyby świadczyć o ich wyższości. Nic takiego nie istnieje. Kambodża jest tego najlepszym dowodem.

Ale przecież nie napiszę takiego komentarza. Nie zaszczyca mnie dyskusją o Pol Pocie, zρέcznie podsuną inny, wygodniejszy dla nich temat. To nie ma żadnego sensu.

LXIV. Zatrzymaliśmy się na chwilę — ale tylko na chwilę, towarzysze! — w byłym centrum handlowym miasta. Znękany naszym nieposłuszeństwem dowódca ochrony jeszcze raz wygłosił ostrzegawcze przemówienie. Rozpoczęliśmy rokowania i przetargi. Powiodło

się. Dostaliśmy dwadzieścia minut na wykonanie wszystkich niezbędnych zdjęć.

Ale nie było to łatwo sfotografować i opisać. Główna hala targowa, zbudowana w kształcie stożkowej piramidy, wyglądała bez ludzi i towarów jak makieta do filmu fantastycznego. Jej wizualny kształt nie ma sam przez się żadnej wymowy na zdjęciu, jeśli go się nie zestawia z ponurą ciszą mrocznego wnętrza, z piśkiem szczurów biegających po pustych ladach i straganach, z klimatem nonsensowego oczekiwania, że za chwilę hala zaroi się gwarnym, wesołym tłumem. Bazary i targowiska Azji są widowiskiem, które można oglądać bez końca, festiwalem dla oczu, szaleństwem barw, gestów, głosów, ruchu. Trzeba to mieć w pamięci, aby pojąć ciszę i pustkę tego targowiska. Zniechęceni operatorzy jeden po drugim zdejmowali kamery z ramion; tego się nie da sfilmować, pusty budynek zawsze będzie na ekranie tylko pustym budynkiem.

Poszedłem znów prosto przed siebie jakąś szeroką ulicą, przy której ciągnęły się długim rzędem eleganckie, bogate sklepy dla górnych dziesięciu tysięcy. Towary znów były niechlujnie wywalone z półek, stłamszone przez monsunowe deszcze, powysypywane na chodniki. Kosmetyki i płyty, papier i narzędzia, wazonny i ubrania, naczynia i dywany. W każdym kolejnym wnętrzu potłuczone liczniki elektryczne, wyrwane kable, zdeptane żarówki. Nienawiść do elektryczności musiała tu graniczyć z paranoją; każda lodówka, wentylator, zegar elektryczny, imbryk do kawy, odkurzacz, płytka grzejna, były zmiażdżone i pocięte. Stożące na chodnikach krzesła i kanapy urosły w setki, widocznie ściągano je z wysokich pięter, bo niemożliwe, aby wszystkie stały przedtem w parterowych sklepach. Do krańca widoczności stały na ulicach w pustce i słońcu wyścielane fotele klubowe, kuchenne taborety, wygodne pufy, metalowe krzesła ogrodowe, stylowe leżanki, obite skórą leniwce. Zeschnięte liście o barwie piwa, nie dopalone papierosy, skręcone taśmy magnetofono-

we, amatorskie zdjęcia z uśmiechniętymi twarzami jakichś ludzi, suche igły drzew kamforowych — to wszystko wciskało się w szpary siedzisk, zatrzymywało pylisty kurz, stwarzało atmosferę grozy i nudy jednocześnie, bezgranicznego opuszczenia, nierzeczywistości, jaką mają tylko obrazy Maxa Ernsta lub Yvesa Tanguy.

Ale najbardziej przejmującym widokiem były jednak buty. Setki, tysiące, może nawet dziesiątki tysięcy butów, porzuconych na środku jezdni, stojących na chodnikach i w bramach domów, rozwleczonych po każdym metrze kwadratowym ulicy. Męskie, damskie, dziecięce. Sandały i kamasze. Eleganckie buciki na obcasie i miękkie mokasyny z bawolej skóry, biedne uczniowskie tenisówki i rozczłapane półbuty przekupnia. W rejonie tej ulicy musiał się widocznie mieścić punkt zborny podczas wysiedlania; przed wymarszem do komuny mieszkańcom kazano wyrzucić wszelkie dokumenty osobiste i zdjąć buty.

Przy którejś przecznicy złapałem niezły kadr: dwa męskie pantofle z porządnej skóry, obok potulnie, para damskich bucików z białej dermy, o krok dziecięce trzewiki i różowa lalka bez rąk. W tle pusta, zaścianczona ulica, ziejące jamy otwartych, splądrowanych sklepów i kępa zielska w samym środku jezdni.

Skręciłem w kolejną przecznicę i spostrzegłem nad narożnym budynkiem napis: IBM. Był to jedyny napis, jaki widziałem w tym mieście, jedyne litery, których nie zniszczono — przez nieuwagę lub niechlujstwo. Trudno to wytłumaczyć, ponieważ International Business Machines jest jednym z największych koncernów Zachodu i pierwszym na świecie producentem komputerów, a więc przedmiotów, które dla Czerwonych Khmerów musiały stanowić wcielenie wszystkich diabelstw cywilizacji przemysłowej.

Wszedłem do otwartego na oścież biura; poprzewracane fotele, resztki spalonych kart perforowanych, pęk

słomy ryżowej za kontuarem, na podłodze zakurzone butelki po whisky.

Uchyliłem drzwi na zaplecze i po raz pierwszy w życiu zobaczyłem zamordowany komputer.

Była to prawdopodobnie jedyna maszyna matematyczna III generacji między Tokio i Bangkokiem. Wyprodukowano ją w amerykańskim mieście Bridgeport w 1973 roku i opatrzono numerem seryjnym AS 012 0653 7070. Nie wiadomo, do czego mogła służyć w tym biednym kraju, gdzie ludzka praca zawsze była nieskończenie tańsza niż jakiegokolwiek maszyny. Może korzystała z niej tajna policja Lon Nola, może czcigodny Sien-tai obliczał na niej swe krocie.

A teraz już nie istnieje. Nadaje się tylko na złom. Konsola przypominała wrak samochodu po silnym zderzeniu czołowym. Lampki kontrolne wytłuczone co do jednej, mikrowyłączniki powyrywane obcęgami, klawiatura zmiażdżona kamieniem, czytnik oscyloskopu rozbity. Tego dzieła można było dokonać w piętnaście minut, ale zniszczenie bębnow z pamięcią magnetyczną musiało trwać bardzo długo. Na jednej rolce mieści się około dwóch kilometrów taśmy; wszystkie rolki rozwinięto, splątano i pocięto taśmę, pognieciono uchwyty. Szafka mikroprocesora przyprawia wręcz o zdumienie: przerzutniki i bramki są powydubywane bagnetem lub śrubokrętem z gniazd kontaktowych, delikatne końcówki płytek z obwodami scalonymi zostały starannie i cierpliwie poprzecinane, chyba żyłką lub brzytwą. Ogrom wysiłku, jaki włożono w zniszczenie komputera, nie mieści się w głowie; jeden granat rzucony do wnętrza szafki załatwiłby to skuteczniej w ciągu jednej sekundy. Ale nie ma tu żadnego śladu materiałów wybuchowych; najwidoczniej ręczne niszczenie tak wyuzdanych produktów cywilizacji miało dla Czerwonych Khmerów jakieś znaczenie ideologiczne. Wcale nie jest tak łatwo zamordować komputer; ludzie, którym to zlecono, musieli być głęboko przekonani o celowości swego działania. Mogli przecież po-

przebrać na zniszczeniu konsoli. Lub po prostu podpalić lokal koncernu IBM.

Bardzo mało wiem nadal o motywacjach, jakie ożywiały Czerwonych Khmerów. Przecież Pol Pot ani Ieng Sary osobiście się tym nie zajmowali.

W drodze powrotnej zatrzymałem się przed pięciopiętrowym domem mieszkalnym i bez zastanowienia wszedłem na podest klatki schodowej. Był to bardzo elegancki budynek, który z powodzeniem mógłby stać na Paseo de la Reforma w Mieście Meksyk lub na Soliman Pasza w Kairze; przypominał dość wiernie styl tamtych miast.

W otwartej windzie leżał jakiś pośpiesznie związany tobołek, chyba z ubraniem; podłoga była zarzucona dokumentami osobistymi w języku khmerskim i mnóstwem drobnych, podręcznych przedmiotów.

Wszedłem po szerokich marmurowych schodach na pierwsze piętro, potykając się o buty, walizki, zmiętą odzież, zabawki. Drzwi do któregoś mieszkania były lekko uchylone, lecz stawiały opór. Zawahałem się przez sekundę, czy wchodzić; nagle napłynęło wspomnienie z tamtego domu nad sklepem z farbami. Ale to trwało tylko sekundę. Popchnąłem drzwi i wcisnąłem się przez szparę do obszernego, trochę mrocznego przedpokoju. Drzwi natychmiast zamknęły się z powrotem, jak pchnięte sprężyną. Między skrzydłem drzwi i ścianą leżała brudna, zwinięta derka z wyraźnymi śladami krwi. Krople zakrzepłej krwi układały się w wyraźną ścieżkę, biegnącą przez cały przedpokój. Poszedłem jej śladem, wymyślając sobie w duchu. Ślady urywały się przy progu kuchni. Ktoś, kto tu umierał, nie miał łatwej śmierci. Na kamiennej podłodze kuchni znów leżała jakaś pofałdowana kapa, doszczętnie zbryzgana krwią. Długie, brunatne języki wyschniętej krwi rozpełzały się po posadzce w promieniu półtora metra.

Rozejrzałem się po kuchni urządzonej prawie w europejskim stylu, co w Azji jest rzadkością, nawet w zamożnych domach. Lodówka była przewrócona na

bok, jej wyszarpany agregat leżał pod oknem, z wnętrza wysypały się potłuczone słoiki i pogniecione pudełka. Nad nie zniszczoną kuchnią elektryczną wisiały czyste, wesole rondle i patelnie, na stoliku leżał zardzewiały nóż. Przynajmniej wyglądało to na rdzę; przyszło mi do głowy, że z powodzeniem może to być krew człowieka, którego tu zabito.

Z kuchni wiodły jeszcze wąskie drewniane drzwi do sąsiedniego pomieszczenia, chyba spiżarni lub schowka. Spostrzegłem, że są zamknięte na klucz, lecz środkowa deska została wyłamana, i to chyba niedawno, bo drzazgi były zupełnie jasne. Zajrzałem przez szparę. Tuż przy drzwiach leżał szkielet dużego psa, jego czaszka dotykała progu, kości ogona były ułożone równiutko, jak na szkolnym modelu anatomicznym. Widocznie zamknięto go w tym pomieszczeniu podczas wysiedlania, żeby zdechł z głodu i nie pętał się koło swych państwa.

Czerwoni Khmerowie mieli surowy rozkaz, aby oszczędzać amunicji. Dużego psa trudniej jest zabić motyką niż człowieka. Zajrzałem jeszcze do salonu, urządzonego tak wiernie w stylu amerykańskim, że człowiek, który tu mieszkał, musiał dość dobrze znać Stany Zjednoczone. Miękką skórzana kanapa; na stoliku kryształowa popielniczka, dwa kieliszki, stronica z tygodnika „Time” z datą 14 marca 1975 roku; powyrwane ze ścian kinkiety, zgięta w połowie wysokości lampa stojąca, drobne szkło potłuczonych żarówek; pusta biblioteczka, z której zabrano wszystkie książki; para damskich butów, stojąca na miękkim dywaniku.

W przedpokoju zajrzałem do szafy. Było w niej gęsto od ubrań, sukienek, wdzianek; w samym środku wisiał mundur wojskowy z cienkiej, beżowej popeliny, widocznie mundur armii lub policji Lon Nola. Przeszukałem kieszenie. Długopis, kalendarzyk, zapalniczka z jakiegoś hotelu w Singapurze. W zewnętrznej kieszeni na prawej piersi znalazłem dokument identyfikacyjny ze zdjęciem i pieczęciami. Człowiek, który na mnie

patrzył ze zdjęcia w przedpokoju własnego mieszkania, na pewno już nie żyje, nawet jeśli to nie jest jego krew w kuchni i przedpokoju. Miał za dużo gwiazdek na kołnierzu, za dużo baretek na piersi.

Schowałem ten dokument do kieszeni, ale za chwilę wyjąłem go z powrotem i rzuciłem na podłogę.

Wychodząc z kamienicy przyspieszyłem kroku. Było już późno, nieprzekraczalne dwadzieścia minut dawno już minęło. Ledwo zdążyłem postawić stopę na chodniku, rozegrała się scena jak z kowbojskich filmów wyświetlanych w przyspieszonym tempie. Po tej samej stronie ulicy, o cztery metry ode mnie, szedł oficer khmerski. Kiedy wynurzyłem się nagle z bramy, sięgnął błyskawicznie do kabury, wyrwał pistolet, ale zanim zdążył zarepetować, krzyknąłem: *Polonh! Nekasat! Same mot!*, i wyszczerzyłem w uśmiechu zęby. Przez moment patrzył na mnie podejrzliwie, nie opuszczając pistoletu. Potem widocznie skojarzył mnie z grupą cudzoziemców, która odwiedzała miasto; nie mógł o niej nie wiedzieć. W końcu odwzajemnił uśmiech i rozeszliśmy się, każdy w swoją stronę.

Był to pierwszy żywy człowiek, którego spotkałem twarzą w twarz w tym dwumilionowym niegdyś mieście.

LXV. Ostatnim punktem naszego programu w Phnom Penh było zwiedzenie szpitala Preah Ket Mealea, gdzie również, jak nam powiedziano, rozpoczynało się *nowe życie*.

U wejścia powitała nas młoda, przystojna kobieta w białym fartuchu, doktor Chey Kanh Nha, jedyna kobieta lekarka, jaka ocalała w całej Kambodży. Jest obecnie wiceministrem zdrowia w nowym rządzie i zarazem dyrektorem szpitala. Jej śniada, delikatna twarz o pięknych oczach w kolorze kasztanów wyrażała tyle udręki i bezbrzeżnego smutku, że zacząłem wypytywać panią minister o zyciorys.

Doktor Chey ma trzydzieści cztery lata. Pochodzi z zamożnej rodziny kupieckiej. Dyplom lekarza medycyny uzyskała w 1970 roku na wydziale lekarskim uniwersytetu w Phnom Penh. Pracowała jako asystentka ordynatora oddziału dziecięcego w szpitalu Preah Ket Mealea. Jej mąż, starszy od niej o 14 lat, uzyskał dyplom w Paryżu, a następnie skończył studia podyplomowe w Moskwie. Po powrocie do kraju otrzymał tytuł profesora i wykładał neurologię w Phnom Penh, prowadząc również praktykę prywatną.

Oboje byli ludźmi znanymi w stolicy i nie mieli żadnych szans, aby się ukryć lub przemilczeć swe życiorysy, kiedy do miasta wkroczyli Czerwoni Khmerowie. Mąż pani Chey stanowił okazowy wręcz przykład połączenia szkodliwych wpływów Zachodu i „radzieckiego rewizjonizmu” równocześnie. Został aresztowany we własnym mieszkaniu dwudziestego kwietnia, w trzy dni po zdobyciu miasta, i w kilka dni później powieszony na dziedzińcu jednej z podmiejskich szkół. Doktor Chey chciała pogrzebać ciało męża i wybrała się pieszo w kierunku szkoły, gdzie ciągle jeszcze towarzyszy jej życia wisiał na słupie do siatkówki. W połowie drogi zatrzymał ją patrol Czerwonych Khmerów. Kazano jej zdjąć buty, wyrzucić dokumenty osobiste i ustawić się w szeregu. Nie wróciła już do domu, gdzie pod opieką sąsiadki zostały jej dwie córeczki w wieku sześciu i siedmiu lat. Dzieci zaginęły na zawsze w chaosie ewakuacji. Nie pozostał po nich żaden ślad, nie dotarła żadna wiadomość. Nie ma nadziei, aby się kiedykolwiek odnalazły.

Dwadzieścia dwa dni szła pieszo do powiatu Boung Long. Najpierw na północ drogą nr 13, potem na wschód drogą nr 19. Trzykrotnie krwotok z poranionych stóp zmuszał ją do przerywania marszu; konwojenci kazali jej siadać na wózek, ciągnięty przez jakieś stare kobiety, ale nie pozwalali zatrzymać się choćby na jeden dzień. Kiedy rany stóp przestawały broczyć, wszystko zaczynało się na nowo. W komunie doktor

Chey dostała najpierw III, a potem IV kategorię, ponieważ milczała i nie zabierała głosu na zebraniach indoktrynacyjnych. Pracowała na polu ryżowym od piątej rano do siódmej wieczorem, z godziną przerwą na obiad; jej delikatne dłonie zgrubiały i pokryły się wrzodami od nieustannej infekcji.

Po dziewiętnastu miesiącach doktor Chey zmówiła się z inną kobietą, która straciła podczas wysiedlenia męża i syna. We wrześniu 1976 roku zaczęły obie odkładać ryż i suszone warzywa. Ukradły z kuchni paczkę zapalek. Potajemnie ususzyły funt małych rybek. Pierwszego października, krótko przed północą, wymknęły się obie ze zbiorowej sypialni i zniknęły w pobliskich zaroślach. Szły na wschód, do Wietnamu. Komuna znajdowała się o 85 kilometrów od granicy. Liczyły, że droga potrwa najwyżej tydzień. W praktyce trwała siedemnaście dni. Najgorsze były noce w dżungli, kiedy musiały spać na zmianę, aby podtrzymać płomyk małego ogniska, odstrasżającego zwierzęta. Podobno raz zobaczyły nawet tygrysa. Piętnastego dnia obie równocześnie zachorowały na dyzenterię. Doktor Chey nie potrafi powiedzieć, w jaki sposób, w gorączce dochodzącej do 40 stopni, dobrnęły do granicznego parowu. Osiemnastego października o świcie zobaczyły wietnamskiego chłopca z pistoletem maszynowym.

Doktor Chey spędziła dwa i pół roku w Wietnamie, w obozie dla uchodźców kambodżańskich. Od pierwszej chwili po powrocie do zdrowia zajęła się działalnością polityczną wśród uciekinierów. Należała do pierwszych organizatorów ZFNOK. Wróciła do Phnom Penh razem z czołową armii wyzwoleniczej. Jest dziś kobietą samotną, która uważa swe życie osobiste za skończone. Nie wróciła do swego poprzedniego mieszkania w centrum miasta. Mieszka w małej klitce na terenie szpitala. Cały swój czas dzieli między chorych i działalność polityczną w nowym rządzie. Jest prawą ręką dra Nu Benga, odpowiadającego w Radzie Ludowej za

lecznictwo i ochronę zdrowia. Oba te pojęcia brzmią w Kambodży szyderczo.

LXVI. Szpital Preath Ket Mealea został ufundowany przez Sihanouka w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, a następnie przebudowany za czasów Lon Nola. Nie ma to zresztą większego znaczenia, ponieważ w praktyce ze szpitala zostały tylko mury. Tak samo jak w Svay Rieng zniszczono tu cały zapas środków leczniczych, niemal wszystkie instrumenty lekarskie, sprzęt, wyposażenie kuchni, nawet większość materaców.

Chorych i rannych było tu więcej niż w Svay Rieng. Nawet podczas naszej obecności karetka przywiozła dwóch postrzelonych, ciężko rannych żołnierzy. W tej części miasta strzelanina była zresztą dużo gęstsza niż w śródmieściu; chwilami wśród nieregularnego ognia pistoletów maszynowych można było usłyszeć odległe serie z cekaemów i jakieś niejasne wybuchy. Na personelu nie sprawiało to żadnego wrażenia.

Znowu sale pełne cierpiących bez słowa ludzi, którym można podać tylko czarkę zbeltanej wody do picia lub chininę, to znaczy jedyny lek, jaki tu był w obfitości. Rodząca kobieta. Starzec o szklistych oczach. Zwłoki wychudzonego chłopca o odstających uszach i szlochająca nad nim matka. Ranni żołnierze z oczami płonącymi gorączką, przykryci okrwawionymi obrusami z restauracji. Szlak chłopskiej wędrówki biegł skrajem miasta i pewno dlatego było tu aż tylu ludzi; po pustce śródmieścia korytarze szpitalne wydawały się zatłoczone.

Zajrzałem przez uchylone drzwi do jakiegoś pomieszczenia, z którego wydobywało się światło elektryczne. Wiedziałem, że w szpitalu, podobnie jak w całym mieście, nie ma elektryczności. Ale to była sala operacyjna, oświetlana lampą bezcieniową, do której prąd dostarczał połowy agregat. Dwaj młodzieńcy lekarze wietnamscy w czystych kitlach narzuconych na wojs-

kowe mundury operowali nieprzytomnego mężczyznę, którego ręce zwisały bezwładnie po obu stronach stołu. Asystentką była wietnamska zakonnica z dużym drewnianym krzyżem na habicie. Przy obsłudze agregatu na podwórzu szpitalnym krzatali się dwaj usmoleni, zmęczeni żołnierze wietnamscy.

Schodziłem już z pierwszego piętra, kiedy towarzyszący mi felczer zapytał, czy chcę zobaczyć ofiarę tortur Pol Pot'a. Tak to określił.

LXVII. Nigdy jeszcze nie widziałem tak zmasakrowanego człowieka, choć podczas wojny i powstania warszawskiego, a potem podczas wojen w Egipcie i Indonezji widziałem niejedno.

Mężczyzna nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat. Jego twarz była jedną bryłą krwawego mięsa. Rozdarłe wargi. Wypchnięte na wierzch, nie widzące oko o nieruchomej powiece. Złamana kość brody. Nozdrza zmiżdżone palką lub obcasem. To wszystko czyniło z tej twarzy maskę tak potworną, że trudno było uwierzyć w jej człowieczeństwo. Klatka piersiowa pokryta strupami na całej szerokości. Brzuch, pachwiny i genitalia zupełnie czarne, błyszczące, napięte, na biodrach zwęglone ślady po elektrodach; musiano go bardzo długo torturować prądem zmiennym. Kości nóg tego człowieka, jak objaśnił felczer, były połamane w 17 miejscach uderzeniami stalowego pręta. I tylko na nogach rannego dokonano zabiegu leczniczego: obie nogi, rozparte poduszeczką z rafii, były przywiązane sznurkiem do wąskich bambusowych deseczek. Nic więcej nie można było zrobić. Szpital nie ma antybiotyków, środków uśmierzających ból, wapna, glukozy, strofantyny.

Ranny cuchnął tak, że w pokoju trudno było oddychać. Piersś unosiła się miarowo, przy każdym wdechu strupieszale brzegi ran rozstępowały się nieznacznie, ukazując jasnoróżowe początki blizn.

O tym człowieku nic nie wiadomo. Nie jest znane jego nazwisko, pochodzenie, poglądy. Sam fakt, że jeszcze żyje, graniczy z cudem: minęło prawie cztery tygodnie, odkąd go tu przywieziono. Został znaleziony siódmego stycznia po południu w słynnym liceum Tourl Soay Prey, zamienionym na najgorszą katownię Czerwonych Khmerów, wśród czterdziestu sześciu tak samo wyglądających, lecz martwych już współwięźniów. Słyszałem o tej szkole. Obiecano nam ją pokazać następnym razem.

Felczer przypuszcza, że ranny był oficerem Czerwonych Khmerów, którego schwytano przy próbie dezercji lub posądzono o sprzyjanie ludziom Somrina. Ale to zaledwie luźny domysł. Ranny tylko raz odzyskał przytomność na kilka minut, nie mógł mówić. Ma wybite zęby i rozdarte wargi. W ogóle trudno wyjaśnić, dlaczego on jeszcze żyje.

Spojrzałem jeszcze raz na człowieka bez nazwiska, który swym życiem przeczy prawom natury. Pomyślałem, że w tych warunkach długo jednak nie pożyje i pójdzie do ziemi wraz ze swą opowieścią, której nikt już nigdy nie pozna.

Na podwórku szpitalnym dostrzegłem wysoką na pół metra stertę potłuczonych ampułek. Podniosłem garść delikatnych lupin. Wśród nie znanych mi specyfików amerykańskich, francuskich i szwajcarskich znalazłem ampułki po glukozie, morfinie i wapnie.

LXVIII. Dopiero kiedy opuściliśmy szpital i ochłoneliśmy po pchaniu naszego Isuzu, uświadomiłem sobie, że wiem już, dlaczego Phnom Penh od pierwszej chwili wywołuje niejasny, podświadomy, trudny do nazwania niepokój. To miasto nie ma żadnego zapachu. Nie pachnie Azją, a zapach Azji to suszące się na słońcu ryby, ścieki w rynsztokach, wilgotne owoce, żar węgla drzewnego, sos sojowy, aromatyczne pierożki, bieda, brud,

skwierczący olej, suchy kurz, liście areku, mroczne wnętrza sklepów, betel, mdląca woń heliotropu, imbir, muł na łapkach krabów, mocz ludzki, drewno sandałowe.

To miasto nie ma żadnego zapachu. Wszyscy zgodnie powiedzieliśmy, że pachnie trupem, ale była to chyba zbiorowa autosugestia. Phnom Penh jest sterylne i pozbawione zapachu rozpoznawczego, węchowego dowodu tożsamości, jaki ma każde wielkie miasto świata.

LXIX. Z notesu. Samolot Phnom Penh—Sajgon, 6/2, godz. 17.10. *Some birthday*. Jadłem lunch w pałacu królewskim i chodziłem po złocie. Kolejna „przygoda reportera”. Ohyda. Nie utopić tego w opowiastkach za 5 gr., nie pleść przez radio, jak się wzruszyłem. *Greuelgeschichte* to jeszcze nie dziennikarstwo. Konieczne: nie popaść w epatowanie, nadmiar opisu i zdumień. TV pokaże to lepiej, Mysza i Jasio pracują bez pudła. Zrozumieć, ale naprawdę, bez uproszczeń. Wyjaśnić najpierw sobie samemu, na głos. Raz wreszcie żeby to było serio. Zasada: bez piękności, suchy zapis. Krótkie zdania! Zaraz lądujemy.

LXX. Znowu dwa dni oczekiwania na kolejny wyjazd. Spirytus z pepsi-colą. Langustyna à *poivre*. Klótnie, przyjaźnie, nocne dyskusje. *Lua moi*. Ogromne ilości słabego piwa polepszającego pracę nerek. Hotel Rex bez mnie, podobno było fajnie. Wyprawy na barachórkę, do Cholonu, do katedry świętego Franciszka Ksawerego. Carlos podczas kolacji strzela do wszystkich z palców, wołając: pol-pot! ieng-sary! pol-pot! ieng-sary! Gerhard recytuje z pamięci Apollinaire'a po francusku. Ormianie częstują kinzą.

Samotne spacerunki po śródmieściu, szkice do materiałów. Pierwszy zarys książki. Wstyd.

LXXI. Przecież nie można o tym wszystkim myśleć na zasadzie gęby rozdziawionej ze zdumienia, nie można opowiadać strasznej bajki o czarnym ludzie. Prawie wszyscy ludzie ze ZFNOK byli związani z Czerwonymi Khmerami, zresztą to określenie nigdy tu nie pada, w każdym razie nie pada w ujemnym kontekście. Nie ma w tym nic dziwnego, ponieważ oni w istocie są nadal Czerwonymi Khmerami; to określenie zostało wymyślone przez Sihanouka i obejmowało prawdopodobnie całą miejscową lewicę. Dzień 17 kwietnia 1975 roku jest nadal uważany za datę wyzwolenia Kambodży i zostanie wkrótce uznany za oficjalne święto państwowe — nie 7 stycznia, lecz 17 kwietnia. Członkiem Komunistycznej Partii Kambodży był Pol Pot, lecz również Heng Somrin; ci dwaj dobrze się znali osobiście i zapewne nieraz rozmawiali ze sobą o losach rewolucji. Nie słyszałem dotąd, aby ktoś podawał w wątpliwość założenia ideowe partyzantki Czerwonych Khmerów. O Lon Nolu i okresie rządów amerykańskich myśli się na pewno tak samo po obu stronach. To w końcu była prawdziwa rewolucja ludowa, popierana początkowo przez wszystkie kraje socjalistyczne. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w pierwszej fazie miała również poparcie prawie wszystkich chłopów, sporej części drobnomieszczaństwa i przeważającej części inteligencji. W listopadzie 1971 roku, podczas pobytu w Hanoi, Ieng Sary publicznie dziękował Wietnamowi za pomoc materialną dla partyzantów i za poparcie polityczne dla kambodżańskiego ruchu wyzwolenczego. Na wiecu urządzonym 19 kwietnia 1975 roku w Phnom Penh — data nie jest bez znaczenia — Pol Pot otwarcie stwierdził, że zwycięstwo rewolucji nie byłoby możliwe bez pomocy Wietnamu i innych krajów socjalistycznych.

To wszystko, co się stało później, wymaga dokładnej analizy. Ale prawda pierwsza jest taka, że Czerwoni Khmerowie nie byli obcym importem, zgrają nasa-

dzonych zbirów, absurdalnym przypadkiem historycznym.

LXXII. Walka z elektrycznością — obłąd. A może to jednak nie był taki znów obłąd?

Kambodża była w praktyce krajem nie zelektryfikowanym. W roku 1974 dziewięć istniejących tu elektrowni miało łączną moc zainstalowaną 51 megawatów. Piećdziesiąt megawatów — to czwarta część tego, co daje jeden jedyny turbogenerator średniej mocy w Dolnej Odrze, siódma część mocy, jaką mają pojedyncze turbozespoły w Kozienicach. Produkcja energii elektrycznej wynosiła niepełne 19 kilowatogodzin na głowę mieszkańca rocznie, co trudno sobie wyobrazić: stuwatowa żarówka paląca się przez godzinę dziennie zużywa 36 kilowatogodzin rocznie.

Z elektryczności korzystała więc w praktyce tylko ludność miast, i to raczej zamożna. Dla reszty kraju, która od dziesiątków pokoleń znała tylko łuczywo, olejny kaganek i nieskomplikowane palenisko, istnienie lub nieistnienie sieci elektrycznej było rzeczą idealnie obojętną.

Do czego właściwie może służyć elektryczność w kraju tak biednym i zacofanym? Jest przede wszystkim rozsądkiem wszystkich ujemnych zjawisk cywilizacji konsumpcyjnej, prapoczątkiem nie kończącego się nigdy łańcucha coraz to nowych potrzeb, zachcianek, ułatwień. Zaczyna się to niewinnie, od sztucznego oświetlenia, którego pożytki wydają się oczywiste. Ale tak to już jest, że kto ma jedną żarówkę, wkrótce chce mieć dwie i zaczyna się tego coraz natarczywiej domagać. Po upływie jednego pokolenia naturalny rytm dnia i nocy zostaje nieodwracalnie zakłócony, zaczyna się różnicować tryb życia, obyczaj i związki między ludźmi.

Potem pojawia się lodówka, której przydatność w tym klimacie jest jakoby szczególnie wysoka. A prze-

cięż lodówka jest dla Azji urządzeniem głęboko szkodliwym społecznie. Zachęca do zwiększania konsumpcji, podczas gdy niezliczone pokolenia chłopów miały zawsze tylko tyle żywności, ile można było przechować i zjeść w ciągu jednej doby. Lodówka stymuluje rozwój przemysłu spożywczego, pociąga za sobą konieczność importu cienkiej blachy na puszki do konserw, stwarza konieczność zwiększenia produkcji szkła, które i tak w końcu idzie na złom, szybko wypiera tradycyjne, znane od wieków metody suszenia, peklowania i odwadniania żywności.

Elektryczność to na przykład wiatraczkowy wentylator do chłodzenia pomieszczeń lub, co gorsza, instalacja klimatyzacyjna, stwarzająca ludziom sztuczne warunki bytowania. Chłopom na polach ryżowych nie można zapewnić klimatyzacji, choć to oni wytwarzają w takim kraju jak Kambodża przeważającą część dochodu narodowego; z jakiego więc powodu mieliby z dobrodziejstwa chłodzonych pomieszczeń korzystać tylko mieszkańcy miast? Od początku historii ludzie rodzili się tutaj, żyli i umierali w strasznym słońcu tropików, w mokrym zaduchu wiosny i żrącym skwarze pory suchej. Czy należy to zmieniać tylko dlatego, że jacyś ludzie za oceanem wymyślili urządzenie do ochładzania powietrza i pragną je teraz sprzedawać za ciężkie pieniądze, na które zresztą i tak musiałby zapracować biedny, ociekający potem chłop?

Skąd wreszcie pewność, że za kilka pokoleń ten sztuczny klimat, rozprzestrzeniający się jak zaraza, nie doprowadzi do mutacyjnych, genetycznych zmian w fizycznej naturze Azjatów i nie uzależni ich na zawsze od produktów zachodniej cywilizacji? Jedną z niewątpliwych przyczyn dzisiejszej nędzy azjatyckiej jest na pewno niekorzystna mutacja antropologiczna ludności, związana z przewlekłym deficytem białka i powolną degeneracją mięśni; mieszkańcy południowo-wschodniej Azji są dziś o wiele szczuplejsi i słabsi niż ich przodkowie przed trzystu laty. Średni wzrost miesz-

kańców tego rejonu zmniejszył się o pięć centymetrów w porównaniu z wyliczoną przez historyków i archeologów średnią wzrostu w XV wieku. Przecież nie bez przyczyny w Chinach i Wietnamie codzienna gimnastyka jest obowiązkowa dla wszystkich, a skromne racje żywnościowe dobiera się tak, aby ich kaloryczność była możliwie najwyższa, bez względu na walory smakowe żywności. Z jakich to ważnych powodów należałoby do jednego nieszczęścia dodawać następne i dobrowolnie przykładąć ręki do dalszego karlenia narodu?

Elektryczność to również telefon, którego samo istnienie jest dla azjatyckiego chłopca podejrzane — jak to, głos ludzki niesie się po drucie i nie ma w tym żadnych czarów? — a także telewizja, której wprowadzenie w Kambodży graniczyło z idiotyzmem. Każdą śrubkę z osobna, każdy kabel i każdą lampę trzeba było importować, to znaczy trwonić rezerwy dewizowe (skąd pochodziły? kto je wypracował?), lub zabiegać o zagraniczne kredyty i darowizny. Po co właściwie? Żeby dziesięć tysięcy sklepikarzy, oficerów i urzędników mogło spędzać przyjemne wieczory? Gdyby nawet pominąć bezpośrednie koszty techniki telewizyjnej — jakaż była prawdziwa użyteczność społeczna tego diabelskiego wynalazku? Filmy w reżyserii Sihanouka, z Sihanoukiem w roli głównej, z muzyką Sihanouka i układami baletowymi tegoż Sihanouka nie mogły być pokazywane częściej niż raz dziennie. Wszystkimi szparami wciskały się materiały filmowe ze świata — seriale, reportaże, filmy fabularne. Ze świata, to znaczy albo z Zachodu, albo z europejskich krajów socjalistycznych, ponieważ są to dziś główni potentaci obrazkowej cywilizacji. Spójrzmy przez chwilę na te filmy, zobaczmy, jak mieszkają ich bohaterowie, ile jedzą, czym się zajmują, o czym myślą. Czy naprawdę jest to posłanie, które warto by było przekazywać biednym chłopom z prowincji Pursat lub młodym mieszkańcom Battambang?

To prawda, że istnienie elektryczności mogłoby mieć pewne zalety. Na przykład elektryczne pompy szybciej przetłoczą wodę, niż to uczynią dwie zmęczone dziewczyny z nosidłami; piła tarczowa o napędzie elektrycznym szybciej i dokładniej przetrze pandanusowe bale. Ale kiedy się już raz postawi na elektryczność, łańcuch uzależnień nie maleje, lecz rośnie. Trzeba importować generatory, słupy trakcyjne, transformatory, rozdzielnie. Trzeba nieustannie, bez chwili przerwy, importować paliwa stałe lub płynne, których w Kambodży nie ma. Trzeba zatrudniać zagranicznych techników lub posyłać (za czyje pieniądze?) własną młodzież, aby się uczyła obsługiwać instalacje elektryczne. A przede wszystkim trzeba się pogodzić z faktem, że przez całą dającą się przewidzieć przyszłość kraj będzie miał coraz więcej potrzeb i coraz mniej spełnień, więcej żądań niż możliwości ich zaspokojenia, ponieważ samo istnienie wyłącznika i gniazdka wtykowego jest nieodpartą pokusą dla słabych ludzkich dusz. Pomysł, żeby Kambodża mogła wytwarzać choćby własne przewody wysokiego napięcia, nie mówiąc już o transformatorach sieciowych i turbinach, jest po prostu szkodliwą, bezsensowną utopią.

Być może ci, którzy z taką zaciekłością wrywali kable ze ścian, tłukli żarówki i torturowali silniki elektryczne, przesadzili w gorliwości. Ale polityczna decyzja Angkaru o unicważnieniu elektryczności na pewno nie była przejawem amoku.

Wielki trybun z wielką przemocą do wywołania tego stanu

LXXIII. Ten sam tok rozumowania można odnieść do całej właściwie cywilizacji przemysłowej, której Czerwoni Khmerowie wypowiedzieli wojnę. Nie wynika to jednak, jak u Jana Jakuba, z błyskotliwych paradoksów i sielskich rozczuleń, lecz z gorzkiej wiedzy o dzisiejszym świecie. Nie chodzi o to, że cywilizacja przemysłowa jest złem samym w sobie, choć zawsze niesie w sobie zalążki degeneracji. Gdyby była pow-

szechnie i bezpłatnie dostępna, prawdopodobnie zostałaby uznana za dobrodziejstwo, a w każdym razie za zjawisko w pewnych granicach pożyteczne.

Ale tak wcale nie jest. Cywilizacja kosztuje z roku na rok więcej. Kraje tak biedne i tak niewyobrażalnie opóźnione w rozwoju nie mają żadnych, ale to żadnych szans, aby kiedykolwiek wyrównać dysproporcje i dogonić czołówkę przemysłową świata. Każdy krok w tym kierunku pogłębia tylko zacofanie, zamiast je zmniejszać. Wystarczy korzystać z jakiegokolwiek elementu nowoczesnej cywilizacji przemysłowej, aby popaść w nie kończący się łańcuch uzależnień, rozrastający się w postępie geometrycznym. Nic bardziej odstrasającego niż próby wprowadzenia nowoczesności do buszu — ci afrykańscy plutokraci w dęciakach, niepiśmienni szejkowie w rolls-royce'ach, Bokassa i Amin, elektroniczne cudenka o krok od rozpadających się ru-der.

Istnieje dziś oczywiście możliwość zakupienia czy nawet kredytowego otrzymania dóbr cywilizacji przemysłowej, tyle że w warunkach świata kapitalistycznego zawsze jest to związane ze spełnieniem jakichś tam warunków politycznych, a zatem z mniej lub bardziej pośrednią kolonizacją. Kiedy się po raz pierwszy otrzyma zastrzyk nowoczesnych dóbr przemysłowych i wykorzysta je w choćby najmądrzejszy sposób, trzeba już potem przez całą dalszą historię zebrać o kredyty, moratoria i darowizny, zamartwiać się stanem koniunktur, forsować za wszelką cenę eksport jakiejś żąłosnej monokultury, której losy i tak w końcu zależą od wielkich banków, giełd i monopolii. Biedne kraje mogą żyć bez nich, ale nie mogą żyć z nimi; byłoby to sprzeczne z kapitalistyczną naturą ogólnoświatowych stosunków gospodarczych.

Uprzemysłowienie czy nawet budowa podstaw infrastruktury przemysłowej przynosi poza tym druzgocące skutki społeczne w kraju tak biednym jak Kambodża. Mówi się, że maszyny produkują taniej niż

ludzie, lecz jest to przecież jeszcze jedna prawda sytych, odzianych i zadowolonych z życia, którzy od kilku pokoleń mają pod dostatkiem elektryczności, podstawowych przemysłów, dróg i surowców. Nie ma takiej maszyny, która wyprodukowałaby tkaninę tańiej niż kambodżańska chłopka, snująca zębami konopne nici. Jedna maszyna pociąga za sobą konieczność posiadania następnej, tokarka wymaga frezarki, kwas siarkowy potrzebuje do towarzystwa fenolu. Zaczyna się w przyspieszonym tempie wytwarzać warstwa „pasożytów produkcji”, którzy wciągają kraj coraz głębiej w wiry rosnącej zależności od zagranicy, żądają nowych maszyn, śrubek i tłoczków, stawiają wygórowane żądania co do swych płac, a jeśli się tych żądań nie spełni, to się obrażą i wyjadą na saksy.

W ten sposób została dokładnie zniszczona w ciągu ostatniego ćwierćwiecza — a jest to pierwsze ćwierćwiecze niepodległości narodu khmerskiego po 91 latach francuskiej kolonizacji — tradycyjna struktura społeczna Kambodży.

Chłop kambodżański zawsze żył biednie, lecz rzadko głodował, a w latach dobrego urodzaju jadał prawie do syta, czego nie mogli o sobie powiedzieć bliżsi i dalsi sąsiedzi. Obieg pieniężny był tu zawsze znikomy, gospodarka rynkowa istniała w formie zalążkowej, wieś żyła niemal bez reszty w kręgu gospodarki naturalnej. Nieszczęścia zaczęły się w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, kiedy Sihanouk uzyskał sporą pomoc międzynarodową i wbrew azjatyckim obyczajom skierował ją głównie na rozwój gospodarki rolnej. Sprowadzono nowe, plenniejsze odmiany ryżu, sypnęły się nawozy sztuczne, zaczęły pracować mechaniczne urządzenia do nawadniania, młocki i pikowania szonek. Wydajność łącznych zbiorów wzrosła w ciągu jednego pięciolecia z półtorej do trzech ton ryżu z hektara. Gospodarka po raz pierwszy w historii uzyskała nadwyżki. Natychmiast zaczął się import najrozmaitszych produktów przemysłowych, a wraz z nim urosła z

wtorku na środe energiczna warstwa biurokratyczno-techniczna, sławiąca jasnego księcia za rozumny postęp i troskę o interes narodu.

Ci ludzie mieli już pieniądze, ale chcieli ich mieć jeszcze więcej; trzeba ich było opłacić ze skatupy państwowej, i to hojnie. Konieczne było wprowadzenie systemu podatkowego. Chłopi też musieli płacić podatki, wieś uległa gwałtownemu rozwarstwieniu, pojawili się prawdziwi bogacze wiejscy, kupujący w miastach niewyobrażalne produkty w rodzaju latarek czy rowerów, ale też po raz pierwszy na wieś kambodżańską zawitał trwały, chroniczny głód wśród biedoty. To wystarczyło, aby łagodny, wesoly, niesklonny do wojowania chłop kambodżański zaczął się burzyć. Tak wyglądało najwcześniejsze tło społeczne, na którym zrodziła się doktryna społeczna Czerwonych Khmerów.

Reszty dokonali Amerykanie za rządów Lon Nola. Wpakowali w Kambodzę mnóstwo pieniędzy, prawdopodobnie około półtora miliarda dolarów. Dopuścili do gigantycznej, niewyobrażalnej korupcji, aby bez względu na koszty, w możliwie najkrótszym czasie, wytworzyć bogatą warstwę urzędniczo-mieszcząską, w której, słusznie zresztą, upatrywali najskuteczniejszą, bo miejscową, zaporę przeciwko burzącemu się chłopstwu. Nie żalowali też dostaw, pieniędzy i fachowców, jeśli idzie o rolnictwo; w ostatnim roku rządów Lon Nola wydajność sięgnęła ośmiu ton z hektara. Ale im wyższe były plony, tym wyższe podatki; im zasobniejsze stawały się miasta, tym gorzej wiodło się biedocie wiejskiej, która już niemal w całości sympatyzowała z Czerwonymi Khmerami, udzielała im schronienia i ukrywała przed żandarmerią.

To właśnie w okresie tych pięciu lat zbudowano większość owych wspaniałych willi w Phnom Penh, przebudowano gruntownie miasto, w sklepach pojawiły się najdroższe towary przemysłowe z całego świata. Cywilizacja przemysłowa ujawniła w Kambodży wszystkie swe uroki i przekleństwa jednocześnie. Pieniądz

stał się miarą wszystkich rzeczy, inflacja przekraczała 30 procent rocznie, bieguny społeczne oddalały się od siebie z szybkością uciekających galaktyk. To wszystko działo się kiedyś w większości krajów świata, lecz tutaj zdarzyło się za życia jednego pokolenia, w tempie zapierającym dech.

Trudno winić Czerwonych Khmerów, że ich wyobrażenia o rewolucji były od początku aż tak skrajne. Nikt jakoś nie wini Sihanouka w Pekinie i Lon Nola w Kalifornii, że swymi działaniami zmusili część kambodżańskiej lewicy do poszukiwania rozwiązań aż tak totalnych. Tak przynajmniej można odtworzyć generalną motywację najbardziej radykalnych ugrupowań.

LXXIV. Walka z medycyną rzeczywiście jest trudna do wytłumaczenia. I słusznie budzi przerażenie. Tyle tylko, że w każdej rewolucji, od zdobycia Bastylli poczynając, zdarzało się sporo rzeczy budzących przerażenie, często wręcz bezsensownych i szkodliwych, a w niczym to nie umniejsza ani wielkości wydarzenia, ani jego historycznej sprawiedliwości.

Może by tak spojrzeć na to z drugiej strony, oczami biednego, niepiśmiennego chłopca z prowincji Kompong Chhnang? Za rządów Lon Nola Kambodża miała jeden z najniższych na świecie wskaźników łóżek szpitalnych (1200 osób na łóżko, w Polsce 129 osób), minimalną ilość lekarzy (prawie 16 tysięcy osób na 1 lekarza, w Polsce 600 osób), proporcjonalnie najmniejszą w Azji liczbę średniego personelu medycznego (na jednego oficera w armii Lon Nola przypadowało 0,07 pielęgniarki i felczera). Cały system lecznictwa i ochrony zdrowia na dobrą sprawę funkcjonował tylko w miastach i obejmował nie więcej niż trzy, maksymalnie pięć procent ludności. Był zresztą postawiony na nadmiernie wysokim poziomie, doskonale zaopatrzony w antybiotyki, zagraniczne środki farmakologiczne, niezły sprzęt, porządne laboratoria. Nic dziwnego, że był

horrendalnie drogi i w praktyce niedostępny dla nikogo poza zamożnym mieszczaństwem. Lekarze należeli do ścisłej czołówki finansowej kraju, ich honorarium za wizytę sięgało jednorocznego dochodu rodziny chłopskiej. Wspomniana tu poprzednio doktor Chey dopiero w komunie, a potem w obozie dla uchodźców, zetknęła się z chłopami i to zaważyło na zmianie jej poglądów politycznych. Gdyby jednak zamordowani lekarze kambodżańscy nagle zmartwychwstali — ilu z nich naprawdę stanęłoby po stronie ludu?

Nowoczesna medycyna z jej coraz kosztowniejszymi faramuszkami znajdowała się całkowicie poza sferą wyobraźni kambodżańskiego chłopca. Przyroda sama dokonywała selekcji, akuszerka zastępowała ginekologa i stomatologa, zioła i minerały od wieków uchodziły za jedyne lekarstwo, balsam tygrysi wystarczał nawet wiejskim bogaczom. Właściwie z jakich powodów chłop z powiatu Kompong Chhnang miałby ubolewać, że panów doktorów wysiedlono z pięknych, wielopokojowych i przyjemnie chłodzonych mieszkań? Czyżby mieli inne żołądki lub ręce niezdadne do pracy na ryżowisku? Powierzenie trzynastoletniemu chłopcu funkcji komendanta szpitala mogło być przejawem nienawiści lokalnego dowódcy Czerwonych Khmerów; zniszczenie kosztownego scannera rentgenowskiego było na pewno ubocznym, nie zamierzonym skutkiem walki z importowaną aparaturą dla bogaczy. Jednak i w tym wypadku dobrze jest uświadomić sobie powody, które skłoniły Angkar do podjęcia wojny z medycyną.

LXXV. Buty. To prawda, że najmocniej wżerają się w pamięć i sprawiają najbardziej wstrząsające wrażenie. Ale buty w tej strefie klimatycznej są wynalazkiem kapitalistycznego szatana, który bezustannie podszeptuje ludziom, że mogą żyć wygodniej, lepiej, bezpieczniej. Sto pokoleń azjatyckich chłopów nigdy

nie wpadło na pomysł wkładania butów i nie wiedziało nawet o istnieniu takiego wynalazku; ich bose, zrogowaciałe stopy przemierzały ten bezkresny kontynent od tysięcy lat. Dopiero epoka kolonializmu uświadomiła biednym Azjatom — bogaci poznali tę tajemnicę już wcześniej — że stopy ludzkie można odziewać w zwierzęcą skórę. Dlatego buty jako fakt ekonomiczno-społeczny należało zniszczyć za jednym zamachem, przynajmniej wśród ludności cywilnej, bo wojsko jednak musiało chodzić w butach. Z tego właśnie powodu kazano wysiedlanym mieszkańcom miast zdejmować buty jeszcze przed opuszczeniem miasta. Chodziło o to, aby ich wydelikacowane stopy poznały trud chłopskiego dreptania, nawiązały kontakt z matką-ziemią, nabrały rewolucyjnego hartu. Niemal wszyscy dostawali krwotoku z poranionych stóp lub groźnej infekcji, ponieważ pył na drogach kambodżańskich jest zmieszany z florą bakteryjną w proporcji 1:1. Ci ludzie szli po sto lub dwieście kilometrów po raz pierwszy w życiu; wielu z nich nie przetrzymało marszu. No i bardzo dobrze. Przyroda sama wie najlepiej, na kim dokonać darwiniowskiej selekcji.

To brzmi cynicznie i okrutnie, ale to nie my, z kręgu śródziemnomorskiej cywilizacji, wydawaliśmy rozkazy wymarszu. To raczej system, który zrodził Czerwonych Khmerów, był cyniczny i okrutny. Nikt się przez tysiąc lat nie rozczulał nad stopami chłopów, które też w końcu są pokryte tkanką nabłonkową, a teraz nagle załamuje się ręce z przerażenia nad nieszczęsnym losem panienek z dobrych domów, co musiały iść na bosaka tyle kilometrów. Czy to ma znaczyć, że jedna para ludzkich stóp jest wartościowsza niż inna? Akurat tutaj europejskie wyobrażenia o rewolucji są psu na budę przydatne. Zdążyliśmy już zapomnieć, jak naprawdę wygląda spontaniczna ludowa rewolucja w warunkach, kiedy żadne inne wyjście już nie istnieje. Trzeba by było mieć za sobą życiorys kambodżańskiego chłopca, żeby pojąć motywy psycho-

logiczne, którymi kierowali się dowódcy i konwojenci, kiedy kazali wysiedlanym mieszkańcom Phnom Penh zdejmować buty z nóg.

LXXVI. Miasto w Azji to jest siedzenie w kucki, gwarzenie z ziomkami, palenie petów, przynieść-odnieść, pożebrać, pogapić się, zawinać pod rękaw. Im większe miasto, tym większe to nic-nierobienie, tym łatwiej dać nura w mrok wąskich uliczek, w błogi zapaszek oleju, rynsztoków, kuchennych podwórek.

Miasto w Azji to są panowie urzędnicy w białych koszulach, bardzo ważni policjanci, niedosiężni sahibowie, rzeczy straszne i odległe jak Księżyc. Ale to także wieczny ruch i wrzawa, tysiąc cudów do oglądania, milion obietnic na każdym rogu, wieczna szansa, że coś się zdarzy, coś się zmieni. Jest dobrze. Można żyć, póki złe wiatry nie zegną grzbietu w kabłak, można młode lata przegadać, przesiedzieć w kucki, przewałęsać.

A wieś w Azji to jest żółta pięść słońca, kurz i błoto, wstawanie o świcie albo przed świtem, wieczny skwar, ból mięśni, lęk o garstkę ryżu, bezwzględna przezroczystość ludzkiego życia, stale ten sam zapach ciepłego łajna bawołów, rozmięklej ziemi na ryżowisku i suchej słomy.

Miasto w Azji jest ojczyzną lokalnych dżinów i zamorskiego szatana. Zamienia miłe dziewczyny z sąsiedniej ulicy w zimne, wyrachowane dziwki, biorące od cudzoziemskich frajerów sto razy więcej, niż są warte. Rodzi korupcję doprowadzoną do stanu klinicznego. Jest wylęgarnią sprzedajnych urzędników, tajnych agentów, handlarzy opium, oszustów i wydrwigraczy, ojców sprzedających własne córki. Wciągnie każdego, znieprawia każdego, rośnie jak smok z legend, wysysa krew jak wampir.

.. Wieś jest tutaj okrutna, lecz czysta. Jej okrucień-

stwo nie jest przyrodzone, zrodziło się z biedy i nierówności. Lecz jest to jedyny obszar istnienia, który można jeszcze uratować dla człowieczeństwa.

Miast uratować nie można.

Azja nigdy nie знаła aż tak wielkich, wielomilionowych miast, dopóki nie wtargnęli tu biali kolonizatorzy, potrzebujący dziwek, faktorów, pośredników, dragomanów, szpicli i lokajów. Przez całe tysiąclecia Azjatom w zasadzie wystarczały książęce stolice i niewielkie miasteczka rejonowe jako ośrodki prostej wymiany i najniezbędniejszego rzemiosła. Dopiero epoka kolonizacji stworzyła te miasta-więzienia, miasta-wyzwania, wszeteczne i pasożytnicze w samej swej istocie.

Trzeba zniszczyć te Sajgony Azji. Trzeba wrócić do punktu wyjścia.

Tak mniej więcej mogła rozumować kadra Angkaru, kiedy rozpoczynała wysiedlanie dwóch milionów ludzi z Phnom Penh.

LXXVII. Dlaczego z niechęcią i wrogością słuchamy takiej argumentacji, upatrując w niej demagogię? To zrozumiałe. Uważamy za rzecz oczywistą, że powinniśmy lepiej zarabiać, obficie jeść, wygodniej mieszkać. Powinniśmy mieć łatwiejszy dostęp do automatycznych pralek i samochodów, więcej podróżować, zastawić nasze mieszkania większą ilością sprzętów i ozdób. Jesteśmy nieuleczalnie zarażeni pewnym sposobem widzenia i pojmowania rzeczywistości; bezustannie i bezskutecznie usiłujemy go przenieść do tamtego, strasznego i okrutnego świata, gdzie idee występują w postaci elementarnej i gdzie postęp w naszym rozumieniu nie jest wcale pewnikiem.

„Kaźda myśl — powiada Erich Fromm w *Ucieczce od wolności* — prawdziwa czy fałszywa, motywowana jest subiektywnymi potrzebami i interesami jednostki. Niektórym interesom sprzyja znalezienie prawdy, innym jej zniszczenie. W obu wypadkach psychologiczne

motywacje są jednak ważnym bodźcem do osiągnięcia określonych wniosków. Można nawet pójść dalej i powiedzieć sobie, że idee, które nie są zakotwiczone w głębokich potrzebach osobowości, będą miały nieznaczny tylko wpływ na działanie i w ogóle na całe życie człowieka." (Przekład Olgi i Andrzeja Ziemiłskich.)

Na nas na pewno nie będą miały wpływu. Ani na mnie, ani na tych, którzy to w tej chwili czytają.

To jest w porządku. Nie ma sprawy. Taka jest naturalna kolej wszechrzeczy. Jest tylko jedna propozycja: aby przyjąć do wiadomości, że istnieje jeszcze inny świat oprócz naszego. Świat innych kryteriów zła i dobra, obejmujący cztery piąte rasy człowieczej, w którym doraźne, krótkotrwałe cierpienie jednostki jest właściwie niczym w porównaniu z bezmiarem cierpień milionów. Setek milionów.

LXXVIII. To nieprawda, że w miarę postępów komunikacji i telewizji świat staje się macluhanowską globalną wioską. Wręcz przeciwnie, staje się coraz bardziej parafialny i prowincjonalny w sposobie myślenia i w typowych reakcjach przeciętnego człowieka. Znużenie nadmiarem krajów, problemów, haseł i konfliktów prowadzi do wzajemnego znoszenia się bodźców, do otępienia w reakcjach, przynajmniej w porównaniu z sytuacją sprzed piętnastu laty. Bratem prowincjonalizmu jest egoizm, potem przychodzi nieumiejętność myślenia w większej skali czasoprzestrzennej, zanik zdolności do kojarzenia odległych faktów z otaczającą nas rzeczywistością codzienną. Zauważono to już sto razy, lecz nic się od tego nie zmienia. Czyżby tak miała wyglądać zemsta historii za cudowną różnorodność świata?

LXXIX. Że rewolucje azjatyckie są okrutne? A dlaczego nie miałyby być okrutne? Nigdzie więcej na

świecie, może poza wczesnym okresem konkwisty i niewolnictwa Afrykanów, nie stworzono w epoce nowożytnej systemu, który do tego stopnia kumulowałby w sobie bezwzględność przemoc, krzywdę, upokorzenie i okrucieństwo. Dlaczego każda azjatycka kontrrewolucja, rodzima lub importowana, tak szybko uzyskuje rozgrzeszenie i ginie w niepamięci, ale o okrucieństwach czerwonych rozprawia się latami z obrzydzeniem i zgrozą? Gdzie jest ów głęboki wstrząs moralny na Zachodzie z powodu czterystu tysięcy Indonezyjczyków zatłuczonych w roku 1965 pałkami, wieszanych za ręce na drzewach, topionych, ścinanych, rąbanych żywcem? Co porabiają oprawcy nizama Hajdarabadu, którzy w roku 1947 rozpalali ogniska na podbrzuszach zbuntowanych chłopów w Telenganie, i elegancyści oficerowie brytyjscy, którzy w roku 1952 kazali się fotografować z odciętymi głowami partyzantów malajskich? Któż to tak obłudnie załamuje ręce nad losem przepędzonych z Sajgonu alfonsów, złodziei i opryszków, którzy muszą aż w Paragwaju zakładać „El Nuevo Saigon”, a nie ma nic do powiedzenia o „tygrysiach klatkach”? Te klatki, dla wyjaśnienia, składały się z grubych prętów stalowych, rozstawionych co pięć centymetrów; po dziesięciu dniach pobytu ciało więźnia zamieniało się w ropiejącą, cuchnącą oparzelinę. To wszystko nie działo się przed wiekami; przez katownię sajgońsko-amerykańskiej policji przeszło ponad czterdzieści tysięcy ludzi, ostatnich więźniów wyciągnięto półżywych z „tygrysiach klatek” wiosną 1975 roku.

Przykładam teraz ręki do opisu okrucieństw ludzi Pol Pota, ponieważ jestem poruszony do głębi i chciałbym, jak tego mój zawód wymaga, przekazać to oburzenie czytelnikom. Ale mówię przecież tylko pół prawdy. Nadal mało wiadomo o okrucieństwach policji Lon Nola. Szacuje się, że zakaatowała kilkanaście tysięcy ludzi podejrzanych o sprzyjanie Czerwonym Khmerom. Ten człowiek z Phnom Penh, którego zdję-

cie znalazłem w kieszeni jego własnego munduru, też nie wyglądał mi na dobroczyńcę lub wrażliwego humanistę. Musiał mieć dobre referencje z prawicowej partii Sangkum, od dawna już stanowiącej parawan dla CIA; musiał się nieźle wykazać aktywnością, skoro dosłużył się tylu gwiazdek, pasków i odznaczeń. Może to on był komendantem osławionego obozu w kamieniołomach koło Phnom Penh, gdzie więźniowie, którym dowiedziano współpracy z partyzantką, byli na noc przykuwani do prycz i dostawali przed snem 25 uderzeń bykowcem z surowej skóry bawołu.

Prawda nie wygląda tak, że na pogodny, wesoły i łagodny kraj spadła nagle horda barbarzyńców z motykami w rękę. Raczej odwrotnie, Czerwonych Khmerów nigdy by tu nie było, gdyby mieszczaństwo i kompradorska elita nie stworzyły warunków społecznych, w których krwawa rewolucja była już jedynym wyjściem. Sumienie świata milczało przez pięć długich lat rządów Lon Nola, a dopiero teraz obudziło się nagle i ubolewa nad zbrodniami Czerwonych Khmerów.

Jest to zresztą ubolewanie selektywne i podległe prawom dyplomacji. W styczniu 1979 roku o byłym szefie państwa Czerwonych Khmerów Sihanouk wyrażał się w Nowym Jorku per „jego ekscelencja, pan sekretarz Pol Pot”. Ambasador amerykański w ONZ nie szczędzi wnikliwych uwag o suwerenności Kambodży, ponieważ Stany Zjednoczone zawsze były rzecznikiem nieingerencji w cudze sprawy. Prasa zachodnia z niesmakiem milczy, gdyż jej zasadą jest informowanie o sprawach dnia bieżącego, nie zaś poszukiwanie prawd, zastrzeżone dla filozofów. Ci ludzie potrafią przekonać nawet autentyczną ludową rewolucję, jeśli przejściowo służy ich interesom.

Ciekawe, swoją drogą: jakimi drogami musi pójść rewolucja, aby choć krótką chwilę była na rękę imperializmowi?

Spory trwają, toczą się dyskusje. Tylko czaszki lu-

dzi zamordowanych przez Lon Nola i Pol Pota rozpadają się w milczeniu. Tylko ten chłopak bez twarzy, dogorywający w szpitalu Preah Ket Mealea, zabiera ze sobą opowieść, którą powinniśmy znać, zanim wypowiemy nasze głębokie sądy.

LXXX. Azjatycka specyfika? Zapewne, coś takiego istnieje. Przynajmniej w sferze potocznych norm kulturowych, gdyż żadne z wielkich wierzeń azjatyckich nie wynalazło jednostkowego sumienia ani systemu norm etycznych, które byłyby zwrócone ku człowiekowi, nie ku bóstwom. Ci, którzy tak twierdzą, powinni dokładniej popatrzeć na ręce hinduistycznym nabożnisiom i popytać, z czego żyją różni mistycy i czciciele kontemplacji.

Można również uznać, że Azjaci odznaczają się nieco większą niż Europejczycy zdolnością adaptowania się do trudnych warunków bytowania. Jest to cecha ukształtowana ewolucyjnie przez ciężki klimat i długotrwały deficyt protein.

Należy jednak pamiętać, że anatomia i fizjologia poszczególnych osobników rodzaju zoologicznego homo sapiens są dostatecznie powtarzalne, aby nie traktować mieszkańców Azji jako odrębnego gatunku. Wszyscy mamy tylko pięć litrów krwi w żyłach, identyczne receptory bólu, kruchą potylicę, ciało skłonne do oparzeń i głębokich urazów, kości, które łatwo złamać uderzeniem metalowej pałki i które wcale nie przysparzają mniej bólu tylko dlatego, że są powleczone śniadą skórą.

Żadne różnice kultur i obyczaju nie zmniejszają biologicznego bólu matki po utracie dziecka. Nie likwidują odczuwania głodu. Nie łagodzą spazmu nerwów i skurczu mięśni, kiedy w ludzkie ciało wwierca się kawałek ołowiu, otoczony cienkim pancerzem ze stalowej blachy.

Należy o tym pamiętać, ponieważ azjatycka specy-

fika, jeśli istnieje, odnosi się do każdej strony w każdym azjatyckim konflikcie i trudno oczekiwać, że mogłoby być inaczej.

LXXXI. Można to nazwać błędnym kołem, wieczną eskalacją nienawiści, niedostatkami człowieczeństwa, inwolucyjnym nawrotem barbarzyństwa. Można to nazwać, jak nam się podoba. Ale nie można udawać, że nastąpiła tu jakakolwiek manipulacja, zewnętrzna indoktrynacja czy próba przeniesienia abstrakcyjnych doktryn zza siódmego morza na dziewiczy i niepodatny grunt miejscowy. Czerwoni Khmerowie zrodzili się z autentycznego gniewu i cierpienia ludu. Inaczej nie przetrwaliby nawet tygodnia.

LXXXII. Ale w ten sposób można wyjaśnić i uzasadnić absolutnie wszystko. Hitleryzmu nie wyłączając.

LXXXIII. Można dowieść, że zabijanie ludzi motywą jest czynnością chwalebna i historycznie usprawiedliwiona. Można wykazać, że uboczne, nie zamierzone koszty pierwszego etapu rewolucji w Kambodży nie są w ogóle warte wzmianki w porównaniu z korzyściami, jakie rewolucja przyniosła początkowo tym, którzy są prawdziwą solą tej ziemi. Nie istnieje zapewne żaden dylemat intelektualny i moralny, którego nie można by było rozstrzygnąć przez powołanie się na przykłady historyczne.

LXXXIV. Istnieją dwa zasadnicze rodzaje osobowości, dwa typy temperamentu, a zatem i dwa sposoby reagowania na istniejący świat. Trudno orzec, który jest przydatniejszy w opisie stanów wyjątkowych. Pierwszy należałoby nazwać biernym: narrator daje uczciwe świadectwo rzeczom widzianym, wyrze-

kając się szerszej interpretacji, i słusznie, ponieważ żadna cząstkowa wizja, choćby najtrafniejsza, sama w sobie nigdy nie zawiera całej prawdy o epoce, formacji lub choćby o jednym kraju. Nie wolno rościć sobie pretensji do zbyt daleko idących wyjaśnień. Stanów wyjątkowych istnieje w świecie dostatecznie wiele, aby jeden przeczył drugiemu. Dlatego jest rzeczą uzasadnioną, że narrator wyrzeka się porządkowania widzianych faktów, wartościowania, poszukiwania jednolitych miar. Ale ten sposób chłodnego patrzenia, sam przez się racjonalny i nie pozbawiony przecież cennej dociekliwości typu detektywistycznego, trudno czasem odróżnić od zrezygnowanej bezmyślności, ponieważ zawiera w sobie milczące przyzwolenie na entropijny bezsens historii i stoicką bezradność wobec ludzkich poczynań, nawet takich, które jawnie kłócą się z potocznym pojmowaniem dobra lub prostej celowości.

Sposób drugi należałoby nazwać czynnym: narrator naprawia świat w toku opisu, ingeruje w sekwencje dokonanych zdarzeń, zapewnia, że rozumie wewnętrzną strukturę historii. Taka postawa ma swoje zalety. Pozwala się utożsamić z czymś większym i szlachetniejszym niż żabia perspektywa codzienności, przywołuje różne prawdy pierwsze, o których najłatwiej zapominaamy. Ale ma i swoje niebezpieczne wady: sugeruje, że narrator zrobiłby to samo lepiej albo inaczej, że posiadał tajną receptę na szczęście ludu czy przynajmniej na zmniejszenie jego niedoli. Dopiero potem wychodzi na jaw, że mimo wszystko rozumuje kategoriami znanymi od dawna i od dawna podawanymi w wątpliwość.

Może tylko synteza obu sposobów patrzenia przyniosłaby pożądany rezultat przy opisie kambodżańskiego stanu wyjątkowego. Nie ma jednak pewności, czy jest w ogóle osiągalna.

LXXXV. Ciekaw jestem, jak wyglądałby mój raport z Paryża, pisany w połowie maja 1793 roku. I późniejsze korespondencje z tego miasta. Wywiad z Robespierre'em. Rozmowa z Dantonem. Sceny przy gilotynie. Zapiski w notesie z przemówień Saint-Justa, z posiedzeń Konwentu, z działalności terenowych organów Komitetu Ocalenia Publicznego.

Czy każda kolejna rewolucja musi mieć koniecznie swego własnego Kamila Desmoulins?

LXXXVI. Kim właściwie jestem, żeby sobie przyznawać prawo orzekania o rewolucjach, narodach, ideologiach? Na jakiej podstawie przywłaszczam sobie tytuł moralny do wnioskowania o tym, co złe, i o tym, co dobre? Od zakończenia drugiej wojny światowej żarłem zawsze do syta, nie znam genetycznego deficytu białka, który ludzkim mózgom odbiera pamięć i zdolność abstrakcyjnego myślenia, czyli nie znam podstawowego doświadczenia jednostkowego setek milionów Azjatów. Mam samochód, z tuzin koszul, bogaty księgozbiór. Słońce tropików, zawsze było dla mnie łaskawe. Fawory życia trudno wprost zliczyć: wakacje spędzam nad bardzo ładnym jeziorem, podróżuję po pięknych miastach, bywam w salonach. Wojenną zupę z pokrzyw wspominam nie bez rozczulenia, papki z manioku zjadłem zaledwie łyżeczkę, ponieważ uznałem to za strawę niejadalną.

Piszę i piszę bez wytchnienia, ale od końca lat czterdziestych są to już tylko słowa, za które nikt do mnie nie strzeli. Pisanie jest najwygodniejszą sprawą pod słońcem: nie tylko nic nie kosztuje, lecz wręcz przysparza zarobków. A przecież nigdy nie splunąłem pod nogi różnym polskim kołtunom, co to wracają z Paryżewa, a potem, czkając jeszcze po niezapomnianych kolacyjkach, wrzeszczą, żeby sobie dać spokój z tą „koślawą i leniwą hołotą”, nie dawać im ani grosza, trzymać się z daleka od ich morderczych bójek, patrzeć

na własne podwórko, gdzie tyle jest wszak do zrobienia, że wspomną znacząco o niedostatku szynki. Gardzę tymi ludźmi, mierzi mnie ich dobrowolna ślepotą połączona z arogancją, ale co właściwie zrobiłem, żeby choć jednym prawdziwym gestem dowieść swej solidarności z tymi, których uważam za braci? Na jakiej podstawie przywłaszczam sobie prawo wnioskowania o ich życiu, twierdząc, że trzymam z Czerwonymi Khmerami lub nagle odmawiam im racji na jakimś zakręcie? Kilka niebezpiecznych sytuacji, w jakich się znalazłem, było rezultatem normalnego ryzyka zawodowego; nie były zresztą tak znów niebezpieczne, skoro jeszcze żyję. Ciekawe, jak by wyglądały moje zapatrywania polityczne, gdybym z rok popracował w komunie od piątej rano do siódmej wieczorem, z przydziałem dziewięciu dekagramów ryżu na dobę i bez prawa noszenia kapelusza z ryżowej słomy. Albo na odwrót: gdybym jako obywatel *wolnego świata*, to znaczy antykomunistycznej Kambodży Lon Nola, spędzał czternaście godzin w kamieniołomie, a potem dostawał swą przedwieczorną porcję razów bykowcem, ponieważ buntowałem poczciwych chłopów.

Jeżeli za ludzkimi poglądami w sprawach takiej rangi nie stoi dziś gest na miarę Guevary lub przynajmniej dostatecznie rozległe i poparte czynami doświadczenie osobiste — trzeba je traktować z nieufnością. Za dużo jest na świecie słów, za dużo wymyślonych idejek o ograniczonym obszarze i terminie ważności. Coraz trudniej ocenić wiarygodność własnych myśli i odróżnić intelektualne prefabrykaty od mozolnego rękodzieła.

LXXXVII. Zawsze można powiedzieć, żeby szewc trzymał się kopyta i że nie są to problemy na dziennikarskie pióro. Pewno tak jest rzeczywiście. Tyle że czasem oprócz zawodu posiada się również coś w rodzaju prywatnej ciekawości i chciałoby się wiedzieć,

czy istnieją granice utopii; a jeśli istnieją, to kto i gdzie je wytycza. I czy wolno deklarować się z hurtowym poparciem dla tych, którzy mają wprawdzie za sobą wszelkie racje historyczne i moralne, lecz o których z góry wiadomo, że „nie będą mogli przejść przez deszcz, nie potracając ani jednej kropli”. Sekwencja wielkich rewolucji azjatyckich wcale się jeszcze nie skończyła; przeciwnie, trzeba pilnie patrzeć na te, które się już dokonały, ponieważ zawierają w sobie wszystkie zwycięstwa i wszystkie błędy azjatyckiej przyszłości.

Więc jakie są granice utopii? Gdzie kończą się rafał azjatyckiej specyfiki, dyskusyjne obszary względności pojęć, a gdzie zaczynają się prawdy uniwersalne, od których nikt nie może być zwolniony z powodu braku przygotowania lub złego samopoczucia?

Ten niepokój zrodził całą nowoczesną literaturę i nie sposób o nim powiedzieć, że nie ma żadnego związku z dziennikarską powszedniością. Nawet kronika wypadków miejskich ma swoje miejsce w panoramie społecznych przyczyn i skutków, cóż dopiero rewolucje, przewroty, wielkie wiry historii.

Więc Dostojewski: każdy z nas jest zdolny do wszystkiego. Conrad: to prawda, ale nie wszystko wolno, mamy w sobie diabła zwanego sumieniem, którego zwalczyć i zagadać nie można. Gorki: tak dalej żyć nie wolno, miara człowieczeństwa jest inna. Aragon: świat pojęć europejskiego mieszczaństwa zbankrutował, obłuda i chciwość zniszczyły sens życia, obróciły wniwecz dorobek europejskiego humanizmu. Malraux: kapitalistyczna Europa jest nieprawdziwa, zakłamana, jej system wartości nie znajduje zastosowania w Azji i wobec Azji, prawdziwe ludzkie dylematy rozstrzygają się tylko tam. Camus: dżumy świata nie uda się zwalczyć, lecz każdy musi czynić to, co do niego należy, aby pomniejszyć jej zasięg.

Znam ten ciąg. Znam ten pospieszny, użytkowy sposób czytania wielkiej literatury. Dziennikarskie bryki,

komiks moralny dla maturzystów, erudycja półinteligentów. Chodzi o to, aby czytanie było na odpowiednim poziomie, dziennikarskie kawałki wyglądają wtedy dużo lepiej. Szybko, szybko. Opuszczać opisy przyrody, szukać krótkich, aforystycznych zdań, które można zacytować, bo świadczą o należytych lekturach i dobrym guście. To bardzo ważne, żeby mieć dobry gust, kiedy się pisze o trupach.

Ale potem ten ciąg się urywa i nie ma już kogo cytować na nowsze okoliczności. Bo co? *Bramy raj*, manifest nihilistycznego zwątpienia o wszystkim jednocześnie? Dürrenmatta, który pogodnie zaleca hodowlę kur, kiedy nadciągają barbarzyńcy? Frischa, który w jednej dziewczęcej piersi potrafi dostrzec kosmos autentyzmu? Może Sartre'a, który tak niepostrzeżenie przeskoczył od wielkości do śmieszności?

LXXXVIII. Nie znoszę Gauguina, hawajskich gitar, kolorowych pocztówek z tropikalnych krajów, tancerek z Tahiti. Nie znoszę historyków sztuki rozanielonych nad szczapą drewna i ślepych na los starca, który tę szczapę wyrzeźbił; dziennikarzy-podróżników opisujących jazdę na słoniu; bezstronnie ironicznych ekspertów-inżynierów z workiem logarytmów zamiast duszy; paniusów opiewających meduzy, bo o meduzy nikt się nie obrazi; dystyngowanych ekonomistów, których zafrasowane czoło pokrywa się dodatkowymi zmarszczkami z powodu niepowstrzymanego rozwierania się nożyc cen; trup śpiewaczo-artystycznych z egzotycznych krajów; mistyków w prześcieradłach, poszukiwaczy ahinsy, wyznawców buddyzmu Zen, kolorowych biznesmenów, joginów, astrologów i zaklinaczy węży. Szukam odpowiedzi na krótkie i jasne pytanie: kiedy Azjaci powinni zabijać Azjatów. Z jakich ważnych i moralnie usprawiedliwionych przyczyn. Jaka ilość zabitych jest historycznie niezbędna, aby się dokonała

sprawiedliwość. Jak ustalić normę polityczną i moralną, która pozwoli nieomylnie odróżnić zbrodnię ludobójstwa od krwawej, lecz oczyszczającej katharsis, skoro łagodna perswazja, odwoływanie się do bóstw i nadzieja na ewolucyjną poprawę kondycji ludzkiej zawiodły całkowicie.

Jeden tylko André Malraux próbował odpowiadać na takie pytania. A próbował takie poczynania rewolucjonistów azjatyckich, które jeszcze o pokolenie wcześniej nie mieściły się w europejskich głowach i powszechnie uchodziły za przejaw właściwej Azjatom dzikości lub wręcz pospolitego bandytyzmu. Czen wbija sztylet w serce chińskiego łotra i sprzedawczyka: dobrze. Kyo kłamie, oszukuje kapitana statku: ma rację. Kulisi ciskają granaty na chińskich policjantów: tak powinno być. Czen rzuca się z bombą pod samochód Czang Kai-szeka: oto bohater. Jest to nie tyle odwrócenie tradycyjnych norm zła i dobra, bo w tym specjalizował się Lafcadio, lecz raczej przydanie im nowego, dodatkowego wymiaru: historii. Kim bylibyśmy bez ciebie, pułkowniku Berger? Co jeszcze nowego napisaliby pocztytni europejscy pisarze drugiej gildii: Pirandello i Hamsun, Stefan Zweig i Maugham, Feuchtwanger i Unamuno? Nigdy nie widzieli gruźliczych nor Szanghaju ani muru pekińskiej koncesji, nie chleptali cienkiej polewki z prosa, nie patrzyli w skośne oczy tragarzy portowych. Gdyby nawet to wszystko zobaczyli, spłodziliby pewno powieść o romansie gejszy z synem gubernatora. Malraux był drugim, po Conradzie, lecz ostatnim już z wielkich pisarzy Europy, którzy uratowali honor naszej literatury i przyznali jej prawo do zabierania głosu w prawdziwych sprawach dwudziestego stulecia naszej ery.

Ale to wszystko działo się pół wieku temu. Wielki Marsz dobiegł już dawno końca. Zrodził wielkie państwo, którego wpływ na wydarzenia w Kambodży był rozstrzygający. Zrodził nową ideologię, której nie można zbyć wzruszeniem ramion, ale też trudno przy-

jąc za objawienie. Nie ma już jednak nikogo rangi André Malraux, kto zechciałby zaangażować swój talent i sumienie w objaśnianie szaleńczych tajfunów ostatniego ćwierćwiecza i kto powiedziałby otwarcie, na własne ryzyko, jakie są granice utopii i granice niepodważalnych uniwersaliów. Może ten rozdział ludzkiej myśli w ogóle się już skończył i nikt więcej nie będzie wyřęcał dziennikarzy w konstruowaniu uogólnień i stawianiu hipotez.

I taki pożytek z literatury.

LXXXIX. Dziewiątego lutego o trzeciej trzydzieści rano znów wyruszyliśmy nad granicę kambodżańską z założeniem, że cel podróży zostanie ustalony dopiero w wojewódzkim mieście Tay Ninh, w zależności od stanu bezpieczeństwa po tamtej stronie.

O dziesiątej przeprawiliśmy się promem przez rzekę Vam Co Dong. Prom był tak poszarpany pociskami, że właściwie powinien być niezdatny do użytku. Śród-burcia posiekane z cekaemu, osłony maszynowni zerwane na strzępy, pokład dziurawy jak rzeszoto.

Po zachodniej stronie rzeki krajobraz uległ raptownej zmianie. Obdarte z kory drzewa kauczukowe, leje po wybuchach, spalone resztki chat, zrujnowane mostki nad strumieniami, pejzaż śmierci i pustki. To właśnie w tym rejonie napady Czerwonych Khmerów powtarzały się z największą regularnością. Do granicy było ponad piętnaście kilometrów, ale ten obszar wyglądał jeszcze gorzej niż rejon Papuziego Dziobu.

Przed wyjazdem z Tay Ninh obejrzałem jedyną istniejącą mapę tego terenu, aby się zorientować w topografii okolicy. Jest to amerykańska mapa dla nawigatorów lotniczych, w skali 1:334 000, bez rzeźby terenu i większości znaków umownych, do tego gęsto wyskalowana w minutach i sekundach szerokości i długości geograficznej. Trzeba dobrze znać te okolice, aby z niej cokolwiek odczytać. Zwróciło jednak moją uwa-

gę, że w sztabie obrony cywilnej naniesiono na tę mapę wiele czerwonych elips, z których mniej więcej jedna trzecia znajdowała się po wietnamskiej stronie granicy.

Poprosiłem o wyjaśnienie i uzyskałem je bez trudu. Każda z tych elips oznaczała przypuszczalne miejsce pobytu pojedynczych band Pol Pota. W każdym innym kraju świata taka mapa z naniesionymi znakami taktycznymi byłaby tajna i niedostępna dla osób postronnych; tutaj wisiała niemal na publicznym widoku. Wojna ludowa kieruje się trochę innymi zasadami: im więcej ludzi widzi rejony zgrupowań nieprzyjaciela, tym mniejsze niebezpieczeństwo zaskoczenia i tym większy napływ cennych informacji od ludności. Sam fakt, że w miesiąc po rozgromieniu reżimu Pol Pota ciągle jeszcze znajdowały się na terenie Wietnamu niedobitki Czerwonych Khmerów, wzbudził nasze zdumienie. Członek komitetu wojewódzkiego partii, Huynh Van Luan, wyjaśnił, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Pojedynczych dywersantów chwyta się nawet w centrum Tay Ninh; nie dalej niż tydzień temu grupa polpotowców usiłowała wysadzić w powietrze most, przez który dziś jechaliśmy. Huynh Van Luan mówi to rzeczowo i spokojnie, a potem dodaje, że jego syn zginął w zeszłym roku z rąk ludzi Pol Pota o 24 kilometry od Tay Ninh. Drugi syn, skoro już o tym mowa, poległ w walce z Amerykanami w rejonie Pleiku.

Z powodu czerwonych elips na mapie zdecydowano nie wysłać nas do wsi Xa Mat, którą chciano nam początkowo pokazać jako dowód bestialstwa Czerwonych Khmerów. We wsi Xa Mat nadal jest niebezpiecznie, istnieje możliwość zetknięcia się ze *złymi elementami*. Dlatego pojechaliśmy do wsi Xa Thanh Long.

Trudno to było nazwać wsią. 12 grudnia 1978 roku dwie brygady Czerwonych Khmerów dokonały tu napadu, zabijając 15 osób i zostawiając 22 rannych. Zastrzelono też 61 bawołów, co nieodwołalnie zrujnowało gospodarke wsi, i spalono 29 na 30 domów miesz-

kalnych. Jest to jednak niepełna lista strat. Wieś Xa Thanh Long, odległa tylko o 6 kilometrów od granicy, była od niepamiętnych czasów zamieszkała częściowo przez Wietnamczyków pochodzenia khmerskiego. Czerwoni Khmerowie uprowadzili ich wszystkich ze sobą i nigdy już nie udało się ustalić, co z nimi zrobili. Można się tego tylko domyślać.

Gdzieś tutaj kończy się ślepo słynna droga nr 13, o której w swoim czasie dyskutowano nawet na forum Kongresu Stanów Zjednoczonych. Zanim zapłonęły ognie indochińskich wojen, droga nr 13 wiodła z Sajgonu do Kompong Cham w Kambodży i uchodziła za ważny szlak strategiczny. To śmieszne. Jest to wąska, kręta, źle wyasfaltowana droga, na której z trudem mijają się dwie arby, poryta pociskami z moździerzy. Dziś nie prowadzi już — czy raczej jeszcze nie prowadzi — do Kompong Cham. Na długości czterdziestu kilometrów po obu stronach granicy została całkowicie zniszczona, aby uniemożliwić szybki przerzut wojsk w jedną i w drugą stronę.

Sołectwo wsi Xa Thanh Long mieści się w niewielkiej szopie, otoczonej z trzech stron rowem strzeleckim, jego przedpiersie jest wykonane z podziurawionych beczek po benzynie, połamanych mebli i jutowych worków z piaskiem. Wewnątrz wisi kolorowy portret Ho Szi Minha i rozporządzenie premiera SRW w sprawie walki z minami i niewypałami, które, jak się dowiaduję, pochłaniają co roku dwa tysiące ofiar, głównie wśród dzieci. Stoi także połowy telefon na korbkę, nosze, pięć skrzynek z radziecką amunicją do broni maszynowej i przedpotopowy kałamarz z atramentem. Sołtys — rosły, milczący, szorstki, w lekkim hełmie na głowie — nosi na plecach pistolet maszynowy, a w ładownicy u pasa cztery pełne magazynki.

Poszliśmy obejrzeć umocnienia zbudowane przez Czerwonych Khmerów na terytorium wietnamskim 6 kilometrów od granicy, która na tym odcinku biegnie doliną dobrze widocznej rzeczki. Umocnienia to

trochę zbyt duże słowo. Jest to po prostu system okopów, głębokich na 70 centymetrów, biegnących zakosami według wszelkich prawideł regulaminu europejskiej piechoty z roku 1945. Transzeje ułożone są w trzech nierównoległych rzędach, w całości ukrytych w zniszczonym lesie. Co sto metrów widnieje stanowisko dowodzenia plutonu, co trzysta — potężny bunkier podziemny, ukryty w korzeniach wielkich mangrowców, zbrojony płytami blachy. Rowy łącznikowe są także poprowadzone według wszelkich prawideł sztuki saperskiej, pod kątem ostrym w stosunku do transzei, zazwyczaj doskonale zamaskowane roślinnością. Cały system rozciąga się na obszarze co najmniej dwóch kilometrów kwadratowych; jego budowę od wiosny 1978 roku bezpośrednio nadzorowali chińscy oficerowie. Mogły tu bezpiecznie przebywać dwa lub trzy pułki piechoty i kilka baterii artylerii lekkiej. Baza Czerwonych Khmerów w wietnamskiej wsi Xa Thanh Long wystarczała w zupełności, aby utrzymać kontrolę nad wschodnim odcinkiem drogi nr 13; stąd też wyruszały brygady szturmowe, aby palić wietnamskie wsie na głębszym pograniczu.

Naliczyłem trzydzieści skrzynek po chińskiej amunicji i zaprzestałem dalszego liczenia. Część z nich jest opatrzona dobrze widoczną liczbą 800. W okopach walają się chińskie czapki wojskowe, chińskie taśmy do cekaemów, opakowania po chińskich papierosach. Las zaczyna trochę odżywać, ale poszycie jest nadal ubogie, zdeптane, wynędzniałe. Nie ma w ogóle lian ani paproci. W lesie nie śpiewają ptaki.

Linia umocnień leży o niecałe dwa kilometry na zachód od wsi Xa Thanh Long. Spytałem sołtysa, jak to się stało, że Czerwoni Khmerowie budowali swe umocnienia od wiosny 1978 roku, a wieś zniszczyli dopiero w grudniu. Odpowiedział, że uważali ten teren za część Kambodży, choć granica na rzece przebiegała tu zawsze, odkąd sięga ludzka pamięć. Ale nie ma się czemu dziwić, powiedział sołtys; oni nawet

Miasto Ho-Szi Minha i Phan Thiet uważali za część Kambodży. A potem coś im się nagle odmieniło.

Znów mieliśmy obejrzeć jakieś *nowe życie*. Było jednak okropnie gorąco, żar nawet tu sięgał długim, trującym językiem. Zatrzymaliśmy się na chwilę przy dziwacznej konstrukcji, której przeznaczenia nie mogłem początkowo zrozumieć. Była to strzecha z liści areku, położona na czterech niedbale ostruganych pniach bambusa. Nie było ścian, ale pod strzechą stały ciasno zbite legowiska, przykryte kolorowymi szmatami. Kiedy podszedłem bliżej, okazało się, że na legowisku siedzi stary, obdarty chłop o pomarszczonej twarzy i mnóstwo dzieci w różnym wieku, od drugiego do czternastego roku życia. Siedzieli w milczeniu wpatrując się w przestrzeń. Dopiero nasze przybycie wyzwoliło ruch. Najmniejsze dzieci wybiegły na niewielki placyk, który był kiedyś podwórkiem; dostrzegłem zarysy dawnej obory z bielejącymi kośćcami bawołu, jakieś pogięte od ognia szczątki naczyń kuchennych, połączzone miski. Trwało ze dwie minuty, zanim się zorientowałem, że roześmiane, półgołe dzieci kopią jakiś przedmiot.

Postąpiłem o dwa kroki bliżej. Dzieci kopały ludzką czaszkę, prawie czarną od płomieni.

Dwaj żołnierze z ochrony i sołtys równocześnie pochwycili mój wzrok i usłyszeli trzask otwieranego wizjera lustrzanki. Sołtys wrzasnął na dzieci, aż stuliły ramiona i całym pędem, potykając się na pogorzeliisku, puścili się pod strzechę. Spóźniłem się o dwie, najwyżej trzy sekundy. Żołnierz z ochrony odsunął czaszkę końcem buta i gniewnie powiedział coś do siedzącego pod strzechą chłopca.

Zapytałem sołtysa, czyja to czaszka.

Milczał przez chwilę w gniewie, a pewno i ze wstydu, że akurat jemu musiała się trafić tak kompromitująca przygoda z cudzoziemcami. Odpowiedział w końcu, że wie, kim była ta kobieta. To była matka tych dzieci.

Matka?

Tak, wyjaśniła tłumaczka. *La mère*. Zamordowano ją dwunastego grudnia zeszłego roku, podczas napadu na wieś.

Sołtys był poruszony. Po chwili milczenia powiedział, że podczas tamtego napadu Czerwonych Khmerów on sam stracił żonę, syna, córkę i dwóch braci. Ocalał jedyny syn, służący w wojsku na północy. Dom sołtysa także został spalony.

XC. Po powrocie sprawdziłem w dzienniku, co porabiałem w dniu 12 grudnia 1978 roku. Był to wtorek, lekko mroźny i pełen chmur. Przed południem pisałem, potem zanotowałem kilka przykrych uwag na tematy zawodowe. Po południu kłóciłem się z szefem. To było zaledwie pięćdziesiąt dziewięć dni temu. Tysiąc czterysta szesnaście godzin. Z których prawie pięćset przespałem.

XCI. W drodze powrotnej jeszcze raz zatrzymaliśmy się w Tay Ninh na posiłek. Zapytałem Huynh Van Luana, dlaczego właściwie Czerwoni Khmerowie żywili taką nienawiść do Wietnamu i wyrządzali mu tyle szkód.

Odpowiedź brzmiała tak: zbrodnicza klika Pol Pot-Jeng Sary nienawidziła marksizmu-Leninizmu i na polecenie władz pekińskich reprezentowała kambodżański ekspansjonizm. Uważała ona, że Wietnam uległ rewizjonizmowi, zdradził ideały rewolucyjne i postępuje drogą kapitalistyczną.

Ten siwy, sześćdziesięcioletni człowiek działał w Vietminh od roku 1947. Jest członkiem partii od najmłodszych lat. Przez dwadzieścia jeden lat pracował na Południu w głębokim podziemiu, jako organizator partyjny południowego odcinka szlaku Ho Szi Minha, pełnomocnik KC, odpowiedzialny za przerzuty ludzi na Północ. Oddał krajowi dwóch synów. Nosi biedne

sandały, pocerowaną koszulę, druciane okulary o pękniętym szkłe i żaloszny, bezbarwny chałat. Nie mam żadnego powodu, aby drwić z jego niezdarnych formuł lub umniejszać tragizm, przebijający z tych ocen. Jest doświadczonym działaczem partyjnym i nigdy mi nie powie, ile razy pomagał Czerwonym Khmerom w ich walce przeciw amerykańskiemu reżimowi Lon Nola, ile razy krył ich, jako organizator partyjny nadgranicznej prowincji, i leczył, kiedy zapadali na febrę. Nie potrafię wnikać w myśli tego starego człowieka, ale chciałbym wiedzieć, co naprawdę czuł, kiedy Czerwoni Khmerowie zabili mu drugiego syna, tak samo, jak Amerykanie zabili pierwszego.

XCII. W Tay Ninh okazało się, że jednak nie możemy pojechać do Kambodży. Widocznie *złe elementy* były tego dnia bardzo aktywne. Ale zamiast tego pojedziemy odwiedzić obóz uchodźców kambodżańskich w Ben San. Jeszcze niedawno było tam ponad 25 tysięcy osób, obecnie część już wróciła do kraju, w obozie zostało jeszcze 13 500 osób.

Wolałbym nie opisywać obozu w Ben San. Istnieją takie przybytki, emigranckie, uchodźcze, potworne w swej tymczasowości, które kumulują w sobie całą krzywdę i smutek świata, bez względu na kraj, gdzie się znajdują, i chyba bez względu na przyczyny emigracji. Nie wiem zresztą, jak można opisać nie kończące się rzędy identycznych chat, wzniesionych na pustym, piaszczystym ugorze, ołowiany horyzont bez jednego drzewa i gorzką nudę upływającego życia.

Z rozmów, jakie przeprowadziliśmy w obozie Ben San, zanotowałem dwie, ponieważ wydały mi się cenne jako dokumentacja do sprawy kambodżańskiej. Obie rozmówczynie mówiły biegle po francusku.

XCIII. Trzydziestoosmioletnia pani P., nauczycielka matematyki w mieście Siem Reap, 19 kwietnia 1975

roku, w kilka godzin po wkroczeniu Czerwonych Khmerów do miasta, została rozdzielona z mężem i dwiema córkami w wieku dwanaście i piętnaście lat. Trzecią, najmłodszą córkę, trzyletnią, zabrała ze sobą. Mąż był również nauczycielem. P. nie sądzi, aby mógł przeżyć te cztery lata. Był aktywnym działaczem towarzystwa khmersko-francuskiego i khmersko-radzieckiego, członkiem jakiejś partii politycznej (P. nie potrafi podać jej nazwy), osobą znaną w Siem Reap. Od czterech lat nie wie nic o swym mężu; nie wie nawet, co się z nim działo od momentu rozstania. Wie natomiast, że obie starsze córki nie żyją. Zmarły z głodu i wyczerpującej pracy w komunie Vanh Sonh, o 150 kilometrów od miejsca, w którym przebywała ich matka. W jaki sposób otrzymała tę wiadomość? Tu, w obozie, jest ktoś, kto uciekł z komuny Vanh Sonh i pamięta śmierć obu dziewcząt. Może by i przeżyły, bo chorowały na dyzenterię, a z tego się czasem wychodzi, lecz szef komuny był człowiekiem wyjątkowo bezwzględny. Uznał ich chorobę za wykręt, zmniejszył racje żywnościowe i kazał pod karabinem popędzić do pracy. Umarły obie w ciągu jednego tygodnia. Bardzo się kochały.

Pani P. została wysłana do komuny Sre Tham w prowincji Kompong Cham, o 270 kilometrów od Siem Reap. Szła pieszo przez dwadzieścia dziewięć dni... czy boso? Oczywiście. Boso. Nikt nie miał prawa mieć butów na nogach. A dziecko? Dziecko głównie niosła na rękach. Początkowo myślała, że nie przeżyje; komuna nie miała prawie żadnych zapasów żywności, zatarły się granice przydziałów między kategoriami. Cały swój ryż gotowała córeczce. Potem się poprawiło. Przyszedł nowy szef komuny, dużo bardziej ludzki. Pozwalał zabierać dziecko do pracy w polu, zwalniał czasem z zajęć szkoleniowych, aby P. mogła przepierać dziecku sukienkę. Polepszyło się też wyżywienie, bywały i takie dni, że otrzymywała porcję mięsa. Ale pod koniec 1977 roku wszystko znów się popsuło. Ludzie z III kategorią

prawie w ogóle nie dostawali ryżu, choć komuna Sre Tham była wielokrotnie chwalona za wysokie plony; głównym pożywieniem był maniok, proso i pędy bambusa, raz na kiedyś suszona ryba. Dziecko zaczęło słabnąć i chorować. Właśnie wtedy P. podjęła decyzję, że trzeba ratować dziecko. Ukradła w kuchni piętnastokilogramowy woreczek ryżu i wraz z dwoma innymi nauczycielkami wymknęła się w nocy z sypialni dla kobiet.

Po sześciu dniach w dżungli — a P. nigdy przedtem nie widziała dżungli na własne oczy — córeczka dostała gorączki. Noc w dżungli była bezpieczna, ponieważ trzy kobiety czuwały na zmianę i ani razu nie natknęły się na groźne zwierzęta, nie licząc oczywiście węży. Dzień groził śmiercią. Kilka razy słyszały odgłosy strażaków, nawet głosy jakichś żołnierzy. Nie miały innego wyjścia, musiały zostać przez dwa dni i dwie noce w dżungli, patrząc z rozpaczą na topniejący zapas ryżu, zapalek i soli. Trzeciego dnia dziecko zmarło, nie odzyskując przytomności. Nie wiadomo właściwie, na co umarło — chyba na febrę. P. wygrzebała rękami głęboki dół, aby zwłok córki nie rozwlekły leśne zwierzęta. I poszła dalej, przed siebie.

Dopiero wtedy zaczęło się najgorsze. Zgubiły drogę, raz po raz wychodziły z dżungli na jakieś rozległe przesieki i polany, gdzie były widoczne jak na dłoni. Nie miały już nic do jedzenia, gotowały na wodzie z górskich strumieni pędy bambusa i jakieś trawy, których nigdy przedtem nie brały do ust. Dwadzieścia sześć dni trwała jeszcze ich droga do Wietnamu. Po przekroczeniu granicy zostały najpierw aresztowane przez chłopów z obrony terytorialnej; uznano je prawdopodobnie za zwiadowczynie Czerwonych Khmerów. Dopiero po tygodniu zwolniono je z aresztu i wysłano do obozu w Ben San.

Dlaczego P. jest jeszcze w obozie? Ponieważ Siem Reap jest na razie okupowane przez Czerwonych Khmerów, a ona może wrócić tylko do rodzinnego

miasta. A może mąż jednak ocalał? Gdzie będzie jej szukał, jeśli nie w domu?

Co myśli o Czerwonych Khmerach? Nie zna się na polityce. W ogóle nie rozumie, dlaczego ją rozdzielono z rodziną i posłano do pracy w komunie. Oboje z mężem zarabiali na życie pracą nauczycielską, nigdy nikogo nie wyzyskiwali i nie występowali przeciw Czerwonym Khmerom. Jest wdzięczna Wietnamczykom za schronienie, ale jest patriotką khmerską i pragnie jak najszybciej wrócić do kraju. Słyszała, że kraj jest zrujnowany — czy to prawda? Ale to nie jest najważniejsze. Kraj zostanie odbudowany. Jednak ludzi nigdy się już nie wskrzesi.

P. wstydzi się trochę swego niedouczenia, ale prosi o powtórzenie, jak się nazywa kraj, z którego przyjeżdżam i gdzie on właściwie leży. Jakim językiem mówi się w tym kraju? Czy jesteśmy przyjaciółmi Wietnamczyków? Ach, trzeba było mówić od razu, że byliście członkami komisji międzynarodowej dla Indochin. *Polonh*, oczywiście.

XCIV. Trzydziestopięcioletnia pani Nuon Varin, nauczycielka języka francuskiego w liceum prywatnym w Phnom Penh. Przystojna, wykształcona, odcytana, doskonale zorientowana w problematyce politycznej. Mówi pełnymi, zwięzłymi zdaniami; jej głos i nienaganna dykcja zostają w pamięci. Ma na sobie spraną, spłowiałą bluzkę i długą spódnicę do kostek, z byle jakiej tkaniny, ale wygląda jak dama dworu.

Nuon Varin była sympatykiem Czerwonych Khmerów, podobnie jak spora część młodej inteligencji kambodżańskiej za rządów Lon Nola. Siedemnastego kwietnia w południe stała na bulwarze Monivonga i owocyjnie witała wkraczające oddziały rewolucyjne, wraz z grupą przyjaciół i swych uczniów z liceum. Była pewna, że zaczyna się nowy, lepszy rozdział w historii

jej kraju. Kiedy skończyło się powitanie wojsk, poszła w kierunku domu, ponieważ zostawiła dzieci pod opieką piastunki. Nie doszła jednak. O trzysta metrów od domu zatrzymał ją patrol Czerwonych Khmerów i kazał dołączyć do grupy strwożonych, oszołomionych ludzi. Nie pomogły protesty i powoływanie się na dzieci pozostawione w domu, ani zapewnienie, że Nuon Varin sympatyzowała z rewolucją i gotowa jest jej służyć; żołnierz dzielił ją kolbą po plecach, kazał zdjąć buty, wyrzucić dokumenty i ruszyć razem z kolumną.

W trzy godziny po powitaniu oddziałów wyzwolenczych Nuon Varin była już daleko poza miastem, nie rozumiejąc, co się stało i kto właściwie obalił Czerwonych Khmerów, ponieważ nie mieściło się jej w głowie, aby rewolucyjna armia wyzwolencza mogła tak postępować z ludnością. Na pierwszym punkcie etapowym wszczęła dyskusję z komisarzem politycznym, nie ukrywając swych poglądów na to, jak władza ludowa powinna postępować, i domagając się powrotu do dzieci i męża. Skutek był fatalny: panią Nuon Varin skierowano do jednej z najgorszych komun karnych, jakie istniały — do Po Pet, w powiecie De Prasant, w prowincji Kratie. Słuszniej byłoby ją nazwać obozem koncentracyjnym.

Komuna Po Pet leży o 132 kilometry na północny wschód od Phnom Penh. Tę drogę Nuon Varin przebyła pieszo, pod nadzorem specjalnego konwojenta, ponieważ uznano ją za osobę wyjątkowo niebezpieczną. Wypowiadała na głos poglądy, które na milę zalaływały rewizjonizmem, nie okazywała pokory, kwestionowała nieomyślność Angkaru. Gorzej: na każdym kolejnym postoju, a także podczas marszu, zapewniała konwojentów i współtowarzyszy, że partia upomni się o los niewinnych i surowo pokarze zdrajców. Nuon Varin była kobietą inteligentną, twardą, czytającą i nie zamierzała się biernie godzić ze zbrodnią. Już wtedy, zanim jeszcze skończył się dziesięciodniowy marsz do karnej komuny, wiedziała, że jest świadkiem zbrodni,

nie zaś przypadkowego nieporozumienia. Konwojenci — ciemni, niepiśmienni chłopcy z zapadłych wsi — nie rozumieli w ogóle niczego z jej słów. Współtowarzysze marszu nie ukrywali podejrzliwości i lęku; były to przeważnie rodziny oficerów armii Lon Nola, chińskich i wietnamskich kupców, żony inżynierów i urzędników. Ci ludzie także nie rozumieli, co się stało w ich kraju, ale po Czerwonych Khmerach nigdy nie spodziewali się niczego innego.

Mąż pani Nuon Varin był lekarzem, absolwentem francuskiego uniwersytetu, zresztą swą przyszłą żonę poznał we Francji, gdzie kończyła w Alliance Française kurs doskonalący dla nauczycieli języka. Mieli troje dzieci: dwie córki w wieku pięć i sześć lat oraz czteroletniego synka imieniem Pierre. Od tamtego dnia pani Nuon Varin nie miała żadnych wiadomości o ich losie. Nie ma nadziei, aby mąż jeszcze żył; z punktu widzenia Czerwonych Khmerów ciążyło na nim zbyt wiele grzechów — wykształcenie w ogóle, wykształcenie medyczne w szczególności, biegła znajomość obcego języka, długoletni pobyt w kraju kapitalistycznym, niewątpliwa przynależność do klasowo obcej grupy społecznej. A dzieci? Nie wiadomo. Pani Nuon Varin nie traci nadziei, że żyją. Ale piastunka miała prawie siedemdziesiąt lat, była analfabetką, nie знаła miasta, z trudem się już poruszała. Nie mogła zapewnić dzieciom opieki, nawet gdyby ją wysiedlono razem z nimi do komuny. A dzieci były zbyt małe, aby mogły sobie poradzić same. Najstarsza dziewczynka miałaby teraz dopiero dziesięć lat, Pierre zaledwie siedem i pół. A przecież, gdyby pani Nuon Varin pozwolono wrócić do domu, dzieci mogłyby być razem z nią; matki miały prawo zabierać ze sobą do komun dzieci do piątego, niekiedy nawet do siódmego roku życia.

Pierwsze miesiące w komunie Po Pet były nie do zniesienia. Pani Nuon Varin otrzymała IV, najgorszą kategorię; sądzi, że była przeznaczona do eksterminacji

w pierwszej kolejności, lecz uratowała ją seria przypadków.

Po Pet była jedną z tych nielicznych wsi we wschodniej części kraju, skąd początkowo nie wysiedlono dawnych mieszkańców. Znajdowała się tam z początkiem lat siedemdziesiątych baza operacyjna Czerwonych Khmerów. Ludność, składająca się w połowie z narodowości Czam, została uznana za godną zaufania i wykazującą dostatecznie wysoki poziom rewolucyjnej świadomości. Byli to ludzie w gruncie rzeczy poczciwi, lecz przeraźliwie ciemni i biedni; przybyśców z miasta przedstawiono im jako zaciekleń wrogów ludu, wyzyskiwaczy i obcych najemników, ponoszących bezpośrednią odpowiedzialność za nieszczęścia, jakie spadły na wieś kambodżańską w ostatnim piętnastoleciu. Chłopi z Po Pet nie widzieli żadnego powodu, aby okazywać tym krwio pijcom współczucie, mówili zresztą odrębnym dialektem czamskim i porozumienie z nimi było trudne. Wyręczali kadre Czerwonych Khmerów w nadzorze nad nowymi przybyszami, donosili o każdej niesubordynacji, patrzyli na ręce dniem i nocą. Owszem, zdarzało się, że chłopki podrzuciły czasem suszoną rybę lub garść tapioki, ale wieś sama ledwo się mogła wyżywić.

Głód był początkowo tak dotkliwy, że pani Nuon Varin nie mogła sypiać po nocach. Dostawała dziesięć dekagramów ryżu dziennie, raz na miesiąc jajko, czasem, bardzo nieregularnie, miskę *prahok*, chłopskiej polewki z makaronem sojowym, jarzynami i kawałkami ryb. Bywały jednak całe tygodnie, kiedy kuchnia komuny wydawała ludziom IV kategorii tylko osiem dekagramów ryżu i nic więcej. Zaczęły jej wypadać włosy, skóra ropiąca, dziąsła krwawiły.

Praca na polu ryżowym trwała w Po Pet dłużej niż gdziekolwiek indziej: od czwartej rano do wpół do ósmej wieczorem, z półtoragodzinną przerwą na obiad, który należało spożywać w polu, bez prawa powrotu do zabudowań komuny. Co drugi dzień pracę kończy-

no o piątej, po czym rozpoczynały się sesje indoktrynacyjne, trwające nierzadko do północy. Polegały na tym, że komisarz polityczny komuny przechadzał się między siedzącymi w kucki mieszkańcami i odczytywał kilka razy obowiązującą w danym miesiącu broszurkę szkoleniową Angkaru. Niepiśmienni wartownicy patrzyli, czy ktoś nie zamknie znużonych oczu; natychmiast przywoływano winowajcę do porządku.

Potem rozpoczynała się tak zwana dyskusja. Składała się z dwóch części. W pierwszej mieszkańcy komuny musieli jeden po drugim cytować, możliwie dosłownie, myśli z przeczytanej właśnie broszurki. Druga część sesji poświęcona była krytyce i samokrytyce. Następował, jak powiada Nuon Varin, konkurs donosicielstwa; im surowiej oskarżało się współtowarzyszy niedoli o lenistwo lub brak świadomości, tym lepszą notę otrzymywało się samemu. Ale to nie wystarczało. Trzeba było również mówić jak najgorzej o sobie, wyznawać złe myśli, biczować się za poprzedni życiorys, zarzucać sobie występki i wszelkie możliwe przewiny.

Najszybciej opanowali tę sztukę Chińczycy. Już po kilku tygodniach wygłaszali całe poematy samokrytyczne, wyszukiwali najgorsze wyzwiska pod własnym adresem, oskarżali się płomiennie o uleganie konfucjanizmowi i spiskowanie z imperialistami. Najbardziej oporni byli Wietnamczycy, którzy zawsze trzymali się razem i udawali, że nie rozumieją, o czym mowa. Szef komuny — zły, tępy, prymitywny — tracił panowanie nad sobą, kiedy wezwani do głosu Wietnamczycy wstawali, patrzyli mu prosto w twarz i milczeli. To byli na ogół bogaci kupcy, wykształceni, znający świat i niezbyt zachwyceni tym, co się działo w ich dawnej ojczyźnie. Ale w komunie Po Pet byli tak samo odkuci z granitu, jak ich ziomkowie po tamtej stronie granicy.

Pani Nuon Varin była prawdopodobnie jedyną w całej komunie osobą, która początkowo te koszmarnie nabożeństwa traktowała serio. Zataczając się z głodu

i zmęczenia, podejmowała dyskusje z komisarzem, zadawała pytania, próbowała myśleć. Z całą powagą i otwartością przyznała się do niedostatków swej świadomości, właściwie dopiero tutaj zorientowała się, jak naprawdę wyglądało życie chłopów i jaka przepaść dzieliła mieszkańców miast od podstawowych warstw narodu. Uznawała szczerze pracę fizyczną za cenny zabieg reedukacyjny, kwestionowała jednak jej wyniszczający nadmiar i bezcelową krzątaninę. Nie ukrywała swych ostrych sądów o głupawych urzędniczych żonach, ale ośmieliła się wytknąć kadrze Czerwonych Khmerów niedopuszczalne naruszenie rewolucyjnej równości, ponieważ kadra mieszkała oddzielnie, prowadziła własną kuchnię, wcale nie tak ubogą, niektórzy mieszkali nawet z rodzinami, podczas gdy wśród nowych mieszkańców Po Pet nie było ani jednego małżeństwa. Nuon Varin domagała się także, aby mieszkańcy komuny otrzymywali więcej informacji — przede wszystkim o własnej komunie, o jej gospodarce, finansach i planach produkcyjnych, lecz także o kraju i świecie. Utrzymywała, że tylko w ten sposób prosty lud, do którego sama się już chciała zaliczać, będzie mógł ugruntować w sobie rewolucyjną świadomość. Jej słowa musiały brzmieć zagadkowo dla wszystkich; była kobietą bardzo przystojną, żeby nie rzec, piękną; jej dar słowa, inteligencja i żarliwość dramatycznie wprost odbijały od znużenia i szarzyzny obozu.

Ale w połowie 1976 roku komuna Po Pet zamieniła się w piekło i pani Nuon Varin przestała zabierać głos na sesjach ideologicznych.

Zmieniono szefa komuny i prawie całą kadrę Czerwonych Khmerów; wysiedlono *starych mieszkańców*, którzy zaczęli sarkać na głód i bezprawia reżimu; we wsi zakwaterował się pluton egzekucyjno-strażniczy, złożony z młodych chłopców o kamiennych oczach. Wyżywienie trochę się poprawiło, lecz w komunie zagnieździł się gorszy od głodu przybysz: strach.

• Niemal co noc któryś z mieszkańców komuny zni-

kał bez śladu na zawsze. Tylko raz pani Nuon Varin słyszała strzały, a przecież liczba mieszkańców zaczęła topnieć w oczach. Nikt jeszcze nie wiedział o nowym zastosowaniu motyk i amerykańskich łopatek saper-skich, z którymi nie rozstawali się żołnierze plutonu strażniczego. Nikt nie dotarł na skraj lasu, gdzie prowadzono co noc, w zupełnym milczeniu, ludzi wyrwanych ze snu. Komuna zamarała z przerażenia, ludzie przestali ze sobą rozmawiać; wszyscy mieli III lub IV kategorię i po upływie kilku tygodni wiedzieli już, że ich życie nie potrwa długo. Ucieczka nie wchodziła w rachubę: wartownicy siedzieli na groblach z bronią gotową do strzału, konwojowali do pracy w polu i z powrotem, kocim krokiem spacerowali nocą wokół sypialni. Pani Nuon Varin znów przestała sypiać, czekała nocami, kiedy ręka strażnika odsunie zasłonę zbiorowej sypialni. Którejś nocy zasnęła wreszcie kamiennym snem. Kiedy obudziła się rano, na sąsiednim legowisku nie było młodej Kuei, chińskiej studentki z Phnom Penh, z którą czasem wymieniały szeptem kilka słów po francusku. Nigdy więcej nie wróciła. Pewno leży pod lasem ze zmiażdżoną czaszką.

Pani Nuon Varin zrezygnowała z poszukiwania wyjaśnień. Całymi dniami nie wypowiadała do nikogo ani słowa, pikowała sadzonki na polu ryżowym, oporządzała świnie, suszyła łajno bawołów, nosiła kauczukowy chrust, cięła toporkiem orzechy kokosowe. Czas pracy wydłużono do piętnastu godzin, sesje indoktrynacyjne odbywały się już tylko raz w tygodniu. Szef komuny — bo komisarza politycznego już nie było — trzymał pistolet maszynowy skierowany wprost na zebranych i odczytywał kolejną broszurkę, a potem już tylko listę przewin. Cytował nieopatrzne słowa, szepnięte przed snem lub w łatrynie, wymieniał tych, którzy potajemnie rozpalili ognisko i uwarzyli sobie zupę z pędów bambusa, zapowiadał, że rewolucyjna władza nie będzie tolerować rewizjonizmu, burżuazyjnego indywidualizmu ani kroczenia drogą kapitalistyczną. Praw-

dopodobnie nie rozumiał tych określeń, ale zaciekleść, z jaką je rzucał w twarz mieszkańcom komuny, kazała każdemu z osobna oczekiwać najgorszego. Z 550 mieszkańców, którzy znajdowali się w Po Pet w roku 1975, pozostało zaledwie 300 osób, w tym tylko czterdziestu mężczyzn. Nie było już ani jednego Wietnamczyka i ani jednej wietnamskiej kobiety. Rodziny oficerów Lon Nola zniknęły do ostatniego człowieka. Wiosną 1978 roku Nuon Varin była przekonana, że w Kambodży zostaną wkrótce same kobiety i dzieci.

W lutym 1978 roku nadeszła najgorsza fala egzekucji: ludność Po Pet zmniejszyła się o dalsze 70 osób, szef komuny oznajmił oficjalnie, że komuna zostanie zlikwidowana, ponieważ cała prowincja Kratie będzie rejonem strategicznym. Nuon Varin wiedziała, że jej dni są policzone. Ale wtedy właśnie zachorowała. Trudno powiedzieć, co to była za choroba: wysoka gorączka, całkowity bezwład ciała, wysypka, stan prostracji i braku zainteresowania dalszym ciągiem życia. Pięć dni Nuon Varin leżała półprzytomna, zupełnie sama w ogromnej sypialni kobiet. W komunie nie było nikogo, literalnie nikogo, kto znalazłby się chociaż na ziołach lub ludowej medycynie.

Kiedy dziś Nuon Varin wspomina tamte lata, sama nie wierzy, że mogła to przeżyć. Przez trzy lata nie miała w ręku nawet skrawka drukowanego tekstu; ani razu nie słuchała radia, muzyki i normalnej rozmowy między ludźmi; nie wiedziała nic, dosłownie nic o wydarzeniach w Kambodży i na świecie; nie wiedziała nawet, co to jest Angkar i kim naprawdę są ludzie, którzy sprowadzili na jej kraj te wszystkie nieszczęścia. Trzy lata koszmarne snu, głodowego majaczenia, rozpacz i tęsknoty za dziećmi, izolacji tak niewyobrażalnej, że pojedyncza cela w więzieniu chwilaми wydawała się wyzwoleniem.

Spytałem, czy w ciągu tych trzech lat powstała w komunie Po Pet jakaś pieśń, wiersz, anegdota, może poemat prozą, tak charakterystyczny dla kultury lu-

dowej Azjatów. Przecież sytuacje wyjątkowe zawsze, we wszystkich kulturach, dają początek jakiejś samorodnej twórczości.

Pieśń? Nie. Nic takiego nie było. To jest trudno zrozumieć, to trzeba samemu przeżyć. Apatyczni z głodu i zmęczenia ludzie, co noc zagrożeni śmiercią, zagubieni, oddzieleni od bliskich, poddawani niewyobrażalnej presji psychicznej — czy tacy ludzie mogą układać pieśni?

29 kwietnia 1978 roku, około godziny czwartej nad ranem — była to trzecia rocznica przybycia Nuon Varin do karnej komuny — obudził pozostałych przy życiu mieszkańców Po Pet grzechot strzałów, wybuchy granatów, wrzawa bitwy. Nuon Varin nie mogła zrozumieć, kto i dlaczego dokonuje napadu na komunę; nie wiedziała o istnieniu partyzantki. Żołnierze plutonu strażniczego rzucili się w stronę lasu, ale jeden po drugim padli pod ogniem broni maszynowej. W ciągu piętnastu minut karna komuna Po Pet była wolna. Jakiś zdyszany oficer zebrał ocalałych na placu i powiedział, że odtąd będzie tu strefa wyzwolona. Zbrodnicza klika Pol Pot-Ieng Sary nigdy więcej nie będzie już mordować khmerskich patriotów, przywraca się wolność, demokrację i sprawiedliwość. Obowiązkiem każdego patriotycznego Khmera jest zaciągnąć się w szeregi armii wyzwolenczej, pomagać, przybliżać zwycięstwo, które jest już bliskie.

Nuon Varin odmówiła przyłączenia się do oddziałów wyzwolenczych. Nie chciała też zostać w strefie wyzwolonej, nie miała żadnych złudzeń, że jeśli wróca tu Czerwoni Khmerowie, jej dalsze życie będzie trwało najwyżej kilka minut. Razem z ocalałymi żonami urzędników i kupców ruszyła pieszo do obozu dla uchodźców w Ben San. Nie miała już sił do żadnych dalszych zobowiązań politycznych i moralnych. Uznała swe życie za skończone i żywiła już tylko jedną nadzieję: że odnajdzie dzieci. O mężu nie śmiała nawet myśleć.

I to właściwie wszystko.

Nuon Varin opowiedziała nam tak wiele o własnym życiu, że czuje się uprawniona do zadania i nam pewnego pytania. Nie wie, kim jesteśmy i co myślimy o różnych sprawach. Czy zechcemy jednak odpowiedzieć szczerze na jedno ważne pytanie? Oczywiście, możemy nie odpowiadać, jeśli nam jest to nie na rękę lub z jakichś powodów nie chcemy tego uczynić. Chodzi o sprawę następującą: czy widzieliśmy w Kambodży wojska wietnamskie?

Tak się spodziewałam, powiada Nuon Varin. To było do przewidzenia. Czerwoni Khmerowie zacisnęli nad nami stalową sieć, której nikt inny nie mógłby przezwyciężyć. Czy panowie sądzą, że ten stan rzeczy długo potrwa?

XCV. W interesującej książce Adama Paszta *Kraje uśmiechniętego Buddy* znalazłem cytaty z książki francuskiego historyka, Finota, który zastanawiał się, podobnie jak wielu jego kolegów, nad trudnymi do objaśnienia przyczynami upadku imperium khmerskiego w średniowieczu. Niewiele było przykładów, aby państwo tak wysoko rozwinięte, tak potężne i tak wspaniale zorganizowane rozpadło się jak domek z kart pod pierwszym uderzeniem obcego najeźdźcy, nieporównanie zresztą słabszego i gorzej uzbrojonego.

„Nie będzie przesady w twierdzeniu — pisze Finot — że z końcem średniowiecza całe kambodżańskie chłopstwo znajdowało się na służbie bogów. I można powiedzieć, że jarzmo to nie było lekkie. Dlatego, bez wątpienia, mało ofiarności wykazał lud Angkoru w obronie chciwych bogów, właścicieli niewolników i poborców podatków. Nic nie wskazuje na to, że naród ten przeciwstawił się inwazji. Możliwe jest nawet, że przyjął ją jak wybawienie.” (Przekład Adama Paszta.)

XCVI. Prawdopodobnie jedyny sens tego zawodu polega na tym, aby jak najmniej orzekać i jak najdokładniej informować. *Scripta manent*. Ale jak postąpić, gdy informacje przeczą sobie nawzajem? Gdzie przeprowadzić linię graniczną, poza którą obiektywne informacje przemieniają się nagle w stronniczość? Jaki rodzaj stronniczości jest rezultatem szlachetnego i racjonalnego wyboru, a jaki śmierdzi oportunizmem?

I najważniejsze: czy wolno powstrzymać się od orzekania, kiedy się słucha takich opowieści jak tu, w obozie Ben San?

XCVII. Dziesiątego lutego o czwartej dwadzieścia rano znów poleciliśmy do Phnom Penh.

Miasto jak gdyby obudziło się trochę z cmentarnej martwoty, ale może to było złudzenie, ponieważ na pustych ulicach w dalszym ciągu nie było żadnych ludzi. Chyba tylko ciężarówki załadowane wojskiem, zapatrzonym i amunicją, sprawiały wrażenie, że coś tutaj drgnęło. Wojska było bez porównania więcej niż przed czterema dniami, raz po raz widywało się działka polowe i armaty przeciwlotnicze, żołnierze nosili granaty przeciwpancerne, dźwigali erkaemy Diegtariewa i podstawy moździerzy. Miasto dużo bardziej przypominało teraz linię frontu; jego oszałamiająca pustka nabrała innego wyrazu, bardziej kojarzyła się z europejskimi pejzażami wojny. Dalekie, nieregularne odgłosy strzelaniny były nadal dobrze słyszalne.

Wypiliśmy herbatę — zieloną, gorącą, ożywczą — i zaczęliśmy notować informacje, jakich udzielał nam młody człowiek z resortu. Phnom Penh liczy już tysiąc dwustu mieszkańców. Pracuje niewielka podstacja elektryczna, dostarczająca energii dla niektórych budynków w śródmieściu. Miasto przygotowuje się intensywnie do pewnego wielkiego wydarzenia, które nastąpi za kilka dni.

Dobre to są nowiny. Czy wobec tego będziemy mogli dziś zanoćować w Phnom Penh?

O, nie, to wykluczone.

A dlaczego? Skoro jest woda i światło?

Tak, ale to dopiero na próbę. Powstaje również kwestia bezpieczeństwa. Nie ma zapasów żywności na dłuższy pobyt.

Nie musimy jeść. Wystarczy, że jest woda do picia.

Och, nie, nie możemy zagłodzić towarzyszy z bratnich krajów.

Nie ma mowy o zagłodzeniu. Chcemy po prostu zostać przez noc. Żaden cudzoziemiec jeszcze tu nie nocował.

Nie, wykluczone. Poza tym mamy dziś w planie wyjazd poza miasto. Będziemy oglądać *nowe życie*. W powiecie Preak Leap.

Gdzie znów?

W Preak Leap, sześćdziesiąt kilometrów stąd. Tyle że tam nie można dojechać i trzeba będzie płynąć rzeką.

Nie ma sprawy. Możemy płynąć.

XCVIII. Nigdy jeszcze nie poruszałem się takim środkiem lokomocji. Dwa kutry, na które nas załadowano, należałoby właściwie nazwać czołgami rzecznyymi. Stanowiły kiedyś część flotyli Mekongu. Rozwijały chyba ze czterdzieści węzłów, były krępe, zwinne, nieprawdopodobnie zwrotne i uzbrojone jak forteca. Po dwa enkaemy na rufie i dziobie. Działko przeciwlotnicze kalibru 12,7 mm. Powyżej mostka stanowisko ogniowe działa 68 mm, obudowane pancernymi blachami, z ruchomą wieżyczką jak w czołgu. We wszystkich zamkach tkwiły taśmy z nabojami. Przy działach warował celowniczy. Amunicyjny spokojnie układał pociski na równy, symetryczny stos. Wietnamska załoga kutra poruszała się sprawnie i bezszelest-

nie, jak gdyby całe życie spędziła na tej łajbie. Byli to młodzi, najwyżej dwudziestoletni chłopcy, w przepoconych beżowych mundurach, w lekkich hełmach i przewiewnych sandałach. Ich pistolety maszynowe leżały na kojach, razem z niewielkimi zawiniątkami: koc, lusterko, grzebień, szczoteczka do zębów, jakieś ilustrowane pismo na fatalnym papierze.

Kutry minęły zerwaną cięciwą mostu i zaczęły wykonywać trudne do zrozumienia manewry. Gdzieś tutaj rzeka Tonle Sap wpada do Mekongu.

Kiedy wypłataliśmy się wreszcie z odnóg, zalewów i łąch, poprosiłem Gerharda, aby mi zrobił zdjęcie na tle enkaemów. Uległem powszechnej epidemii kabotyństwa; Carlos miał już ze czterdzieści podobnych zdjęć, zacisnął palce na spuście każdego działka i enkaemu z osobna, pożyczał hełmy, mierzył z automatu, dowodził kutrem, zwiślał za burtą.

Brzegi Mekongu są równomiernie porośnięte zieloną, mur zarośli po obu stronach był nieprzejrysty, martwy, bez żadnych śladów życia. Jeden porządny strzelec wyborowy mógłby bez trudu zrobić z nami porządek; Mekong nie miał w tym miejscu więcej niż sześćset metrów szerokości, a my płynęliśmy samym środkiem nurtu, wprawdzie dość szybko, ale nie tak szybko, żeby nie można było nastawić celownika.

Nie wiem, dlaczego pamięć podsunęła mi obraz jakiejś letniej niedzieli okupacyjnej. Szedłem ulicą Skierniewicką i nagle, zza rogu Siedmiogrodzkiej, w pustce i upale niedzielnego popołudnia, pojawiła się sztrajfa Feldpolizei z blachami na piersiach. Byli źli i znudzeni, kiwnęli, żebym się przybliżył. Który to mógł być rok — czterdziesty pierwszy? czterdziesty drugi? Może to właśnie wtedy uświadomiłem sobie po raz pierwszy, że życie jest sumą przypadków.

Parę minut po jedenastej dopłynęliśmy do Preak Leap. Nie było tu żadnej przystani. Kutry długo wierciły się na granicy mielizny, w końcu jeden z nich dał

całą wstecz i otarł się o potężne cielsko czegoś, co należałoby nazwać zwłokami rzeczno pancernika. Był to zniszczony, zaryty rufą w przybrzeżnym piasku kuter pancerny, przypominający trochę kształtem dawne pociągi pancerne z lat pierwszej wojny światowej. Obłe, potężne kopuły z działami 68 mm, ze dwadzieścia karabinów maszynowych rozmieszczonych symetrycznie po obu burtach, grubo spawane blachy pancerne na kadłubie, dwudziestomilimetrowe pręty, chroniące przed granatami przy walce wręcz. Zajrzałem do zerwanej wieżyczki; koło zamka działa leżała sterka amerykańskich pocisków, uzbrojonych w zapalniki. Trudno powiedzieć, kto, kiedy i czym potrafił zniszczyć tego potwora. Nawet w pełnym blasku dnia, leżąc bezsilnie na boku, sprawiał wrażenie smoka, który za chwilę zacznie pluć ogniem.

Mętna, zielona, oleista woda Mekongu falowała po przejściu naszych szybkich kutrów, rzucała martwym pancernikiem, rozsuwała pokłady. Ktoś zachwiał się nagle, ktoś wypuścił z ręki kosztowną kamerę. W ciągu sekundy zamilkły śmiechy, nawet Carlos spoważniał. Spłynęła minuta głupiej, nieoczekiwanej, surrealistycznej grozy; w każdej chwili któryś z nas mógł stracić równowagę i wpaść między stalowe blachy poszycia miotanych falą kutrów. Dowódca ochrony kazał wstrzymać wychodzenie na brzeg, ale zanim tłumacze zdążyli to przełożyć, część z nas była już na lądzie; reszta, powodowana ową niewy tłumaczalną paniką, jaka często otepia ludzi w podobnych sytuacjach, skakała bez opamiętania z pokładu na pokład, a potem z wysokości dwóch metrów na gorący piasek wybrzeża.

XCIX. Wieś Preak Leap jest stolicą powiatu Muk Kampoul prowincji Kandal. Brzmi to dumnie, ale w dniu, kiedy tu przyjechaliśmy, samo istnienie wsi i powiatu nie było tak całkiem oczywiste. Preak Leap jest

odcięte od normalnej komunikacji lądowej, połączenie z lewym brzegiem Mekongu w praktyce nie istnieje, najbliższa wieś znajduje się o sześć kilometrów stąd, a w tym klimacie sześć kilometrów może być odległością nie do przebycia na piechotę.

Dziesiątego lutego mieszkało tu sto dwanaście rodzin, utrzymujących się nie wiadomo z czego. Zbiór ryżu mógł się rozpocząć najwcześniej po zakończeniu pory deszczowej, to znaczy w październiku; dowóz żywności przez wojsko odbywał się tylko rzeką; zapasy własne, jakie tu pozostały po poprzedniej komunie, były na wyczerpaniu. Usiłowaliśmy dowiedzieć się, co jedzą mieszkańcy wsi, do kogo należą bawoły, żujące bezmyślnie swą południową trzcinę, kim jest człowiek, uporczywie strugający pandanusowe deski przedpotopowym zdzierakiem, czym się zajmują przez cały dzień osowiałe staruchy, ostrzyżone do gołej skóry i siedzące w kucki przed budynkiem rady powiatowej. Zapisałem dwie strony w notesie wyjaśnieniami, które właściwie niczego nie wyjaśniały.

Osobliwością Preak Leap jest kompleks ultranowoczesnych bungalowów, wznoszących się jasnym, zgrabnym rzędem na wysokiej skarpie Mekongu. Była to zbudowana przez Amerykanów filia wydziału rolniczego uniwersytetu w Phnom Penh i zarazem doświadczalna stacja hodowli roślin. To właśnie tutaj wypróbowano owe importowane odmiany wysokoplennego ryżu, niepodatne na cykl monsunowy, kłoszące się po kilka razy do roku bez względu na poziom nawodnienia. Amerykańscy specjaliści założyli plantację korzeni i herbaty, posadzili karłowate drzewa kauczukowe o trzykrotnie większej wydajności lateksu, założyli poletko trzciny cukrowej, w której zawartość sacharozy była dwudziestokrotnie większa niż w pospolitej trzcinie miejscowej. Zakład doświadczalny w Preak Leap był uczelnią prestiżową, ponieważ dawał młodym Kambodżańczykom dochodowy i powszechnie szanowany zawód; podobno kandydatów było tu zaw-

sze trzy razy więcej niż miejsc, bo nauczanie było bezpłatne — fundacja Forda i Departament Stanu ponosiły wszystkie koszty utrzymania uczelni.

To wszystko już nie istnieje. Sale wykładowe zamieniono na obory dla bawołów; do tej pory są pełne łańna, ściółki i skotłunionej sierści. Przywiezione zza oceanu maszyny rolnicze zebrano na jednym z licznych podwórek, oblano benzyną i spalono; można dotąd oglądać zwęglone blachy, rozerwane przez łańcuchy napędowe i pokrzywione kółka jezdne. Potężny generator firmy General Electric, który zaopatrywał niegdyś cały ośrodek i przyległą wieś w energię elektryczną, został zniszczony dokładnie i z niewątpliwą znajomością rzeczy. Pokrywę generatora zniszczono prawdopodobnie granatem, wetkniętym w wycięcie wentylacyjne. Stojan i wirnik rozmontowano, a nie jest to sprawa prosta, zważywszy rozmiar gwintu i konieczność używania gigantycznych kluczy, do tego nie metrycznych, lecz calowych. Drobniejsze części mechaniczne wrzucono do Mekongu, co można stwierdzić na ścieżce, zasypanej podkładkami, sprężynami i zawleczkami. Stojący opodal transformator ma podstawę rozerwaną wybuchem granatu, potłuczone młotkiem izolatory i wielką plamę oleju chłodniczego na resztkach uzwojenia. Na resztkach, ponieważ druty uzwojenia zostały rozciągnięte po całej okolicy.

Ktokolwiek widział choć raz wewnątrz dużego transformatora sieciowego, ten pojmie, że wysnucie uzwojenia bez użycia nawijarki musiało zająć wiele dni i absorbować wielu ludzi jednocześnie.

Nowe życie we wsi Preak Leap polega na tym, że w jednym z oczyszczonych pawilonów dawnej szkoły rolniczej uruchomiono pierwsze wiejskie ambulatorium. Było rzeczą politycznie i ideologicznie niezbędną, abyśmy zaświadczyli o jego istnieniu.

Obejrzeliśmy je w milczeniu i bez komentarzy.

Trzej młodzi felczerzy, pospiesznie przeszkoleni

przez Wietnamczyków, opukiwali wzdęte dziecięce brzuszki, zaglądali ze skupieniem w chłopskie gardła i opatrywali purpurowe, ropiejące karbunkuły. Szafa w pokoju przyjęć zawierała z piętnaście ampulek różnych przeterminowanych zastrzyków produkcji amerykańskiej, cęgi dentystyczne, strzykawkę o złamanym tłoczysku i porzewiały stetoskop. Na gołych deskach w sąsiednim pomieszczeniu znów leżały rodzące i ciężarne kobiety, dzieci-szkielety, umierający starcy.

O sto metrów od *nowego życia* mieściła się siedziba rady powiatowej, strzeżona przez czterech młodych żołnierzy khmerskich z bronią gotową do strzału. Wyszedłem z ambulatorium po pięciu minutach — właściwie co jeszcze mogę na ten temat napisać? — i nie czekając na pozostałych kolegów wszcząłem rozmowę z kierownikami powiatu.

Przewodniczącym rady ludowej powiatu Muk Kampoul, czyli według naszej terminologii starostą, jest stosunkowo młody, chyba trzydziestoletni oficer nazwiskiem Tan Khim Tay. Od siedemnastego roku życia był związany z partyzantką Czerwonych Khmerów, dosłużył się dość znacznych funkcji i stanowisk, ale prosi, żeby o tym nie pisać. Zerwał ze zbrodniczą kliką Pol Pot-Ieng Sary dopiero w 1977 roku; powinien był wcześniej zrozumieć, że zbrodnicza klika Pol Pot-Ieng Sary zdradziła rewolucję i prawdziwe idee marksizmu-leninizmu. Tan Khim Tay nie ukrywa, że zadania, jakie przed nim postawiła partia w powiecie Muk Kampoul, są niewyobrażalnie trudne. Co dzień wracają tu z zesłania nowi ludzie, domagają się żywności, pracy i mieszkania, a worek jest, niestety, zupełnie pusty. Ale to nic. To nic. Lud wolnej Kampuczy pokona wszystkie trudności, pozostanie wierny ideom rewolucji, odbuduje swój kraj, żeby był piękny i kwitnący.

Zanotowałem to sumiennie w notesie i zapytałem starostę, dlaczego porzucił Czerwonych Khmerów, sko-

ro tyłu innych oficerów do tej pory trzyma z Pol Potem.

Tłumaczka nie bez zahamowań przełożyła moje pytanie na wietnamski; tłumacz khmerski skrzywił się niedostrzegalnie, ale szeptem, żeby jego słów nie usłyszał nikt ze stojących za oknem chłopów, przełożył pytanie na khmerski.

Starosta nie wydawał się stropiony. Zbrodnicza klika Pol Pot-Ieng Sary stała się narzędziem hegemonistów pekińskich, dopuściła się na narodzie Kampuczy nieopowiedzianych zbrodni, jakich nigdy nie dopuścił się żaden obcy najeźdźca. Obowiązkiem każdego patrioty było zdemaskowanie zbrodniczej kliki Pol Pot-Ieng Sary i przyłączenie się do sił wyzwoleniczych. Inna rzecz, że prawdziwy charakter zbrodniczej kliki Pol Pot-Ieng Sary ujawnił się dopiero po pewnym czasie. Wielu uczciwych towarzyszy pobiłdziło, nie rozumiało istoty polityki tych chińskich pachółków, dawało się oszukiwać zbrodniczym hasłom.

No dobrze, ale czy ci, którzy nadal trzymają z Pol Potem i strzelają do żołnierzy ZFNOK, w dalszym ciągu nie rozumieją ogromu zbrodni, jakie tu popełniono?

Starosta nie może mówić za zdrajców rewolucji.

Czy w powiecie Muk Kampoul są niedobitki Pol Pota?

Nie ma. To znaczy są, ale bardzo niewiele. Właściwie wcale ich nie ma.

Czy starosta zdezerterował z armii Czerwonych Khmerów do dżungli i czy był w Wietnamie?

Starosta nie był w Wietnamie nigdy.

Czy w Kambodży istnieją nadal wrogowie klasowi?

Nie ma wrogów klasowych w Kambodży, ponieważ wszyscy zostali wymordowani przez zbrodniczą klikę Pol Pot-Ieng Sary. Głównym zadaniem władzy ludowej jest przewrócenie kraju do życia.

Wicestarostą powiatu Muk Kampoul jest wysoki, si-

wy mężczyzna, którego twarz zafascynowała mnie od pierwszej chwili. Ten człowiek przypominał proroków i apostołów El Greca: potargane, przystrzyżone na jeża włosy, głęboko wytrawione bruzdy wokół ust, udręka i lęk w każdej zmarszczce. I wielkie, żarzące się, orzechowe oczy, z których co chwilę spływały łzy. Ze zdumieniem dowiedziałem się, że ma dopiero czterdzieści osiem lat. Wyglądał na późną siedemdziesiątkę.

Jego nazwisko brzmi Kim Tenh I. Do roku 1975 był starszym inspektorem amerykańskiego koncernu naftowego Esso na Phnom Penh i trzy pobliskie prowincje, w tym również na prowincję Kandal. Należał zatem do stosunkowo wąskiej grupy dobrze płatnych i cieszących się zaufaniem Amerykanów miejscowych urzędników.

Czy ja to dobrze rozumiem? Były pracownik amerykańskiego koncernu zastępcą byłego oficera Czerwonych Khmerów? Przecież pięć lat temu ci ludzie musieli być śmiertelnymi wrogami?

Nie, nie ma tu żadnej pomyłki. Tak rzeczywiście wygląda skład klasowy nowej władzy w powiecie Muk Kompoul.

Kim Tenh I znakomicie mówi po angielsku. Zapraçałem dowiedzieć się czegoś więcej o tym człowieku.

C. Wraz z całą rodziną, składającą się z żony, czterech synów i sędziwego teścia, Kim został wyrzucony ze swego mieszkania w Phnom Penh 20 kwietnia 1975 roku o godzinie trzeciej nad ranem. Dowódca patrolu dał im pięć minut na opuszczenie mieszkania i zapowiedział, że otworzy ogień w razie opóźnienia. Nie pozwolono zabrać ze sobą niczego, dosłownie niczego — zegarka, zmiany bielizny, nawet paczki papierosów. Na punkcie zbornym żona, trzech młodszy synowie oraz teść zostali oddzieleni i wysłani do odległych

komun. Dopiero teraz, po wyzwoleniu, Kim dowiedział się, że żona umarła podczas marszu (była chora na serce), a wszyscy trzej synowie zostali w różnych okolicznościach zamordowani przez Czerwonych Khmerów w trzech różnych komunach w prowincjach Battambang i Kompong Thom.

Kim wraz z najstarszym, dwudziestoczteroletnim synem zostali aresztowani, ponieważ wywiad Czerwonych Khmerów dysponował kompletnym dossier w ich sprawie, i przewiezieni do tymczasowego więzienia w gmachu Liceum Francuskiego. Krótkie przesłuchanie ujawniło bezmiar grzechów, których nawet nie można się było zapierać: praca dla zagranicznych kapitalistów, znajomość dwóch języków obcych, luksusowa willa, samochód, do tego jeszcze skuter, rachunek w banku i niewielka posiadłość nad jeziorem Tonle Sap. Zapowiedziano początkowo, że Kim wraz z synem zostaną wysłani do karnej komuny, ale potem, jak to zawsze u Czerwonych Khmerów, coś się nagle zmieniło.

Piątego maja Kim wraz z synem zostali popędzeni w czterdziestoosobowej kolumnie do miasta Prey Veng. Ich towarzyszami byli wyłącznie oficerowie armii Lon Nola, dyrektorzy banków, pracownicy zagranicznych ambasad, jakiś dziennikarz. Ludzie poza prawem i poza zmiłowaniem. Raz dziennie dostawali szklanek wody i garść prawie surowego ryżu. W ciągu czterech dni forsownego marszu siedem osób zmarło, dwie inne zostały zastrzelone przez konwojentów.

Dziewiątego maja kolumna dotarła do Prey Veng i została skierowana do szkoły podstawowej na przedmieściu, którą pospiesznie zamieniono na więzienie dla ciężkich przestępców politycznych. Największa klasa została podzielona na sześć prostokątnych boksów przypominających zagrody dla bydła. Między zewnętrznymi ścianami przeprowadzono na wysokości pięciu centymetrów nad podłogą stałowy pręt o grubości 30 milimetrów, trzykrotnie podparty na długości. Jego końce

zabetonowano w murze. Oglądałem później tę szkołę, dotykałem tego pręta i wiem, że nie ma człowieka, który mógłby go skruszyć lub przynajmniej obluźować.

Więźniom kazano usiąść w kucki. Wartownicy przynieśli kosz z żarzącym się koksem i wielki kowalski młot. Więźniowie zostali podzieleni na pary i skuci razem w taki sposób, że prawa ręka jednego była przykuta do lewej ręki drugiego. Zakuwania dokonywano oczywiście na gorąco. Było to prawie cztery lata temu, ale Kim Tenh I ma nadal na prawym przegubie głęboko wyżartą bliznę, spod której prześwieca porośnięta różową skórą kość. W kilku miejscach proces gojenia jeszcze się nie zakończył.

Następnie lewe nogi więźniów zostały przykute kajdanami do pręta w podłodze. Nie wiadomo, skąd Czerwoni Khmerowie wzięli aż tyle kajdanów zamykanych na kłódki. Ale i tak nie miało to wielkiego znaczenia, ponieważ komendant, po zakończeniu zakuwania, ze śmiechem wyrzucił wszystkie kluczyki za okno.

Dwa razy dziennie podawano więźniom miskę wody, z której mogli tylko chleptać jak psy, ponieważ jedna wolna ręka nie wystarczała, aby utrzymać miskę w ręku. Raz dziennie strażnik przynosił miskę ze spleśniałym ryżem, skrawkami tłuszczu, w którym kłębiły się robaki, i garścią ostrej papryki, która wzmaga pragnienie. Potrzeby fizjologiczne załatwiali pod siebie. Wkrótce ubrania, w których opuścili dom, zamieniły się w cuchnące, sparciałe szmaty. Na pośladkach zaczęły powstawać odleżyny. Robactwo bezkarnie grasowało po ich ciałach, jaszczurki i moskity były co dzień bezczelniejsze. Po dwóch tygodniach skóra syna zaczęła ropieć; wydzielala zaduch tak straszny, że Kim wielokrotnie mdlał i pociągał za sobą syna w kierunku podłogi. Potem chłopiec zaczął tracić siły, opierał się o skute ramię ojca, który nie mógł mu w niczym pomóc, ale każdym ruchem powiększał ból syna. Najgorsze katusze przechodzili w nocy. Spanie w tej dziwacznej pozycji, było początkowo zupełnie niemożli-

we, kajdanki ciągnęły boleśnie do pręta przy każdej próbie rozluźnienia mięśni, skute ręce zmuszały do równoczesnego obrotu zdrętwiałych nóg.

W tych warunkach Kim Tenh I spędził wraz ze swym najstarszym synem sto osiem dni.

28 sierpnia zmienił się komendant więzienia specjalnego w Prey Veng. Nazajutrz — z powodów, których Kim nigdy nie potrafił zrozumieć — wręczono niektórym więźniom, w tym Kimowi z synem, pilki do metalu, aby sobie przecięli okowy i kajdanki. Trwało to dwa dni i noc, ponieważ każdy z nich mógł się posługiwać tylko jedną dłonią, a odkute żelazo było dobrze zahartowane po wierzchu. Kiedy trzeciego dnia nad ranem kajdanki przy pręcie pękły — okazało się, że obaj nie umieją stać. Odwykli od takiej pozycji, ich kręgosłupy uległy odkształceniu. Trwało jeszcze trzy dni, zanim o własnych siłach mogli podejść do ścian i wykonać kilka kroków.

Tego samego dnia wszedł do sali szkolnej nowy komendant w towarzystwie dwóch siepaczy z motykami w dłoniach. Zatrzymał się na chwilę przed synem Kima i wskazał na niego palcem. Siepacze rzucili się na chłopca i wyprowadzili go pod ręce z sali szkolnej. Po kilku minutach Kim usłyszał rozzwierający krzyk syna i głuchy odgłos padającego ciała. Następnego dnia zobaczył płytki rów, w którym pogrzebano jego syna.

Zataczający się i padający co chwilę Kim został włączony do długiej kolumny, liczącej około 120 osób z różnych więzień Prey Veng. Prawie wszyscy wyglądali tak samo. Kim sam nie wie, jak przetrwał ten kolejny marsz śmierci. Na nowe miejsce osiedlenia, odległe od Prey Veng o 120 kilometrów, przybyło 7 września zaledwie 40 osób. Reszta padła po drodze z wycieńczenia, ropiejących ran lub od ciosów eskorty.

Opowieść Kima o życiu w komunie w Prah Leam nie różni się zbyt wiele od wszystkich innych, jakie słyszałem od ludzi IV kategorii. Chyba tylko wyjątkowa sprawność fizyczna uratowała Kima. Ale pod ko-

niec 1976 roku zaczął tracić zęby, ciało opuchło, nogi odmawiały posłuszeństwa, nieznośny ból kręgosłupa odbierał chwilami przytomność. Kim był przekonany, że wkrótce umrze. Nie miał wątpliwości, że władza Czerwonych Khmerów będzie trwała wiecznie, nie liczył na żadne zmiany, jego dusza, jak powiada, była już po tamtej stronie.

✓ Z początkiem maja 1977 roku rozeszła się po komunie wiadomość, że wszyscy posiadacze IV kategorii zostaną zlikwidowani w ciągu najbliższych tygodni. Istotnie, którejs nocy wyprowadzono z sypialni dwóch ludzi, którzy już nigdy nie wrócili; jeden z nich był mnichem buddyjskim. Potem następnych dwóch. I jeszcze dwóch. Sypialnia zaczęła pustoszeć.

18 maja, podczas przerwy na posiłek, Kim doznał czegoś w rodzaju halucynacji głodowej. Oszałały z głodu i bólu, poszedł prosto przed siebie, na oczach wartownika, w rzadkie zarośla na skraju pola ryżowego. Nikt na to nie zareagował — nie wiadomo dlaczego, choć odejście Kima zostało zauważone przez wiele osób, w tym również przez wartowników. Przypuszczano zapewne, że Kim chce popełnić samobójstwo, ponieważ nie miał przy sobie żadnego zawiniątka, a do marszu przez dżunglę nikt przy zdrowych zmysłach nie rusza przynajmniej bez zapalek i zapasu żywności.

Kim sam nie wie, jak długo szedł na oślep przez zarośla, a potem przez dżunglę. Mniejsza już o to, jak doszło do spotkania z innymi zbiegami, którzy bez tchu uciekali ze zbuntowanej komuny w sąsiedztwie. Dość, że były inspektor firmy Esso został przywódcą niewielkiej grupy partyzanckiej. W tydzień po jej uformowaniu dokonano pierwszej akcji bojowej: gołymi rękami uduszono wartownika w pobliskiej komunie. W ten sposób grupa zdobyła pierwszy pistolet maszynowy i niewielki zapas amunicji. W listopadzie 1978 roku, a więc w półtora roku po ucieczce Kima z komuny Prah Leam, oddział partyzancki liczył już

trzystu ludzi. Na jego czele stanął doświadczony w walce partyzanckiej oficer od Czerwonych Khmerów. Zbudowano bazę w dżungli, wytyczono szlak ewakuacyjny do Wietnamu, zgromadzono zapasy żywności. Dwa razy doszło do utarczek z brygadami pościgowymi Czerwonych Khmerów, raz — do przypadkowej strzelaniny z obroną terytorialną po wietnamskiej stronie granicy. Oddział, w którym Kim Tenh I toczył swą prywatną wojnę z ludźmi Pol Pota, był niezmiernie zróżnicowany pod względem pochodzenia i zapartywań żołnierzy. Według europejskiej terminologii, gdyby była tu do czegokolwiek przydatna, znajdowali się w oddziale ludzie od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy. Ale bardzo rzadko dyskutowano o polityce. Chodziło tylko o to, aby przeżyć i pozwolić przeżyć innym. Również i dziś były inspektor Esso jest zdania, że odbudowa kraju jest ważniejsza niż wszelkie różnice polityczne. Bogatych i szczęśliwych i tak tu już nigdy nie będzie. Może za dwa pokolenia. Dlatego Kim został wicestarostą z ramienia nowej władzy.

Spojrzałem w załzawione oczy Kima (trudno ocenić, czy jest to uszkodzenie spojówek, czy nie wygasający odruch napięcia nerwowego), zatrzymałem wzrok na jego wyszarzałej bluzie wojskowej, zanotowałem jeszcze raz w pamięci ranę na przegubie, zmierzwioną, siwą czuprynę i śmieszny zegarek na dewizce. Spytałem, czy potrafi obliczyć, ilu ludzi zamordowano w jego obecności.

Tak, nie ma z tym żadnych kłopotów. Był świadkiem zamordowania osiemnastu osób, w tym własnego syna. Był obecny przy śmierci około stu osób, które rozstawały się z życiem podczas przemarszów, z głodu, wycieńczenia, infekcji stóp, ran, nieleczonych chorób. Znał osobiście nie mniej niż sto osiemdziesiąt, może dwieście osób, o których wie z całą pewnością, że zostały zgładzone przez Czerwonych Khmerów.

Czy sądzi, że podana nam liczba dwóch milionów ofiar jest zgodna z rzeczywistością?

✓ Jest zbyt niska. Przecież co dzień odkrywa się nowe groby. Nie dalej jak wczoraj Kim przebywał w pobliskiej wsi, gdzie natrafiono na masowy grób, zawierający przypuszczalnie około tysiąca zwłok. W jednej tylko prowincji Kratie doliczono się dotychczas ponad pięćdziesięciu tysięcy zamordowanych. Tak, tylko takich, których zwłoki lub kości zachowały się wystarczająco dobrze, aby je można było policzyć. To dopiero miesiąc, odkąd zaczęto to liczyć. A prowincji jest w Kambodży dziewiętnaście. Jak to musi wyglądać w prowincjach północno-zachodnich, gdzie podobno istniały całe fabryki śmierci?

✓ Czy nie szkoda tej znakomitej znajomości angielskiego do pracy w powiecie, skoro kraj cierpi na tak dotkliwy deficyt kwalifikowanych kadr?

Nie. Kim nigdy więcej nie wróci do dużego miasta. Do końca życia jego noga nie postoi więcej w Phnom Penh.

CI. Spędziliśmy w Preak Leap jeszcze trzy godziny, wypełniając notesy coraz bardziej niesłychanymi opowieściami. Rozmawiałem z akuszerką nazwiskiem Dom Phonh, żoną murarza, której Czerwoni Khmerowie wymordowali do ostatniego człowieka jedenastoosobową rodzinę, w tym czterech synów i dwie córki. Rozmawiałem z młodym żołnierzem, który półtora roku temu widział na własne oczy, jak we wsi Kontua grzebano półżywych ludzi, ze strzaskaną podstawą czaszki, ale niekiedy jeszcze przytomnych; trwało to cały dzień, a krzyk zabijanych i grzebanych ludzi żołnierz słyszy do dziś. Rozmawiałem z kobietą, którą zbito pałkami do nieprzytomności, kiedy się okazało, że jest brzemienna. Rozmawiałem po rosyjsku z młodą tancerką nazwiskiem Kim Hem Vanna, która przez pięć lat uczyła się w moskiewskiej szkole baletowej i wróciła do Kambodży na tydzień przed zdobyciem Phnom Penh przez Czerwonych Khmerów; ani

razu nie zdążyła wystąpić publicznie, ponieważ Czerwoni Khmerowie zakazali jakiegokolwiek działalności artystycznej.

CII. „I w tym to dziwnym kraju/ jak mogłeś się spodziewać/ wnet zakazano czytać /i zakazano śpiewać/ i tylko czarny kruk się/ unosił na niebie / gdy w kręgu tępych głów szedł/ Jego wysokość Kat.”

CIII. Późnym popołudniem Mekong nabrał koloru morza, jego zarośnięte brzegi ściemniały, załoga kutra przeszukiwała wzrokiem nieprzeniknioną zieleń, nie spuszczać palców ze spustu. Chyba cała wieś Preak Leap wyległa na wysoką skarpe, aby nas pożegnać. Dzieci rzucały nabojami, ktoś cisnął w naszą stronę pęk azalii, kobiety zdjęły z ramion koromysła z wiadrami, bez przerwy piał zdenerwowany kogut, machano, pozdrawiano, unoszono ręce.

Pomyślałem, że uprawiam dziwny zawód. Filmowcy, jeśli chcą i jeśli choć trochę rozumieją z materii świata, potrafią przekazać ulotny klimat, niepowtarzalną jedynosc scen, twarzy, gestów, tła. Mnie pozostają tylko słowa. Co można wyrazić słowami? Odwiedziłem oto odciętą od świata, wykrwawioną, przymierającą głodem wieś w prowincji Kratie, o której nigdy przedtem nie słyszałem; zanotowałem wiernie kilkanaście ludzkich życiorysów, będących częścią historii świata. A potem wrócę do kraju, będę łykał nootropil, palił jednego papierosa za drugim, wystukiwał to wszystko na maszynie, zamartwiając się o przecinki, imiesłowy i dobór trafnych słów. Śmieszne zajęcie. Potem ludzie kupią tę książkę, będą ją czytać przed snem w wygodnym łóżku, podczas nudnej podróży, może w grajdołku na bułgarskiej plaży. Inni popstrzą marginesy złośliwymi uwagami, ponieważ nie napisano jeszcze na świecie tekstu, który nie pobudziłby ko-

gość do bezinteresownej niechęci lub złościwości. Jeszcze inni ziewną i zgaszą światło.

Czy kiedykolwiek zobaczą tych tubylców ze wsi Preak Leap, stojących na wysokiej skarpie, patrzących w smutku na oddalające się kutry, którymi na kilka godzin przypłynęli tu wysłannicy innego świata?

Chciałbym odebrać czytelnikom tego tekstu choć jedną dobrze przespaną noc; sprawić, żeby cisnęli tą książką o ziemię, zarzucili mi fanatyzm i opętanczą obsesję lub powiedzieli, że zmyślam. Chciałbym, żeby o to, co napiszę, straszliwie pokłócili się z kimś w swym biurze albo przy domowej kolacji. Ale przecież dobrze wiem, że nic takiego nie nastąpi; epoka słów, które poruszały ludzkie serca, dobiegła dawno końca.

CIV. Nad opustoszałymi ulicami Phnom Penh, wśród amarantowych kwiatów bougainville i bladych pnączy powoju, między ślepych oknami i martwymi attykami milczących domów, rozwieszano czerwone transparenty z białymi napisami w języku khmerskim i wietnamskim. Głosiły przyjaźń obu narodów, wzywały do walki o wolność i niepodległość, sławiły zwycięską armię wyzwoleńczą. W najbliższym czasie miał przyjechać do stolicy Kambodży premier Socjalistycznej Republiki Wietnamu, Pham Van Dong, aby podpisać układ o przyjaźni i wzajemnej pomocy między obu krajami. Żołnierze w miękkich czapkach chińskiego kroju wspinali się zrećnie po drabinach i pniach miłorzębów, pokrzykiwali, żartowali, ich chłopięce głosy niesły się daleko przez kaniony opustoszałych, zaśmieconych ulic.

CV. „Nie ma nic bardziej bezwartościowego i niedopuszczalnego niż poświęcanie się interesom jednostki lub jakiejś małej mniejszości. (...) Uniwersalna

moralność, która rzekomo przekracza granice klasowe, jest niczym więcej jak oszukańczą bzdurą, jest w istocie taką «moralnością», która służy tylko do ochrony wyzyskującej mniejszości." [Liu Szao-ci, *Wie man ein guter Kommunist wird (Jak stać się dobrym komunistą)*, wydanie niemieckie, Pekin 1962, strona 59.]

CVI. „Trzy razy dziennie osądzam sam siebie. Jak cięcie i piłowanie formuje kształt cennego kamienia, szlifowanie i polerowanie nadaje mu blask, tak i człowiek powinien dążyć przez ustawiczny trud do piękna i doskonałości wewnętrznej." (Cytat z Konfucjusza przytoczony przez Liu Szao-ci w tej samej książce na stronie 32.)

CVII. Jedenastego lutego pobiliśmy własny rekord: wyjechaliśmy z Miasta Ho-Szi Minha o wpół do trzeciej w nocy długą kolumną łazików pod ochroną zdwojonej, silnie uzbrojonej eskorty. Mieliliśmy przed sobą 500 kilometrów drogi. Celem naszej podróży było tym razem kambodżańskie miasto Prey Veng, stolica prowincji o tej samej nazwie, leżące na wschodnim brzegu Mekongu.

Czy w Prey Veng także będziemy oglądać nowe życie?

Nie. Wręcz na odwrót. Odkryto tam nowe groby masowe, które koniecznie trzeba zobaczyć.

CVIII. Ostatnie 50 kilometrów przed Prey Veng było już nie do wytrzymania. Łaziki ryły co chwilę maskami w głębokich wyrwach na szosie, objazdy ciągnęły się całymi kilometrami przez zupełnie bezdroża pełne piaskowych chmur lub grząskich chaszczy; dysząc i rżąc z wysiłku wozy wdrapywały się na sypkie skarpy, tak strome, że często nie pomagało nawet włączenie napędu na wszystkie cztery koła.

Rozlewiska w środkowym biegu Mekongu są prawdopodobnie najdziksza częścią Indochin; jest to pejzaż plicocenu, scenografia do jakichś przedwiecznych kataklizmów. Kępy bambusów tkwiące pośrodku mrocznych, zdradliwych jezior; piaszczyste pagórki sąsiadujące z dusznymi oparami łąk lotosu i hiacyntu wodnego; absurdałne wąwozy poniżej poziomu przyległych trzęsawisk i moczarów; wyniosłe drzewa banjanu splecione w wiecznym uścisku z palmami i drzewami kauczukowymi. Za każdym kolejnym zakrętem lub podjazdem schizofrenia przyrody przybierała na sile, pojawiały się rubinowe ściany jakichś niepojętych kwiatów, wielkich jak kardynalski kapelusz, migąły fiołkowe pasma omżynów, żółte plamy zbitego heliotropu, seledynowe skupiska dzikich storczyków. Strumienie płynęły przez pustynię, czarne bagna wspinały się na stoki gór. Jeżeli w tych rozlewiskach zapadli gdzieś ludzie Pol Pota i jeśli przetrwają tutaj najbliższą porę deszczową, będzie trzeba ich szukać przez najbliższe dziesięć lat. Potrzeba co najmniej dywizji kawalerii powietrznej na każdy kilometr kwadratowy tego terenu, aby wytropić ich kryjówki. Na drodze nr 15 nie spotkałiśmy ani jednego żywego człowieka, ani jednego chłopskiego zaprzęgu; mieszkało tu tylko słońce, motyle i ptaki. Nie słyszeliśmy jednak żadnych strzałów. Raz tylko z bardzo daleka dobiegł stłumiony, ogromny wybuch, trwający przez dwie lub trzy sekundy. Tak wylatują w powietrze wielkie składki amunicyjne lub zbiorniki paliw płynnych.

CIX. Wjechaliśmy do Prey Veng. Ale tego nie można tak nazwać. Tego miasta w ogóle nie ma. Nie istnieje. Trzeba skreślić tę nazwę z mapy Indochin i z mapy świata. Dwadzieścia dwa tysiące mieszkańców Prey Veng wymordowano do ostatniego człowieka z powodów, których nikt nie zna. A samo miasto zostało już prawie całkowicie pochłonięte przez dżunglę.

CX. Zbuntowałem się, kiedy nam to powiedziano podczas drogi. Wiem już dostatecznie wiele o zbrodniach Czerwonych Khmerów, ale wszystko powinno mieć swoje granice. Nie można zamordować miasta do tego stopnia, aby trzeba je było na zawsze skreślić z mapy.

CXI. Ale to jednak była prawda. Prey Veng nie istnieje. Nigdy jeszcze nie widziałem domów tak zachłannie, tak dokładnie pożartych przez dżunglę i oszalałą roślinność. Może bliskość rozlewisk Mekongu z ich płodnym, gorącym mikroklimatem, może kompletna nieobecność ludzi i zwierząt przez trzy kolejne pory deszczowe, może jakaś mściwość sponiewieranej przyrody. Oto Hieronim Bosch i Teofil Ociepko, celnik Rousseau i Niko Pirosmanszwili, surrealiści i pointyliści za jednym zamachem. Drzwi wyrwane z ościeżnic przez grube konary banjanu; krzewy dzikiego bananowca wyrastające z okien na pierwszym piętrze; smukły młodniak bambusowy na dachu drugiego piętra; niewielki krzew podobny do draceny, który rozwalił na kawałki żeliwne ogrodzenie wokół eleganckiej willi; owoce drzewa chlebowego wystające kiściami z okien porzuconego samochodu; miliony kilometrów lian, które gęstą, twardą siatką pokryły całe kwartały bielejących jeszcze domów; chodniki i jezdnie rozorane, połupane, zmiażdżone przez brunatne korzenie, pełzące tuż pod powierzchnią; kępa młodych palisandrów na tarasie i schodach jakiegoś pałacyku. Powoje o barwie akwamaryny oplatające gęstą cizbą dawny słup oświetleniowy. Szmaragdowa trawa rosnąca na widocznym jeszcze przez okno kontuarze byłej restauracji. Pewno wiatr roznosił tu w powietrzu glebę i zarodniki roślin, monsuny karmiły je wodą, żyzna próchnica parła do góry, ciągnięta przez coraz bardziej zbite i splecione korzenie. Został tu ponownie odegrany spektakl według scenariusza Hoimara von Dittfurtha, odbyła się nowa Genesis, re-

petycja epoki jurajskiej, koszmarny cud stworzenia. Jeszcze trochę, a na ulicach Prey Veng pojawiłyby się obleczone łuską cielska wielkich gadów o miniaturowych mózdkach, potem włochate małpy, które potrzebowały dziesięciu tysięcy lat na wynalezienie ognia i następnych dziesięciu tysięcy na wynalezienie broni palnej, melinitu i napalmu.

CXII. W jakiejś chwili spoza mrocznej, dusznej ściany zieleni mignęło nam coś bardzo białego, błyszczącego, graniczącego z przywidzeniem. Zatrzymaliśmy łaźnik i rozgarniając liany podeszliśmy w tamtą stronę. Był to skład konsygnacyjny fabrycznie nowych samochodów. Na pierwszym planie stały cztery mercedesy 280 SEL — białe, z obiciami w kolorze burgunda i kości słoniowej, z automatyczną skrzynką biegów i kadmowanymi szybami. Miały po pięć lub siedem kilometrów przebiegu. W dwóch stacyjkach tkwiły kluczyki. Dalej czerwieniły się nowiutkie peugeoty i chyba granatowe volvo, ale tego już nie można było sprawdzić. Liany przedostawały się pod zawieszenie silnika, przegryzły przegrodę komory silnikowej i napełniły wnętrza samochodów gęstą, zbitą, cuchnącą mazią. Za lianami poszły szturmowe pędy jakichś krzewów podobnych do kaliny, powoje, jemioly, porosty, żółte mchy, drobniutkie kwiatki o cynobrowych płatkach. Samochody były wessane i unieruchomione tak dokładnie, jak gdyby same wrosły w tę gorącą ziemię, jak gdyby były kielichami monsturalnych dzbaneczników lub muszlami gigantycznych ślimaków na dnie leśnego morza.

CXIII. Z notesu. Wita szef rew. rady lud. prowincji PV. (Na dziedzińcu szpaler wyprężonych dziewczyn, peemy bez magazynków, potłuczone.) Inteligentny, sympatyczny. Bardzo do rzeczy mówi. Dopiero zaczynają obejmować władzę, prowincja PV strasznie

zniszczona, walki, mało ludzi. Cz. Khmerowie wymordowali 40 proc. ludności, tzn. od 120 do 160 tys., najwyższe straty w całym kraju. (Sprawdzić!) „Naszą piękną Kambodżę zamieniono w jeden wielki grób.” W praktyce zniszczyli dorobek setek lat. Zniszczyli całą kulturę, nie ma ani jednej książki, szkoły. Będziemy pracować latami, zanim K. wróci do poprzedniego stanu, a gdzie postęp? K. była biedna, b. biedna, akurat tu musiało się to zdarzyć. Ostro o Chińczykach, wrogowie ludów Azji. Imperialiści. (Tak mówi.) Gdyby nie Kitajcy, Cz. Khm. nie mogliby się utrzymać, on sam brał udział w buncie, wie, ile było powstań. (Ile? Kiedy?) Ciekawe, zapisać później: nie dożyje już sam kwitnącej i szczęśliwej Kambodży (kapitałna refleksja), ale chcą wszyscy odbudować, żeby nast. pokolenie mogło lepiej żyć. Trzeba się trzymać prawidłowej linii rewolucyjnej, żeby temu poddać. Tzn. myśleć. Nieglupi ten szef. Mówi z głowy, bez kartki. 38? 40? U nich nawet chorzy zgłaszają się do pracy. Nawet zagłodzeni. Najw. problem: lekarstwa, środki opatrunkowe. Nic nie będę o tym pisał, zaraz podniosą hałas, u nas też nie ma. Ludzie mają jedno życie, każdy się musi leczyć. Cholerny upał. Dziewczyny śliczne, dorodne.

CXIV. Przez liany, trawy, burzany, ledwo dotykając kołami pokruszonego asfaltu głównej ulicy, przeemykając się pod nawisłymi czapami brodatych banjanów i mangrowców, pojechaliliśmy na skraj byłego miasta, aby obejrzeć szkołę zamienioną na więzienie. To właśnie tutaj Kim Tenh I spędził sto osiem dni.

Budynek byłej szkoły stoi o osiemdziesiąt metrów od dawnej linii ulicy, ale przejście tego odcinka zabiera około pięciu minut. Trzeba się przedzierać przez dwumetrowe, grzebieniaste liście dzikich bananowców, przez ostrą trawę podobną do tataraku, przez kędzierzawe, rosochate zarośla sięgające kolan.

Sala szkolna wygląda dokładnie tak, jak ją opisywał Kim. Sześć na piętnaście metrów; od ściany do ściany biegnie osiem grubych, stalowych prętów, zakotwionych porządnie w murze; wałają się jeszcze podarte worki po cemencie portlandzkim produkcji amerykańskiej, którego użyto do zabetonowania prętów. Otwory okienne i drzwi otwarte na przestrzał, na podłodze blaszane miski, szmaty, zgniłe podeszwy. I pięćdziesiąt cztery pary żelaznych kajdan; policzyłem je dokładnie, aby się zorientować w przepustowości więzienia specjalnego. Wszystkie są ręcznie odkute ze zbrojeniowych prętów budowlanych; niektóre rzeczywiście mają ślady piłowania. W pomieszczeniu wałają się kłęby drutu kolczastego; w Kambodży nigdy nie wytwarzano takiego produktu.

W sali panowała martwa, rozpalona cisza, przerywana tylko ćwierkaniem ptaków i brzęczeniem os.

Wyszedłem przez któreś drzwi na zalane słońcem podwórko i przez chwilę nie wierzyłem własnym oczom. Przede mną leżało rzędem kilkanaście czaszek ludzkich. W dwóch widniały dziury o średnicy półtora centymetra i biegnące promieniście pęknięcia. Potem spostrzegłem, że wokół czaszek leżą dziesiątki piszczeleli, miednic, kości udowych, obojczyków, łopatek. Nie mogłem sięgnąć po aparat ani postąpić kroku naprzód; patrzyłem na to cmentarzysko jak wmurowany. Nie było w nim grozy ani obrzydliwości, blask słońca przydawał czaszkom osobliwej, przyjaznej poświaty, trawa łagodziła ostrość zszarzałych stawów biodrowych i cienkich, brunatnych żeber. Nachyliłem się nad najbliższą czaszką — miała pęknięcie nad łukiem brwiowym — i spostrzegłem tuż koło niej dwie kości przedramienia, związane drutem kolczastym.

Przestałem nagle interesować się czymkolwiek innym, ruszyłem przed siebie, na nieokreślony ugor porośnięty suchymi w tym miejscu trawami. Teraz już co krok napotykałem całe szkielety z rozrzuconymi rękami, czaszki obrócone oczodołami do ziemi, poje-

dyncze miednice, piszczele ze strzępami szmat, znów czaszki ze śladami pęknięć, rozwleczone szczęki z białymi, równymi zębami. Postanowiłem zacząć to liczyć, ponieważ wiem z doświadczenia, że żaden opis, jeśli nie jest poparty liczbami, nie spełnia wymogów dziennikarstwa. Po czterdziestej czaszce zrezygnowałem; nie wiadomo było, czy szkiclet bez głowy liczyć jako człowieka czy nie; nie umiałem ocenić pięciu związanych nylonową linką kości, bo powinno ich być sześć, poza tym leżały samotnie, w rozwidleniu korzeni jakiegoś drzewa; widziałem czaszki leżące między żebrami lub wepchnięte w półkuliste czasze miednic. Pewno trupy tych ludzi były rozwłózione przez zwierzęta, przemieszane przez monsunowe ulewy. Szedłem dalej przez to trudne do nazwania miejsce, notując tylko w pamięci nowe czaszki.

Jednak to był dopiero początek.

Na tyłach byłej szkoły rozciągały się kiedyś zapewne ogrody, a może pastwisko; cały ten teren był teraz zarośnięty, nierozpoznawalny, pokryty skotłowaną roślinnością. Ale ciągle jeszcze widać było dziesiątki glinianych amfor, powszechnie tu używanych jako połowe zbiorniki na wodę lub paszę dla bydła. Mają około półtora metra wysokości i średnicę u zwieńczenia w granicach osiemdziesięciu centymetrów. Zajrzałem do pierwszej, jaka stała na mojej drodze; aż po sam szczyt była wypełniona kośćmi, na wierzchu usypiska leżała znów czaszka. To samo w drugiej. To samo w trzeciej. W piątej. W jedenastej. Ile trupów mogło się zmieścić w jednej amforze — trzy, cztery? Kambodżańczycy są na ogół niscy, ich ciała po śmierci zapewne kurczyły się jeszcze bardziej. Ale kto ich tu wrzucał, kto upychał, skoro amfory są węższe u zwieńczenia niż w najszerszym miejscu obwodu? To nie mogła być prosta, mechaniczna czynność, musiało to być jakoś zorganizowane. I dlaczego tu akurat trupy wpychano do glinianych dzbanów, a o sto metrów dalej leżały na otwartej przestrzeni?

Zaczęło mi się mącić w głowie. Krążyłem po zarosniętym ugorze, napotkałem osłupiałych kolegów, zaglądałem do dwudziestej, czterdziestej amfory, potem wszedłem na niewielki pagórek i znów dostrzegłem czaszki rozrzucone po ziemi. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści czaszek; mają tak charakterystyczny kształt, że łatwiej je odróżnić w szarozielonym tle niż kości miednicy lub ramion. W pewnym miejscu — był to rodzaj miniaturowej polany, otoczonej gęstym kordonem jakiegoś zielska w rodzaju pokrzywy — zobaczyłem nagle wystającą z ziemi kość podudzia, obok niej leżała jakaś spatynowana klamra, resztki skórzanego pasa i przesiąknięty krwią łachman. Uświadomiłem sobie, że oglądam tylko to, co znajduje się na powierzchni, tylko to, czego nie skryła jeszcze roślinność, a nic przecież nie wiem o tym, co znajduje się pod ziemią.

Przypuszczam, że w ciągu czterdziestu minut zobaczyłem nie mniej niż czterysta, może nawet pięćset ludzkich czaszek i szkieletów.

Wkrótce musiałem skorygować tę liczbę. Tuż przy dawnej ulicy widniały dwie studnie — zwykle, ocebrowane kręgami studnie. Pierwsza z nich była wypełniona kośćmi i czaszkami na całą głębokość; druga była prawie pusta, głęboka na jakieś sześć, może siedem metrów. Na jej dnie widniało znów pięć czaszek, zwróconych oczodołami ku górze; kontrast pomiędzy bielą kości i czernią oczodołów był tak sugestywny, że czaszki przez chwilę przypominały twarze żywych ludzi. Może dlatego, że jestem krótkowzroczny.

Któryś z kolegów trafił na wapienny dół, wypełniony dobrze jeszcze zachowanymi szczątkami ciał. Ktoś inny zobaczył syczącą żmiję, która wygrzewała się w rozwalonym czerepie. Ktoś przyniósł ze sobą katolicką książkę do nabożeństwa, znaną między czaszkami.

Ale to jeszcze nie był koniec.

CXV. Łaziki znów przedzierały się przez porośnięte lianami pagórki po środku jezdni, szurały bokami o mięsiste liście dzikich figowców, łamały z trzaskiem wiotkie, lecz twarde gałęzie tamaryszku. W tej dżungli nie było nikogo, ale odczucie pustki było tu inne niż w Phnom Penh. W gęstym, spletanym lesie nikt nie oczekuje tłumu przechodniów. Tyle że ta dżungla porastała teraz rojne niegdyś i gwarne ulice handlowe śródmieścia, widać było porzucone i oplecione lianami wózki przekupniów, zza muru zieleni lyskały resztki szyldów, mroczne wnętrza ludowych gospód, jakieś cynamonowo-paprykowe sklepy z ledwo już widocznymi półkami i stosami jakichś towarów. Środkiem niektórych przecznic biegły wąskie, kręte ścieżki; przywodziły raczej na myśl dukty wydeptywane w dżungli przez zwierzęta idące do wodopoju niż jakiegokolwiek pejzaże ludzkich osiedli. Mignęła gdzieś stacja benzynowa oplątana powojem; jakaś hala — fabryczna? sportowa? targowa? — z której spływały pomarańczowe języki małych, drapieżnych kwiatów.

Powiedziano nas do miejsca, o którym nic bliższego nie można powiedzieć. Była to prawdopodobnie stacja filtrów albo, na odwrót, oczyszczalnia ścieków, choć w Azji rzadko się takie instalacje wznosi; żywotność flor bakteryjnych jest tu wystarczająco silna, aby sobie oszczędzić niepotrzebnych wydatków. Może zresztą była to tylko stacja uzdatniania wody dla celów przemysłowych, ponieważ w głębi, w skłębionych chaszczach, za nieprzejrzystym parawanem bananowców i bambusów majaczyły jakieś mury, przywodzące na myśl fabrykę. Nie udało się tego ustalić. Tłumacze i oficerowie eskorty byli równie jak my poruszeni poprzednim widokiem, mówili półsłówkami, szeptali coś między sobą. Nikt zresztą nie pochodził z Prey Veng; ani jeden mieszkaniec tego miasta nie pozostał przy życiu.

Poszliśmy najpierw na zaplecze długiego, komplet-

nie pustego budynku o niejasnym przeznaczeniu. Graniczył znów z jakimś byłym ogrodem i rzędem całkowicie zarośniętych domów. Wzdłuż granicy obiektu biegł mur długi na piętnaście metrów i wysoki na metr sześćdziesiąt. Równoległe do niego, od strony ogrodów, biegł drewniany płot z dobrze dopasowanych desek, tak samo długi i prawie tak samo wysoki, odległy od muru o pół metra. Oba tworzyły otwartą u góry klatkę o pojemności mniej więcej dwunastu metrów sześciennych.

Była znów zapelniona po brzegi czaszkami i kośćmi ludzkimi.

Nikt nie chciał już tego fotografować. Wtedy oficer z rady prowincji kazał nam się dokładnie przyjrzeć temu, co widzimy.

Zbliżyłem się do jamy na odległość dwudziestu centymetrów, ponieważ nie byłem pewien, czy mnie wzrok nie zawodzi.

W trzech czaszkach, leżących na samym wierzchu, tkwiły dobrze widoczne, zardzewiałe gwoździe. Czwarta czaszka, tuż obok, miała gwoździć tkwiący w prawym oczodole, wbity tak głęboko, że przebił osłonkę kostną i sięgał zaostrozonym końcem tam, gdzie kiedyś był ludzki mózg.

Zacząłem iść wzdłuż muru i przyglądać się czaszkom. Było ich dwadzieścia osiem; jednaście miało gwoździe wbite w wierzch czerepu, w skroń, w łuk brwiowy. W jednej czaszce widniały dwa regularne, okrągłe otwory o średnicy mniej więcej ośmiu milimetrów. Ten człowiek widocznie się bronił i trzeba go było zastrzelić — z pistoletu maszynowego kalibru 7,62. Patrzyłem tylko na czaszki leżące na samym wierzchu sterty.

Oficer zawrócił nas jeszcze raz i pokazał grubą, pionową deskę, przymocowaną do muru. Była pokryta długimi soplami zakrzepłej krwi; tam gdzie krew spłynęła kiedyś na ziemię, kręciły się miliony maleńkich,

bursztynowych mrówek. Obok leżała siekiera, zwykła chłopska siekiera o lekko zakrzywionym stylisku i piętce zużytej przy wbijaniu gwoździ. Prawdopodobnie skazańców ścinano w tym miejscu; musiał to być zabieg koszmarnie długotrwały, ponieważ ostrze siekiery nie miało więcej niż piętnaście centymetrów długości.

Przyjrzałem się jeszcze raz czaszkom; zobaczyłem, że te, które leżą głębiej, mają jeszcze na oczodołach opaski z jakiegoś sztucznego włókna, poszarzałe od kurzu, lecz nadal mocno zawiązane.

Poszliśmy na drugą stronę budynku.

Na wybetonowanym pasie widniało czternaście wąskich, głębokich otworów o powierzchni niecałego metra kwadratowego. Były to zapewne osadniki filtracyjne lub studzienki filtrów biologicznych. Jeden rzut oka wystarczył, aby dostrzec, że są prawie po sam brzeg wypełnione czaszkami i kośćmi. Ucieliśmy wojskowym sztyletem wiotką, prostą gałąź jakiegoś krzewu. Miała trochę ponad dwa metry długości, ale nie sięgnęła dna. Ucieliśmy następną i związaliśmy obydwie znalezionym drutem. Za mało. Trzeciej gałęzi nie można już było przywiązać. Wtedy żołnierz z ochrony przyniósł z ulicy bardzo długi, sprężynujący pręt ze stali zbrojeniowej.

Studzienki miały czterysta trzydzieści centymetrów głębokości.

Patrzyłem na ponad pięćdziesiąt metrów sześciennych ludzkich szczątków.

Odkąd zobaczyłem, jak ze spalonej widowni warszawskiego Teatru Wielkiego wywożono furmankami ludzkie prochy, nauczyłem się i takiej miary człowieka.

Czternasta studzienka, znajdująca się za węglem tego dziwnego budynku, miała widocznie wybetonowane dno, była dobrze zasłonięta od słońca i częściowo przykryta szerokimi liśćmi sagowca. Zwłoki, które tu wrzucono, z trudnych do wyjaśnienia przyczyn roz-

puścili się i nie wyparowały. W betonowych obrzeżach chlupotał oleisty płyn o barwie sadzy. Jego powierzchnię pokrywały miliony maleńkich robaków, na przemian czarnych jak pchły i żółtych jak czerwie. Robactwo roiło się tak intensywnie, że z wnętrza dobiegał dobrze słyszalny chrzęst. Po powierzchni pływały dwie czaszki, widocznie lżejsze niż maź z rozpuszczonych zwłok. Obracały się niedostrzegalnie, popychane nieustannym wrzieniem robactwa.

Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem człowieka w stanie płynnym.

Tego nie wymyślono nawet w Trzeciej Rzeszy.

CXVI. „Bez życia nie ma śmierci; bez śmierci nie ma życia. Bez góry nie ma dołu; bez dołu nie ma góry. Bez nieszczęścia nie ma szczęścia; bez szczęścia nie ma nieszczęścia. Bez łatwego nie ma trudnego; bez trudnego nie ma łatwego. Bez obszarnika nie ma dzierżawcy; bez dzierżawcy nie ma obszarnika. Bez burżuazji nie ma proletariatu; bez proletariatu nie ma burżuazji... (...)

Tak przedstawia się sprawa ze wszystkimi przeciwieństwami.” (Mao Ce-tung, *W sprawie sprzeczności*, Warszawa 1952, strona 44.)

CXVII. Około wpół do drugiej przyjechaliśmy do byłej wsi Phoum Damray, leżącej o dwadzieścia kilometrów na północny wschód od Prey Veng. Nigdy nie założono tu komuny, ludność wysiedlono, może ze względów wojskowych, a może z powodu bliskości więzienia specjalnego. Domy na palach ziały pustką i opuszczeniem, tylko w dwóch lub trzech snuł się gryzący dym ognisk. Biegały nagie dzieci. Wynędzniałe, apatyczne kobiety pichciły coś pod domami.

Na skraju wsi stała wyniosła pagoda, nie najpiękniejsza w proporcjach, lecz pełna wdzięku i świetnie

skomponowana z niskimi, przewiewnymi pawilonami, które okalały dziedziniec. Musiał się tu mieścić spory klasztor, pewno także wiejska szkoła i chyba niewielki był częściowo zerwany, krokwie i murlaty przeprzyjazdu.

Dach głównej świątyni ułożony z rdzawej karpiówki, był częściowo zerwany, krokwie i murlaty prześwitywały jak zebra obdarte ze skóry. Mur krużganków był w kilku miejscach poszarpany. Na dziedzińcu zanosily się śpiewem i świergotem ptaki; przelatywały tuż koło nas wesołymi stadkami, pyszniąc się różnobarwnym aksamitem swego upierzenia, zdzierając gardziółka z samej radości życia, lotu i trwania.

We wnętrzu pagody nie było nic. To znaczy nie było ani jednego sprzętu liturgicznego, posągu Gautamy, ołtarzy, parawanów, tablic z naukami mędrca, wot ofiarnych. Wszystko to zostało zebrane i gdzieś zapewne wywiezione, ponieważ na podestach i na podłodze krużganków nie było śladów, jakie oglądałem już w wielu innych zniszczonych pagodach wiejskich.

Na miejscu głównego ołtarza leżał, wysoki liczący chyba tysiąc sztuk, stos chińskich pocisków artyleryjskich kalibru 130 mm. Z boku stało z pięćdziesiąt skrzynek, znów opatrzonych liczbą 800 i długimi rządami chińskich ideogramów. Zapalniki artyleryjskie, granaty do moździerzy, naboje do pancernic, woreczki z prochem i bawełną strzelniczą. Moździerze były już mocno ściemniały, wokół spłonków widniały ślady korozji.

Po przeciwnej stronie, tam, gdzie dach był zerwany, leżała skotłowana, podobna do ogromnego śmietnika sterta najróżniejszych pocisków, zapalników, ładunków wybuchowych; swym nieporządkiem sprawiała wrażenie, że za moment wybuchnie. To zresztą musi nastąpić prędzej czy później. Przy takim składowaniu i galopującej korozji wystarczy niedostrzegalne tapnię-

cie ziemi lub nawet silniejszy wiatr, aby któraś splotka lub nadwierzony zapalnik spotkały się ze swym przeznaczeniem.

Pociski wylewały się szeroką strugą na zewnętrzne schody, rozpełzały się po kruźgankach, leżały w zaroślach, w trawie, pod drzewami. W rogu prawego kruźganka dostrzegłem stos okrągłych, dość dużych puszek w ciemnooliwkowym kolorze, z długimi trzonkami i jakimś sznurem czy lontem. Każda z nich miała wyraźny napis: **POISONOUS GAS GRENADE!** Poniżej, drobniejszymi literami, sposób użycia: używać przy szybkości wiatru nie większej niż 10 mil na godzinę, lonty zapalać szeregowo, obsługa musi nosić maski przeciwgazowe i tampony TX-8.

Granaty z gazem trującym. Nie wiedziałem, że coś takiego istnieje. Może to był po prostu gaz CS, o którym podczas wojny w Indochinach Amerykanie uporczywie twierdzili, że nie jest trujący? Na każdej puszcze widniał maźnięty w pośpiechu jaskrawoczerwona farbą chiński ideogram, zawsze ten sam. Przypuszczalnie ostrzegał przed trucizną. Nie zauważyłem jednak ani jednego napisu w alfabecie khmerskim. Arsenalem w pagodzie Damray zawiadywali wyłącznie Chińczycy. Ciekawe, co naprawdę myśleli chińscy oficerowie, kiedy brali do ręki amerykańskie granaty z gazem trującym, pełniące tutaj tę dziwną funkcję ideologiczną.

Wokół pagody trzeba się było poruszać z najwyższą ostrożnością, żołnierze eskorty chodzili za nami krok w krok, pokazywali w zaroślach ledwo widoczne miny talerzowe, kapiące tłuszczem woreczki z plastikiem, jakieś tajemnicze rurki i nagwintowane trzpienie z oksydowanego aluminium.

Przy wąskiej, dobrze wydeptanej ścieżce znów zobaczyłem ludzką czaszkę. Nieco dalej, w gęstej trawie, widniała reszta szkieletu. Pochyliłem się nad czaszką i zobaczyłem, że ma w ciemieniu dwa niewielkie, regularne otwory. Tuż obok leżało pięć odpalonych łusek z dobrze widocznymi, chińskimi znakami seryjny-

mi na obwodzie wokół splotki; jeden z nich, podobny do kwadratu i nieznacznie przekreślony pionową kreską, jest potocznym skrótem nazwy: Państwo Środka.

Zabrałem te łuski ze sobą.

Wszedłem jeszcze do jednego z parterowych pawilonów, gdzie mieściła się kiedyś szkoła. Tu także wewnątrz było ogołocone ze wszystkich przedmiotów. Na jednej ze ścian widniały rysunki i napisy. Przedstawiały sceny bitewne z użyciem samolotów i artylerii, tak jak to rysują dzieci, dla których tor lotu pocisku jest ważniejszy niż proporcja i perspektywa. Węgłem drzewnym ktoś narysował nieudolnie portret żołnierza w miękkiej, chińskiej czapce. Nie było na ścianach ani jednego chińskiego ideogramu, za to aż się roiło od wielowierszowych napisów w alfabecie khmerskim. Poprosiłem tłumaczkę, aby mi to przełożyła; popatrzyła przez chwilę na ścianę i odrzekła, że nie rozumie. Sprowadziłem oficera: pokiwał głową i powiedział, że to pisali analfabeci. To znaczy: ludzie głupi. To są świństwa, których tłumaczyć nie można. Ale jakie świństwa — polityczne? Nie, nie. Nie można tłumaczyć.

Przeciwległa ściana była także pobazgrana. Na poziomie oczu biegły trzy długie kolumny cyfr, z których pierwsze na pewno oznaczały datę. 8.6.76 — 14; 9.6.76 — 8; 11.6.76 — 22. Do czego mogły się odnosić końcowe cyfry? Oficer z urzędu prowincji porozmawiał przez chwilę z kolegami, wskazując palcem na końcowe cyfry wykazu. Potem powiedział, że prawdopodobnie jest to wykaz dokonanych egzekucji wraz z liczbą zgładzonych osób. Krążą słuchy, że w pobliżu wsi Phoum Damray dokonywano masowych mordów. Ale dopiero za kilka tygodni będzie tu mogła przyjechać ekipa, która zacznie poszukiwania grobów. Najpierw saperzy będą musieli oczyścić teren z min i amunicji. O saperów nie jest teraz łatwo.

Wykaz urywał się na dacie 28 kwietnia 1978 roku. Podliczyłem liczby znajdujące się po prawej stronie.

Suma wyniosła 885. Jeśli domysł oficera odpowiada prawdzie, wiem już, ile zwłok znajduje się w tutaj-
szych, nie znanych jeszcze grobach.

Napatoczył się stary, dygoczący, bezzębny chłop, który przykuśtykał o lasce, żeby nas obejrzeć. Spyta-
łem go, skąd pochodzi i kiedy tu wrócił. Tłumacze nie
mogli się z nim jednak porozumieć, mówił jakimś dzi-
wacznym dialektem, był zresztą prawie głuchy. Ale
po minucie starzec pociągnął mnie za rękaw i znów
zaczął coś mówić swymi bezzębnymi ustami. Tłumacze
skupili się i przez chwilę słuchali starca w milczeniu.

Potem pokręcili głowami i nie kryjąc zniecierpliwie-
nia powiedzieli, że chyba temu człowiekowi pomieszały
się zmysły. Twierdzi, że był bonzą buddyjskim i przez
trzy lata ukrywał się tutaj gdzieś, niedaleko Damray,
w lesie chyba, bo gdzież by indziej. Mówi, że przeklina
Czerwonych Khmerów, to jest, zbrodniczą klikę Pol
Pot-leng Sary. I jeszcze mówi, że to wszystko, co się
stało w Kambodży było dawno przewidziane w sta-
rych księgach. Tak mówi. Ale on jest bardzo stary,
towarzyszu. Teraz mówi coś o węzach. O krokodylach.
No, naprawdę o krokodylach. Musimy już jechać. Zro-
biło się bardzo późno.

CXVIII. Znam tę legendę. Pochodzi prawdopodobnie
z pierwszego tysiąclecia przed naszą erą i w różnych
odmianach znana jest w całym kręgu kultury bud-
dyjskiej. Jest to azjatycka wersja Apokalipsy. Grzechy
ludzi nigdy nie są zrównoważone sumą dobrych uczyn-
ków, ascezy i miłości. Nasz debet rośnie bezustannie,
aż w końcu naruszy kiedyś przyrodzoną równowagę
Wszecrzeczy. Wtedy ze wszystkich pieczar, dziur w
ziemi, rzek i bagien wypełzną miliony węży i kroko-
dyli, drapieżne żółwie, nieznane potwory w rodzaju
smoków, ogniste jaszczurki długie na tysiąc łokci.
I stopniowo pożrą wszystkich ludzi, jacy żyją na Zie-
mi, aby zapanowała doskonała harmonia ciszy i nicości.

We wszystkich europejskich mitologiach koniec świata następuje nagle, w ogniu kataklizmu, w wodach potopu lub w rozdarciu niebios. W Azji ma nastąpić stopniowo, na raty, w chrzęście łamanych kości, spazmach bólu i w pełnej świadomości tych, którzy czekają na swego węża lub krokodyla.

CXIX. Wracaliśmy z Prey Veng inną trasą, nad samym brzegiem Mekongu. O czterdzieści pięć kilometrów na południe od Prey Veng zobaczyłem pierwsze (i jedyne) ślady ciężkich walk, toczonej przed pięcioma tygodniami. Prawdopodobnie rozegrał się tu krótki, lecz gwałtowny bój podczas przeprawy przez Mekong. Niewielka osada była dosłownie rozniesiona ciężkimi pociskami, na stromej skarpie widniał lej koło leja, drzewa połyskiwały osmalonymi kikutami, gęsty wał przybrzeżnej roślinności był zmierzwiiony i przeorany na każdym metrze kwadratowym. Być może jest tu bród lub wygodna łacha, ponieważ przez osadę wiodła stosunkowo dobra droga, urywająca się w nurtach Mekongu. Stały na niej cztery rozbite transportery amerykańskie typu M-113. Białe gwiazdy były jeszcze dobrze widoczne spod cienkiej warstwy farby; numerów taktycznych nikt nawet nie zamierzał zamalowywać.

Trudno powiedzieć, która armia straciła te transportery i kim byli żołnierze, którzy w nich zginęli. Maski transporterów były ustawione w różnych kierunkach, nie mogłem się zorientować, czy zamierzały się przeprawić na zachodni brzeg, czy też na odwrót, broniły przeprawy od wschodu. Na pancerzach nie ma żadnych dodatkowych znaków rozpoznawczych; wewnątrz przedziałów bojowych nie pozostały żadne ślady, które pozwalałyby ustalić jakikolwiek istotny szczegół.

Na pobojowisku panuje zupełna cisza, rzeka płynie bezgłośnie, śpiewają ptaki. Ta ziemia nic obcym nie powie.

CXX. Za ledwie przekroczyliśmy granicę Wietnamu, głowa dowódcy naszej eskorty, który jechał w moim łaziku, opadła na bok, jakby ją zdmuchnął wiatr. Ten człowiek sypiał jeszcze krócej niż my.

Nazywaliśmy go Danem. Był ruchliwy, skłonny do żartów, wytrzymały na alkohol, pełen zaraźliwej wesołości. Jego czujne brązowe oczy widziały wszystko, zawsze i wszędzie. Dan zdążył już przywyknąć do osobliwego trybu życia europejskich towarzyszy, którymi się często zajmował. Nie przyprawiał nas o zakłopotanie swą ascetyczną surowością i milczącą, lecz czytelną przyganą, jaką często wyczuwaliśmy u innych. Nigdy jednak nie zasiadł wraz z nami do posiłku, podobnie jak tłumacze i reszta eskorty. Ich porcje były o dwie trzecie mniejsze niż nasze i nie mogły przekraczać ściśle ustalonego maksimum racji dla osób podróżujących służbowo.

Popatrzyłem na lichy drelich jego munduru, tandetne sandały na bosych stopach, przekrzywiony we śnie pas z pistoletem. Jakie osobiste motywy mogły ożywiać tego chłopca? Co pojął i co zapamiętał z licznych na pewno, bardzo licznych szkoleń i wykładów? Przecież nie mógł nigdy słyszeć o sporze Marksa z Lassalle'em, o Wierze Zasulicz i Plechanowie, o Bernsteinie i Trockim. Gdyby nawet słyszał, przyczyny tych sporów, konfliktów i rozłamów musiałyby być dla niego całkowitą, stuprocentową abstrakcją, podczas gdy dla mnie są to nadal sprawy w jakiejś mierze aktualne czy przynajmniej mające realne odniesienia do współczesności.

Czy rzeczywiście należymy obaj do tego samego nurtu, który tak bardzo odmienił świat, a zaczął się kiedyś w słodkim słońcu Nadrenii, wśród brodatych, znających grekę i łacinę absolwentów Getyngi i Heidelbergu? Czy sprawa nie wygląda tak, że łączą mnie z Danem tylko pewne bardzo ogólne hasła wywoławcze, a cała reszta jest kwestią czysto jednostkowego doświadczenia społecznego, klasowego instynktu, od-

miennych kultur i nieprzystawalnych pojęć? Dan był na pewno człowiekiem z rodzaju tych, którzy nie zawiodą — na polu walki, w więzieniu, w ogniu najcięższej próby; takich ludzi łatwo rozpoznać. Nie są skłonni do paplania lub recytowania pacierzy, zajmują się tym, co do nich należy, i nie ukrywają, że działanie jest dla nich podstawową miarą sensu wszelkiej rzeczy. Przypuszczam, że ten biednie ubrany, wiecznie niewyspany chłopak, chudy jak szczapa i ruchliwy jak iskra, musiał odczuwać satysfakcję ze swego życia mniej więcej tak samo intensywną i tak samo pozbawioną zwątpień jak ta, która była moim udziałem ćwierć wieku temu.

Lubię czasem posiedzieć na wielkich lotniskach Zachodu i patrzeć na przystojnych, wysportowanych mężczyzn, którzy wiozą na weekend swe śliczne, zadbane dziewczyny, odżywione sokami, wypieszczone przez słońce. Jest to naprawdę piękna rasa, udany wariant mutacji. Ci mężczyźni doskonale prowadzą silne i szybkie samochody, pływają jak fokki, zimą wykonują oszałamiające krystianie, sprawdzają się co dzień w swych trudnych zawodach, mają poczucie humoru. Potem budują dom, sadzą drzewo, zręcznie strzygą trawniki. Nie można ich nie podziwiać. Dali świata cudowne maszyny, samoloty, telewizję, wygodne domy, czyste klozety, poskromili atom, zajęli się lądowaniem na Księżycu. Kim właściwie jest w porównaniu z nimi ten znużony chłopiec o bosych nogach i twarzy ledwo muśniętej słabym zarostem? Kto z nich naprawdę może o sobie powiedzieć, że przeszedł próbę, jaką mężczyzna musi przejść, aby nie żywić do siebie pogardy i obrzydzenia?

CXXI. Dyskoteka świata i rudery świata. Stalowe łańcuszki u przegubów jako oznaka męskości i wytarta kabura u parcianego pasa jako jej odpowiednik. Mieściciel „Playboy” jako manifest tolerancyjnego li-

bertynizmu i codzienne zebrania szkoleniowe w armii jako podstawa wiedzy o świecie. Kolacja przy świecach i fudze Bacha oraz ryż w blaszanej misce, zmieszany ze zbyt małą porcją ryby lub jarzyn. Noc przetańczona do rana w disco i nie przespana noc w koszarach.

Może pytanie, wykrzywane przez Guevarę, jest w ogóle nierozwiązywalne i nie powinno być postawione, ponieważ kłóci się z istniejącym od stuleci porządkiem świata? Może świat Dana i świat tamtych nie mają żadnego wspólnego mianownika, który pozwalałby na jednolitą miarę wartości?

CXXII. Dzień w Mieście Ho-Szi Minha. Kłótnie, dyskusje, przyjaźnie. *Lua moi*. Hektolitry piwa. Część ekip wyjeżdża. Mają dość Kambodży, upału, szarpania łazików, wstawania o trzeciej. Zrobili swoje, wystarczy.

Z Hanoi przyleciał Piotr z wiadomością, że wreszcie przyszły dla mnie pieniądze.

Chińczycy koncentrują wojska nad granicą wietnamską.

Carlos skrada się po cichu za plecami, przystawia znienacka dwa palce do potylicy i woła: pol-pot-ieng-sary!, pol-pot-ieng-sary!

Notatki. Szkice. Pierwszy plan książki. Pogardliwe epitety pod własnym adresem. Brak tytułu. Najwyżej cztery, pięć arkuszy, surowy zapis, bez żadnego idcolo, bcz hochmologii. Nikt tego nie strawi, nikogo to nie interesuje. Zaświadczyć trzeba, ale nie więcej.

CXXIII. Trzynastego lutego znów cały dzień w Phnom Penh. Osiem stron notatek. Chcemy zostać na noc, ale znów nic z tego nie wychodzi. *Matter of security*, powiada z uśmiechem szef ochrony. Nasz Isuzu ledwo dyszy.

Wizyta premiera Pham Van Donga znów została odłożona, wracamy na noc do Wietnamu.

Ani jeden cudzoziemiec, poza Wietnamczykami, nie spędził dotąd nocy w Kambodży.

CXXIV. Kim właściwie był Pol Pot i jego najbliżsi współpracownicy? Trzeba w końcu uporządkować jakos to wszystko, co o nich wiadomo, choć nie jest tego dużo i w notatkach jest więcej znaków zapytania niż wykrzykników.

Początki grupy Pol Pota nie są dokładnie znane chyba nikomu. Są to dziś ludzie między czterdziestym dziewiątym i pięćdziesiątym szóstym rokiem życia. Ich działalność polityczna rozpoczęła się wcześniej, prawdopodobnie jeszcze w okresie walk wyzwolńczych z Francuzami. Można przyjąć, że wszyscy wywodzą się z kręgu wpływów Komunistycznej Partii Indochin, może tylko z wyjątkiem nie żyjącego już Hu Nima.

Partia ta została założona w lutym 1930 roku, we Francji, przez grupę lewicowych działaczy z południowo-wschodniej Azji, wśród których szczególną rolę odgrywał Ho Szi Minh. Szkoda, że publicystyka wydawanego przez tę partię tygodnika „Le Paria” jest tak mało znana. Zawiera wiele wyjątkowo interesujących myśli i oryginalne uogólnienia teoretyczne, które powinny były zyskać sobie większy rozgłos w ruchu robotniczym, choć nie we wszystkim pokrywały się z analizami Kominternu, zwłaszcza w dziedzinie teorii frontu narodowego. Nazwa tygodnika znaczyła tyle, co parias, nędzarz, kulis, lecz poziom intelektualny wielu zamieszczonych tam publikacji jest chyba do dziś w pewnym sensie nieprześcigniony.

Komunistyczna Partia Indochin rozwiązywana była aż dwa, a właściwie trzy razy. Po raz pierwszy w listopadzie 1945 roku, kiedy Ho Szi Minh postanowił skupić wszystkie siły demokratyczne wraz z narodową burżuazją do walki z kolonializmem francuskim. W praktyce jednak wąska, kadrowa partia istniała nadal w podziemiu, i to podwójnym: wobec Francuzów, któ-

rzy uważali indochińskich komunistów za wyjętych spod prawa, i wobec miejscowej burżuazji narodowej, która współpracowała z radykalną lewicą w ramach Vietminhu. Przez sześć lat dla wszystkich komunistów tego rejonu było rzeczą zupełnie oczywistą, że celem walki jest wyzwolenie narodowe, lecz i społeczne, całego Półwyspu Indochińskiego, to znaczy: Annamu, Tonkinu, Kochinchiny, Kambodży i Laosu. Dopiero w marcu 1951 roku utworzono Wietnamską Partię Pracujących, która kierowała walką wyzwoleniczą na terenie Wietnamu, a więc tylko w trzech z pięciu dawnych protektoratów francuskich. Jest to szczególnie dość istotny dla późniejszych losów rewolucji w tym rejonie. Cała, bez żadnego wyjątku, radykalna lewica indochińska uznawała wspólnotę losów wszystkich narodów Półwyspu za rzecz oczywistą. Nie istniały w tym okresie żadne spory co do granic, formy przyszłych rządów, nawet co do taktyki w walce wyzwoleniczej.

Komunistyczna Partia Indochin została ostatecznie rozwiązana w roku 1954, po zawarciu porozumień genewskich. Na jej miejsce, oprócz istniejącej już Wietnamskiej Partii Pracujących, powstały jeszcze dwie nowe partie: Komunistyczna Partia Laosu i Komunistyczna Partia Kambodży. O początkach tej drugiej wiadomo niewiele; nie udało mi się nawet ustalić nazwiska jej pierwszego sekretarza generalnego. Jest rzeczą prawdopodobną, że w pierwszych latach po wyzwoleniu wpływy partii miały zasięg niewielki i ograniczały się zapewne do wąskiej grupy inteligencji średniego pokolenia, która z marksizmem zapoznała się za pośrednictwem KPI lub komunistów francuskich.

Pierwsze wiarygodne informacje o grupie Pol Pot — ponieważ od samego początku chodziło o stosunkowo zwartą grupę, wykazującą pewne cechy frakcji — pochodzą z roku 1956. Wszyscy członkowie tej grupy mieli wówczas około trzydziestki, mieszkali we Francji, byli członkami KPF. Okres ten czeka jeszcze na swego historyka, wiadomo jednak, że były to lata nie-

łatwe, z których komuniści francuscy nie zawsze wychodzili obronną ręką. Szok związany z klęską pod Dien Bieh Phu i utratą Indochin, a zarazem równoczesny wybuch powstania algierskiego w listopadzie 1954 roku doprowadziły wśród części lewicy do pewnego zamętu na tle dekolonizacji. Zwłaszcza że Algieria była wówczas powszechnie uważana za zamorski departament Francji, zamieszkaną między innymi przez francuskich proletariuszy. Kryzys wewnętrzny IV Republiki postawił partię przed koniecznością rewizji wielu istotnych punktów programu w związku z rosnącą popularnością koncepcji de Gaulle'a. Z kolei przemiany w krajach socjalistycznych po śmierci Stalina wzbudziły dodatkową falę niepokoju wewnątrz samej partii, całej lewicy oraz ruchu związkowego. Miało to wkrótce przynieść kilka głośnych odstępstw i dezercji. Latem 1956 roku, po XX Zjeździe KPZR, kierownictwo partii francuskiej, zagrożone niemal rozłamem, nie aprobowało w całości haseł, które w tym samym czasie zyskiwały coraz większą aprobatę w wielu krajach socjalistycznych. W *L'Humanité* ukazało się wówczas kilka ostrych artykułów krytycznych, które z jednej strony wywołały czynny sprzeciw części intelektualistów partyjnych, z drugiej zaś wzbudziły sporo rozczarowania wśród komunistów z byłych lub istniejących jeszcze francuskich posiadłości kolonialnych. W sumie jednak KPF poparła zasadnicze — ale tylko zasadnicze — decyzje XX Zjazdu KPZR. Od tego właściwie momentu zaczyna się późniejszy dramat Kambodży.

Pol Pot i Ieng Sary, którzy przypuszczalnie około roku 1953 opanowali wraz ze swą grupą kierownictwo sekcji indochińskiej KPF, nie byli już formalnie członkami partii francuskiej, lecz jesienią 1956 roku zaczęli intensywnie organizować wewnątrz KPF opozycję, którą — gdyby trzymać się tradycyjnej terminologii — należałoby określić jako dogmatyczną. Na łamach „Sztandaru Rewolucji” stanowczo odrzucili uchwały XX Zjazdu KPZR, wystąpili gwałtownie przeciw „de-

strukcji wielkiego dzieła Stalina”, oskarżyli europejskie kraje socjalistyczne o „uleganie rewizjonizmowi”.

✓ Egzemplarze „Sztandaru Rewolucji” są trudno dostępne. Na podstawie kilku egzemplarzy trudno zrekonstruować cały tok rozumowania Pol Pot'a. Znamienne jednak, że uważa on okres 1937—1941 oraz 1945—1953 za „najbardziej twórczy w dziejach budownictwa socjalistycznego”, gwałtownie polemizuje z trockistami, pochwała metody wstępnej kolektywizacji i poświęca specjalny artykuł „zasługom bojownika rewolucji, Mátyása Rákosiego”. Nieco zbliżone poglądy głosiła też wówczas we Francji niewielka, lecz hałaśliwa grupa „L'Étincelle”, o której na przemian sądzono, że reprezentuje trockistów, dogmatyków, anarchistów lub wręcz mussawatystów. Brak jest dowodów, aby obie grupy współdziałały organizacyjnie — przynajmniej dowody takie nie są publicznie znane — ale zbieżność płaszczyzny ideologicznej jest uderzająca.

Co ciekawe, Pol Pot w tym okresie krytycznie odnosił się również do Chin. Należy pamiętać, że była to epoka „stu kwiatów”, okres wyjątkowego prestiżu Chin na arenie międzynarodowej, dobrych jeszcze stosunków z krajami socjalistycznymi, a także rozwoju nauki i kultury chińskiej. Wskazywałoby to, że grupa Pol Pot'a od samego początku kierowała się stosunkowo niezmiennymi przesłankami, a w każdym razie była daleka od oportunistów, przynajmniej w tym okresie.

Można przypuszczać, że Pol Pot, zdecydowanie najsilniejsza osobowość tej grupy, ukształtował swe poglądy podczas studiów we Francji, w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Istnieje podobno broszura jego autorstwa (wydana pod pseudonimem Saloth Sar, jeśli to był pseudonim), gdzie została wyłożona po francusku cała doktryna, która za kilkanaście lat miała być zrealizowana w praktyce. Nie udało mi się odnaleźć tej broszury, spotkałem jednak kogoś, kto ją czytał. Jest to podobno tekst „po kartezjańsku logiczny i przejrzysty”, nie pozostawiający żadnych wątpliwości.

Grupa Pol Pota wróciła do Kambodży na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Tak przynajmniej utrzymują źródła wietnamskie i zachodniemieckie, choć prasa francuska twierdzi, że nastąpiło to dużo wcześniej. Prasa francuska podała jednak taką ilość balaмутnych informacji na temat Kambodży i samego Pol Pota, że słuszniej będzie pozostać przy wersji wietnamskiej.

Prawie wszyscy z nich podjęli pracę w szkolnictwie średnim. Ieng Sary i prawdopodobnie Khieu Sampan byli dyrektorami gimnazjów, Son Sen, jedna z najbardziej tajemniczych postaci tej grupy, wykładał jakoby na wydziale technicznym uniwersytetu królewskiego w Phnom Penh. Sam Pol Pot był profesorem „historii, nauk politycznych i wiedzy moralnej” w jednym z liceów stołecznych. Z dwóch źródeł słyszałem, że było to słynne liceum Tourni Soay Prey, zamienione później na centralną katownię; są jednak tacy, którzy to kwestionują.

Cała grupa podjęła od razu nielegalną działalność w Ludowo-Rewolucyjnej Partii Khmerskiej. Geneza tej partii i data jej powstania są zupełną zagadką. Twierdzi się — ale nie w Wietnamie — że powstała już w roku 1951, jako odpowiedź na utworzenie Wietnamskiej Partii Pracujących. Nigdy nie uznała istniejącej jeszcze wówczas, przynajmniej nieformalnie, Komunistycznej Partii Indochin i od pierwszej chwili prowadziła zastanawiającą politykę, wykazującą niewątpliwie nacjonalistyczne akcenty antywietnamskie. Możliwe, że w ogóle była dziełem prowokatorów policyjnych, ponieważ w marcu 1959 roku sekretarz generalny tej partii, niejaki Sieu Hang, wydał w ręce policji Sihanouka całą dokumentację partii wraz ze spisem członków. Los tego człowieka jest nieznanym. Jego zdrada spowodowała aresztowanie kilkuset członków partii; część z nich została rozstrzelana, inni — skazani na ciężkie, długoletnie więzienie, ponieważ wszelka rewolucyjna działalność była wówczas w Kambo-

dzy zakazana. Nie tyle nawet przez prawo, ponieważ proces ustawodawczy znajdował się wówczas, nazwijmy to, w stanie załaskowym, co raczej przez ustne zarządzenie Sihanouka.

Książę Norodom Sihanouk Varman był niewątpliwie rzecznikiem neutralizmu i na swój sposób dążył do ogólnej poprawy sytuacji Kambodży. Jednak pochwalne pienia, jakie na jego cześć odprawiano, nie wydają się dostatecznie uzasadnione. Nie tylko w jego przypadku pozytywna ocena polityki zagranicznej nie powinna przesłaniać trzeźwej oceny faktów z zakresu polityki wewnętrznej. Sihanouk miał w swej praktyce politycznej różne fazy, nie jest jednak prawdą, że był tylko nostalgicznym buddystą i wielbicielem pięknych tancerek. Ma również na sumieniu, zwłaszcza w pierwszym okresie swych rządów, akty brutalnego, krwawego terroru.

Grupa Pol Pot postanowiła odrodzić ruch komunistyczny w Kambodży i oczyścić go z prowokatorów policyjnych. 30 września 1960 roku założona została w nie ujawnionym dotąd miejscu Komunistyczna Partia Kambodży, zwana niekiedy Nową. Sądzę, że byłoby słusznie oznaczać ją numerem 2, ponieważ później miały nastąpić jeszcze inne komplikacje. Pol Pot został członkiem Biura Politycznego partii i zastępcą sekretarza generalnego. Nazwisko ówczesnego sekretarza generalnego nie jest tu istotne. Być może fatalne doświadczenia przeszłości sprawiły, że KPK-2 była od pierwszej chwili partią kadrową, stawiającą bardzo wysokie wymagania swym członkom. Można tu było dostrzec niewątpliwy wpływ doświadczeń chińskich i wietnamskich, ale może coś jeszcze ponadto. Pol Pot, który z całą pewnością był faktycznym przywódcą nowej partii, zaczął tworzyć od razu dwie równoległe struktury: wąską, kadrową partię o charakterze niemal wojskowym, a obok niej — stosunkowo szeroki ruch, który należałoby określić jako pół-partię, czyli coś więcej niż front narodowy w europejskim rozumie-

niu tego słowa. Była to modyfikacja wietnamskich doświadczeń z Vietminhem, ale modyfikacja dość daleko posunięta. Ludzie związani z tym szerokim ruchem byli wprawdzie najbliższymi współpracownikami partii, wykonywali jej polecenia i stanowili podstawową siatkę organizacyjną w warunkach nielegalności, zarazem jednak nie mogli współdecydować o polityce partii. Ten właśnie szeroki ruch — jeśli początkowo można było go w ogóle nazwać szerokim — doczekał się od Sihanouka pogardliwego określenia „Czerwoni Khmerowie”. Byli partią i zarazem nią nie byli; wykonywali polecenia Pol Pota, ale nie bardzo wiedzieli, kto właściwie wydaje te polecenia.

Prawie nic nie wiadomo o ewolucji poglądów ideologicznych grupy Pol Pota w tym okresie. „Sztandar Rewolucji” ukazywał się podobno w podziemiu w języku khmerskim, nic jednak bliższego na ten temat również nie wiadomo. Grupa Pol Pota zakładała nowe komórki partyjne, powoływała do życia oddziały Czerwonych Khmerów, organizowała pierwsze bazy partyzanckie w dżungli, a nade wszystko szukała poparcia za granicą. Nie ma podstaw, aby sądzić, że w ideologii tej grupy nastąpiły wówczas jakieś zasadnicze zmiany.

Mniej więcej około roku 1963 policja Sihanouka znów zagroziła istnieniu partii. Pol Pot, a nieco później Ieng Sary, musieli się chronić przed aresztowaniem i zbiegli do dżungli. Z łatwością stwierdzili, że sytuacja społeczna na wsi zmieniła się dużo bardziej niż w mieście; o ile mieszkańcom miast powodziło się lepiej niż kiedykolwiek, o tyle przewrót ekonomiczny na wsi stworzył pierwsze podstawy rozwarstwienia społecznego i tym samym powołał do życia „najważniejszą rezerwę rewolucji”, jak to później określił Lin Piao. Czerwoni Khmerowie zaczęli stopniowo rosnąć w siłę. Równocześnie w miastach pojawiło się półkonspiracyjne ugrupowanie, które Sihanouk z równą pogardą nazwał „Błękitnymi Khmerami”. Chodziło o ultrareakcyjne grupy, z reguły finansowane przez Amerykanów, czę-

sto sięgające po skrytobójstwa i przeciwstawiające się neutralnej polityce zagranicznej Sihanouka. Dwukrotnie, w latach 1959 i 1961, grupy te podjęły nieudane próby zamachu stanu. (Historia kambodżańskiej polityki wewnętrznej i zagranicznej tego okresu jest fascynująca, lecz tak skomplikowana, że jej dokładne omówienie w tej książce jest niemożliwe.)

Pol Pot, jako przywódca partyzantki skierowanej przeciw Sihanoukowi, znajdował się wówczas w dość dwuznacznej pozycji z punktu widzenia wszystkich krajów socjalistycznych i nie mógł liczyć na żadną konkretną pomoc. Zresztą rząd radziecki zdecydowanie i bardzo serio popierał neutralną politykę Sihanouka. Chiny wkraczały właśnie w ciężki kryzys wewnętrzny, związany z katastrofalnymi następstwami „wielkiego skoku”, popadły w całkowitą niemal izolację na forum międzynarodowym i w gruncie rzeczy nie miały powodu, aby popierać niewielką i dość jednak zagadkową grupę radykałów kambodżańskich, gdyż autorytet Sihanouka był wówczas jeszcze ogromny. Wietnam wreszcie stał się terenem bezpośredniej interwencji Stanów Zjednoczonych; ruch wyzwolenczy na południu stanął przejściowo przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. Sytuacja wojskowa pogorszyła się tak dalece, że każdy pojedynczy pistolet maszynowy i każda sztuka amunicji nabrały wartości klejnotów.

Wietnam był jedynym właściwie krajem, który miałby powody, aby udzielić poparcia partyzantce khmerskiej: przez terytorium Kambodży przebiegała jedna z południowych odnóg szlaku Ho Szi Minha. Z drugiej jednak strony Wietnam nie miał realnych możliwości, aby udzielić większego poparcia oddziałom Pol Pota, zresztą był również zainteresowany w utrzymaniu neutralnego reżimu Sihanouka, który był na pewno mniejszym złem, niż jawnie proamerykański reżim, jaki CIA bezustannie usiłowała utworzyć w Phnom Penh.

Trudno to stwierdzić z całą pewnością, wydaje się jednak, że w tym okresie, to znaczy między rokiem 1963 i 1966, uzbrojenie oddziałów partyzanckich Pol Pota pochodziło w przeważającej mierze ze zdobycznych arsenałów francuskich, japońskich i amerykańskich.

Być może właśnie wtedy Pol Pot uzupełnił swą doktrynę zasadą „polegania wyłącznie na własnych siłach”, sformułowaną przez Mao Ce-tunga trzydzieści lat wcześniej. Podstawowe dzieła Mao Ce-tunga były od dawna przełożone na francuski, zresztą żona Pol Pota była Chinką, kobietą wykształconą i czytającą w literaturze politycznej swego kraju. Istnieje oczywiście domysł, że była agentką chińskiego wywiadu, ale takie domysły istnieją zawsze i wszędzie, prawdziwe zaś są tylko w pewnym procencie wypadków. Zresztą w roku 1965 Pol Pot złożył sam wizytę w Chinach.

Pisma Mao z okresu jenańskiego zawierają sporo tez i przemyśleń, które z pewnością musiały być interesujące dla każdego rewolucjonisty azjatyckiego. W jednym z dokumentów, jaki udało mi się odnaleźć, Saloth Sar z aprobatą cytuje słynne zdanie Mao, napisane w roku 1927 w związku ze spontanicznymi rebeliami chłopskimi w Hunanie:

„Rewolucja nie jest tym samym, co zapraszanie ludzi na kolację, pisanie szkicu literackiego, malowanie obrazu lub haftowanie kwiatów. Nie może być ona niczym wyrefinowanym, delikatnym i miękkim. Ani łagodnym, grzecznym, powściągliwym, wspaniałomyślnym... Było rzeczą konieczną, aby w każdym rejonie wiejskim zaprowadzić krótkie rządy terroru, ponieważ w przeciwnym razie nikt nie potrafiłby zdławić działalności kontrewolucjonistów lub obalić władzy dzierżawców.”

Wolno sądzić, że w tym okresie fascynacja myślami Mao była jeszcze dla Pol Pota przede wszystkim rodzajem osmozy intelektualnej. Nie są z tego okresu

znane żadne wystąpienia grupy Pol Pot'a o charakterze antyradzieckim lub antywietnamskim.

Pojęcie najwęższego kręgu kierowniczego partii odegrało zasadniczą rolę w późniejszych wydarzeniach i byłoby rzeczą pożądaną, aby je dokładnie zanalizować. Niestety, jest to bardzo trudne. Źródeł jest mało, informacje ustne udzielane są dziś niechętnie i do tego nie wszystkie informacje wzajemnie się ze sobą zgadzają.

Przypuszczalnie struktura kambodżańskiego ruchu rewolucyjnego była trójstopniowa. U podstawy płynęła względnie szeroka, trochę amorficzna „rzeka Czerwonych Khmerów”, obejmująca zarówno wiernych zwolenników, jak i przelotnych sympatyków. Drugi szczebel stanowiła Komunistyczna Partia Kambodży nr 2; jej liczebności w żaden sposób ustalić nie można, sądzę jednak, że w najlepszym razie liczyła nie więcej niż dwa, maksymalnie trzy tysiące członków. Trzecim wreszcie szczeblem, koncentrującym wszystkie uprawnienia dowódcze, ideologiczne i polityczne, było centralne kierownictwo partyjne, któremu prawdopodobnie już wówczas nadano nazwę Angkar.

Słowo to ma w języku khmerskim kilka znaczeń, podobnie jak niektóre ideogramy chińsko-japońskie, które można odczytać na wiele sposobów w zależności od kontekstu. Najczęściej oznacza ono tyle, co „organizacja” lub „zorganizowana grupa”, słyszałem jednak, że tłumaczono je również jako „tajny związek”, „dowództwo”, „centrum” lub nawet „stanowisko dowodzenia” w wojskowym rozumieniu tego terminu. Słowo to zawsze występowało bez przymiotnika i rzadko pojawiało się w druku. W publikacjach obcojęzycznych Angkar występował jako „Stały Komitet” KPK. W krajach socjalistycznych tłumaczono to czasami — błędnie, na zasadzie nawykowej analogii — jako Biuro Polityczne KC. Nic nie uzasadnia takiej nazwy.

Od pierwszej do ostatniej chwili skład Angkaru

i formy jego działania były otoczone zupełną tajemnicą. Nie wiadomo nawet, z ilu osób się składał. Rozmawiałem na ten temat z trzema byłymi członkami KC KPK-2 i ani jeden nie potrafił wyjaśnić tych wątpliwości. Słyszałem przypuszczenia, że od roku 1975 Angkar składał się z 15 osób, inni twierdzą, że było ich 27, ale jest i taka teoria, wedle której Angkar w ogóle nie istniał, cała zaś władza spoczywała w ręku kilku ludzi, z których pięciu zaledwie można było dokładnie zidentyfikować. Byli to: Pol Pot, Ieng Sary, Khieu Sampan, Hu Nim oraz późniejszy (i obecny) przedstawiciel Pol Pota w Narodach Zjednoczonych, Thiounn Prathith. A także dwie żony — Pol Pota i Ieng Sary'ego — Chinki.

Już więc w bardzo wczesnym okresie można było zauważyć daleko posunięte analogie z doświadczeniami chińskimi: uznanie chłopów za podstawową siłę rewolucji, na tyle jednak nieuświadomioną i pozbawioną rozeznania we własnych interesach, że musi mieć charakter instrumentalny; półwojskowa, całkowicie antydemokratyczna struktura władzy wewnątrz partii; odrzucenie wszelkich dotychczasowych form ustrojowych, wypracowanych zarówno przez europejskie demokracje mieszczańskie, jak i przez ruch robotniczy z leninizmem włącznie; konspiracyjny sposób doboru kadr, w czym z pewnością przejawia się pogłos typowych dla Azji tajnych stowarzyszeń mafijnych lub gangsterskich; posunięta do maksimum anonimowość kadr kierowniczych i autentyczny kolektywizm w podejmowaniu decyzji. To ostatnie w zestawieniu z praktykami Mao może się wydawać zaskakujące, jednak walki wewnętrzne w KPCh rozgrywały się na ogół między frakcjami, bardzo rzadko między poszczególnymi politykami. Kult Mao był w końcowym okresie raczej mitem na użytek mas, wygodnym i powszechnie zrozumiałym substytutem religii, wreszcie i hasłem rozpoznawczym dla zwolenników ultraradykalizmu, nie był jednak rzeczywistą formułą sprawowania władzy, któ-

ra na ogół bywała względnie lub bezwzględnie kolektywna, zwłaszcza w sprawach polityki zagranicznej.

✓ Podobnie i Pol Pota w żaden sposób nie można uznać za obłąkanego autokratę lub operetkowego tyrańca z rodzaju tych, którzy w tych stronach regularnie pojawiają się co pewien czas na scenie politycznej.

Był z pewnością owładnięty fanatyczną monomanią, nie dopuszczał najmniejszej opozycji wobec swej całościowej doktryny i bez chwili wahania wydał rozkaz, aby zamordowano jego najbliższego przyjaciela i głównego ideologa reżimu, Hu Nima, kiedy wyszło na jaw, że ten znalazł się w opozycji.

Półowa lat sześćdziesiątych musiała być dla Pol Pota okresem gorzkich rozczarowań. Rozwarstwienie wsi, coraz bardziej agresywna i antykomunistyczna postawa bogatego mieszczaństwa, pauperyzacja półproletariatu i polaryzacja wewnątrz legalnych partii politycznych przysparzały Czerwonym Khmerom zwolenników.

Dopiero 17 czerwca 1966 roku, kiedy na uniwersytecie pekińskim wywieszono pierwsze *ta-cy-pao*, a „rewolucja kulturalna” stała się faktem politycznym, sytuacja Pol Pota i jego ludzi uległa radykalnej zmianie. Wprawdzie rzecznicy „rewolucyjnej linii Przewodniczącego Mao” występowali już od pewnego czasu z poglądami bliskimi ideom Pol Pota, lecz przez prawie dwa lata, poczynając od pierwszych artykułów Lin Piao, był to tylko jeden z możliwych nurtów rewolucji chińskiej, ostro zresztą zwalczany przez osoby kroczące drogą kapitalistyczną, to znaczy takich „notorycznych rewizjonistów”, jak Liu Szao-ci, Peng Teh-huai czy Czen I. Teraz „godzina zero” zyskała rangę polityki państwowej i zwyciężyła na całej linii. Jednocześnie interwencja amerykańska przybrała takie rozmiary, że Półwysep Indochiński stał się nagle najbardziej zapalnym punktem na świecie, dystansując Bliski Wschód i basen Morza Karaibskiego.

Tylko ten szczególny zbieg okoliczności wyniósł grupę Pol Pota do władzy; gdyby nie on, ludzie ci na pewno zginęliby bez wieści w jakichś nieznanych więzieniach lub w dżungli.

18 marca 1970 roku dokonano w Phnom Penh zbrojnego zamachu stanu, przygotowanego i opłaconego w całości przez Centralną Agencję Wywiadowczą Stanów Zjednoczonych. Niejaki Czang Heng, figura tak nędzna, że nigdy o niej nie słyszeli nawet amerykańscy dziennikarze akredytowani w Phnom Penh, mianował się tymczasowym prezydentem, wkrótce jednak pozbyto się uciążliwych pozorów i pełnię władzy objął generał Lon Nol. Szybko mianował się marszałkiem i ogłosił bezterminowe zawieszenie wszelkich praw politycznych w kraju. Lon Nol był tuzinkowym amerykańskim najemnikiem i niczym więcej; nie miał za sobą nawet patriotycznej części korpusu oficerskiego ani poparcia średniej burżuazji narodowej. Sihanouk został najpierw pozbawiony władzy, następnie zdetronizowany; w ciągu kilku tygodni zapełniły się więzienia i obozy karne. Kambodża przestała być krajem neutralnym. Za zgodą Lon Nola lotnictwo amerykańskie podjęło codzienne, niezmiernie intensywne bombardowania pasa pogranicznego, aby przeciąć „raz na zawsze” szlak Ho Szi Minha.

Sytuacja międzynarodowa zaostrzyła się do tego stopnia, że kraje socjalistyczne zdwoiły, a następnie potroiły swą pomoc dla Wietnamu. Ścisłe biorąc, chodziło głównie o dostawy radzieckiego uzbrojenia i, w dużo mniejszej skali, dostawy chińskiej amunicji. W tej sytuacji Wietnam, po raz pierwszy dysponujący liczniejszym i nieco nowocześniejszym uzbrojeniem, mógł wreszcie udzielić pewnej pomocy partyzantce khmerskiej, tym bardziej że Czerwoni Khmerowie kontrolowali już na pograniczu kilka stref wyzwolonych, gdzie armia Lon Nola bała się zaglądać. Chodziło o rozszerzenie tych stref i ewentualne związanie wojsk amerykańskich również w Kambodży.

Pol Pot uzyskał w ciągu jednego roku pozycję nie kwestionowanego przywódcy rewolucyjnego. Partia, którą kierował, została uznana przez prawie wszystkie partie komunistyczne i robotnicze za jedyną reprezentantkę walczącego narodu khmerskiego.

Również i w tych latach trudno się dopatrzeć w postępowaniu Pol Pota znamion przyszłego szaleństwa. Trzykrotnie w ciągu 1971 roku przebywał w Hanoi i za każdym razem dziękował narodowi wietnamskiemu i jego partii za braterską pomoc. Ieng Sary czynił to jeszcze częściej i w sposób bardziej elokwentny. W Moskwie Pol Pot powoływał się na *nieśmiertelne nauki marksizmu-leninizmu*. Podczas wizyty w Pekinie zdeklarował się wprawdzie z uwielbieniem dla Przewodniczącego Mao, jednakże w jego publicznie wygłoszonym przemówieniu nie ma ani słowa, które można by było odczytać jako atak na ZSRR i europejskie kraje socjalistyczne.

Następna wizyta Pol Pota w Pekinie trwała aż trzy tygodnie. Można przypuszczać, że właśnie wtedy, w połowie 1972 roku, jego poglądy ukształtowały się ostatecznie. Nie wiadomo, czy jego kilkakrotne rozmowy z Kang Szengiem dotyczyły czegoś więcej niż wymiany informacji wywiadowczych. Jest zupełnie pewne, że właśnie wtedy, między rokiem 1971 i 1973, grupa Pol Pota definitywnie postanowiła przeprowadzić rewolucję kambodżańską według wzorów chińskiej „rewolucji kulturalnej”.

Są na to dowody. Właśnie w tym okresie na obszarze stref wyzwolonych dokonano pierwszych egzekucji bogatych chłopów, czego Pol Pot przedtem unikał, utworzono komuny wzorowane na najbardziej ekstremalnych przykładach komun chińskich, dokonano pierwszej czystki wśród kadry Czerwonych Khmerów i zaczęto wśród odnowionej kadry rozpowszechniać hasło rzucone przez Lin Piao i podjęte latem 1966 roku przez hunwejbiniów: najpierw trzeba zburzyć, aby zacząć budować od nowa.

Nie wojskowo-agenturalna zależność od Chin, nie maoizm z lat trzydziestych i czterdziestych, nie chłodne rachuby na pozyskanie przychylności i pomocy potężnego kraju, lecz bezgraniczne utożsamienie się z filozofią „rewolucji kulturalnej” w jej najskrajniejszych formach stało się punktem wyjścia wszelkich działań Angkaru od dnia zdobycia władzy w Kambodży.

CXXV. *Quod erat demonstrandum.* W tym miejscu można by zakończyć wszelkie rozważania.

CXXVI. O „Wielkiej Proletariackiej Rewolucji Kulturalnej” przyjęło się mówić ze zgrozą, i słusznie, ponieważ przyczyniła Chinom nieopisanych szkód. Jej przebieg był w wielu wypadkach niegodny cywilizowanego narodu i obfitował w absurdy, których nie sposób wyjaśnić żadną chińską specyfiką. Sześcioletni prawie okres amoku doprowadził do generalnego regresu we wszystkich dziedzinach. Ocenę tę podziela dziś nawet kierownictwo chińskie.

Wcale jednak nie są tak znów odległe czasy, kiedy o tej samej „rewolucji kulturalnej” mówiono na świecie bardzo dobrze, i to nie tylko w Chinach. Trudno już dziś odtworzyć ten stan głębokiego zauroczenia, jaki owładnął tysiącami, a może setkami tysięcy młodych ludzi na Zachodzie w związku z „rewolucją kulturalną”. Ów nagły długotrwały popyt na Czerwoną Książeczkę; oryginalne chińskie plakietki z podobizną Przewodniczącego Mao obnoszone w Hamburgu, Padwie i Tuluzie; spontaniczne grupy, jakie się zawiązywały na uniwersytetach amerykańskich i zachodnio-niemieckich w celu studiowania maoizmu; oszałamiające hasła, zapożyczone wprost od hunwejbiniów, płynące nad rozgorączkowanym tłumem podczas francuskich zająć majowych 1968 roku. Istniały wówczas rządy w krajach Czarnej Afryki, które w pismach Prze-

wodniczącego Mao odkryły nagle receptę na swe własne kłopoty; filozofowie, którzy dopisali do artykułów Lin Piao kilometry uczonych komentarzy; przywódcy ruchów młodzieżowych, którzy z ulgą znaleźli zestaw hasel, za które warto obrywać od policji. Jest oczywiste, że zarówno „długie, gorące lato” rozruchów murzyńskich w USA, jak i pierwsza wielka fala terroryzmu na Zachodzie wiązały się genetycznie z psychologiczną warstwą chińskiej „rewolucji kulturalnej”.

Było w tym na pewno sporo przejściowej mody, młodzieńczej przekory i buntu dla buntu. Ale w ówczesnych triumfach „późnego maoizmu” tkwiło na pewno coś więcej niż moda. „Rewolucja kulturalna” oglądana ze sporej odległości i znana tylko z doniesień prasowych, nie mogła być rzeczą obojętną dla nikogo, kto zachował w sobie młodzieńczą potrzebę braterstwa i sprawiedliwości lub przynajmniej zdawał sobie sprawę, że kapitalistyczne propozycje sensu życia zostały skompromitowane.

To wszystko, co świat ówczesny proponował młodym ludziom na resztę życia, było przede wszystkim nudne; w ostatecznym rachunku nawet europejska wersja komunizmu, przynajmniej w potocznym rozumieniu, sprowadza się do tego, że po zdobyciu władzy trzeba sumiennie pracować, skrzętnie gromadzić i dbać o zachowanie cnót obywatelskich oraz osobistych. Tymczasem „rewolucja kulturalna” obiecywała wieczną, nie kończącą się nigdy przygodę, zapraszała do burzenia i oczyszczania pola, odrzucała dotychczasowe pojęcia zła i dobra. Jeżeli studenci chińscy potrafili obalić strupieszwały system nauczania — dlaczego to samo nie miałyby się powieść studentom francuskim lub amerykańskim? Jeżeli największy kraj świata potrafił zaprowadzić u siebie, jak sądzono, szlachetny i dosłowny egalitaryzm — dlaczego właściwie należałoby tolerować bezkarną pychę burżujów w Chicago czy Amsterdamie? „Uczenie się od Chińczyków” było samo przez

się niezwykle znamiennym faktem w dziejach psychologii społecznej; dwa czy tym bardziej trzy pokolenia wstecz uznawano za rzecz równie oczywistą, że to „zółtych” i „dzikich” należy uczyć.

Tak rozległa fascynacja przykładem chińskim zrodziła się przede wszystkim z tkwiącej w każdym pokoleniu potrzeby czystego i jasnego mitu. Z tęsknoty za utopią, bez której ludzkie serca obrastają tłuszczem, a mózgi kamienieją.

Nie było w tych tęsknotach niczego, co samo przez się mogłoby budzić sprzeciw moralny lub intelektualny. Opluwanie dyplomatów zagranicznych, spaloną ambasadę brytyjską w Pekinie, rozbijanie starych posągów — to wszystko można było spokojnie uznać za mało istotny margines, nieunikniony przy każdym wielkim ruchu rewolucyjnym. Moment, w którym młody człowiek wyzbywa się obowiązującej optyki społecznej i spogląda na świat z punktu widzenia pariasów — jest zarazem momentem przyjęcia nowego systemu wartości. To się już zdarzało wiele razy w przeszłości i na pewno zdarzy się jeszcze nie raz.

CXXVII. Szwedzki dziennikarz Hans Granqvist opisuje w swej książce *The Red Guard* pierwszy dzień „rewolucji kulturalnej” w Szanghaju.

23 sierpnia o świcie główna ulica miasta, która za czasów koncesji nosiła nazwę Nanking Road, a tego dnia została przemianowana na aleję Antyimperialistyczną, wypełniła się dziesiątkami tysięcy ludzi, wśród których najstarsi mieli po dwadzieścia kilka lat. Nieśli mnóstwo czerwonych szturmówek, portretów Przewodniczącego i transparentów, wśród których najczęściej pojawiał się napis: „Jesteśmy krytykami starego świata i budowniczymi nowego!”

Hunwejbini wtargnęli najpierw do dwóch domów towarowych, stanowiących nadal częściowo własność prywatnych kapitalistów i sprzedających kosztowne

towary, importowane z Hong Kongu. Wyrzucono towary na ziemię, porozbijano sprzęt radiofoniczny, potłuczono porcelanę. Na ścianie domu towarowego Wing On wywieszono plakat następującej treści:

„Dopóki kapitalistyczny Wing On znajduje się wśród nas, dopóty robotnicy nie będą mieli wystarczającej ilości metalu, aby pokonać góry i rzeki. Ten dom towarowy musi natychmiast przejść na własność ludu. Od dziś jego nazwa zostaje zmieniona na Hung Wei — Czerwona Gwardia.”

Z prywatnych i spółdzielczych sklepów wzdłuż alei Antyimperialistycznej zerwano wszystkie szyldy, reklamy i napisy, zastępując je plakietkami z napisem: „Niech żyje Przewodniczący Mao!” Ze szczególną furją zaatakowano sklepy z kosmetykami i skórzanym obuwiem; wyrzucono towary na ulicę, w kilku wypadkach nawet podpalono. Przed którymś ze sklepów, sprzedających skórzane obuwie, wywieszono naprędce zredagowany plakat, potępiający sam fakt noszenia butów ze skóry. Zniszczono eleganckie zakłady fryzjerskie. Zaczęto zatrzymywać na ulicy osoby odziane w tak zwane „ubrania z Hong Kongu”, czyli odzież zachodniego kroju, i zdzierać lub niszczyć ten dowód ulegania wpływom kapitalistycznym. Po każdym kolejnym zwycięstwie nad przeżytkami kapitalizmu rozległy się przejmujące dźwięki piszczałek i walenie w bębny.

W nocy zamknięto wszystkie bez wyjątku kościoły katolickie i protestanckie, pagody buddyjskie, świątynie konfucjańskie. Część pomieszczeń świątynnych zdemolowano, naczynia liturgiczne zostały powyrzucane na ulice, posągom Buddy rozbijano brzuchy i głowy. Zrzucano z postumentów brązowe lwy, strzegące niegdyś wielkich banków i zagranicznych korporacji, usunięto napisy w alfabecie łacińskim, a słynny kurant na wieży urzędu celnego, stanowiący od sześćdziesięciu lat charakterystyczny znak rozpoznawczy Szanghaju, został też postawiony w służbę „rewolucji kultural-

nej": znaleziono mechanika, który przestroił delikatne dzwoneczki kuranta tak, aby z wieży rozlegała się odtąd pieśń bojowa hunwejbinów *Wschód jest czerwony*.

Utworzono specjalne czołówki, złożone głównie ze studentów, które zajęły się wyszukiwaniem i niszczeniem książek. Co prawda nie wszystkich: gniewem Czerwonej Gwardii zostały objęte albo dzieła przedrewolucyjne, nie wyłączając najstarszych zabytków sztuki drukarskiej, albo książki wydane już po roku 1949, lecz pochodzące spod pióra osób wciągniętych potem na czarną listę. Spalono prawie wszystkie egzemplarze książki Liu Szao-ci *Jak stać się dobrym komunistą*, która przez ówierćwiecze uchodziła za jedno z najoryginalniejszych i najważniejszych dzieł teoretycznych chińskiego ruchu rewolucyjnego. Spalono wielotomowe dzieła czołowego poety chińskiego Kuo Mo-żo, który zresztą sam się tego domagał.

Czerwona Gwardia opanowała miasto w ciągu 48 godzin. Ludność miasta wynosiła około dziesięciu milionów; liczebność oddziałów szturmowych Czerwonej Gwardii, według bardzo starannych ocen korespondentów zagranicznych, nie mogła przekraczać stu tysięcy osób, licząc w tym i dzieci, które ciągnęły uszczęśliwione za kolumnami hunwejbinów, rozniecały ogniska i tłukły lustra. Na domiar wszystkiego ruch szanghajskich hunwejbinów, opóźniony o cały miesiąc w stosunku do wielkich miast Północy, wcale nie miał za sobą poparcia miejscowych władz partyjnych ani lokalnego garnizonu wojskowego.

A jednak „rewolucja kulturalna” w Szanghaju została uwieńczona całkowitym sukcesem. Wnioski, jakie z tego musiał wyciągnąć Pol Pot, były wystarczająco wymowne.

CXXVIII. Uderzająca jest zbieżność tego opisu z relacjami o pierwszym dniu panowania Czerwonych

Khmerów w Phnom Penh. Bardzo podobne lub identyczne motywy walki z przeżytkami kapitalizmu; gniew ludu skierowany na buty, kosmetyki, aparaturę elektroniczną, luksusową odzież; przemoc fizyczna wobec osób *kroczących drogą kapitalistyczną*, i to bez jakiegokolwiek procedury sądowej lub choćby zbliżonej do sądu; bezbrzeżna wrogość wobec wszystkiego, co importowane, obce, narzucone, nie znane prostemu ludowi; determinacja w niszczeniu dóbr starej, a więc skazanej kultury; niszczycielski szal o charakterze odkupienia, ponieważ od pierwszej chwili istniała wśród hunwejbiniów świadomość, że niszczy się po to, aby potem budować. I wreszcie najdosłowniejsza, jednorodna, pozbawiona zewnętrznych zahamowań, dyktatura beztwarzowego tłumu. Tłumu, który nie dopuszcza się rabunków; którego okrutny gniew jest czysty jak ogień, ponieważ nikt w nim nie zamierza poprawić tylko swej własnej, jednostkowej doli, a każdy dąży do powszechnego szczęścia i powszechnej równości. Taki tłum nie jest motłochem, którego marzeniem jest plądrowanie pięknych sklepów, ani pijaną, nikczemną hołotą, która nie raz już potrafiła zawrócić na wiele lat rzekę dziejów. Taki tłum, jeśli się nim rozumnie manipuluje i w porę podsunie mu odpowiednie hasła, może się wydać na chwilę prawdziwym głosem ludu. Głos ludu nigdy się nie rozlega w tak gwałtowny sposób, jeśli nie istnieją ku temu powody.

Zbieżność wydarzeń chińskich i kambodżańskich jest posunięta tak daleko, że można mówić o identyczności. Z tą jedną różnicą, że chińska „rewolucja kulturalna” załamała się w połowie drogi, podczas gdy w Kambodży doprowadzono ją do logicznego końca.

Droga od zakwestionowania uchwał XX Zjazdu KPZR do polityki, która się kończy eksterminacją, jest w gruncie rzeczy bardzo krótka. I nie jest akurat najważniejsze, gdzie się to wszystko dzieje.

Historyczna szansa Pol Poty polegała na tym, że na skutek zupełnie wyjątkowego zbiegu okoliczności do-

stał do ręki cały naród i przeprowadził na nim eksperyment społeczny na skalę nie mającą precedensów. Nikomu, nigdy i nigdzie jeszcze, przynajmniej w epoce nowożytnej, nie powiodło się to aż do takiego stopnia, z różnych powodów natury wewnętrznej i zewnętrznej. Jednak przesłanki identycznego rozumowania pojawiały się już kilkakrotnie w przeszłości, i to nawet niezbyt dawnej, ponieważ każde „ostateczne rozwiązanie” jest dużo bardziej pociągające niż powolna jazda na oślim grzbiecie historii. Nic nie wskazuje, żeby przesłanki takiego rozumowania porzucono już raz na zawsze.

Za pięćdziesiąt lat nikt nie będzie pamiętał o czasach z Prey Veng. Skala wydarzeń kambodżańskich zmaleje już wkrótce — albo w porównaniu z wydarzeniami minionymi, które mają lepszych kronikarzy i większy rozgłos, albo w porównaniu z wydarzeniami, które jeszcze nastąpią, a tych nikt przecież przewidzieć nie może. Dlatego *Greuelgeschichte* są ważne, gdyż wyręczają zawodowych historyków w zapisie chwili, której żaden z nich już nigdy więcej nie przeżyje. Są jednak rzeczy ważniejsze. Na przykład pytanie, dość istotne, czy Kambodża może się powtórzyć jeszcze raz.

CXXIX. „Cechą charakterystyczną przywileju i każdej w ogóle uprzywilejowanej sytuacji jest niszczenie serc i umysłów ludzkich. Człowiek uprzywilejowany politycznie lub ekonomicznie jest człowiekiem znieważonym intelektualnie i moralnie. Jest to prawo społeczne, od którego nie ma żadnych wyjątków, odnoszące się do całych narodów, do klas i grup społecznych, a także do wszystkich jednostek. Jest to prawo równości, najwyższy warunek wolności i człowieczeństwa.” (Michał Bakunin, *Imperium knuto-germańskie i rewolucja socjalna*, cytat z przekładu angielskiego.)

CXXX. Doktryna „rewolucji kulturalnej”, przynajmniej w wersji eksportowej, zawierała w sobie cztery ważne, choć rzadziej omawiane elementy, bez których zrozumienia nie można wytłumaczyć tak rozległej fascynacji i takiej masy książek, jakie poświęcono w dziesiątkach krajów temu dość w końcu krótkotrwałemu i wstydliwemu epizodowi chińskiej historii.

Po pierwsze, uznano, że była logicznym ciągiem dalszym *chińskiej drogi*, odpowiedzią na pesymistyczną bezradność wobec azjatyckiej rzeczywistości. Odradzała jak gdyby nadzieje, jakie ogarnęły młode pokolenie lewicy w latach pięćdziesiątych, a potem rozplynęły się jakoś pod naporem faktów i wątpliwości. Wracała, jak sądzono, do źródeł, do prostych i czystych prawd Wielkiego Marszu, przypominała, że nie ma takiej nędzy i takiej krzywdy, których nie można by było zredukować w krótkim czasie, a pokonać w ciągu lat kilkunastu. Chiny znów przedstawiały się światu jako kraj *inny*, kierujący się hasłami łatwo zrozumiałymi w Azji, przy tym konsekwentny, wolny od posądzeń o imperialne lub oportunistyczne machinacje, w jakiś sposób nieustraszony i godny podziwu. Odprężenie, polepszenie stosunków Wschód-Zachód, porozumienia nuklearne — to wszystko tylko w Europie wydaje się tak potrzebne i oczywiste. Dla wielu Azjatów, i to niekoniecznie lewicujących, te same pojęcia oznaczają często coś zupełnie innego. Sprzeciwiając się „spiskowi supermocarstw” Chiny mogły w tych latach liczyć na spory oddźwięk, wykraczający w wielu wypadkach poza Azję. Cały ów sztafaż, niekiedy rozśmieszający, jak tysiąc „poważnych ostrzeżeń” pod adresem Stanów Zjednoczonych, niekiedy poetycki, jak metafory Przewodniczącego o „wschodnim wietrze”, niekiedy zdumiewający, jak pojęcie „papierowego tygrysa” włączone do zasad polityki państwowej — to wszystko odrodziło jak gdyby mit chiński pierwszego dziesięciolecia.

Po wtóre, „rewolucja kulturalna” ponownie prokla-

mowała bezwzględną równość, pojmowaną dosłownie i bez żadnych wyjątków — począwszy od identycznych półwojskowych kurtek, poprzez równe przydziały żywności i deficytowych tekstyliów, aż po równe prawa każdego szeregowca i każdego marszałka. Dopiero po latach miało się okazać, że sama „cesarzowa Czang Cing” nie grzeszyła ascezą, a część średniej kadry KPCh, nawet tej, która poparła nowe idee Przewodniczącego, korzystała nadal z przywilejów, o których czerwonogwardziści nie wiedzieli wówczas nic lub prawie nic. Wyszło to jednak na jaw dopiero znacznie później. W swej początkowej fazie „rewolucja kulturalna” postawiła hasło pełnego egalitaryzmu na najważniejszym miejscu programu.

Jest to hasło niepodważalne z moralnego punktu widzenia, jeśli się już raz przyjmie ową odmienną optykę, o której była tu mowa. Jest to hasło nieodmiennie pociągające dla najwartościowszej części młodego pokolenia w krajach bardzo biednych lub bardzo bogatych, gdyż w pierwszych wysepki bogactwa, a w drugich wysepki biedy jednakowo zwracają na siebie uwagę.

Bezwzględna równość jest ponadto pojęciem wyjściowym dla znacznie rozleglejszych spostrzeżeń. Uzmysławia, że człowiek, jeśli go pozostawić sobie samemu, niemal natychmiast zaczyna obrastać przedmiotami, rozwija w sobie instynkt posiadania i podświadomie dąży do tysiąca nierówności, które wkrótce obracają się przeciw jego własnym interesom i temuż instynktowi posiadania. Wieczna tragikomedie drobnomieszczan i nienasycalność ich pragnień jest znana od dawna naukom społecznym i literaturze. Bakunin zauważył to już sto lat temu, rozpaczał nad tą cechą Durkheim polemizując z Saint-Simonem, próbowali znaleźć wyjście wszyscy właściwie myśliciele wczesnego okresu radykalnej myśli społecznej, od Sorela po Labriolę, od Spencera po Maxa Stirnera. W gruncie rzeczy cały ten spór można by sprowadzić do dwóch tylko formuł:

pierwsza twierdzi, że trzeba najpierw zburzyć, aby budować na nowo, druga utrzymuje, że należy przejąć i budować dalej, na skorygowanych zasadach. Odnosi się to zarówno do rzeczy materialnych, jak i niematerialnych, czyli również do norm, praw, tradycji i form życia społecznego. Spór ten na dobrą sprawę nie wygaś nigdy, a bieg historii przydaje mu coraz to nowych wymiarów.

W pismach Mao Ce-tunga, nie mówiąc już o prymitywnych wywodach Lin Piao, nie ma żadnych odniesień do dziejów tego nurtu myśli europejskiej. W tej akurat kwestii jest to jednak mało istotne. Do rozstrzygnięcia dylematu równość-nierówność masom wystarczy niekiedy jedno zwięzłe hasło oraz własny instynkt, o którego naturze i następstwach nie powinien się wypowiadać nikt, kto go nie zna.

Po trzecie, hasła „rewolucji kulturalnej” uderzały w jeden z najbardziej zastarzałych, niemal nieprzezwycięzalnych fundamentów etosu obyczajowego Azji: we wszechwładzę starców. Kult wieku dojrzałego, a już zwłaszcza sędziwej starości, jest tu zjawiskiem, które w Europie nie miało odpowiedników nawet w dobie pełnego patriarchy. Każda sklerotyczna brednia automatycznie nabiera cech mądrości i nakazu moralnego, jeśli pochodzi z ust starca; niezmienność, trwanie i utrzymywanie ciągłości są równoznaczne z jedynym porządkiem moralnym. Bezwzględne posłuszeństwo wobec starszych wiekiem, rozciągające się nawet na starsze rodzeństwo, jest miarą wartości człowieka.

Teraz młodzi, gniewni, zbuntowani mogli wreszcie mieć rację. Mogli dać upust swemu buntowi przeciw nieprawościom świata i własnego kraju, bezkarnie wytknąć starcom odejście od ideałów rewolucji oraz nieprzeliczone kompromisy. Więcej: to właśnie oni, młodzi i pozbawieni klamotów, mieli stać się siłą przekształcającą świat. O znaczeniu tej siły, w której sam fakt biologicznej młodości jest ważniejszy niż wykształcenie, charakter, doświadczenie lub pogląd na

dalszy bieg dziejów, wiedział chyba najlepiej hitlerowski Reichsjugendleiter, Baldur von Schirach. Jego przemówienia z końca lat trzydziestych, zebrane w tomie *Rewolucja wychowania*, są nieprześcignionym do tej pory przykładem mitologicznego kultu młodości. Von Schirach wydawał nawet specjalne pismo „Wola i moc”, określane w podtytule jako „pismo bez strachu”; motto informowało, że w tym piśmie „dochodzą do głosu twórcze siły młodości”.

Tak nieograniczone odwołanie się do bezprzymiotnikowej młodości musi być wszędzie, lecz szczególnie w Azji, krokiem o nieobliczalnych konsekwencjach. Ci, którzy ten krok podjęli, musieli dobrze wiedzieć, że młode morze pochłonie dużo więcej wysp niż to wynikało z zamierzeń. Ale krok taki nie mógł nie zapewnić tym ludziom spontanicznego poparcia czy nawet, na krótką metę, daleko posuniętego utożsamienia się z ideami „rewolucji kulturalnej”, również i w takich krajach, gdzie kult starców nie był najuciążliwszym problemem.

Po czwarte wreszcie — i to było najważniejsze — „rewolucja kulturalna” zdawała się zapowiadać trwałe rozwiązanie dylematu, z którym od czterech pokoleń nie mogli się uporać myśliciele lewicy: dylematu władzy. Miała odtąd pochodzić bezpośrednio z nadania ludu, bez „oszustwa parlamentaryzmu”, a zarazem wyzbyć się wszelkich atrybutów personalnej ciągłości, oczywiście z wyjątkiem Przewodniczącego. Wieczny i czujny nadzór rewolucyjnego ludu miał ustrzec władzę przed urzędniczeniem, osiadaniem, nepotyzmem, korupcją, brakiem wyobraźni. Żadne zasługi nie miały być odtąd immunitetem, żaden szczebel władzy nie miał być już więcej wolny od pytań zadawanych bezpośrednio przez lud, z pominięciem wszystkich mechanizmów wytworzonych przez minione lata.

Istnieje pogląd, wypowiediany zresztą wyłącznie przez zachodnioeuropejskich znawców problemu, że Mao nie miał inego wyjścia i musiał uruchomić tę

straszliwą siłę niszczącą, aby rozbić zaskorupiałe struktury władzy terenowej, przywołać do porządku nowych mandarynów, porośniętych już sadłem. Więcej: „rewolucja kulturalna” miała być zjawiskiem trwałym, właściwie wiecznym, a w każdym razie powtarzającym się okresowo, aby nigdy więcej nie doszło już do żadnej instytucjonalizacji i żadnego rozziwienia między wolą ludu i strukturami władzy.

Ten punkt widzenia musiał porwać wyobraźnię trockistów, którzy od półwiecza głoszą potrzebę „permanentnej rewolucji” i pomstują na samo istnienie socjalistycznego państwa. I anarchistów, wśród których nie wszyscy przecież mają mentalność atamana Machno.

„Rewolucja kulturalna” — tak jak ją odczytano na Zachodzie — była pierwszą od wielu lat pozornie nową propozycją ideologiczną, intelektualną i moralną. Łączyła w sobie pierwiastki wszystkich większych i mniejszych herezji ostatniego półwiecza, nobilitowała dalekie marginesy radykalnych nurtów rewolucyjnych, które to marginesy dawno już określono ze zniecierpliwieniem jako nieziszczalną utopię albo i dużo gorzej. Pozwalała rozpatrzeć na nowo genezę wszystkich obiegowych pojęć, powrócić do źródeł, postawić odwieczne pytania o granice ładu społecznego i pozycję jednostki w wiecznym strumieniu dziejów. O kształt utopii społecznej, bez której życie narodu staje się piekłem.

CXXXI. Te odniesienia do Zachodu nie są dygresją. Stanowią integralną część ciągu myślowego, bez którego nie można pojąć wydarzeń w Kambodży.

Jeśli dokładnie przypatrzeć się samej istocie poczynań Pol Pota, można dojść do zaskakującego wniosku, że ideologia Angkaru była w o wiele większym stopniu produktem zachodnioeuropejskiej wersji maoizmu niż produktem ściśle azjatyckim. Mniej więcej tak samo mogłoby wyglądać państwo Czerwonych Brygad

we Włoszech, grupy Baader-Meinhof w RFN czy najskrajniejszych odmian partyzantki miejskiej w Ameryce Łacińskiej. To znaczy nie państwo, bo na słowie tym ciąży anatema wyznawców „godziny zero”, lecz jakaś trudna do nazwania forma życia społecznego. Ludzie ci nigdy nie przedstawili swego programu pozytywnego, poza garścią jałowych ogólników, lecz trudno ich przecież wszystkich bez wyjątku uznawać za patologicznych morderców lub ofiary klinicznej antropofobii w rodzaju Mansona. Ich konkluzje są na pewno irracjonalne, lecz racjonalność wyjściowych przesłanek ich rozumowania trudno doprawdy zakwestionować, jeśli się na Zachodzie widuje coś więcej niż sklepy na via Nazionale i czytuje coś więcej niż bulwarowe popołudniówki.

Dokładnie to samo można powiedzieć o grupie Pol Pota. Niemal wszystkie wyjściowe przesłanki dadzą się zracjonalizować; wnioski wprawiają w osłupienie. Dlatego cała ta sprawa jest znacznie bardziej złożona, niż mogłaby być, gdybyśmy mieli do czynienia po prostu z przypadkiem azjatyckiego amoku.

Jeżeli rzeczywiście istnieją jakieś odmienności w psychice „azjatyckiej” i „europejskiej” — choć posługiwanie się takimi pojęciami zawsze graniczy z szarlatanerią — to najwyraźniej pojawiają się one w tym momencie, który dzieli podjęcie decyzji od stworzenia pierwszych konkretnych faktów.

Europejczycy (tym samym również Amerykanie) starają się maksymalnie skrócić odcinek czasu między osiągnięciem decyzji i podjęciem działania. W Azji odcinek ten bywa często nieskończenie długi. Europa i Ameryka to *community of doers*, społeczność działająca, mniej lub bardziej sprawna, a jeśli nawet nie dość sprawna, to w każdym razie w pełni świadoma tej niesprawności. Azja dzisiejsza to czas przepływający przez palce, ociężałość wszelkiej materii, odwlekane i przeciąganie. Nikt nie zliczy najślusniejszych uchwał, uzdrawiających reform i ambitnych planów, których

nigdy nie wprowadzono tu w życie, i to nie z przyczyn zasadniczych, lecz dlatego, że się jakoś rozlażyły nie wiadomo gdzie lub ugrzęzły w powszechnej niemożności. Ciśnienie Azji spowolnia i hamuje właściwie wszystko, przygasza barwy słów, rozmywa śmiałość myśli. Zabójczy klimat ma w tym na pewno swój znaczny udział, tradycja również, ale jest w tym coś więcej jeszcze, coś trudnego do nazwania, lecz wyczuwalnego w każdym kraju z osobna. Wpływ wielkich wierzeń i filozofii azjatyckich, które o wiele wcześniej wzięły pod uwagę istnienie wieczności niż narody późniejszej kultury śródziemnomorskiej? Przyrodnicze prawo minimalizacji wysiłków wobec ich oczywistej bezcelowości? Skumulowana mądrość pokoleń, która poucza, że ludzkie nadzieje bardzo rzadko urzeczywistniają się w formie zbliżonej do ideału?

W jakiejś mierze odnosiło się to również do azjatyckich rewolucji. Momenty zrywów szybko ustępowały tu przed okresami stagnacji i powolnych przemian; niecierpliwść, tak charakterystyczna dla trwałego stanu umysłów w Europie i Ameryce Północnej, wyładowywała się w krótkim błysku, a potem zamieniała się w niespieszną krzątaninę. To był właśnie ów inercyjny, przyprawiający o rozpacz opór historii, zwalczany przez grupę Pol Pot'a w publicystyce lat pięćdziesiątych. Pol Pot wojował z tą azjatycką inercją od samego początku swej działalności, jako jedyny chyba wśród azjatyckich rzeźników radykalizmu, ponieważ ani w pismach Mao, ani w indonezyjskiej lub wietnamskiej publicystyce partyjnej, ani w przemówieniach Kim Ir Sena, ani w zanotowanych wypowiedziach Suche Batora nie można odnaleźć wezwań do pośpiechu lub ostrzeżeń, że czas nagli.

Idee ekstremalnego radykalizmu są porywające dla tych, którzy mają powody, aby je podzielać, nie mogą jednak zbyt długo pozostawać w sferze abstrakcji. Po pewnym czasie zaczynają tracić swą wysoką tempera-

ture i zamieniają się w kwaśną, mialką zrzedliwość lub stan zgorzkniałej negacji, graniczącej z paranoją. Po prostu przychodzi taki moment, kiedy albo trzeba przystąpić do montowania bomb i wystawiania czujek podczas zamachu, albo rozstać się z nie spełnioną wizją i podjąć jakieś zajęcie od ósmej do szóstej, z przerwą na lunch. Nuda nie da się pogodzić z psychologią rewolucji; działanie jest jedynym sprawdzianem radykalizmu. Ale są to zdania prawdziwe tylko w Europie i jej zamorskich odnogach. Azjaci w zasadzie nie znają pojęcia nudy. W większości języków azjatyckich nie ma nawet słowa, którym można by ją wyrazić.

W tym sensie ludzie Angkaru byli typowym produktem europejskich niepokojów, niecierpliwości, woli szybkiego i skutecznego działania. Zbyt wiele lat mieszkali we Francji i zbyt głęboko przesiąknęli kartezjańsko-pragmatycznym trybem myślenia.

W tej bardzo szerokiej perspektywie zacierają się różnice między zajściami studenckimi w Berlinie Zachodnim i zdobyciem Szanghaju przez Czerwoną Gwardię; między zabójstwem Aldo Moro i wymordowaniem *krou sangkriech* w Kambodży; między porwaniem Carla von Spretti i spaleniem ambasady brytyjskiej w Pekinie czy wysadzeniem w powietrze katedry katolickiej w Phnom Penh. Wszystkie te niepojęte, nieprawdopodobne wydarzenia schyłku lat sześćdziesiątych, wraz z ich spóźnionymi modyfikacjami w następnym dziesięcioleciu, można sprowadzić do wyzwania pod adresem istniejącego świata, ospałej historii i spetryfikowanych porządków społecznych. Jeśli nawet uznamy to wszystko za przejściową aberrację, nie zmienia to faktu, że jednak miała miejsce; jeśli nawet doszukamy się subtelnych różnic ideowych między Rudim Dutschke i na przykład Khieu Sampanem, w niczym nie podważa to zasadniczej, intelektualnej spójności rozumowania obu tych ludzi, a także wspólnej genezy ich poglądów, to znaczy założeń chińskiej „rewolucji kulturalnej”.

Obecny odpływ fali ekstremizmu w Europie i wycofanie się kierownictwa chińskiego z głównych haseł „rewolucji kulturalnej” niczego nie dowodzi. Historia poucza, że cykliczne falowanie nastrojów społecznych jest taką samą prawidłowością jak pływy mórz. Triumfy konserwatyzmu, zwroty na prawo, okresy bierności i rezygnacji zdarzały się już wielokrotnie i za każdym razem były zjawiskiem przejściowym, krótszym lub dłuższym, lecz jednakowo epizodycznym.

Jakie rozmiary przybierze i w czym się przejawia za kilka lub kilkanaście lat nowa fala radykalizmu? Kto i gdzie uruchomi zapalnik?

Nie są to przepowiednie Nostradamusa; raczej logiczne rozwinięcie dylematów, których „rewolucja kulturalna” w końcu nie rozwiązała. Dwaj dość wybitni uczeni całkiem niedawno doszli do podobnych wniosków. Pierwszy z nich, Toni Negri, był profesorem nauk politycznych na uniwersytecie w Turynie i został aresztowany pod zarzutem współudziału w porwaniu Aldo Moro. Drugi, nazwiskiem Malcolm Caldwell, profesor nauk politycznych uniwersytetu w Manchesterze, konsekwentny zwolennik skrajnego radykalizmu azjatyckiego, został 23 grudnia 1978 roku zastrzelony przez nieznanego sprawcę w hotelu Le Royal w Phnom Penh. Ci dwaj mogli się mylić, oczywiście. Ale może być i tak, że jednak mieli rację.

CXXXII. W kilka tygodni po powrocie z Indochin mówiłem publicznie w dwóch miastach szwajcarskich — w Bazylei i w Zurychu — o swoich doświadczeniach z Kambodży. Moje wystąpienia spotkały się nie tylko z przerażonym milczeniem audytoriów, złożonych głównie ze studentów i robotników, a potem z lawiną pytań, wśród których najważniejsze brzmiały: jak do tego doszło i dlaczego nic na ten temat nie wiedzieliśmy. To, co miałem do powiedzenia, spotkało się również z niebywale zaciepłym i hałaśliwym sprzeci-

wem grupy młodych, inteligentnych i dobrze ubra-
nych ludzi, których początkowo z pobłażaniem okreś-
lono mi jako miejscowych maoistów. W obu miastach
pospiesznie wydrukowano ulotki protestujące przeciw
„zapraszaniu polskiego agenta socjalimperializmu”.
Przed wejściem urządzono niewielką demonstrację.
Z sali padały ostre, prowokacyjne pytania, recytowa-
ne z pamięci i nie pozostawiające żadnych wątpliwości
co do chińskiego źródła inspiracji. Doszło do burzliwej
dyskusji, jeśli to określenie w ogóle mogło mieć zasto-
sowanie.

Dwa fakty przydały tym incydentom pewnego do-
datkowego wymiaru czy może głębi perspektywy.

W obu miastach przemawiałem w starych budyn-
kach, stanowiących od wielu pokoleń własność róż-
nych organizacji i partii robotniczych. W Bazylei był
to słynny niegdyś hotel Merian; zebranie odbywało się
w sali na pierwszym piętrze, noszącej nazwę Café
Spitz, gdzie w roku 1869 obradował kongres I Między-
narodówki. W Zurychu występowałem w miejscowym
Volkshausie, w tej samej Błękitnej Sali, gdzie 9 stycz-
nia 1917 roku Lenin mówił o wojnie i pokoju. Zostało
to upamiętnione brązową tablicą, zawieszoną tuż nad
trybuną. W starych, nie zniszczonych przez wojny
miastach szwajcarskich są takie mury, które słyszały
całą właściwie historię europejskiej lewicy, od samego
początku. Słyszały również „dzwony Bazylei” i suchot-
niczy kaszel młodzieńców, co usiłowali naprawić świat,
i chłodne, trzeźwe dyskusje o tym, co pożądane, i o
tym, co możliwe.

Pytania, jakie zadawali młodzi maoiści szwajcarscy,
pokrywały się co do słowa z pytaniami, jakie kilka-
naście dni wcześniej stawiała mi grupka młodych lu-
dzi na publicznym spotkaniu w jednym z wielkich
miast polskich. Ci młodzi Polacy, dręczeni potrzebą
jakiejs wyrażonej samoidentyfikacji, nie umiejący od-
różnić płaskiego konformizmu od błyskotek zdawko-
wego nonkonformizmu, a przecież równie ocytani,

inteligentni i na swój sposób autentyczni, nie byli jednak maoistami. Wręcz przeciwnie. Powtarzali argumenty i sformułowania zasłyszane z zachodnich rozgłośni radiowych; bezwiednie stawali się ofiarami kolejnej manipulacji, której ubóstwo umysłowe było tym razem szczególnie poruszające.

Nie sądzę, żeby to był wyłącznie interesujący zbieg okoliczności. *Les extrêmes se touchent*, to fakt, ale dlaczego?

CXXXIII. Lęk przed konformizmem, przed korupcją poglądów i zdawkowością reakcji emocjonalnych, bywa straszliwą siłą sprawczą we współczesnych społeczeństwach przemysłowych. Nie można jej rozpatrywać tylko w kategoriach socjologicznych, ponieważ wypływa z najgłębszych pokładów psychiki ludzkiej, jest krzykiem protestu przeciw anonimowości i udręce *samotnego tłumu*. Ta siła potrafi sparaliżować zdrowy rozsądek i unieważnić oczywiste świadectwa własnych zmysłów. Samookreślanie się przy pomocy anarchicznej inności, epatującego stroju, obyczaju, sposobu bycia lub ekstrawaganckich poglądów jest najpospolitszą, bo najłatwiejszą dla młodych ludzi metodą kompensowania sobie egzystencjalnych niepokojów, których melancholijną interpretację przynosi dopiero wiek dojrzały.

Czasem bywa na odwrót: całkowite roztopienie się w jednomyślnym tłumie dostarcza kompensacji na jeszcze większą skalę. Ale w naszym kręgu kulturowym zdarza się to **dużo** rzadziej.

CXXXIV. Nie wiemy, kim chcemy być. Nie wiemy, jak pogodzić równość z nieograniczonym prawem gromadzenia kłopotów; pracę z wolnością; porządek Skandynawii z chaosem Włoch oraz nędzę Haiti z pogodnym i mądrym dobrobytem mieszkańców doliny Nec-

karu; indywidualność jednostki z nieuniknioną standaryzacją każdej z osobna cywilizacji przemysłowej; wołanie o pełnię ludzkich swobód z wołaniem o surową, średniowieczną dyscyplinę; bezmyślność z ideowością; pesymizm ze sprzeciwem, który w samym założeniu oznacza niezgodę na pesymistyczną wersję historii. Nie wiadomo, czego naprawdę chcemy i jak właściwie powinien wyglądać świat u progu przyszłego stulecia.

Tak przynajmniej myśli część młodych mieszkańców Ziemi, rozczarowanych niemal do wszystkiego, co istnieje, lecz niepewnych lađu przyszłości. Sam fakt, że przynajmniej wśród części najzarliwszych i obdarzonych zdolnością do refleksji umysłów utrzymuje się taki stan nieokreśloności, kolosalnie ułatwia możliwość manipulacji. Świat jest wypełniony po brzeży receptami i propozycjami; coraz mniej ludzi potrafi postępować tak, aby ich czyny nie przeczyły ich prawdziwym myślom. Manipulacja, byle inteligentna i niezbyt dostrzegalna, ma swe cudowne zalety. Wyręcza ludzi w myśleniu na własny rachunek i uwalnia ich od udręki poszukiwania prawd, którym mogliby być wierni. Wtedy na miejsce jednego konformizmu pojawia się inny, a każdy z nich żąda lojalności, totalnego zaangażowania się, pełnej identyfikacji. Odstępstwo grozi bojkotem tych lub owych; próba okresowej racjonalizacji haseł spotyka się ze wzdrganą i z posądzeniem o płaski oportunizm. Czerwone Brygady wykonują wtedy wyroki na „zdrajcach”; gdzie indziej wystarcza ironiczny uśmiech lub gest pogardy.

Nie wiadomo, czy mogłoby być inaczej. Bardzo niewiele ludzi umie odróżnić konformizm od zwartego systemu poglądów. Większość uważa sprzeciw — jakikolwiek sprzeciw — za jedyny stan godny człowieka. Tak samo rozumował kiedyś Pol Pot.

CXXXV. Piotr Władimirow opowiada w swym *Dzienniku z Rejonu Specjalnego Chin*, jak to przez trzy ostatnie lata pobytu w pieczarach jenańskich Mao Ce-tung zajmował się właściwie tylko intrygami i eliminowaniem kolejnych pretendentów do tronu.

Nie mam powodu, aby książkę Władimirowa uważać za ewangelię. Za dużo w niej, jak na moje potrzeby, skrótów i wielokropków, zbyt wiele pewników, które z dzisiejszej perspektywy budzą sporo wątpliwości. Jednak podstawowych faktów, przytoczonych przez Władimirowa, zakwestionować nie można. Wielka szkoda, że są znane dopiero dziś. Ani Edgar Snow, ani Agnes Smedley, ani żaden w ogóle z zachodnich dziennikarzy, którzy bywali wówczas w Rejonie Specjalnym, nie zostawił wystarczająco wiarygodnego świadectwa o tym, co się naprawdę działo w Jenanie. Przeciwnie, bez względu na swe poglądy polityczne przyczyniali się do narodzin mitu i doprawdy trudno ich za to winić, ponieważ w oceanie bezprawia, nیکczemności i ludzkiej krzywdy Nowa Czwarta Armia była rzeczywiście jedyną i ostatnią nadzieją. Ówczesne świadectwa czangkajszekowskie nie zasługują nawet na wzmiankę; miały jasno określonego amerykańskiego adresata z rzędu tych, z którymi dyskusja jest zbędna.

A wtedy właśnie kształtowały się wszystkie podstawowe przesłanki tego, co miało później uzyskać nazwę *maoizmu*. A więc wielka, nieśmiertelna, niepodważalna zasada, że najdotkliwiej, w pierwszej kolejności, należy bić i zwalczać swoich, ponieważ wśród nich najczęściej lęgnie się złowroga opozycja i zgubna dla sprawy wątpliwość co do celów lub metod. Nosiło to nazwę *czengfeng*, nieustanna walka o poprawę stylu pracy; w praktyce chodziło o uruchomienie wirówkowego mechanizmu odrzucającego w nicosć ludzi, którzy w jakimś momencie popełnili błąd, wypowiedzieli nieostrożne słowo lub po prostu nie dość głęboko wierzyli w genialną nieomylnosć Przewodniczącego. *Czeng-*

feng, czyli wieczna czystka na wszystkich szczeblach, związana z mało ważnymi lub wręcz absurdalnymi pretekstami, stała się wyróżniającą cechą partii chińskiej na długo przedtem, zanim ją dostrzeżono za granicą: Czengfeng ma to do siebie, że nie może być aktem jednorazowym, ponieważ każdy dzień przynosi nowe niesłuszne poglądy i zatruwa zwątpieniem lub sprzeciwem umysły nawet wypróbowanych bojowników. Dziś wiadomo, że czengfeng posłużył Przewodniczącemu do zlikwidowania opozycji wewnątrz partii; niezależnie jednak od subiektywnych celów konkretnego przywódcy istnieje również obiektywny mechanizm, którego istota polityczna godna jest głębszych studiów.

A więc wszechwładza *jesiennego ministra*, Kang Szenga, jednego z najstraszliwszych ludzi, jacy w bieżącym stuleciu pojawili się na scenie chińskiej polityki. Jego cień przewija się przez całe dzieje Wielkiego Marszu i pierwsze dwudziestolecie zwycięskiej rewolucji; stworzona przez niego tajna policja i nadzorująca ją superpolicja nie mają chyba żadnych odpowiedników, nawet gdyby sięgać do najbardziej znanych przykładów w innych krajach. W marcu 1927 roku kierował walką robotników szanghajskich, i to on, jak się często sądzi, jest pierwowzorem któregoś z bohaterów *Doli człowieka*. A potem porzucił walkę z burżuazją i zajął się walką z komunistami — wewnątrz partii. To on, znający na pamięć dziesięć tysięcy życiorysów i milion raportów wywiadu, był jedynym prawdziwym przyjacielem Mao podczas pobytu w Jenanie, wynalazł Przewodniczącemu atrakcyjną zonę, latami zbierał „materiały” na czołowych działaczy partii i kierował likwidacją kolejnych „spisków” wewnątrz partii, ponieważ w jego terminologii nie istniała nigdy opozycja wobec linii Mao, lecz tylko spisek, bunt, dywersja. Trudno się dziwić, że uchwały XX Zjazdu KPZR ten człowiek uznał wręcz za osobiste zagrożenie.

W roku 1966 Kang Szeng został doradcą Grupy Do Spraw Rewolucji Kulturalnej przy Komitecie Centralnym KPCh. Nadszedł jego wielki dzień: odtąd mógł już bezkarnie zniszczyć każdego, kto choć raz sarknął na wszechwładzę *jesiennego ministra* lub nie zaklaskał, kiedy powinien to uczynić.

W postawie do książki Władimirowa Andrzej Halimarski podaje krótki bilans polityki kadrowej Mao w stosunku do czołowej kadry partyjnej szczebla centralnego.

Kao Kang, członek Biura Politycznego, wicepremier, jeden z najodważniejszych żołnierzy rewolucji — oskarżony o montowanie „antypartyjnego bloku”, przez długie lata więziony i znieważany, popełnił jakoby samobójstwo w więzieniu.

Kaj Feng, przywódca komunistycznego ruchu młodzieżowego — znikł razem z Kao Kangiem, zmarł w nie wyjaśnionych okolicznościach w roku 1955.

Marszałek Peng Te-huaj, członek Biura Politycznego, legendarny dowódca rewolucyjny, pryncypialny i odważny przeciwnik szaleństw ekonomicznych Mao Ce-tunga — aresztowany w grudniu 1966 roku, przesłuchiwany publicznie na „wiecech walki”, z czarną tablicą na szyi, z wykreconymi do tyłu rękami, opluwany, bity, męczony. Według wszelkiego prawdopodobieństwa zamordowany, i to bez użycia broni palnej.

Czang Wen-tien, zastępca członka Biura Politycznego, tłumacz Tolstoja i Oscara Wilde'a, pierwszy intelektualista partyjny — podczas „rewolucji kulturalnej” ciągnany na powrozie po ulicach Pekinu, w białej czapce hańby i z czarną tablicą na piersiach. Nic nie wiadomo o okolicznościach jego śmierci.

Wang Cia-siang, członek Biura Politycznego, jeden z członków ścisłego kierownictwa partii w okresie jenańskim — trzymany bez końca z wykreconymi rękami na „wiecech walki”, lżony i opluwany. Zmarł wkrótce potem.

Li Li-san, były sekretarz generalny KC KPCh — nie przetrzymał tortur, popełnił samobójstwo.

Profesor Li Ta, siedemdziesięcioletni starzec, członek KC i uczestnik zjazdu założycielskiego KPCh — bity i wleczony na sznurze w Wuhanu.

Marszałek Czu Te, twórca chińskiej Armii Czerwonej, bohater wszystkich wielkich bitew rewolucji, człowiek, który do samego końca miał odwagę stawać w obronie starych towarzyszy, niszczonej i poniżanej przez Mao i Kang Szenga — stał się przedmiotem najzacieklejszych ataków hunwejbiniów, którzy sprofanowali nawet grób matki marszałka. Nie było obelgi i zarzutu, których by oszczędzono największemu dowódcy rewolucji chińskiej.

Lista sporządzona przez Halimarskiego jest długa. Znajduje się na niej były prezydent i były premier ChRL; minister spraw zagranicznych i jeszcze dwóch wicepremierów; sekretarz Mao i zarazem główny współautor słynnych artykułów Przewodniczącego; nawet zięć marszałka Je Cien-inga, pianista, któremu połamano przeguby, aby nigdy już nie mógł grać *rewizjonistycznej muzyki*. Każdy z tych ludzi miał za sobą długie lata walk, biedy i żołnierki; każdy z nich do ostatniej chwili pozostał wierny ideałom rewolucji chińskiej. To oni przywrócili kiedyś Chinom godność i wiarę we własne siły, umieli zwyciężać i podnosić się z klęsk, stworzyli wielkie państwo i partię, która pogrążonym w apatii masom przynajmniej w ciągu pierwszego piętnastolecia zapewniła dwa posiłki dziennie i podczas jednego ludzkiego życia usunęła najbardziej zastarzałe krzywdy. I to oni, wleczeni na powrozach, opluwani przez wyjąca zgraję, pozbawieni w ciągu jednego dnia godności i tytułów moralnych, stali się pierwszą i jednak główną ofiarą „rewolucji kulturalnej”.

Czy to wszystko też należałoby uznać za koszty własnej rewolucji? Czy Wielki Marsz poczęty w gruźliczych norach Kantonu i Szanghaju, opłacony setka-

mi tysięcy ofiar, rzeczywiście trwał tylko po to, aby jesienny minister Kang Szeng mógł prowadzić swoje tajne spisy i wysyłać szpicli na „wiece walki”?

To nie jest tylko odosobniony, lokalny wypadek azjatycki. Fascynacja mitem „rewolucji kulturalnej”, czy szerzej jeszcze, fenomenem chińskiej drogi, domaga się wyjaśnień, które powinny być wolne od oportunistów lub młodzieńczych rozczarowań. Tym bardziej że w Chinach „rewolucję kulturalną” zahamowano, zanim osiągnęła swe ostateczne cele, lecz w Kambodży ta sama koncepcja została doprowadzona do końca. Dalej już Pol Pot pójść nie mógł. Po prostu zabrakłoby ludzi do dalszego eksperymentowania.

Dlatego o prawdziwym znaczeniu „rewolucji kulturalnej” należy dyskutować również tu, nad Mekongiem.

CXXXVI. Napisać, że „rewolucja kulturalna” była haniebnym oszustwem, nędzą i krwawą komedią, która miała osłonić przed oczami świata imperialne zamiary oszalałego na starość intryganta i tyрана? To potrafi napisać każdy. Prawie każdy. Takie oceny nie mają znaczenia, ponieważ nie odpowiadają na najważniejsze pytanie: dlaczego tak wiele ludzi dało się na tę komedię nabrać. Bronić nadal przesłanek tejże „rewolucji” nad studnią w Prey Veng, zawierającą człowieka w stanie płynnym? Argumentować, że zamiar był ze wszech miar słuszny, lecz wykonanie fatalne? Przyznać rację rozweselonym kołtunom, którzy od dawna wiedzą, że wszelkie rewolucje nie mają sensu i zawsze się kończą, nazwijmy to, sporami wśród przywódców? Przekreślić dwadzieścia lat własnych poszukiwań, złudzeń, urzeczenia chińskim przykładem i chińskim mitem?

Można jeszcze wzruszyć ramionami i powiedzieć, że

od czasów kaprała Bonapartego proces ukrólewiania się nuworyszów powtarza się co pewien czas i doprawdy nie po raz pierwszy spod zgrzebnej świtki wyjrzał znów warkocz mandaryna. Nie ma powodu, żeby popadać w panikę, ponieważ przy kolejnym zakręcie dziejów pojawiają się nowe punkty odniesienia. Być może interesy państwowe, prawa „szczurzego wyścigu”, rachuby strategiczne są rzeczywiście potężniejsze niż jakakolwiek utopia.

Tak. Ale to wszystko zdarzyło się również w Chinach.

CXXXVII. Rozpocząłem zawodową pracę dziennikarską 1 października 1949 roku, dokładnie w tym samym dniu, kiedy na placu Tien An-men w Pekinie Przewodniczący Mao proklamował powstanie Chińskiej Republiki Ludowej. Pamiętam, z jakim wzruszeniem słuchałem południowego dziennika radiowego po trzech zaledwie godzinach pierwszej pracy w życiu. Było to też pierwsze wielkie wydarzenie polityczne, jakie komentowałem w druku, niezdarnym, topornym językiem osiemnastoletniego zetempowca, z użyciem słownictwa i argumentów, od których sam dziś dostaję wysypki. Z czysto subiektywnych powodów utożsamiałem z późniejszą historią Chin ewolucję własnych poglądów; żaden inny kraj świata nie interesował mnie aż do tego stopnia, choć złośliwość losu sprawiła, że nigdy w nim nie byłem. Przeczytałem mnóstwo książek o Chinach, prowadziłem archiwum, nauczyłem się szybko rozróżniać trój sylabowe nazwiska. Znałem na pamięć dzieje Wielkiego Marszu, na cudem zdobytej mapie Szanghaju potrafiłem pokazać miejsca walk podczas powstania marcowego. A potem zacząłem wędrować po najdalszej Azji i do subiektywnych fascynacji doszedł jeszcze element rozumowego przekonania. Stwierdziłem w którejś z wczesnych książek, że droga indyjska została skompromitowana wskutek po-

biażliwości dla burżuazji; pamiętam długą rozmowę z indyjskim lekarzem — mówił, że nienawidzi Chińczyków, rewolucji i wszelkiego przymusu, musi jednak przyznać, że komuniści chińscy obiecali chłopom dwa posiłki dziennie i w zasadzie dotrzymali słowa, co w Azji nie zdarzyło się nigdy przedtem i co automatycznie unieważnia wszelkie argumenty, jakie można by przeciwko nim wytoczyć. Notowałem wielogodzinne monologi indonezyjskich działaczy, których myśli bezustannie krążyły wokół przykładu chińskiego. Nieszczęsny pucz indonezyjski 1965 roku bez wahania przypisałem matactwom CIA, ponieważ zbyt dobrze znałem jej działania w Azji, a nie mieściło mi się w głowie, żeby Pekin z zimną krwią mógł spowodować zniszczenie całej, bratniej w końcu, azjatyckiej partii. Pierwszą fazę „rewolucji kulturalnej” śledziłem z Nowego Jorku; nie napisałem ani jednego krytycznego słowa na ten temat. Po incydentach nad Ussuri opublikowałem artykuł, którego teza brzmiała mniej więcej tak, że konflikt jest przykry, lecz przejściowy i nie powinien prowadzić do zbyt daleko idących wniosków o charakterze ideologicznym.

Przypadek dopiero zrządził, że stałem się świadkiem chińskiego aktu politycznego, który na własny użytek określiłem jako renegactwo. We wrześniu 1972 roku słuchałem pierwszego w ogóle przemówienia chińskiego wiceministra spraw zagranicznych w debacie generalnej Zgromadzenia Ogólnego NZ. Nie ja jeden popadłem wtedy w osłupienie. Nie było już w tym tekście papierowych tygrysów, wschodniego wiatru, głębokich myśli Przewodniczącego; pozostała tylko zimna, arogancka *Realpolitik*, wyzbyta nawet śladu pretekstów ideologicznych, do tego stopnia, że w całym przemówieniu ani razu nie padła oficjalna nazwa kraju. *China* — i to wszystko. Potem zaskoczenia zaczęły się mnożyć jedno po drugim: ostentacyjne wizyty Straussa, hołdy dla Schlesingera, zaproszenia dla Camerona, a w końcu handel chiński z RPA i niepo-

jęta, niewyobrażalna entente z juntą chilijską. Więcej, uściski i pocałunki, jakimi obsypano wysłanników Pinocheta w Pekinie, co za jednym zamachem przekreśliło raz na zawsze piętnaście lat złudzeń latyno-amerykańskiej lewicy.

Wróciłem znów do lektur i okazało się, że w młodości czytałem pewne teksty pospiesznie i niedokładnie. Mao był jednak umysłem dość niewielkiego lotu. Poza rzeczywiście nową teorią wojny ludowej i trafną chyba do dziś analizą kwestii chłopskiej w Azji, jego dzieła — przynajmniej te, które przełożono na języki obce — nie zawierają poglądów na tyle głębokich i oryginalnych, aby ich autora uznawać za myśliciela. Był na pewno wytrawnym politykiem i zimnym, dalekowzrocznym mężem stanu, lecz takich było po wojnie kilku, a żadnego z nich nie uznaje się za proroka nowej ery. Słynna praca Mao *O sprzecznościach*, która zrobiła u nas niegdyś taką furorę, nie zawiera ani jednej myśli nie znanej Engelsowi; rozgłos tej broszury wynikał po prostu z tego, że istniało zapotrzebowanie na tego rodzaju argumentację. Książka Liu Szao-ci *Jak stać się dobrym komunistą* jest dziełem, które mogłoby uchodzić za interesującą lekturę dla młodzieży w latach dwudziestych, lecz dziś bardziej przywodzi na myśl dominikańskie modlitewniki pełne peryfraz, aktów strzelistych i prostodusznej afirmacji.

Nie ma potrzeby, aby się dziś wypierać ówczesnych zachwyków. Na młodzieńcze fascynacje nie ma żadnej rady. Tak zawsze rodzą się mity — wszystkie mity. Społeczne zapotrzebowanie na mity jest zawsze dużo wyższe niż możliwość ich zaspokojenia. Dlatego realia są sprawą podrzędną, a niekiedy w ogóle bez znaczenia. Ludzie spragnieni mitu, to znaczy jakiejś czystej i zrozumiałej wizji, za którą warto by było umierać, gdyby powstała taka konieczność, dopowiedzą myśli, których brak w oryginale, i dośpiewają melodię, aby oschły wywód stał się pieśnią i zawołaniem bojowym.

Tak było zawsze i miejmy nadzieję, że Przewodniczący Mao nie pogrzebał ostatniego mitu ludzkości.

Tyle tylko, że kiedyś trzeba się w końcu rozstać z kolejnym mitem i zacząć od ponownego ustalania faktów. Jest to zajęcie bolesne i przysparzające goryczy, lecz niezbędne jak zabieg chirurgiczny. Chin, które trzymają z Pinochetem i stały się partnerami fałszywostów z Pretorii, nie można już w żaden sposób mierzyć tą samą miarą, jaką posługiwałem się w przeszłości. Zapewne należałoby podjąć dyskusję o polityce zagranicznej tego kraju. Ale to jest temat na zupełnie inny tekst, który nieprędko napiszę.

Mity nigdy nie dotyczą polityki. Od dwudziestu wieków rodzą się i umierają zawsze na tym samym tle: ideologii, drogowskazów, punktów docelowych, zbioru norm postępowania.

Można się bez nich obejść, lecz nie zazdrozczę tym, którzy to potrafią.

CXXXVIII. Chyba nigdzie więcej sceneria śmierci mitu nie jest bardziej przejmująca niż w Kambodży. Wielu przeżywało przede mną ten sam moment, w okolicznościach może jeszcze bardziej dramatycznych. Ale mnie przydarzyło się to po raz pierwszy.

CXXXIX. Napisałem, że nie mam powodu ubolewać nad losem buddyjskich bonzów w Kambodży. Ale czym to się właściwie różni od zgody na mordowanie Żydów, którzy *uprawiają lichwę*, Słowian, którzy są *brudni i nie potrafią niczego porządnie zorganizować*, Cyganów, którzy *kradną*, w końcu i Francuzów, którzy czynią *l'amour* zamiast czynić *Ordnung*? Czy istnieje jakikolwiek sposób pozwalający ponad wszelką wątpliwość odróżnić zgodę na społecznie uzasadnioną przemoc od moralnego współnictwa w morderstwie? Może pierwsza zgoda na jeden akt przemocy

jest właśnie tym błędem, od którego zaczyna się zawsze na nowo łańcuch zła?

Odwroćcie tego pytania jest jeszcze gorsze. Wyrzeczenie się wszelkiej przemocy z lęku przed odpowiedzialnością moralną nie jest niczym innym, jak milczącym przyzwoleniem na całą tę azjatycką lub latynoamerykańską biedę i krzywdę, których nie usunęły i prawdopodobnie nigdy nie usuną żadne łagodne reformy. Wyrzeczenie się przemocy i uznanie, że można ją zastąpić modlitwą, pracą organiczną lub czymkolwiek innym, musi prowadzić w ostatecznym rachunku do wniosku, że na przykład kolonializm miał swoje wady, ale w gruncie rzeczy nie był taki zły. Albo do otchłannych głębi populistycznego humanizmu: moja pani, jakie to ludzie są — każdy chodzi koło własnej dupy, nigdy inaczej nie było i nie będzie. Albo do galopujących suchot sumienia: są biedni, ponieważ są leniwi. Albo do filozofii Milтона Friedmana: im gorzej, tym lepiej; im większy strach, tym większe szczęście; im ostrzejsza konkurencja, tym wspanialsze efekty.

W najlepszym razie wyrzeczenie się przemocy prowadzi do bezradnej, pokornej rezygnacji wobec chronicznego bezsensu świata. Tę głęboko humanistyczną teorię najchętniej głosi w Azji i Ameryce Łacińskiej podły wyzyskiwacz, którego jedyne prawdziwe marzenie sprowadza się do tego, żeby się nic nie zmieniło.

CXL. Podczas ciężkiej, krwawej walki o komendę policji szanghajskiej Czen z *Doli człowieczej* zamartwiał się, że brak mu pełnego utożsamienia z towarzyszącymi szturmowi. Wyrzuca sobie zwątpienia i anarchiczny indywidualizm, lecz w tej samej chwili pojmuje, że wizja, jaką w sobie nosi, nie zmieści się w granicach linii taktycznej, ustalonej przez przywódców powstania. Śmierć Czena nie jest sprawą przy-

padku, lecz świadomego wyboru. Uznał, że dla ludzi tak rozdartych nie ma miejsca w szeregu, a poza nim żyć nie umiał.

Śmierć Czena okazała się jednak całkowicie zbyteczna i nie pozbawiona mimowolnego komizmu. W niczym nie przyspieszyła zwycięstwa; trudno stwierdzić, czy go nie opóźniła.

CXLI. Ta podróż do kresu nocy wydaje się nie mieć końca. Zacząłem od obelżywej arogancji, a teraz zaczynam już poszukiwać cnót ewangelicznych; jeszcze trochę i pojawią się tutaj nuty egzystencjalne. To się już wiele razy zdarzało. Potem egzystencjalizm niepostrzeżenie przechodzi w pesymistyczny nihilizm, później pozostaje już tylko naplucie sobie w twarz. Przy okazji również wszystkim innym, którzy tego dotychczas nie uczynili sami.

Za pół godziny zacznie jednak świtać, trzeba by się przygotować do następnego wyjazdu. W ciągu jednej nocy zapisałem w dzienniku podróży osiemnaście stron, które, jak się znam, rozrosną się do czterdziestu. Ich użyteczność jest wątpliwa; mają tylko pośredni związek z Kambodżą, a gdyby tak rozważać wszystko, co się z nią pośrednio wiąże, należałoby napisać trylogię i schować ją od razu na dno szafy.

Osiemnaście stron maczkiem. Szkic do rachunku sumienia. Coś w tym rodzaju. Ale znów dokonany w pośpiechu i uwieńczony tak bezpiecznymi wnioskami, że musi wzbudzić podejrzenia. Własnoręczne grzebanie mitów jest czynnością przeraźliwie nieestetyczną. Jak zwykle, najlepiej wychodzą na swoje ci, którzy nigdy nie dali się nabrać na żadne mity. Ich wspaniałe, sceptyczne sumienia świecą z daleka nieskalanym blaskiem. Tak przynajmniej myślą sami o sobie. Ludzie, którzy sami o sobie myślą źle, wzbudzają nie tyle współczucie, co szyderczy śmiech.

CXLII. Czternastego lutego znów poleciliśmy do Phnom Penh. Przyrzeczono nam, że jeśli tylko pozwolą warunki, zostaniemy w stolicy przez noc. Przez jedną noc, oczywiście.

Skład naszej grupy zmienił się trochę. Zabrakło Węgrów z ich zdumiewającymi pytaniami, dołączyli Bułgarzy, zmieniła się jedna z ekip radzieckich. Pojawiło się również dwóch towarzyszy z Zachodu. Pierwszy, wytworny do ostateczności, otrzymał od razu przezwisko pan-towarzysz. Drugi był fotografem; nosił wyszarzały worek na grzbiecie, miał silnie poczerwione brwi i tłuste, bezbarwne włosy opadające na ramiona. Jego zniszczona twarz o podkrążonych oczach miała ślady niepokojącej hysterii.

Miasto było nadal puste. Podobno w Phnom Penh mieszkało już dwa tysiące osób, czyli jedna dziesiąta procentu poprzedniego zaludnienia, nigdzie jednak w śródmieściu nie mogliśmy tych ludzi zauważyć. Wojska było nadal dużo, lecz stało się jak gdyby mniej widoczne niż przed dwoma dniami.

Nasz wierny Isuzu powiózł nas z lotniska do miasta. Sprawiał już teraz na wszystkich wrażenie wielkiego, zmęczonego zwierzęcia. Popychanie czterotonowego autobusu było w tym upale męczące, toteż wymyśliłmy pewną sztuczkę, aby silnik nie gasł przy każdym hamowaniu. Isuzu obraził się jednak i sztuczkę trzeba było odwołać. Kierowca nie brał w tym udziału; wiedział, że zwierząt i samochodów nie wolno bezkarnie obrażać.

CXLIII. Najpierw pojechaliśmy obejrzeć ruiny Banku Narodowego. Gmach Banku wraz ze skarbcem został wysadzony w powietrze 17 kwietnia 1975 roku, prawdopodobnie około godziny drugiej po południu, czyli w dwie godziny po zdobyciu miasta, choć jest i taka wersja, że stało się to dopiero nazajutrz. To interesujący szczegół. Rozmawiałem z dwudziestoma

czterema osobami, które znajdowały się wówczas w Phnom Penh. Ani jedna z nich nie pamięta dokładnie momentu wybuchu, mimo że musiał być słyszalny w całym mieście. Widocznie szok natychmiastowych wysiedleń przesłonił wszystkie inne wrażenia.

Zniszczenie Banku Narodowego było ze strony Pol Pot'a aktem ideologicznym: oto unieważniano raz na zawsze wszelkie pieniądze, ową przyczynę ludzkiej krzywdy i hańby. Czerwoni Khmerowie nie przynieśli ze sobą żadnych pieniędzy i nie widzieli powodu, aby je ktokolwiek inny posiadał. Gruzy po katedrze katolickiej uprzątnięto i wywieziono, jednak ruiny Banku pozostawiono nietknięte, w sposób ostentacyjny, zapewne jako wieczne memento. Na złamanym frontonie gmachu widnieje nawet napis Banque Nationale du Cambodge — drugi i ostatni, jaki widziałem w tym mieście. Miał to być chyba pomnik klęski kapitalizmu.

W promieniu kilometra od ruin Banku Narodowego ulice są dosłownie zasłane banknotami. Wiatr porozwłóczył je po rynsztokach, trawnikach i dachach, a także pozawieszał na drzewach i żywopłotach. Chwilami trudno odróżnić barwne zwitki banknotów od jaskrawych kwiatów. Drzewo obwieszane pieniędzmi jest widokiem na tyle rzadkim, że najpierw musieliśmy się z nim oswoić, zanim mogliśmy to sfotografować.

Drzwi głównego skarbcza są wyrwane ładunkiem trotylu; na wewnętrznym dziedzińcu, gdzie podjeżdżały kiedyś opancerzone furgonetki, stoją długimi rzędami skrzynie nowiutkich banknotów i bilonu. Rozbiliśmy jedną ze skrzyń. Wziąłem ze sobą paczkę zawierającą milion rialów. Była owinięta w plastikową folię i zapieczętowana przez kontrolera w Monachium. Banknoty Lon Nola, opatrzone pięknym filigranem i cienkim drucikiem z platyny, były drukowane w RFN, w odróżnieniu od pieniędzy Sihanouka, który wolał korzystać z drukarni japońskich. Pol Pot nie wydrukował oczywiście żadnych własnych pieniędzy.

Zebrałem jeszcze jakieś sześćset tysięcy rialów w

innych banknotach. Miałem łącznie ponad półtora miliona. Cztery lata temu stanowiło to równowartość prawie stu tysięcy dolarów amerykańskich, przynajmniej po kursie oficjalnym, ponieważ czarnorynkowy był dużo wyższy. Teraz niosłem ze sobą stertę śmieci, nadających się tylko do wytapetowania toalety.

Wraz ze zniesieniem lokalnych środków płatniczych zakazano posiadania walut obcych, obligacji, złota, weksli, akcji, numizmatów. Nie chodziło o żadną reformę, lecz o całkowite unicestwienie wszelkich form życia ekonomicznego, nawet takich, jakie były już znane tysiące lat przed pojawieniem się formacji kapitalistycznej. Trochę trudno to objąć myślą, ale przez czterdzieści cztery miesiące tak naprawdę wyglądała sytuacja w Kambodży. Samo wycofanie pieniędzy z obiegu — zjawisko znane i z kilku przykładów europejskich — nie jest jeszcze równoważne ze zniszczeniem życia ekonomicznego; rolę pieniądza bardzo szybko przejmują na siebie wymiana barterowa lub jakikolwiek inny zabieg oparty na mniej więcej jednolitym mierniku wartości. Ale ambicją Pol Pota było właśnie zlikwidowanie tego jednolitego miernika.

Osiągnięto to w bardzo prosty sposób: produkcja żywności została scentralizowana w stu procentach, cała dystrybucja również. Nisko ustalone racje żywnościowe uniemożliwiały powstawanie jakichkolwiek nadwyżek osobistych, które można by było na cokolwiek wymieniać. W ten sposób upadła i sama wymiana barterowa, ponieważ nie istnieje na świecie towar, który miałby wyższą wartość niż żywność, zwłaszcza w sytuacji niezbyt odległej od głodu. Żywność jest podstawą życia ekonomicznego, towarem elementarnym, od którego zaczynają się wszelkie inne pojęcia — wartości, ceny czy tym bardziej obrotu pieniężnego. Który to obrót jest z pewnego punktu widzenia najnikczemniejszym wynalazkiem człowieka, bez względu na to, czy jednolitym miernikiem war-

tości są muszelki, bydło, złote monety, krążki blachy, czy kawałek zadrukowanego papieru.

Poza tym w Kambodży zlikwidowano samo pojęcie własności czegokolwiek; nikt nie miał prawa być właścicielem garnka, łóżka, budzika. Opowiadano nam o komunie, w której nawet pałeczki do ryżu, a więc rzecz znacznie bardziej osobista niż szczoteczka do zębów w Europie, stanowiły własność kolektywną. Usunięto też w sposób definitywny takie tradycyjne przyczyny zróżnicowania ekonomicznego, jak wydatki na usługi, transport, lecznictwo, kulturę czy nawet na zakup prywatnej odzieży.

Angkar stworzył system centralnego planowania i centralnej dystrybucji nie mający dosłownie żadnych odpowiedników w historii, nawet gdyby brać pod uwagę najzupełniej wyjątkowe sytuacje wojenne. Był to ideał centralistycznej ekonometrii: najmniejszy ruch molekuł był mierzalny i podporządkowany jednej, jasnej, konsekwentnej idei. Entropia świata została opanowana w stopniu, o jakim nie ośmielał się marzyć żaden wielbiciel Wielkiego Porządku.

Na przykład komuna Po Pet wytwarzała spore nadwyżki ryżu, jednakże cała miejscowa produkcja była natychmiast ekspediowana do rejonowych magazynów i dopiero stamtąd napływały z powrotem do komuny dostawy ryżu, przeznaczone na wyżywienie mieszkańców. Dwukrotny transport tego samego produktu wydaje się marnotrawstwem, ale tylko wówczas, gdy przyjmiemy istnienie jednolitego, a więc w istocie kapitalistycznego miernika wartości. System, w którym ideologia zastępuje ekonomię w sposób całkowity, nie zna w ogóle takich pojęć. Był to prosty obrót towarowy poza wszelkimi prawami normalnej ekonomii, księgowości i kryteriów logicznych. Pieniądze naprawdę nie były do niczego potrzebne. Do prowadzenia takiej gospodarki w zupełności wystarczały cztery działania arytmetyczne.

Dwa lub trzy razy do roku komuna Po Pet otrzy-

mywała bezpłatne transporty bielizny i odzieży, miedzy bardzo eleganckiej, przywożonej przez wojsko z opuszczonych sklepów w miastach. Chyba dlatego w sklepach Phnom Penh widać właściwie wszystkie dające się pomyśleć towary — z wyjątkiem odzieży i tekstyliów.

Żadnych innych potrzeb mieszkańcy komun mieć nie mogli. Używanie butów było zakazane; produkty przemysłowe w rodzaju zegarków lub maszyn do szycia uznano za całkowicie zbędne; mydło z powodzeniem zastępował roślinny ług, zamiast pasty do zębów używano betelu.

Czterdzieści cztery miesiące nie są okresem wystarczającym, aby z ludzkich mózgów wypłenić pamięć o istnieniu pieniędzy; jest to jednak zarazem okres dostatecznie długi, aby samo pojęcie posiadania czegokolwiek, a także określanie stanu posiadania przy pomocy przedmiotów lub ich pieniężnych odpowiedników uległo zupełnej kompromitacji w oczach ludu. Właśnie dlatego nikt nie zabiera z Phnom Penh towarów, które budziłyby oskromę wszędzie indziej. I chyba również dlatego zamarła w Kambodży taka działalność ekonomiczna, jaka pojawia się nawet w społeczeństwach zagrożonych wyrokiem śmierci.

Wśród powracających chłopów kilka razy widzieliśmy kobiety obwieszone naszyjnikami ze starych piasstrów indochińskich, wycofanych z obiegu czterdzieści dziewięć lat temu. Są to niewielkie krążki z lichego brązu, przewiercone w taki sposób, aby można je było nizać na sznurek. Wartość metalu jest w nich właściwie równa zeru, wartość nabywcza także. Naszyjniki ze starych piasstrów pełniły więc prawdopodobnie jakąś rolę psychologiczną, zupełnie abstrakcyjną i nie związaną z żadnymi realiami.

CXLIV. O dwieście metrów od ruin banku biegła wąska, niepozorna uliczka, częściowo zasłonięta na

skrzyżowaniu rozrośniętą koroną banjanu. Skręciłem w nią odruchowo i przez chwilę musiałem zmrużyć oczy. Po obu stronach uliczki mieściły się sklepy i warsztaty srebrników, azjatyckim obyczajem bez drzwi i witryn, ziejące szerokimi jamami ciemnych wnętrz. Było ich ze czterdzieści, jeden koło drugiego; zerwane i połamane szyldy poniewierały się pod ścianami. Sprzedawano tu niegdyś bogatym turystom słynne wyroby khmerskiej sztuki srebrniczej, ciągle jeszcze piękne i prawie wolne od zakopiańszczyzny, cyzelowane ręcznie z użyciem tej samej techniki, o której z zachwytem pisano już przed stuleciami.

Uliczka była dosłownie zastana srebrem. Jezdnię i chodniki pokrywały tysiące, może dziesiątki tysięcy waz, mis, naczyń, talerzy. Odkuwane świeczniki, oplecione bogatym ornamentem, odlewy zamysłonych słoń i lwów, repusowane łyby khmerskich demonów, zawieszane w zamożniejszych domach ni to jako amulet, ni to ozdoba. Ciężkie rulony surowej blachy ze szterlingowego srebra, pałeczki srebrnego lutu, zwoje srebrnego drutu, srebrne uszy, srebrne nogi, srebrne pokrywki i podstawki. Znów zwalone na nieporządną stertę, zmiażdżone, pogniecione czary, patery i kielichy.

W perspektywie nie było widać nic oprócz srebra; jego miękki, mlecznoszary blask napelniał uliczkę uroczystą światłością i łagodził mrok opustoszałych wnętrz. Patrzyłem na pięć, może siedem ton srebra, średniej co prawda próby, lecz jednak srebra, które w Azji bywało okresami rzadsze niż złoto.

Przeszedłem środkiem jezdni. Chrząst pogniecionych blach działał ogłuszająco, chwilami przechodził w rezonujący śpiew, podobny do delikatnego brząkania kościelnej sygnaturki.

CXLV. Wejście do pałacu byłego gubernatora francuskiego Kambodży było zabite deskami, wystarczyło

jednak odchylić sklecone pospiesznie spągi, aby się dostać do wnętrza.

Znalazłem się w obszernym, wysoko sklepionym holu, który służył chyba kiedyś jako podjazd dla powozów. Było tu chłodniej i prawie zupełnie ciemno; w powietrzu unosił się zapach spalenizny i stęchłego kurzu. Chwilę trwało, zanim oswoiłem wzrok z męt-
nym półmrokiem wnętrza.

Pośrodku holu widniała wysoka na metr sterta popiołu i nie dopalonych papierów, rozwleczone w kwadracie o boku przynajmniej czterech metrów. Na obrzeżach widać było popielate harmonijki spalonych książek, których złożone grzbiety przeświecały słabo przez czerń zwęglonego drewna; papiery płonęły widocznie zbyt wolno i ognisko trzeba było podsycać nogami antycznych mebli. Pogrzebałem końcem buta w popiele; spod sterty wyrzwał jakiś stary pergamin z napisem w języku khmerskim, wygięta klamerka od modlitewnika lub atlasu, a potem nie dopalony fascykuł jakichś akt.

Wyciągnąłem ostrożnie górną część pożółkłego arkusza. Był to stary, żeberkowany papier czerniany, opatrzonej dobrze widocznym znakiem wodnym. Z lewej strony biegł napis wykonany owym miękkim jak atlas atramentem galasowym, którego sepiową barwę można rozróżnić na pierwszy rzut oka: *Le Gouverneur*. Z prawej data: 18 sierpnia 1868 roku. Poniżej zaczynał się rękopiśmienny tekst niemożliwy już do odcyfrowania, ponieważ ogień pożarł akurat dolną połowę pierwszego wiersza i całą resztę arkusza.

Tych dokumentów nie będzie już znał żaden historyk — khmerski, francuski czy jakikolwiek inny. Spalono w pałacu wszystkie archiwa, cały księgozbiór i chyba gabinet starych rycin, ponieważ w stosie tkwiły miejscami nadpalone szczątki miedziorytów, a tuż przy wejściu leżała pomięta akwatinta, przedstawiająca scenę pasterską z Lotaryngii.

Wszedłem po schodach na podest półpiętra, potyka-

jąc się o przedmioty, których w ciemności nie można było nawet w przybliżeniu zidentyfikować. Przez szpary w żaluzjach sączyły się płaskie, jaskrawe smugi słońca. W sali recepcyjnej zobaczyłem porozrzucane materace, menażki, pochwy bagnetów, zardzewiałe magazynki. Pod oknem stała skrzynka z chińską amunicją, również opatrzona wyraźnym czarnym znakiem 800. Widocznie kwaterował w tym pałacu pluton niszczycieli książek.

Była kiedyś taka powieść fantastyczna pióra Raya Bradbury'ego — *451° Fahrenheita*. Ukazała się w polskim przekładzie chyba dwadzieścia lat temu i zdobyła sobie ogromną poczytność. Rzecz działa się w bliżej nieokreślonej przyszłości, w jakimś państwie, które postanowiło uczynić z telewizji podstawowe narzędzie do manipulowania ludzkimi mózгами i w związku z tym wydało rozkaz, aby zniszczyć wszystkie książki. Specjalne oddziały wiernych rządowi żołnierzy urządziły długotrwałe polowania na książki, czasopisma i wszelkie przedmioty związane z drukiem, palono nawet czysty papier. W temperaturze 451 stopni Fahrenheita papier ulega zwęgleniu.

Widocznie nie ma tak nieprawdopodobnego pomysłu z zakresu fantastyki, który prędzej czy później nie stałby się rzeczywistością.

CXLVI. Punktualnie o dwunastej na lotnisko Poczontong przyleciał premier Pham Van Dong. W tym mieście-widmie każdy gest ceremoniału nabierał osobliwego znaczenia.

Kompania honorowa składała się z osiemdziesięciu dwóch młodziutkich żołnierzy kambodżańskich w zupełnie nowych mundurach i równie nowych czapkach chińskiego kroju; ich dłonie w nieskalanie białych rękawiczkach ścisnęły nowiusieńkie pistolety maszynowe produkcji chińskiej, chyba dopiero co odkonserwowane.

Do Jaka-40, którym przyleciał premier, podciągnięto purpurowy dywan. Na płycie stało całe kierownictwo ZFNOK, w czarnych garniturach, białych koszulach i jednakowych, perłowych krawatach. Od tła odbijała tylko barwna, wzorzysta spódnica znanej już nam doktor Chey Kanh Nha.

Dowódca kompanii honorowej, w mundurze bez dystynkcji, lecz przepasany śnieżnobiałym pasem, zasalutował dostojnemu gościowi szpadą. To znaczy mocował się przez z chwilę z rapcami i rękojeścią, a potem jednym błyskawicznym ruchem wyciągnął klingę przed siebie i trzymał ją poziomo bez słowa przez dobre pół minuty.

Pham Vang Dong przeszedł w milczeniu przed frontem kompanii honorowej. Słońce piekło tak mocno, jak gdyby całą swą siłę skoncentrowało na tym pustym, milczącym lotnisku. Po bezchmurnym niebie uganiały się kolorowe ptaki, siadały stadkami na antenie i statecznikach samolotu, przelatywały tuż nad głowami. Swiergot ptaków był jedynym dźwiękiem rozpraszającym martwą ciszę południa.

Premier doszedł do ostatniego żołnierza kompanii honorowej i stanął w miejscu. Wtedy ukryta za kompanią orkiestra wybuchnęła melodią, którą zapamiętam na resztę życia. Z instrumentów, na które nie ma nawet przybliżonych nazw — były to jakicś piszczałki, jednostrunowe gęśle, poczwórne flety, gongi, czclesty, harmonijki — popłynęła ulewa dźwięków, których bezbrzeżny smutek przyprawiał dosłownie o gęsią skórkę. Ten chorał czy tren żałobny brzmiał jak skowyt rozpacz i śmiertelnego lęku; z bezładnego zawodzenia przebijał się rozdzierający motyw, utrzymany niemal w europejskiej gamie, składający się z kilkunastu zaledwie nut i wygrywany przez żołnierzy na owych fletach czy fujarkach do wtóru monotonnego buczenia tamburynów i jęku gongów. Tak mogłoby brzmieć wezwanie na Sąd Ostateczny, psalm za całą ludzkość,

Dies irae odśpiewany na pogorzeliiskach wojny atomowej.

Nikt nie umiał wyjaśnić, co to za melodia; być może orkiestra grała jakiś stary motyw ludowy albo prาดawną pieśń po bitwie. Wątpię, żeby to mógł być hymn narodowy; nigdzie poza Azją nie można by go było odegrać.

Orkiestra umilkła na chwilę. Potem pierwszy doboż podniósł rękę i rozległy się z trudem rozpoznawalne akty *Międzynarodówki*. Przed tą częścią melodii, której towarzyszą polskie słowa: „Bój to jest nasz ostatni”, orkiestra urwała w pół taktu. Oficjalna część ceremonii była skończona.

Owacyjne powitanie wietnamskiego gościa odbyło się o sto metrów dalej. Na poboczu pasa startowego, w zdziczałej trawie po kolana zgromadziło się około czterystu osób cywilnych. Kobiety miały na sobie nowiutkie sarongi o kwiecistych, wielobarwnych deseniach i świeżo wyfasowane z magazynów sandały. Mężczyźni nosili czarne, błyszczące półbuty, wełniane spodnie i koszule z jasnej popeliny. Opuszczono nieco niżej transparent, wzywający w dwóch językach do umacniania przyjaźni khmersko-wietnamskiej. Chodziło o to, aby operatorzy mogli sfilmować scenę powitania w jednym kadrze z transparentem.

Potem nasz długowłosey fotograf rzucił się na maskę samochodu, którym odjeżdżali Pham Van Dong i Heng Somrin, wskakiwał na błotnik, naciskał spusty swych niezliczonych aparatów fotograficznych, aż jego zmięta twarz osiągnęła stan najwyższej ekstazy. Pan-towarzystwo toczyło uczoną dysputę z Gerhardem. Japończyk fotografował działa przeciwlotnicze. Carlos chichotał bez opamiętania, ponieważ świat przyprawiał go o nieustające rozbawienie.

Popchnęliśmy naszego Isuzu i pojechaliśmy na posiłek.

CXLVII. „Wyklęty, powstań ludu ziemi! Powstańcie, których dręczy głód!” Dwadzieścia jeden lat temu słyszałem po raz pierwszy, jak śpiewali tę pieśń podczas strajku dokerzy w Surabai; w zeszłym roku śpiewałem ją wraz z trzema tysiącami ciemnoskórych nędzarzy na wiecu robotniczym w Quilon, w indyjskim stanie Kerala. Słyszałem ją po chińsku i po wietnamsku, w języku telugu i w języku syngaleskim, w bazarowej malajszczyźnie i w jakichś trudnych do nazwania dialektach. Podczas azjatyckich podróży najbardziej zajmowały mnie zawsze kontakty z miejscowymi komunistami i dlatego moja skala doświadczeń jest trochę inna.

W tej części świata pieśń Pottiera trudno zazwyczaj rozpoznać po pierwszych dwóch wersach tekstu. Poezja azjatycka nie zna na ogół rymów ani średniówek, europejska gama ulega zniekształceniom w wielotonowej skali azjatyckich dźwięków, zresztą samo pojęcie śpiewu, zwłaszcza zbiorowego, oznacza tu bardziej recytację niż odtwarzanie melodii. Wystarczy jednak wsłuchać się przez chwilę, aby nie mieć wątpliwości, jaki to tekst i o czym ta pieśń. Nigdzie więcej na świecie, może poza Ameryką Łacińską, te słowa nie brzmią już dziś tak jednoznacznie. Przynajmniej w tych krajach, gdzie pojęcie wroga jest nadal tak samo jasne, jak było dla komunardów Paryża lub robotników Moskwy i Łodzi w dziewięćset piątym, a pojęcie „pariasów Ziemi” nie zawiera żadnych niejasności.

Być białym komunistą w Azji — to znaczy przywozić ze sobą bagaż nie kończących się sporów, garb niepewności i gorzką wiedzę o przekleństwie pieniądza, które co pokolenie na nowo odradza drobnomieszczańską miarę urody ludzkiego życia. Ale to także znaczy doznawać nieopisanego poczucia prawdy, braterstwa i utożsamienia się z tym bosym, śniadym tłumem, rozumieć jego cierpienia i dzielić jego nadzieję. Tego poczucia nigdy nie zastąpią dyplomatyczne zaszczyty, orderzy, nagrody ani nawet kapryśna sława, która ota-

cza dzieła umiarkowane w sądach i wolne od fanatycznego jedynowidztwa. Tego klimatu braterstwa nie pojmie nikt, kto go choć raz sam nie zaznał; jego czysty patos stanowi wystarczającą zapłatę za lata kompromisów, zaniechań i rozterek. Za ranki, kiedy patrzenie w lustro przy goleniu przyprawia o poryw wrogości do samego siebie, i za noce, kiedy po zacieklej kłótni z byłymi przyjaciółmi zapada znużona, pusta cisza.

Tak przynajmniej było od niedawna. Przeczytałem jednak w starym numerze „Le Monde'u”, że kiedy 3 grudnia 1977 roku przybył tu chiński wicepremier Czen Jong-kuei, orkiestra Czerwonych Khmerów także odegrała *Międzynarodówkę*. Działo się to na tym samym lotnisku Peczentong i zapewne w tym samym miejscu.

Mogę to natychmiast wyjaśnić. Argumentów nie brak. Nigdy ich nie brak. Wszystko już było. Nie ma takiej rozterki, której nie można by było ukcić odpowiednio dobranym przykładem z bliższej lub dalszej historii. Każdy przykry fakt można zagadać na czysto, bez śladu. Sporą część moich czynności zawodowych stanowi takie właśnie zagadywanie.

Człowiek jest zawsze produktem pewnej formacji, środowiska klasowego, określonego odcinka historii. Moment, w którym wyrzeka się własnego rodowodu w nadziei, że znajdzie lepszą lub choćby tylko wygodniejszą tożsamość, nieodmiennie pociąga za sobą cały ów smutny łańcuch następstw, który jeszcze niedawno nosił miano zdrady. Mentalność szczura, który ucieka z tonącego okrętu, nie jest doprawdy w niczym inna niż mentalność człowieka, który sparzył się na sześćset czterdziestym ósmym zakręcie historii i oświadcza, że się pomylił.

Kogóż miałbym zdradzać — tych chłopców w śmiesznych, białych rękawiczkach, którzy swe życie zaczynają od służby na cmentarzysku własnego kraju? Te

sliczne dziewczyny, co po raz pierwszy od czterech lat włożyły na siebie bluzki, wzorzyste sarongi i nowiutkie sandały? Z kim miałbym trzymać — może z oficerami. Lon Nola, z których kilkunastu na pewno przeżyło w Tajlandii, albo z nowymi sahibami, którzy siedzą teraz na tarasach swych wspaniałych pałacyków w Simli, Bangkoku i Kuala Lumpur, komentując z rozbawieniem prześmieszny fakt, że czerwoni wzięli się za pyski? Gdzie ta wiara przejrzysta, wolna od kłamstw i waśni, nie skażona kompromisami, godna człowieka, na którą miałbym zamieniać swoje poszarpane hasła? Jeśli historia rzeczywiście nie umie się dokonać inaczej, jak poprzez sprzeczności, udrękę i okresy chaosu — wolę jednak pozostać, jak tyłu przede mną i tyłu po mnie, po tej stronie, która przynajmniej głosi potrzebę zmiany zamiast zgody na immanentną niesprawiedliwość świata. Muszę to uczynić nawet wówczas, gdyby to miała być postawa *contra omnes*, anachroniczna i trudna do obrony w tak zwanym świetle niektórych faktów.

Historia wcale się jeszcze nie skończyła. Tu, w Azji, na dobrą sprawę dopiero się zaczyna po stuleciach bierności, milczenia i trwania. Wolę złożyć swoje sumienie w ręce tych bosych, śniadych, niepiśmiennych, którzy nie potrafią nawet porządnie odśpiewać *Międzynarodówki*, niż przedstawiać je do analizy ludziom z tamtej strony, bez względu na ich narodowość i kolor skóry.

Pod rozpalonym do białości niebem Kambodży wszelkie udawanie mija się z celem.

CXLVIII. Posiłek południowy jedliśmy w hotelu Le Royal. Jest to wielki, bezstylowy gmach zbudowany w początkach stulecia, pełen nie kończących się werand, westybulów, krytych krużganków, wykładany kosztownymi marmurami; na piętrach były niegdyś fontanny,

a w marmurowych basenach pływały egzotyczne ryby. Budynek zachował się w całości, poginęły tylko klamki, klucze i zasuwki. Ku naszemu zdumieniu w kranach łazienek ciurkała rdzawa woda, można było włączyć oświetlenie elektryczne, a nawet, co znów graniczyło z surrealizmem, działał sędziwy klimatyzator firmy Norelco, wyprodukowany w Belmont z początkiem lat pięćdziesiątych. Widocznie normalizacja życia w Phnom Penh przybrała na sile.

Posiłek podawano w pawilonie restauracyjnym oddzielonym od głównego gmachu mętnozieloną plamą basenu pływackiego. Igor, który wie wszystko, twierdził, że za czasów królewskich pływały w tym basenie nagie dziewczęta przy akompaniamencie kapel i serafińskich chórów. Jednakże Ormianie całkowicie dezawuowali Igora; powiedzieli, że życie upływa mu na zmyślaniu malowniczych faktów i że nie jest to najgorsze życie, jakie znają.

Ormianie gryźli czosnek, który ze sobą przywieźli, łamali wiotkie kiście kinzy, ocierali pot z oczu i obliczali długość taśmy, jaka im jeszcze została.

Pan-towarzysz, znęcony egzotyczną francuszczyzną Igora, wdał się z nim w dyskurs o sztuce Indochin, lecz wkrótce zrezygnował i wznosił toast za *nasze wspaniałe spotkanie*.

Carlos chował pod stołem szóstą butelkę koniaku Napoleon. Żołnierze, nie umiejąc ukryć zdumienia na swych okrągłych buziach, przynieśli siódmą butelkę.

Andriej wypowiedział pewną ilość poglądów ogólnych, ilustrowanych anegdotami spod Wołogdy oraz marynarskimi żartami z Odessy.

Posiłek składał się z gęstej roślinnej zupy z makaronem sojowym, suto zaprawionej przyprawami i pasemkami peklowanej wołowiny; w tym wszystkim pływały krążki surowej cebuli i jakieś lodygi, podobne do pasternaku.

CXIX. Wieczorem, kiedy rozwścieczone słońce utopiło się wreszcie na skraju czarnego horyzontu, pojechaliliśmy na koncert przyjaźni narodów khmerskiego i wietnamskiego.

Na koncert.

Odbywał się w ogromnej, liczącej chyba tysiąc miejsc sali Teatru Narodowego; pod stropem bezgłośnie przelatywały nietoperze, zupełnie czarne i jak gdyby kudłate; w słupie światła ze sceny unosiły się miliardy moskitów, ciem i latających mrówek; po wyściełanych fotelach biegały rozdrażnione pająki o barwie ognia.

Zespół artystyczny armii wietnamskiej odśpiewał kilka pieśni żołnierskich, potem przedstawiono widzom przegląd folkloru wietnamskiego, ze szczególnym uwzględnieniem folkloru mniejszości narodowych. Były też tańce, pieśni khmerskie i laotańskie oraz specjalnie skomponowana kantata o przyjaźni khmersko-wietnamskiej, śpiewana na przemian w obu językach. Potem pojawił się młody przystojniaczek z wąsikami, z włosami zabrylantowanymi na błachę i głosem Binga Crosby zaczął śpiewać przeboje sprzed piętnastu lat, przyciskając mikrofon do swych niesłychanie zmysłowych warg. Wzmacniacze działały doskonale.

Wymknęliśmy się z Myszą do foyer, żeby zapalić i strząsnąć z rękawów strumienie potu. Ściany foyer służyły jako ekspozycja: rozwieszono na nisch około trzystu zdjęć dokumentalnych ukazujących okrucieństwa Czerwonych Khmerów (rozplątane brzuchy i klatki piersiowe, spalone chaty, storturowani na śmierć ludzie), walkę wyzwoleńczą narodu khmerskiego (mało znane zdjęcia z partyzantki przeciw Czerwonym Khmerom), moment wyzwolenia (żołnierze ze sztandarem biegną do pałacu, w tle dym i trupy) oraz *nowe życie* (kobiety młóca ryż).

Przystojniaczek przeszedł na rock, odganiał nietoperze, podrygiwał wątląm kuperkiem, odzianym w

bardzo porządne spodnie z jasnożółtej gabardyny. Surrealizm tej sceny był tak obezwładniający, że nie mogliśmy powściągnąć śmiechu. Wyszliśmy obaj na dziedziniec, w lepką, gorącą ciemność. Przysiedliśmy bez słowa na krawężnikach, patrząc na miłuszczące jaszczurki i zaafierowane mrówki. Żołnierze strzegący Teatru Narodowego patrzyli na nas z zaciekawieniem i nie bez sympatii; nie znali jednak ani jednego słowa w obcych językach, nasza znajomość khmerskiego też była wątła.

Dopiero po chwili napatoczył się chłopak z niezłym francuskim. Historia jego życia była krótka: studiował medycynę w Phnom Penh, uciekł z komuny, przez półtora roku walczył w partyzantce, zdobywał stolicę. Spytałem go, pokazując na porozwieszane zdjęcia, dlaczego Czerwoni Khmerowie dopuścili się tylu zbrodni. Pomyślał przez chwilę i odparł, że ludzie Lon Nola uwierzyli w Amerykanów, a ludzie Pol Pot — w Chińczyków. Tymczasem naród khmerski musi sam zająć się własnymi sprawami. Sam? Tak, oczywiście, że sam. Z pomocą przyjaciół z tych krajów socjalistycznych, które szanują niezawisłość Kambodży i pragną jej odbudowy.

Potem koncert się skończył, z wyjść wypłynęły setki żołnierzy i trochę cywilnej młodzieży. Rzucono się do samochodów; dopiero teraz spostrzegliśmy, że dwa przyległe parkingi są gęsto zastawione pojazdami mechanicznymi. Były tam mercedesy o chłodnozielonych szybach, zdezelowane wozy strażackie, amerykańskie łaziki wojskowe, pogruchotane furgonetki, ford combi, nawet nowiutki motocykl Nortona. Wszystko to zaczęło naraz parskać, stękać i ferkotać, dziedziniec teatru wypełnił się spalinami. Wybuchł gwar, młodzież żartowała, nawiązywały się flirty.

O dwadzieścia kroków dalej zaczynała się czarna, milcząca pustynia miasta.

Poczucie surrealizmu, ciśnienie antyrzeczywistości

potrafi niekiedy w ciągu jednej chwili wyprzeć refleksje, które jeszcze pięć minut przedtem wydawały się ważniejsze niż samo życie.

Poprzedzały nas dwa łaziki z silnie uzbrojoną eskortą. Brnęliśmy przez czarny żar, słabe światła Isuzu wyławały z ciemności coraz bardziej absurdalne zarysy domów, murów i skrzyżowań, przez które przemykały tylko spłoszone szczury.

CL. Nie można jednak traktować tego wszystkiego aż tak serio. Nie można przeprowadzać na sobie samym karkołomnych zabiegów tylko dlatego, że dwie różne orkiestry grały w tym samym miejscu tę samą melodię z zupełnie różnych powodów. To się już zdarzało sto razy w przeszłości, czasami w dużo bardziej kłopotliwych okolicznościach, i na pewno zdarzy się jeszcze nie raz. Świat się od tego nie zawalił i jakoś tam idzie jednak swoim torem.

Poza tym do dziennika podróży znów zakradła się histeria. A także owa nieznośna, łzawo-rozdzierająca eschatologia polityczna, co do której sto razy były już składane uroczyste przyrzeczenia, że nigdy więcej. Dziennikarz powinien trzymać się faktów i pod żadnym pozorem nie podejmować wycieczek na pola minowe filozofii historii, ponieważ zawsze kończy się to śmiesznością. Dziennikarz powinien piłnować swego poczucia dystansu i starać się o tę niewielką dozę cynizmu, bez której natychmiast zaczyna prawie kazania lub przybierać wyszukane pozy rodem z niedobrej literatury. W tym zawodzie nie wolno za dużo myśleć, jeśli chce go się uprawiać zgodnie z dawno ustalonymi regułami. Bagno słów jest mściwe i nie ma wyrozumiałości dla szlachetnych dusz, targanych wątpliwościami.

Byłoby rzeczą dużo bardziej pożyteczną spojrzeć na to wszystko z perspektywy wiecznego, tragikomicznej-

go surrealizmu, jaki co pewien czas nawiedza różne kraje i kontynenty.

CLI. Trzem spośród nas przydzielono w hotelu Le Royal pokój nr 14 na pierwszym piętrze. Nie byłem pewien, czy mnie pamięć nie zawodzi, wydawało mi się jednak, że właśnie tam zginął profesor Malcolm Caldwell.

Nie myliłem się. Po marmurowej posadzce korytarza biegła równolegle do ściany struga zakrzepłej, szczer-niałej krwi i skręcała do naszego pokoju. Miejscowi potwierdzili: tak, to było tutaj. Tę krew trzeba będzie zmyć.

Zabójstwo Caldwellella nastąpiło w nocy z 23 na 24 grudnia 1978 roku około godziny 0.50 czasu miejscowego. Wydarzyło się przy świadkach i od nich wiadomo, jak przebiegło. Dwoje amerykańskich dziennikarzy — Richard Dudman z „St. Louis Post Dispatch”, jeden z najlepszych i najbardziej doświadczonych reportretów Ameryki, oraz młoda, zupełnie nieznana Elizabeth Becker, korespondentka „Washington Post” — jadło z Caldwellem kolację, w tym samym pawilonie restauracyjnym po drugiej stronie basenu, gdzie teraz i my jadaliliśmy posiłki. Tych troje było ostatnimi obcymi świadkami władzy Czerwonych Khmerów. Becker i Caldwell zostali osobiście zaproszeni przez Pol Pota, ponieważ publicznie dawali wyraz swym sympatiom dla rewolucji kambodżańskiej; Dudman jakimś cudem, z którego nigdy się nie wytłumaczył, otrzymał wizę wjazdową, jako jeden z siedmiu zaledwie dziennikarzy zagranicznych, którym pozwolono odwiedzić Phnom Penh między rokiem 1975 i 1978. O czterech pozostałych lepiej będzie zamilczeć, gdyż bliższa relacja o ich dokonaniach spowodowałaby skandal dyplomatyczny, którego wolałbym uniknąć i który doprawdy nie jest do niczego potrzebny. Rad bym tylko kiedyś popatrzeć tym kolegom w oczy.

Krótko po północy kolacja dobiegła końca. Dziennikarze posiedzieli jeszcze przez chwilę w saloniku na parterze, potem poszli razem do swych pokojów. Kiedy stanęli na podeście pierwszego piętra — po schodach, po tych samych drewnianych, lekko skrzypiących schodach, wbiegł młody człowiek w mundurze wojskowym bez żadnych oznak i oddał pięć strzałów z pistoletu w plecy Malcolma Caldwell. Trwało to tak krótko, że Becker i Dudman nie zdążyli nawet schować się za poręczą. Zabójca znikł równie nagle, jak się pojawił. Caldwell zmarł prawdopodobnie po kilku chwilach, gdyż przeszedł jeszcze pięć kroków w kierunku swego pokoju, zanim upadł. Becker i Dudman zaczęli wzywać pomocy, próbując jednocześnie zatamować krew płynącą z ciała Caldwell. Nikt nie odpowiadał. Hotel był pusty, ich głosy padały w zupełną, bezgraniczną pustkę; w stu trzydziestu ośmiu pokojach byli zupełnie sami. Stali nad umierającym kolegą, mając pełną świadomość, że za chwilę po drewnianych schodach może wbiec następny człowiek z pistoletem w dłoni. Nie umieli się zdobyć na to, aby zejść na dół i wezwać kogokolwiek; za oknami bez szyb wibrowała gorąca, wszechogarniająca ciemność. Ich coraz radsze wołania o pomoc tonęły w absolutnej ciszy martwego miasta. Becker napisała później, że był to najgorszy kwadrans jej życia.

Dopiero po godzinie zjawił się milczący oficer Czerwonych Khmerów. Obejrzał stygnące zwłoki Caldwell i łamaną angielszczyzną powiedział coś, czego nie można było zrozumieć. Tak doczekali świtu.

Rankiem milczący żołnierz uprzątnęli zwłoki Caldwell. W południe nieznany oficer wyjaśnił, że zabójcę ujęto, ale nie chciał powiedzieć nic ponadto. Wieczorem Becker i Dudman odlecieli do Bangkoku, a stamtąd do Nowego Jorku. O zabójcy nikt już więcej nie słyszał.

Bardzo mało wiadomo o Malcolmie Caldwell. Był podobno bardzo angielski w sposobie bycia, małowów-

ny, rzeczowy, skłonny raczej do stwierdzania faktów niż do ich komentowania. Wykładał nauki polityczne na uniwersytecie manchesterskim i stawiał swym studentom bardzo trudne, prowokacyjne pytania. Kazał im jakoby porównywać własne usytuowanie społeczne, zarobki rodziców, historię dzieciństwa i lektury wczesnej młodości ze stanem ich aktualnej wiedzy o świecie. Dawał piątki zuchwałym kontestatorom, którzy oddawali czyste kartki, i dwójki dobrze wychowanym panienkom, które pisały długo i kwiecicie. Sam napisał niewiele, a to, co napisał, budzi pewne wątpliwości na skutek nadmiernej kondensacji myśli. Może genialność, a może szariatania, o którą w naukach politycznych jest szczególnie łatwo. Wiadomo, że był jednym z bardzo nielicznych intelektualistów w Europie zachodniej, którzy otwarcie i bez zastrzeżeń, z przyczyn teoretycznych, aprobowali poczynania Czerwonych Khmerów w Kambodży. Uważał „godzinę zero” za jedyne możliwe rozwiązanie społeczne i nie ukrywał, że kapitalizm — wszelki kapitalizm, razem z jego *rewizjonistycznymi odmianami* — dożył swych dni.

Nie udało mi się ustalić, ile miał lat, z jakiego środowiska pochodził i gdzie studiował. Jedno wiadomo na pewno: pierwszy pobyt w Kambodży spowodował w nim katastrofę. Widział w gruncie rzeczy niewiele: opustoszałą stolicę; jakąś pokazową komunę, gdzie przydział ryżu był trzykrotnie wyższy, a wesołe dzieci baraszkowały pod czujnym okiem matek; ponurych dyplomatów Pol Pota, którzy recytowali broszury szkoleniowe Angkaru. Nie krył swych rozczarowań. Zadawał gospodarzom cierpkie pytania. W rozmowach z dwójką dziennikarzy amerykańskich nie taił sarkazmu, wspominał nawet, jak to stwierdza Elizabeth Becker, że miał „mija się z rzeczywistością”. Powiedział także, że po powrocie do Anglii zamierza zrewidować swe poglądy.

Potem strzelono mu w plecy. ..

Piękna męska śmierć. Nie każdego spotyka takie szczęście. Pięć pocisków w plecy; hojna miara humanizmu na dzisiejsze czasy, dla osób, które popełniły błąd w rozumowaniu. Gdybym wiedział, gdzie znajduje się grób Caldwell, złożyłbym tam wiązkę kwiatów. Ostatecznie, kolega po fachu, *toutes proportions gardées*.

CLII. Pierwsza noc w Phnom Penh nie odznaczała się niczym szczególnym. Odbiliśmy butelkę *lua moi*; zakąska składała się ze starych biszkoptów, czosnku i resztek krajowego zapasu papierosów Marlboro. Mówiliśmy wreszcie tylko po polsku, co przedśennym dyskusjom przydawało osobliwej konkretności; każdy z nas woził ze sobą prywatny, polski kosmos, a jest to ładunek silnie wybuchowy, nawet w tropikach. W rozprażonej ciemności terkotały dalekie, słabo słyszalne strzały, przezroczyście jaszczurki biegały po ścianach, klimatyzator firmy Norelco sapał przyjaźnie, wyrzucając z siebie strugi słabo ochłodzonego powietrza. Potem zaciągnęliśmy moskitiery i zaczęliśmy spać.

CLIII. Dlaczego nic lub prawie nic nie było wiadomo o tym, co się naprawdę działo w Kambodży w ciągu tych czterech lat? To pytanie powraca bezustannie, czasem przybiera postać jawnego szyderstwa. Jak to się stało, że pod koniec XX wieku można było wymordować dwa miliony ludzi cichcem, pokątnie, przy całkowitej nieświadomości reszty świata? Kto tu manipulował, kto ukrywał, kto jest winien milczenia, kiedy trzeba było krzyżeć?

Ale nie jest to najbardziej kłopotliwe z pytań, jakie można postawić w związku z wydarzeniami w Kambodży. Odpowiedź jest wulgarnie krótka, jak wszystkie odpowiedzi w podobnych sprawach: naprawdę nic pewnego nie było na ten temat wiadomo.

✓
✓
Prawie nic, dla ścisłości. Wysiedlenie mieszkańców miast i wielkie ruchy migracyjne były oczywiście znane, choćby ze zwiadu satelitarnego. Jednakże przesiedlenia, nawet na wielką skalę, nie są jeszcze równoznaczne z ludobójstwem. Wiadomo było, że w Kambodży zlikwidowano szkolnictwo, handel i wszelką wymianę intelektualną z zagranicą, ale to samo zdarzyło się kiedyś w Chinach i nikt tego nie uznawał za koniec świata. Nie ulegało wątpliwości, że podstawą gospodarki kambodżańskiej stały się komuny, lecz przecież okresami istniały one w różnych krajach, nie wyłączając Europy, i doprawdy nie było powodu, aby w wypadku Kambodży powoływać specjalne trybunały.

Pojawiły się także w drugiej połowie 1976 roku sporadyczne doniesienia o okrucieństwach Czerwonych Khmerów, budziły jednak więcej wątpliwości niż zgrozy. Specjalny numer amerykańskiego tygodnika „Newsweek” z roku 1977 zawierał sześć stron mrozących krew w żyłach opowieści oraz kilkanaście superrealistycznych rysunków, sporządzonych na podstawie relacji naocznych świadków. Niestety, wiele z podanych tam informacji w ogóle nie znajduje potwierdzenia. Na przykład jest dla mnie rzeczą wątpliwą, jakoby Czerwoni Khmerowie zmuszali ludność do zawierania zbiorowych małżeństw, której to sprawie amerykański tygodnik poświęcił całą stronę słodko-strasznych opowiadań. Pytałem o to dziesiątki osób i nie zetknąłem się nawet z jednym faktem lub choćby pogłoską, która pozwalałaby w to uwierzyć. Nie znajduje potwierdzenia informacja, jakoby ludzi IV kategorii duszono powoli poprzez zawiązanie im wokół głowy szczelnego worka z plastikowej folii. Rozmawiałem z wieloma mieszkańcami komun, także komun karnych i żaden z nich nigdy o podobnej torturze nie słyszał. Wreszcie, nie jest prawdą, jakoby kadra Czerwonych Khmerów w komunach przywłaszczyła sobie przywileje właścicieli niewolników, żyła po królewsku, zmuszała miesz-

kanki komun do uległości i grabiła dobytek komuny. Było akurat odwrotnie: poza nielicznymi przypadkami prowadzenia oddzielnej kuchni, które można złożyć na karb marginesu statystycznego, kadra Czerwonych Khmerów żyła bardzo skromnie, nie posiadała nic na własność i nie wyróżniała się, poza prawem posiadania broni i butów, niczym właściwie spośród mieszkańców komun.

Przez półtora roku wszelkie informacje o wydarzeniach w Kambodży pochodziły tylko z jednego źródła: od uciekinierów kambodżańskich, którym udało się przedrzeć do Tajlandii i opowiedzieć swe losy amerykańskim korespondentom z Bangkoku. Prasa amerykańska nie tała, że byli to niemal wyłącznie ludzie *ancien régime'u* — bogaci kupcy, oficerowie armii i policji Lon Nola, miejscowi przedstawiciele zachodnich firm handlowych. Nie jest to najbardziej wiarygodne źródło informacji. Do dziś opowiadają mniej więcej to samo przepędzeni z południa Wietnamu właściciele domów publicznych i hurtownicy opium lub oprawcy z sajgońskich katowni. W kanadyjskiej prowincji Saskatchewan sam słyszałem przed laty, jak były szef bezpieczeństwa w którymś z kurení UPA opowiadał ze szczegółami — nie wiedząc, że na sali znajduje się Polak — jak to go polscy chłopci z Wołynia cięli piłą i wbijali mu gwoździe w dłoń, notabene nie pozostawiając blizn. Każdy uciekinier musi we własnym interesie na tyle podkolorować swoje przypadki, aby trafiły na łamy prasy lub przynajmniej uzasadniły sam łuk ucieczki. Właśnie z tego powodu pierwsze doniesienia prasy zachodniej o masowych mordach w Kambodży spotkały się z powszechnym niedowierzaniem i początkowo nie skłoniły żadnej właściwie organizacji międzynarodowej do złożenia publicznego protestu. Zresztą doskonale wiadomo, że Amerykanie nie uwierzyli w udokumentowaną relację o likwidacji getta warszawskiego, a i dziś jeszcze opowiadania o tym, jakoby okupanci wymordowali w Polsce 6 milionów

ludzi, spotykają się często ze zniecierpliwieniem. Pojemność ludzkiej wyobraźni jest bardzo niewielka.

Nie wszystkie jednak opowieści uciekinierów były wyssane z palca. Spora część z nich dawała przynajmniej przybliżone wyobrażenie o niesłychanie gwałtownym przebiegu rewolucji w Kambodży. Ten fakt, niezależnie od zrozumiałego sceptycyzmu, powinien być zwrócić czujniejszą uwagę opinii na wydarzenia kambodżańskie — i to również po naszej stronie świata. Nie ma żadnego powodu, aby specyfikę azjatyckich rewolucji, rzeczywiście odmienną od pojęć europejskich, uznawać za hurtowe usprawiedliwienie wszystkich bez wyjątku poczynań.

Trudno mi mówić za rządy, mogę jednak mówić sam za siebie. Postaram się, aby w przyszłości wzruszanie ramionami nie zastępowało mi chwili namysłu lub protestu. I to nawet wówczas, gdy nie mam żadnych złudzeń co do tajemnic kuchni propagandowej Zachodu. Dodam tu, nie bez cynicznej satysfakcji, że jesienią 1978 roku rząd Stanów Zjednoczonych zapowiedział opracowanie raportu dokumentalnego w sprawie naruszania praw człowieka przez reżim Pol Pota, o czym prasa amerykańska pisała obszernie i na widocznych miejscach. Jednakże na posiedzeniu Komisji Praw Człowieka w Genewie, jakie odbyło się w kwietniu 1979 roku, rząd amerykański zrezygnował z przedstawienia tego raportu, o czym z kolei prasa amerykańska nie poinformowała wcale lub zamieściła krótkie wzmianki na dalekich stronach. Pol Pot stał się „ofiara agresji”, a więc nie jest już winien naruszania praw człowieka.

Jeśli chodzi o pozaprasowe źródła informacji z Kambodży, to w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy rządów Pol Pota osiągnęły one stan niemal równy zeru — i w to jest najtrudniej uwierzyć. Kambodża została w praktyce odcięta od świata zewnętrznego: nie udzielano żadnych wiz wjazdowych (poza wspomnianymi przedtem wyjątkami), przerwano łączność pocztową,

drogową i telekomunikacyjną, zaostrzono do granic możliwości kontrolę granic morskich i lądowych. Wyszędiono wszystkich specjalistów i korespondentów. Stolicę zaczęły stopniowo opuszczać ambasady obce — albo z powodu zerwania stosunków dyplomatycznych, albo dlatego, że uniemożliwiono im normalną działalność. W końcu w Phnom Penh funkcjonowało tylko pięć ambasad: chińska, jugosłowiańska, rumuńska, kubańska i ambasada Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej. Personelowi czterech ostatnich ambasad nie wolno się było udawać poza obręb otoczonych drutem kolczastym i silnie strzeżonych budynków ambasady; dwa razy dziennie patrole wojskowe przywoziły gotowe posiłki; raz na miesiąc jeden z pracowników przedstawicielstwa miał prawo skorzystać z wyjazdu do Pekinu lub Bangkoku. Wieziono go wówczas samochodem wojskowym na lotnisko Poczontong, stale tą samą trasą; jedyna obserwacja, jaką mógł poczynić dyplomata, ograniczała się do widoku opustoszałych ulic stolicy między gmachem ambasady i lotniskiem. Posiadanie samochodów było niedozwolone, zresztą nie istniała możliwość zaopatrzenia się w paliwo. Wyjazdów zbiorowych poza Phnom Penh nie organizowano prawie w ogóle, z wyjątkiem jednorazowej wycieczki do świątyń w Angkor Wat. Swobodę poruszania się mieli tylko Chińczycy. Kontakty z ludnością ze zrozumiałych przyczyn nie istniały w ogóle, kontakty oficjalne odbywały się wyłącznie z wyznaczonymi do tego celu współpracownikami Ieng Sary'ego; ten ostatni pełnił funkcję wicepremiera i ministra spraw zagranicznych. Nie ukazywała się żadna prasa. Broszurki szkoleniowe Angkaru były przeznaczone do użytku wewnętrznego. Radio „Demokratycznej Kampuczei” nie przynosiło w ogóle serwisu informacyjnego z kraju i ze świata. Ani jeden cudzoziemiec nie odwiedził prowincji nadgranicznych lub wnętrza kraju. Budżety ambasad wynosiły dokładnie zero: Angkar sam ponosił koszty żywienia personelu dyplomatycznego,

a bilety lotnicze były opłacane z zagranicy, gdyż nie istniała możliwość opłacenia ich w Kambodży z powodu braku kas, banków i pieniędzy. Kontakty między poszczególnymi ambasadami były bardzo utrudnione i odbywały się zawsze w obecności przedstawiciela Angkaru.

✓ Izolacja Kambodży była posunięta tak daleko, że aż do końca 1976 roku, kiedy zaczęli napływać pierwsi uciekinierzy, nawet najbliższy sąsiad, czyli Wietnam, nie zdawał sobie sprawy z rozwoju sytuacji. Zainteresowałem się tą sprawą możliwie dokładnie, bo jeśli można w końcu jakoś pojąć zupełną niewiedzę w Europie, to w odniesieniu do kraju tak blisko z Kambodżą związanego wydaje się ona nieprawdopodobna. Faktem jest jednak, że Wietnam patrzył początkowo z najwyższą podejrzliwością na pierwsze grupy uciekinierów kambodżańskich i uznawał ich wyłącznie za stronników obalonego właśnie reżimu Lon Nola, lokując ich w dobrze strzeżonych obozach pracy. Dopiero kiedy relacje o okrucieństwach zaczęły się powtarzać, a w prowincjach nadgranicznych Kambodży zawiązał się ruch partyzancki — w Hanoi uznano, że rewolucja kambodżańska rzeczywiście poszła fałszywym torem. Nie ma jednak co ukrywać, że pierwsze wietnamskie informacje na ten temat znów wzbudziły niedowierzanie, gdyż zbiegły się najpierw z incydentami granicznymi, a potem z coraz częstszymi napadami Czerwonych Khmerów na terytorium wietnamskie. Tak na przykład opublikowaną w Hanoi latem 1978 roku białą księgę *Kampuchea Dossier*, uznano na Zachodzie, w tym także we Francji, za niezręczną próbę zdyskredytowania reżimu Pol Pota z powodu incydentów granicznych. Nie zdobyła też ona należnego rozgłosu w krajach socjalistycznych. Właściwie dopiero pod koniec 1978 roku, kiedy liczba uchodźców kambodżańskich w Wietnamie przekroczyła 150 tysięcy, a liczba ofiar wietnamskich, zamordowanych podczas napadów pogranicznych, zaczęła sięgać dziesiątków tysięcy,

uwierzono wreszcie, że Kambodża stała się terenem masowych mordów.

Wszystko to razem nikomu zaszczytu nie przynosi, zważywszy, że żyjemy w ostatniej ćwierci XX wieku, świat ma już niewiele tajemnic, a doświadczenia przeszłości powinny w końcu być jakimś ostrzeżeniem. Mylą się jednak ci, którzy dopatrują się tutaj świadomej, rozległej manipulacji; był to po prostu wyjątkowy zbieg wielu okoliczności, nawyk wystawiania automatycznych ocen i rezultat szczególnej, trudnej początkowo do zrozumienia i niemożliwej do wcześniejszego przewidzenia polityki Pol Pota.

CLIV. Przez pierwsze miesiące po zdobyciu władzy ludzie Angkaru zachowywali się w sposób lojalny wobec wszystkich krajów socjalistycznych, nie wyłącza-
jąc Wietnamu. Obalenie Lon Nola uznano w krajach socjalistycznych za zwycięstwo sił postępu, nie brakło pochlebnych komentarzy. Ieng Sary podczas pobytu w Hanoi raz jeszcze ponowił podziękowania dla wietnamskich braci i towarzyszy za pomoc okazaną podczas walk z reżimem Lon Nola. Nie jest znana treść rozmów, jakie prowadził zastępca Pol Pota podczas pobytu w Hanoi; podobno strona wietnamska wyraziła zaniepokojenie nadmiernym tempem przemian rewolucyjnych i przestrzegła przed awanturnictwem. Były to jednak pierwsze miesiące po wypędzeniu Amerykanów z Południa, kierownictwo wietnamskie stało przed ogromnym zadaniem zjednoczenia kraju i nie można wykluczyć, że z niedostateczną uwagą śledziło rozwój wydarzeń w Kambodży.

Tymczasem od pierwszej chwili sytuacja wewnętrzna Kambodży była daleka od stabilizacji, mimo przesiedleń i zniszczenia całej infrastruktury społecznej. Już w drugiej połowie czerwca 1975 roku wybuchło trzydniowe powstanie w prowincji Siem Reap, dosłow-

V
nie utopione we krwi przez ekspedycję karną ze stolicy, gdyż miejscowe siły Czerwonych Khmerów nie mogły sobie poradzić z rebelią. Po czterech miesiącach ta sama prowincja Siem Reap oraz prowincja Battambang znów stały się widownią poważnych rozruchów. W maju wybuchł bunt w prowincji Kandal, w czerwcu — w Kok Kon, w październiku przewlekłe bunty objęły kilkadziesiąt komun w prowincji Kompong Thom i Kompong Chhnang.

Trudno już dziś ustalić charakter polityczny tych buntów, o których zresztą nadal wiadomo niewiele, gdyż prawie wszyscy ich uczestnicy zostali wymordowani. Nie ulega wątpliwości, że przynajmniej część tych rebelii miała wyraźny charakter kontrrewolucyjny — i tak też tłumaczono je na użytek zewnętrzny. Armia Lon Nola liczyła ponad osiemdziesiąt tysięcy oficerów i żołnierzy, z których tylko część wymordowano w ciągu pierwszych dni. Ci ludzie mieli spore doświadczenie wojskowe, potrafili obchodzić się z bronią, przeważnie umieli pisać i czytać, a nie mieli literalnie nic do stracenia. Jest jednak rzeczą równie pewną, że przynajmniej część zbrojnych buntów miała charakter samoobronny, w zasadzie ludowy, co musiało prawdopodobnie zaniepokoić przynajmniej część Angkaru.

Pierwszy zasadniczy zwrot w polityce zagranicznej Angkaru nastąpił w czerwcu 1976 roku, podczas konferencji KPK-2. Jak zwykle, nie można ustalić, czy było to posiedzenie plenarne całego Komitetu Centralnego, czy doraźnie zwołana konferencja wybranych działaczy, czy wreszcie żadnej konferencji nie było, a Pol Pot przedstawił swą własną linię jako wyraz poglądów całej partii i wszystkich Czerwonych Khmerów. Przyjęto rezolucję po raz pierwszy zawierającą gwałtowne akcenty nacjonalistyczne, przede wszystkim antywietnamskie. Oskarżono kierownictwo wietnamskie o zamiar utworzenia tak zwanej Federacji Indochińskiej, zarzucono definitywnie w roku 1951

i całkowicie nierealny choćby z przyczyn ekonomicznych; przypomniano, że imperium khmerskie obejmowało kiedyś południe dzisiejszego Wietnamu; wysunięto postulat nowej demarkacji granicy morskiej, przy czym przedmiotem sporu stały się na nowo liczne wysepki, od ponad stu lat stanowiące niekwestionowaną część Kochinchiny, a potem Wietnamu. Rezolucja po raz pierwszy zawierała obelżywe epitety pod adresem Wietnamczyków jako narodu, i to również pod adresem tych, którzy od wieków zamieszkiwali w Kambodży. Nadal nie było napaści na ZSRR i europejskie kraje socjalistyczne ani też ocen natury ideologicznej.

Pol Pot był człowiekiem zdecydowanie zbyt inteligentnym, aby wierzyć w brednie, które wtedy uznano za linię partii. Musiał mu przyświecać znacznie głębszy cel, ale cel ten można tylko w przybliżeniu zrekonstruować. Prawdopodobnie obyczajem wszystkich dyktatorów postanowił odwołać się do prymitywnego nacjonalizmu jako najlepszego spoiwa dyktatury i zarazem najlepszego lekarstwa na zaburzenia wewnętrzne: odtąd ten, kto ośmielał się sarknąć na życie w komunach, miał być również zdrajcą narodu. Antagonizmy khmersko-wietnamskie mają za sobą długą i powikłaną historię, na tyle pełną legend, urazów i sprzecznych wersji, że stanowią znakomitą pożywkę dla dowolnego rodzaju manipulacji. Hasło „rewolucyjnego frontu narodowego Khmerów” rzeczywiście na pewien czas poskutkowało, a także umożliwiło całkowite usunięcie Sihanouka.

Wietnam zareagował na oskarżenia Pol Pota z powagą, ale spokojnie. Zaproponowano natychmiastowe rokowania graniczne, zwołano konferencję, wysunięto kompromisowe propozycje; Wietnam nie zaleczył jeszcze ran po najdłuższej wojnie XX wieku, a już stawał w obliczu następnej. Nic to jednak nie pomogło; dzieje rokowań wietnamsko-kambodżańskich przypominają rozmowę ze ścianą.

Z początkiem 1977 roku Pol Pota spotkał nowy, i to zupełnie nieoczekiwany cios: zaczęły się pierwsze dezercje Czerwonych Khmerów, wybuchły nowe powstania, w końcu rozeszła się wieść, że powstała nowa, trzecia z kolei, Komunistyczna Partia Kambodży, na której czele stanął prawdopodobnie już wówczas Pen Sovan, od dawna niechętnie ustosunkowany do grupy Pol Pota. (W maju 1979 roku KPK-3 została przemianowana na Partię Ludu Pracującego Kambodży; jej sekretarzem generalnym jest Pen Sovan.) Co ważniejsze, biedota chłopska nie popierała już Czerwonych Khmerów. Reżimowi zaczął się palić grunt pod nogami.

Nigdy już chyba nie będzie wiadomo, co właściwie stało się w Kambodży wiosną i latem 1977 roku. Można tylko przypuszczać, że część średniej kadry partyjnej, a może i samego Angkaru, skupiona prawdopodobnie wokół Hu Nima, zakwestionowała tempo przemian rewolucyjnych i zażądała, aby przywrócić przynajmniej niektóre elementy normalnego życia. Zdaje się, że przez krótki czas „liberałowie” istotnie mieli pewien wpływ na działalność Angkaru. Zapowiedziano na przykład zniesienie kategorii przydatności socjalnej w komunach (do czego nigdy zresztą nie doszło). Podjęto wstępne prace nad „budową ludowego, rewolucyjnego systemu oświaty” i wyznaczono nawet planowany termin uruchomienia szkół wiejskich na drugą połowę lat osiemdziesiątych. Wpuszczono niewielką grupę dziennikarzy zagranicznych do Angkor Wat. Khieu Sampan zaczął występować w roli szefa państwa, Ieng Sary wybrał się do ONZ.

Nagle wszystko to runęło w ciągu jednego tygodnia, na początku września 1977 roku. Hu Nim został zgładzony; data, miejsce i okoliczności jego zabójstwa nie są znane, jednakże wszyscy byli działacze Czerwonych Khmerów, z którymi rozmawiałem, zgodnie ten fakt potwierdzają. *Zamierzenia reformatorskie wstrzymano, tempo eksterminacji uległo wzmoczeniu, podjęto de-*

cyzję o zniszczeniu trzech prowincji przygranicznych. W KPK-2 i w kadrze Czerwonych Khmerów przeprowadzono straszliwą czystkę, której ofiarami padali nawet szefowie bezpieczeństwa w prowincjach i wyżsi oficerowie jednostek wojskowych. Prawdopodobnie nastąpiły zmiany w składzie samego Angkaru. „Rewolucja kulturalna” ma to do siebie, że nie można jej zatrzymać w połowie.

Z takim wianem szóstego października Pol Pot pociął do Pekinu. Był to drugi punkt zwrotny w jego polityce. Propozycja Pol Pota dla kierownictwa chińskiego była kompleksowa, przemyślana i trudna do odrzucenia: oferował Chinom Kambodżę jako dźwignię nacisku na Wietnam, proponował wszczęcie działań dywersyjnych w Laosie, przyłączał się bez zastrzeżeń do chińskiej polityki zagranicznej.

Dalszy ciąg wydarzeń świadczy, że Pekin, po niezbyt długim namyśle, przyjął ofertę Pol Pota. Od trzeciego do piętnastego grudnia tegoż roku przebywał w Phnom Penh chiński wicepremier Czen Jong-keui. Podpisano obszerny traktat między obu krajami (jego treść nigdy nie została ujawniona), wspólnie potępiono *socjalimperializm*, z dnia na dzień Kambodża stała się najgorliwszym eksponatem tej chińskiej polityki zagranicznej. Prasa chińska zaczęła nagle wychwalać „Demokratyczną Kampuczeę”. Teraz nie było już dnia, żeby z Phnom Penh nie rozlegały się niepoczytalne wprost napaści na *radziecki socjalimperializm* i *zdradziecki rewizjonizm rządzącej klikki wietnamskiej*. Sporadyczne początkowo napady Czerwonych Khmerów na południe Wietnamu zaczęły się stopniowo zamieniać w otwartą wojnę; trudno zresztą mówić o utarczkach granicznych, które pociągają za sobą śmierć trzydziestu tysięcy ludzi.

12 lipca 1978 roku w „Żen Min Żypao” ukazał się artykuł wstępny, wyrażający całkowitą, bez jakichkolwiek zastrzeżeń aprobatę dla „rewolucji kambo-

dżańskiej pod wodzą wybitnych działaczy rewolucyjnych, tow. Pol Pota i tow. Ieng Sary'ego". Artykuł zawierał również otwarte pogróżki pod adresem Wietnamu i zapowiadał, że Chiny gotowe są uczynić wszystko, aby „obronić wspaniałe zdobycze rewolucyjnego ludu Demokratycznej Kampuczei”. Nowo powstała KPK-3 doczekała się tylko epitetu: była to „garstka rewizjonistów znęconych przez oszustwa socjalimperialistyczno-wietnamskie”.

Tydzień wcześniej ogłoszono w Phnom Penh ów słynny cytat, który obiegł potem pół świata. Przemawiając 7 lipca 1978 roku na przyjęciu, wydanym przez Pol Pota dla techników i specjalistów chińskich przebywających w Kambodży, ambasador ChRL w Phnom Penh, nazwiskiem Sol Sun-hao, powiedział:

„Lud Kampuczei pod kierownictwem swej partii komunistycznej zastosował uniwersalne zasady marksizmu-leninizmu do rzeczywistości kambodżańskiej, dokonał rewolucji socjalistycznej i buduje gmach socjalizmu. Pracowaliście, towarzysze, w duchu poświęcenia, pokonując przeszkody, aby podnieść poziom materialny i kulturalny ludu. Osiągnęliście wspaniałe rzeczy — które wszystkich waszych przyjaciół napawiają entuzjazmem — na wszystkich frontach: rolniczym, kulturalnym, oświatowym i sanitarnym.”

Cynizm tego zdania trudno z czymkolwiek porównać, ale to w końcu nie jest najważniejsze. Istotniejsze wydają się motywy, dla których Chiny zdecydowały się przyjąć ofertę Pol Pota. „Rewolucja kulturalna” została już wówczas odwołana, Mao i Lin Piao nie żyli, „bandę czworga” rozgromiono, pojawiły się pierwsze różnice zdań z Albanią. Czynniki ideologiczne nie mógł zatem w żaden sposób wchodzić w rachubę. Zresztą Chińczycy doskonale wiedzieli, w jakim stanie znajduje się gospodarka Kambodży i jakie są nastroje wśród ludności — tym razem już całej ludności. Decydując się na całkowitą identyfikację z reżimem Pol Pota, dostarczając mu żywności, specjalistów, uzbro-

jenia, a nawet pewnych sum w dewizach — Pekiń nie mógł mieć żadnych złudzeń co do tego, że popiera koncepcję skompromitowaną już w Kambodży i za granicą.

Motyw tej decyzji mógł być jeden: zniszczenie Wietnamu. Tego samego dnia, kiedy w „Żen Min Żypao” ukazał się artykuł aprobujący wszystkie poczynania Pol Pota, Chiny zamknęły samowolnie jedyną linię kolejową, jaka łączy Wietnam z kontynentem azjatyckim. Mniej więcej w tym samym okresie doszło do mało w Europie znanych, a zupełnie niezwykłych pod względem skali działań dywersyjnych przeciw Wietnamowi na tle tak zwanego problemu Hoa, czyli ludności pochodzenia chińskiego. Pod koniec 1978 roku oficerowie chińscy zaczęli bezpośrednio nadzorować wypadki Czerwonych Khmerów na terytorium wietnamskie; dostawy chińskie zaczęły już obejmować artylerię średnich kalibrów, amfibie i najcięższą broń maszynową. Organizowane przez Chińczyków działania dywersyjne w Laosie przybrały na sile tak dalece, że prasa amerykańska w listopadzie 1978 roku zapowiedziała rychłe utworzenie federacji khmersko-laotańskiej, otwarcie wymierzonej przeciw Wietnamowi i to w najważniejszym, najtrudniejszym do obrony miejscu tego kraju. Sytuacja wyglądała więc tak: na północy 1100 kilometrów wspólnej granicy z Chinami i blokada strategicznej dla Wietnamu linii zaopatrzeniowej; na południu — półtora miliona Hoa, którzy raz dali już dowód swego idealnego wprost zdyscyplinowania wobec Pekinu, plus mętne kontakty chińskie z ludźmi obalonego reżimu sajgońskiego; w środku wreszcie, od zachodu, nekająca wojna graniczna, przynosząca coraz większe straty.

To wszystko stało się w ciągu piętnastu miesięcy. I tyle mniej więcej czasu upłynęło od momentu, kiedy w prasie europejskich krajów socjalistycznych po

raz ostatni pisano o grupie Pol Pota w sposób pochlebny.

CLV. Nie wiedzieliśmy. Tak rzeczywiście było w przypadku Kambodży. Ale co do mnie, doskonale wiedziałem, czym zajmuje się Savak w Iranie, a mimo to dwukrotnie siedziałem przy jednym stole z premierem Howeidą. Nie miałem żadnych złudzeń na temat Amina i początkowo szydziłem z niego publicznie, ale później zająłem się jakimiś pilniejszymi sprawami i więcej już nie wspominałem choćby o tym, jak to feldmarszałek Amin chciał postawić w Kampali pomnik Adolfowi Hitlerowi. Nie żywię wygórowanego mniemania o kilku innych reżimach tego typu, lecz dla świętego spokoju ulegam wymogom protokołu prasowego, które zabraniają krytyki głów państwa.

Na coś trzeba się w końcu zdecydować: albo na moralistykę, z której pożytki są więcej niż wątpliwe, albo na dziennikarstwo, które wymaga bywania wszędzie i rozmawiania z każdym. Tyrteizm ma swoje wspaniałe zalety, nie pozwala jednak zrozumieć świata, ponieważ obecność jest pierwszym warunkiem poznania. Oczywiście, że powinienem uważniej czytywać doniesienia prasy zagranicznej, jeśli przeczą mojej własnej wiedzy lub doświadczeniu. Tylko cóż to za gwarancja na tę wspaniałą przyszłość, jaka nadciąga?

CLVI. Rano wyszło na jaw, że skończyła się woda w łazience. Widocznie zbiornik na najwyższym piętrze napełniono za pomocą agregatu z okazji pobytu zagranicznych gości w hotelu. Do solidnej wanny i umywalki — był to najlepszy na świecie fajans Twyforda, znak rozpoznawczy najelegantszych hoteli z początków stulecia — wpełzły natychmiast przezrocyste stonogi, płaskie jak wstążka i szybkie jak iskry. Z mosiężnej armatury zaczął się wydobywać lepki, mdlący smród. Wody zabrakło tak nagle, że resztki mydła z

twarży musiałem zmyć przywiezionym z Wietnamu piwem.

CLVII. O dziewiątej premier Pham Van Dong składał wieniec pod Pomnikiem Niepodległości.

Pomnik ma postać pięciopiętrowej pagody o dziewięciu ażurowych lukach. Stoi na wzgórzu, w geometrycznym środku jednego z największych placów śródmieścia, ładując podobnego w założeniu urbanistycznym do paryskiego Placu Gwiazdy. Łuki są wykonane z jakiejś miejscowej odmiany trawertynu czy piaskowca, boleśnie nagie, obdarte z płaskorzeźb i tablic, jakie tu kiedyś wisiały. Pod sklepieniem płonął znicz: ceramiczny wazon napełniony benzyną.

Do placu prowadzi promieniście dziewięć szerokich ulic o rozdzielonych jezdniach; u ich wylotów stali żołnierze z bronią gotową do strzału. Leżeli też na dachach eleganckich willi lub tkwili w kwitnących krzewach forsycji i tamaryszku. Aleje aż po sam kraniec horyzontu były zupełnie puste, zastawione krzesłami i pocętkowane plamkami porzuconych butów. Na placu oprócz nas nie było ani jednej osoby cywilnej.

Premier, w towarzystwie Heng Somrina i Pen Sowana, podjechał czarnym mercedesem bez numerów rejestracyjnych na odległość półtora metra od stopni pagody. Ochrona stoczyła krótką, beznadziejną walkę z naszym długowłosym fotografem, który w stanie ostatecznego uniczenia kadrował twarz premiera z odległości trzydziestu centymetrów, a potem wspiał się jak małpa na kratę przed zniczem.

Orkiestra wojskowa znów zagrała tę straszną melodię, jaką słyszałem na lotnisku. Wydała mi się jeszcze bardziej spazmatyczna i przejmująca zgrozą. Dźwięki pobiegły w opustoszałe ulice, wpadały w rozwarte okna nie zamieszkałych domów, tonęły w ogrodach, których nikt nie doglądał, w końcu martwym echem wróciły pod pomnik.

Potem nastąpiła chwila ciszy, jak tego wymaga odwieczny protokół: hołd dla tych, którzy własnym życiem...

Chwila ciszy. Nigdy jeszcze nie słyszałem takiej ciszy w piękny, słoneczny poranek. Była niemożliwa do opisania, bezwzględna, naprawdę granicząca z wieczną ciszą kosmosu. Zamilkły nawet ptaki i świerszcze, wystraszone zawodzeniem orkiestry. Po sekundzie bardzo dalekie echo przyniosło stłumiony pogłos cwego żalobnego trenu. To miasto nadal było pustynią, cmentarzem, widmem.

CLVIII. Po raz pierwszy wybrałem się na dłuższą pieszą przechadzkę po mieście — zupełnie sam, tylko z aparatem przewieszonym przez ramię. Miałem dwie godziny dla siebie. Zacząłem od najbliższych okolic hotelu Le Royal.

Naprzeciw hotelu stał długi, trzypiętrowy budynek słynnego Liceum Francuskiego. Była to niegdyś najlepsza szkoła średnia w tej części świata, bardzo droga, lecz postawiona na wyjątkowo wysokim poziomie, słynąca z nowoczesnych metod nauczania, zwłaszcza przedmiotów ścisłych.

Znów pół godziny oszołomień. Korytarze zasłane śmieciami i stertami zwęglonych książek. Mapy ścienne podarte na drobne strzępy. Potłuczone młotkiem mikroskopy, wagi analityczne, modele maszyn. Archiwa szkoły częściowo spalone, częściowo zniszczone kwasem siarkowym z akumulatorów. Połamane lub porąbane urządzenia sali gimnastycznej, rozpruty kozioł, zdemontowana równoważnia. Przewody i wyłączniki wyrwane ze ścian, zmiażdżone projektory filmowe i magnetofony w laboratorium językowym, schody zasypane kłębami taśm filmowych i magnetofonowych.

W jednej z opustoszałych, zdemolowanych klas widniał na tablicy dobrze widoczny napis wykonany kre-

dą: les vacances! W kropce wykrzyknika kilkoma kreskami ktoś wyrysował uśmiechniętą, wesołą twarz.

CLIX. Byłem w sześciu opustoszałych domach, gdzie znów stały stoły nakryte do posiłku, w szafach wisiały ubrania, po podłogach wałały się zdjęcia, dokumenty i pieniądze. Wchodziłem do sklepów z antykami i do warsztatów cyzelerskich. Byłem w jakimś banku bez nazwy, gdzie w sejfach leżały nadal paczki rialów, wiązki weksli, podarte obligacje. Znalazłem sklep spożywczy doszczętnie opróżniony z towarów, z jednym tylko wyjątkiem: na półkach stały rzędem słoiki ze spleśniałą musztardą Dijon. Wszedłem do eleganckiej niegdyś restauracji; w kuchni, na zamarym od czterech lat palenisku, stał garnek wypełniony po brzegi matowymi skorupami krewetek i langustyn. W garnku roilo się mrowisko, pod płytą paleniska piszczały młode, ślepe szczury.

CLX. Podczas posiłku południowego, który znów jedliśmy w pawilonie restauracyjnym hotelu Le Royal, doszło do nieprzyjemnego incydentu. Carlos, pękając ze śmiechu, pokazywał kielich mszalny znaleziony w jakiejś stercie złomu, potem zaczął do kielicha nalewać swój ulubiony koniak. Nie było wśród nas katolików, lecz wszyscy naraz ostro zwróciliśmy mu uwagę. Carlos zachichotał i postawił kielich pod stół. To było jedno z jego bardzo licznych trofeów dzisiejszego przedpołudnia. Porozumieliśmy się wzrokiem z Andriejem. Widziałem, jak Andriej wstawił do wnętrza sklepu stojący na chodniku posążek Buddy; on widział, jak odbierałem Carlosowi album rzadkich znaczków pocztowych i oddałem go oficerowi khmerskiemu.

CLXI. Zwiedziliśmy jeszcze jeden szpital na dość odległym przedmieściu, jeden z najpiękniejszych i najrozumniej pomyślanych, jakie kiedykolwiek widziałem. Nosił nazwę Szpitala Przyjaźni Khmersko-Radzieckiej. Wzniesiono go na początku lat sześćdziesiątych, jako dar rządu i narodu radzieckiego, kosztem osiemnastu milionów rubli; wyposażyły go gratis rządy lub organizacje Czerwonego Krzyża pięciu krajów zachodnioeuropejskich: Szwecji, Francji, Szwajcarii, RFN i Finlandii.

Wyglądał tak samo jak szpitale, które widzieliśmy poprzednio: sterty potłuczonych ampułek, porozpruwane materace, zniszczone wyposażenie sal operacyjnych. W szpitalu nie było ani pacjentów, ani lekarzy — zabrakło nawet felczerów, aby zorganizować w tym supernowoczesnym budynku choćby prowizoryczne ambulatorium. W zachodnim skrzydle mieściły się tymczasowe koszary; młodzi chłopcy, zakłopotani niespodziewanym najazdem gości, w pośpiechu wciągali szewiortowe spodnie i wkładali czapki chińskiego kroju.

Przeczekałem, aż nasza grupa zejdzie o piętro niżej, i poszedłem do samego końca korytarza, zaglądając do kolejnych sal. Ostatnia z nich była zupełnie pusta. Kamienna podłoga była pokryta grubą warstwą skrzepniętej krwi. Gdzieś widać było kępki czarnych włosów, trzymające się resztek skalpów. W tym klimacie skóra ludzka bardzo szybko ulega odwodnieniu i, jeśli nie zostanie rozłożona przez gnijącą tkankę tłuszczową, ulega mumifikacji. Przypomina szeleszczący pergamin.

Na środku sali leżał chłopski nóż do ścinania trzciny cukrowej, o wyszlizganej rękojeści z bukszpanu i nieco poszczerbionym ostrzu. W środkowej części klingi widniały plamy ludzkiej krwi.

Nie udało się dojść, kogo i dlaczego dobijano lub zabijano tym nożem. W Kambodży bardzo niewiele rzeczy można ustalić z całą pewnością.

CLXII. W żaden sposób nie można się było oswoić z pustką i ciszą tego miasta. Opustoszałe ulice pograżone w cieniu późnego popołudnia przypominały kulisy teatralne; krzesła na chodnikach potworniały jak podmorskie ruiny zamków, martwe okna i sklepy sprawiały wrażenie wrót do piekła. Przebiegające szczury włokły za sobą cienkie, ostre smugi, jak w jawajskim teatrze cieni. Zaczynały latać czarne nietoperze, ogromne, leniwe ćmy o zielonkawych odwłokach; wysoko, nad najwyższymi piętrami domów wisiały nieruchomo jakieś wielkie ptaki, podobne do sępów. Było w tym trupim pejzażu coś ze średniowiecznych wizji apokalipty, klimat nierzeczywistości, snu, majaczenia, jakichś zapomnianych sztychów lub rysunków. Zerwał się przedwieczorny wiatr i rozniósł po wąwozach ulic liście, pieniądze, taśmy i nie dopalone papiery.

CLXIII. Potem zrobiło się nagle cicho. Ekipy miały już dość trupiego zapachu, upału, popychania Isuzu, wojskowej zupy. Zapowiedziano nieoficjalnie, że za dwa lub trzy dni, w zależności od stanu bezpieczeństwa, zostanie zorganizowana wyprawa do Siem Reap. Był to wystarczający powód, aby wrócić do Wietnamu, wykapać się, pójść do Rexa i czekać, co Bóg dalej zdarzy.

Poszedłem do szefa ochrony i niedbale, lecz bardzo stanowczo oświadczyłem, że zostaję w Phnom Penh. Znałem już na tyle miejscowy obyczaj, żeby wytrzymać pierwszy kwadrans kategorycznych odmów i absolutnie nieodpartych argumentów. Tego trzeba po prostu wysłuchać, a potem zacząć od nowa.

Zostało nas tylko czterech: Andriej z operatorem, Gerhard i ja. Tamci trzej mieszkali w mniejszym, zachodnim skrzydle. Mnie przypadł ten sam pokój nr 14, gdzie zamordowano Caldwell — i całe skrzydło wschodnie, liczące łącznie 38 pokoi.

Nie byłem przygotowany na dłuższą wyprawę. Mia-

łem na sobie tylko jedyną koszulę, która zdążyła już zeszytywnieć od brudu i potu. Kończył mi się zapas papierosów i gaz w zapalniczce. Nie wziąłem ze sobą kawy, bez której nie umiem się obudzić.

Zapadł nagły zmrok. Po kolacji w pawilonie — zupa roślinna z kłaczkami suszonego mięsa, makaronem sojowym i płatkami surowej cebuli — zeszliśmy się w zakurzonej saloniku na parterze, wśród źle wyrzeźbionych jeleni, szczerbatych nimf i ponadtlukiwanych amfor.

Rozlałem *lua moi* do filiżanek z napisem *made in Japan*. Gerhard wyciągnął ostatni zapas salami. Andriej, ni stąd, ni zowąd, powiedział do mnie po polsku: nie bądź pan takim cholernym angielskim snobem. Dlaczego angielskim? Usiłowałem wyciągnąć z Andrieja, gdzie się tego zdania nauczył, ale nic z tego nie wyszło; odpowiedział mi jakąś anegdotą po wietnamsku.

Padła propozycja, aby zagrać w belotkę.

Gerhard i ja nie graliśmy w belotkę.

Andriej roztasował karty i zaproponował pokera. Gerhard nie grał w pokera. W ogóle, w żadne gry karciane.

W saloniku zapadło milczenie. Przez otwarte okna napływało gorące, rozedrgane powietrze; stale odnosiłem wrażenie, że nocą jest tu jeszcze goręcej niż w ciągu dnia. Z daleka dobiegały pojedyncze odgłosy strażaków i ciężki krzyk cykad.

Wypiliśmy po następnej filiżance wódki. Dochodziła dziewiąta. W tej temperaturze nie ma mowy, żeby usnąć o dziewiątej. Wyszliśmy na dziedziniec hotelu, ale młody wartownik zaczął wymachiwać pistoletem: „Nie wolno. Złe elementy puk-puk”. Rzeczywiście, ściana aksamitnej ciemności za ogrodzeniem hotelu wyglądała ponuro i zdradziecko.

Zaproponowałem, że wyłożę zasady gry w kanastę. Gerhard nie odróżniał jednak króli od waletów. We trzech w kanastę grać trudno.

Spytałem, czy ktoś słuchał radia i wie, co się dzie-

je na świecie. Co w Iranie? Kiedy podpiszą SALT II?

Nikt nie wiedział i nie miał ochoty na dyskusje o polityce międzynarodowej ani o Chomeinim. Z wyjątkiem Gerharda, który był gotów dyskutować o wszystkim.

Potem trzej Słowianie odśpiewali pewną balladę z Odessy oraz smętną dumkę o atamanie Machno. Gerhard kazał sobie przetłumaczyć teksty, ponieważ piosenki bardzo mu się podobały, i zapisał je sumiennie w notesie. *Puła — ein Geschoss. S naszym atamanom — mit unseren Ataman. Was heisst ein Ataman?*

Ein kosakischer Kriegsherr, powiedziałem, niepewny, jak zwykle, niemieckich przypadków i końcówek.

So was, zdziwił się Gerhard.

Le commandant des Cosaques, uzupełnił Andriej i nalał *lua moi* do filiżanek.

Gerhard spytał, czy ataman jest najwyższą rangą w armii kozackiej.

Och, nie, odpowiedziałem. Jest jeszcze *Oberataman*.

So was. Ciekawe.

Siedzieliśmy w czarnej, gorącej pustyni, otoczeni nocą bez końca, strzeżeni tylko przez jednego młodego chłopca, bez broni, tak nieskończenie oddaleni od swoich krajów, jak gdyby los zaniósł nas na Księżyc lub środek oceanu. Absurdalna nuda, dręcząca, niepokonana, gorsza od choroby, obezwładniła nas jak narkotyki.

Przez otwarte drzwi do holu wszedł duży, zielony gekong, długi na czterdzieści centymetrów. Różowy, niespokojny język migotał mu w gardle jak neonowa reklama. Maleńkie, czarne oczka popatrzyły na nas ze znudzeniem.

Isz, kakaja swołocz, powiedział ospale operator, ale nie ruszył się, żeby przepędzić jaszczura.

Pięć po wpół do dziesiątej zgasło w hotelu światło.

CLXIV. Wdrapałem się po ciemku na pierwsze piętro, po tych samych drewnianych, skrzypiących scho-

dach, którymi sześć tygodni temu wbiegł nieznany zabójca Caldwell. Opadł mnie nagle bezsensowny żal, że nigdy nie poznałem tego Anglika. Nie wiem nawet, jak wyglądał; pomyślałem, że przydałby się teraz jako partner do przedsennej dyskusji.

Namacalem ścianę korytarza, odliczyłem palcami trzy pary drzwi. Słaby płomyk zapalniczki oświetlił plamę krwi, czternastkę na rozeschniętych drzwiach i obluzowaną klamkę, która niczego nie zamykała.

Klimatyzator już nie działał, musiałem otworzyć na oścież okna, ale po chwili zasunąłem grube, zakurzone kotary; za oknem roily się ogłupiałe nietoperze. Drzwi nie można było zamknąć od wewnątrz; przycisnąłem je fotelem, na którym po namyśle, postawiłem jeszcze niewielki stolik. Z łazienki niósł się słodkawy zapach, przypominający woń rozkładających się zwłok. Uchyliłem drzwi. Płomyk oświetlił stłoczone, wibrujące rojowisko karaluchów, jaszczurek i pajaków, przepychających się wokół zatkanej umywalki. Musiałem oszczędzać resztki gazu w zapalniczce; próba zdobycia paczki zapalek była z góry skazana na niepowodzenie.

Nie miałem ze sobą żadnej książki lub czasopisma; a gdybym nawet miał, czytanie było niemożliwe w ciemności. Nie mogłem niczego zapisać w dzienniku podróży. Sen wydawał się odległy jak marzenie.

Otrzepałem moskitierę, przepędziłem z prześcieradła jaszczurki, przyświecając sobie coraz słabszym płomykiem zapalniczki. Wsunąłem się pod moskitierę i zacząłem układać w myśli korespondencję dla swej agencji, ucząc się na pamięć zdania po zdaniu. Jest to wypróbowany sposób na bezsenność. Zamiar pisania książki o Kambodży wydał mi się tak bezbrzeżnie idiotyczny, że zawstydziłem się nakreślonych już szkiców.

Nagle tuż koło mnie rozległ się potworny, ogłuszający huk. Trwał tylko przez ułamek sekundy, nie posypały się odłamki, nie zmieniło się w ogóle nic, ale bębenki moich uszu wibrowały aż do bólu, serce zatrzymało się na chwilę, krew spłynęła do nóg.

Odczekałem chyba ze dwie minuty i sięgnąłem po zapalniczkę. Pokój był tak samo ciemny i cichy, jak przed chwilą. Wyplątałem się spod zwojów moskitiery, ruszyłem w stronę drzwi, podświadomie schylając się koło ściany. Trwało dobrą chwilę, zanim wykryłem przyczynę huk. Na stole stał chiński termos z wrzątkiem, wstawiony widocznie przed wieczorem przez żołnierzy z eskorty. Ciśnienie wysadziło korek, bezmierna cisza otoczenia nadała temu zwielokrotniony efekt wybuchu.

Nie potrafiłem się roześmiać sam z siebie. Wracając pod moskitierę pomyślałem ze złością, że takie przygody są dobre dla początkujących reporterów. Trochę już za dużo tych śmieszno-strasznych historyjek. Znow zacząłem układać zdania do korespondencji; potem pojawiła się wizja zaśniewanej Warszawy — garść śniegu wydawała się w tym żarze czymś nierealnym, zrodzonym z gorączki — i twarze ludzi, z którymi wiąza się jakieś ważne sprawy życia. Mgła wspomnień podsunęła pierwsze wyprawy na Moluki, jakiś gaj koło balijskiego Denpasaru, potem bambusy zamieniły się w dostojne mazurskie lipy i klony.

Spojrzałem na fosforyzującą tarczę zegarka: dochodziła dopiero dwunasta. Po moskitierze biegały jaszczurki; nie mogłem ich dostrzec w ciemności, lecz czułem delikatny chrobot ich rozczapierzonych palców i prawie niesłyszalne mlaskanie wibrujących języków. Za oknem rozległ się krótki, gwałtowny dźwięk, nie wiedziałem, czy jest krzykiem przestraszonego człowieka, czy wabieniem jakiegoś nocnego ptaka. Pamięć zaczęła się rwać jak źle zmontowany film. Zobaczyłem siebie samego, jak idę w zimowy poranek niedzielnymi ulicami warszawskiej Woli; co jeszcze może przynieść to zwariowane, nieprzepowiadalne życie? Ten chłopiec, okutany w znoszone lachy, rozczytany w podróźniczych książkach, owładnięty potrzebą przygód — czy to naprawdę ja, ten sam? Jakiś piknik nad oceanem; jakieś studenckie zebranie na uniwersytecie,

gdzie mówiłem długo i głupio; i ten niedawny wiec w Indiach, kiedy ze ściśniętym gardłem przyrzekłem sobie jeszcze raz, że nie odejdę, nie odstąpię, nie zamienię. A potem zarośnięty ugór w Prey Veng, czaszki, szkielety, miednice, studnia napełniona płynem z ludzi.

Usnąłem.

CLXV. Obudziłem się dwadzieścia po drugiej, z niezbitym przeświadczeniem, że ktoś znajduje się w pokoju. Było zupełnie cicho, zza okna nie napływał żaden, nawet najmniejszy dźwięk. Zgrabiłymi od snu palcami próbowałem skrzesać zapalniczkę. Kilka iskier spowodowało ruch na moskitierze; kiedy włożyłem szkła, a lichey płomyk rozświetlił ciemność, dostrzegłem najpierw uciekającego, kudłatego pajaka, którego tułów musiał mieć z osiem centymetrów średnicy. Potem zorientowałem się, że górna część moskitiery jest wygięta pod ciężarem. Siedział tam spory gekong; jego białozielone gardło pulsowało rytmicznie, szponiaste łapy czaiły się do skoku. Uderzyłem z wściekłością w brzuch gekonga. Muślin moskitiery był tak cienki, że lada moment mógł się zerwać pod ciężarem zwierzęcia. Jaszczur wyplątał się jakoś z wgłębienia i splunął pogardliwie pod siebie. Usnąłem jeszcze raz, wbrew wszystkim prawom własnej fizjologii. Ciemność i cisza były tak całkowite, że lekki sen zląkł się ich wszechmocy.

CLXVI. Następnego ranka nasza grupa znów się powiększyła. Wojskowym samolotem przyleciał Leonid oraz dwóch Bułgarów. Oczywiście tylko na jeden dzień, wieczorem samolot miał ich zabrać z powrotem. Nocować w Phnom Penh nie można, absolutnie nie można.

My czterej, brudni, zarośnięci, jednakowo źle wyspani, wysłuchaliśmy tych zapewnień z ironicznymi

uśmiechami. Łączyła nas już irracjonalna więź weteranów i doświadczonych, niemal frontowych żołnierzy pierwszej linii. Musieliśmy koniecznie okazać przybyszom tę naszą nieopisaną wyz szość. Ciekawe, skąd się właściwie bierze w człowieku tyle kabotyńskiej, absurda lnej potrzeby górowania nad innymi, i to pod byle jakim pretekstem.

CLXVII. Wyszło na jaw, że nasza eskorta spędziła noc w pawilonie dawnej służby hotelowej odległym o sto pięćdziesiąt metrów od głównego gmachu. Nie byliśmy więc tak sami i opuszczeni, jak sądziliśmy wieczorem. Co prawda wejścia do hotelu strzegł rzeczywiście jeden tylko wartownik. Musiałoby minąć przynajmniej pięć minut, zanim pluton ochrony mógłby mu przyjść z pomocą w razie napadu. Zresztą do głównego gmachu można było wejść bez przeszkód po gałęziach drzew kamforowych rosnących wokół niskiego murku, który biegł wzdłuż hotelowego ogrodu.

Od żołnierzy dostałem w prezencie dwa flakoniki japońskiego gazu do zapalniczki.

CLXVIII. Po śniadaniu pojechaliśmy obejrzeć słynną szkołę Tourl Soay Prey*. Słynną dlatego, że zdjęcia filmowe, wykonane w tej szkole przez khmerską czołówkę filmową w dniu wyzwolenia stolicy, obiegły wszystkie telewizje świata. Mimo wszystko niewiele było takich zdjęć w bieżącym stuleciu.

Szkoła Tourl Soay Prey mieści się w południowej części miasta, mniej więcej trzy kilometry od centrum. Jest to nowoczesny, stosunkowo zgrabny budynek w kształcie dwóch złożonych liter L, otoczony poczwórnym pasmem kolczastych zasieków i wysokim dwumetrowym murem. Kilka dni po wkroczeniu Czerwo-

* Szkoła ta nosi również nazwę Tuol Sleng, gdyż tak nazwano pierwsze, zachodnie skrzydło budynku.

nych Khmerów wywieziono stąd całe wyposażenie i zamieniono szkołę na centralne więzienie dla najważniejszych więźniów politycznych.

Zdjęć filmowych, o których mowa, dokonano 7 stycznia 1979 roku około godziny 15.00 w zachodnim skrzydle szkoły. Klasy drugiego i trzeciego piętra, zamienione na cele, były już zupełnie puste; klasy parteru — jest ich osiemnaście, z dawnym pokojem profesorskim i pomieszczeniem dla woźnych — zamieniono na izby tortur. Właśnie w jednej z nich znaleziono owego żywego jeszcze mężczyznę, którego widziałem w szpitalu Preah Ket Mealea. Czternastu pozostałych więźniów już nie żyło. Zmasakrowane, spazmatycznie powykręcane zwłoki były jeszcze przykute łańcuchami do żelaznych łóżek, po zeszywniałych ramionach i rozdętych brzuchach chodziły kury, wydziobując robaki z ropiejących ran.

Tych ludzi, o których dosłownie nic nie wiadomo, pogrzebano pośpiesznie na dziedzińcu szkoły, pod cienką warstwą ceglanego gruzu, który pochodził prawdopodobnie z istniejącego tu kiedyś kortu tenisowego. Zapach gnijących ciał był ciągle jeszcze dojmujący, przesiąkł mury szkoły. Na środku dziedzińca stoją dwa żelbetowe słupy o wysokości czterech metrów, opatrzone potężnymi hakami. Każdy z osobna służył jako szubienica; niekiedy używano obu równocześnie w celu stworzenia tak zwanej huśtawki. Do jednego słupa podwieszano więźnia za związane ręce, do drugiego — za nogi. Rozstęp między słupami wynosi około trzystu trzydziestu centymetrów, z czego wynika, że ciało więźnia wyginało się w łuk pod własnym ciężarem. Ludzie, którzy to urządzenie zaprojektowali, musieli się niezłe znać na anatomii. Na jednym ze słupów wisi jeszcze strzęp grubej na dwa palce, konopnej liny, zawiązanej wokół stalowego haka.

Izby tortur wyglądały tak samo jak w dniu wyzwolenia; brakowało tylko zwłok. W klasach szkolnych stały żelazne łóżka o dziwacznej konstrukcji, chyba

specjalnie wykonane na potrzeby więzienia, ponieważ nigdy przedtem nie widziałem niczego podobnego. W spawanej z kątowników ramie tkwiły prostopadle cztery potężne, zastrzone na górnych końcach sztaby. Między kątownikami biegła siatka z bardzo grubego drutu, właściwie z prętów. U węzłowia widniał stalowy krzyżak; służył prawdopodobnie do unieruchamiania głowy więźnia. Do wszystkich łóżek były nadal przykute okowy lub kajdany zamykane na kłódkę.

Podłogi klas były pokryte kałużami skrzepniętej, wiśniowobrunatnej krwi i strzępami włosów. W jedenastu klasach leżały jeszcze narzędzia tortur. Były to głównie składane łopatki saperskie, używane przez armię amerykańską. Ważą około dwóch kilogramów. Można je ustawić w pozycji pionowej i przypominają wówczas zwykły szpadel o krótkim trzonku, ale można też zablokować ostrze prostopadle do trzonka i wówczas przypominają motykę z nadmiernie szerokim ostrzem.

Na wszystkich łopatkach widniały ślady krwi. Spośród oku wystawały ludzkie włosy.

Oprócz łopatek spostrzegłem osiem drewnianych pałek, okutych na jednym końcu nasadką ze stalowej blachy i prawdopodobnie napełnionych ołowiem, poza tym dwa pejce z bawolej skóry, trzy pary obcęgow, dwa rzemieńne paski ponabijane metalem i dwa chłopskie noże do ścinania trzciny. Wszystkie izby były zupełnie puste, z wyjątkiem ustawionych pośrodku żelaznych łóżek. Tylko w przedostatnim pokoju znajdował się stolik, na którym leżała wywrócona i potłuczona maszyna do pisania z francuską klawiaturą. Okna klas nie były zakratowane; pojedyncze pasmo drutu kolczastego można było bez trudu odsunąć.

Więzienie w Tourl Soay Prey było wyjątkowo silnie strzeżone i otoczone głęboką tajemnicą. Nie prowadzono tu zapewne żadnej dokumentacji, ponieważ musiałyby po niej pozostać jakieś niewielkie choćby ślady. Czerwoni Khmerowie opuszczali Phnom Penh

w pośpiechu i nie mieli czasu ani na zniszczenie papierów, gdyby były, ani na ich zabranie ze sobą. Dlatego o więźniach, którzy tu zginęli w najokropniejszej męce, nie wiadomo właściwie nic. Sądzi się powszechnie, że byli to ludzie z kadry Czerwonych Khmerów, przyłapani na dezercji lub na próbie spisku. Wobec innych, którzy tak czy inaczej byli przeznaczeni do eksterminacji, nie było potrzeby stosowania aż tak wyrafinowanych tortur: wystarczały motyki plutonów egzekucyjnych w komunie.

Być może więzienie Tourl Soay Prey spełniało również funkcje śledcze; zdaje się jednak, że głównym zajęciem jego obsługi było zadawanie możliwie najpowolniejszej śmierci. Wskazuje na to i sposób przykuwania więźniów, uniemożliwiający im jakikolwiek ruch, i używanie łopatek, które powodowały głębokie, lecz ograniczone co do powierzchni obrażenia. Wszyscy więźniowie, których tu zastano martwych w dniu wyzwolenia, mieli połamane prawie wszystkie kości, rozległe wylewy wewnętrzne, zmasakrowane twarze, ale ich głowy były pozbawione głębszych ran. Bicie odbywało się prawdopodobnie po kilka godzin na dobę i trwało tak długo, dopóki więzień nie stracił przytomności. Nie wiadomo, czy ofiary otrzymywały jakiegokolwiek pożywienie, a zwłaszcza wodę do picia. W odróżnieniu od katowni w Prey Veng, gdzie stało kilkanaście misek, w tym więzieniu nie widziałem w celach ani jednego naczynia.

Niewyobrażalny ból połączony z torturą pragnienia i niemożliwością zadania samemu sobie wymarzonej śmierci; oczywista bezcelowość cierpień i brak nawet najlżejszej nadziei na ocalenie; miliony moskitów, wlatujących nocami przez okna bez szyb; wielkie, kłuszące mrówki, biegające po ciele w poszukiwaniu ropy lub świeżej krwi; widok porzuconej łopatkii saperskiej, która za kilka godzin znów zacznie ranić nabrzmiałe tkanki i łamać zdrowe jeszcze kości. Wystarczy to sobie uświadomić, postawić się samemu w położeniu tych

więźniów, aby zwątpić na chwilę o wszystkim. O całej historii człowieka, o wszelkich prawach, ideach i normach.

CLXIX. W podziemiach zachodniego skrzydła szkoły znajduje się niewielkie, mroczne pomieszczenie o powierzchni pięciu metrów kwadratowych. Był to chyba kiedyś magazyn pomocy naukowych, ponieważ na półkach stoją nadal stłoczone kolby i menzurki, widać pokryte kurzem tarcze galwanometrów i porzewiałe korbki szkolnych prądnic.

W tym pomieszczeniu odbywały się najstraszniejsze ze wszystkich tortur.

Pośrodku izby stoi mocne, drewniane krzesło, którego siedzisko jest wyłożone arkuszem mosiężnej blachy, a wzdłuż oparcia biegną dwie grube, płaskie elektrody z miedzi. Do bocznych wsporników przytroczone są bardzo grube pasy skórzane, którymi unieruchamiano więźnia.

O pół metra dalej stoi amerykański transformator firmy General Electric, umożliwiający bezstopniowe zwiększanie napięcia od zera do stu siedemnastu wolt. Jego moc musi być spora, ponieważ końcówki uzwojenia są wykonane z grubych, starannie izolowanych warkoczy. Płatanina kabli łączy amperomierz, woltomierz i jakiś nożycowy wyłącznik z elektrodami i blachą krzesła. Prawdopodobnie w ten sposób przepuszczano przez więźnia niższe napięcia o większych natężeniach. Ale musiał być też inny sposób częściowego spalania tkanek i porażania nerwów; tuż obok krzesła leżą dwa grube pręty miedziane zakończone uchwytem szczypcowym. Być może podłączano je bezpośrednio do autotransformatora, który nastawiano na najwyższe napięcie, albo do dwóch wielkich akumulatorów czołgowych, ustawionych jeden nad drugim i połączonych szeregowo.

Pod nogą krzesła leży lutownica elektryczna o mocy

dwustu lub trzystu watów. Jej grot jest pokryty plamami krwi i nie dopalonym skalpem z włosami.

W pomieszczeniu unosi się gorzko-słodki zapach spaliny, spatynowanej miedzi i elektrolitu. Żadne z urządzeń już nie działa. W Phnom Penh nie ma elektryczności.

CLXX. Przy wyjściu z korytarza natknęliśmy się na rulon zwiniętego papieru niezłej jakości. Był to typograficzny plakat, jedyny, jaki w tym kraju widziałem. Nad wielką mapą Półwyspu Indochińskiego pochylały się dwie karykaturalne postacie — prezydent Ho Szi Minh oraz prezydent Stanów Zjednoczonych, Lyndon Johnson. Obejmowali się serdecznie prawymi rękami, podczas gdy ich lewe ręce o rozczapierzonych palcach sięgały po południową część mapy. Z oczu jednego i drugiego płynęły wielkie łzy, na ustach błąkał się identyczny uśmiech. Palce wskazujące dłoni obu polityków spotykały się nad tym miejscem mapy, gdzie znajduje się Kambodża.

Nic nie można było zrozumieć z tego plakatu. Kto i po co mógł go wydrukować? Johnson opuścił amerykańską scenę polityczną w roku 1968, w okresie największego nasilenia interwencji w Wietnamie i najkrwawszych walk na Południu, zwłaszcza podczas ofensywy Tet. Pomysł, że Wietnam i Stany Zjednoczone mogłyby ze sobą konspirować w jakimkolwiek celu, musiał być produktem choroby umysłowej. Ale pacjenci klinik psychiatrycznych nie drukują plakatów. Jeśli nawet plakat został osobiście wymyślony lub wręcz narysowany przez Sihanouka, to jego wymowa przeczyłaby ówczesnej linii politycznej, ponieważ, dostrzegając zagrożenie ze strony Błękitnych Khmerów, Sihanouk łądził wtedy swe poprzednie poglądy antyimperialistyczne, niekiedy bardzo skrajne. Trudno też sądzić, aby plakat był dziełem chińskim. Pekin w tym okresie zajmował stanowisko zdecydowanie wrogie

wobec Stanów Zjednoczonych, i nadal, choć w mniejszym już stopniu, popierał walkę Wietnamczyków.

Nie udało się nam rozwikłać tej zagadki. W tym kraju naprawdę *bardzo niewiele rzeczy można ustalić z całą pewnością.*

CLXXI. Szkoła Tourl Soay Prey jest nadal bardzo silnie strzeżona przez uzbrojonych wartowników i patrole, krążące między murem i zaskakami. Zapytaliśmy, czemu przypisać tę silną ochronę, skoro katownię ma się w przyszłości zamienić na muzeum męczeństwa. Odpowiedziano nam niechętnie i możliwie najkrócej, ale to w zupełności wystarczyło, abyśmy już nie odstępili od tego tematu.

We wschodnim skrzydle szkoły mieści się więzienie śledczo-reedukacyjne dla Czerwonych Khmerów.

Dyskusje trwały około czterdziestu minut, absolutna niemożliwość odwiedzenia więzienia ścierała się z absolutną koniecznością dostarczenia zdjęć. Padły wszelkie dające się pomyśleć argumenty. W końcu ściągnięto żołnierzy z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału i weszliśmy na otoczony drutem kolczastym dziedziniec wschodniego skrzydła.

Pierwszy widok, jaki rzucił się nam w oczy, w niczym nie przypominał więzienia. Na trawniku siedziało w kucki około trzydziestu osób w cywilnych, dość porządnym ubraniach, wśród nich cztery stosunkowo młode kobiety. Między siedzącymi przechadzał się oficer w mundurze bez dystynkcji i monotonnym głosem odczytywał z trzymanej w ręku broszurki jakiś tekst po khmersku, w którym co czwarte lub piąte zdanie zawierało znajome słowa: Pol Pot-Ieng Sary. Kiedy odczytywanie tekstu dobiegało końca, ludzie siedzący w kucki zaczęli klaskać; ich twarze nie wyrażały nic, dosłownie nic. Po czym wszystko zaczynało się od początku.

Popatrzyliśmy na tę scenę przez kwadrans. Tekst,

oklaski, tekst, oklaski. Więźniowie nie przejawiali w ogóle żadnego zainteresowania naszym pojawieniem się na dziedzińcu, czasem tylko zerkali od niechcienia na wartowników. Najmłodszy chłopiec mógł mieć około dziesiętnastu lat, najstarszy mężczyzna wyglądał na pięćdziesiątkę. Wiek kobiet trudno było określić.

Zapragnęliśmy porozmawiać z Czerwonymi Khmerami.

A, nie, to niemożliwe.

Dlaczego?

Z tymi ludźmi rozmawiać nie wolno.

Ale dlaczego?

Ponieważ przechodzą reedukację.

Właśnie, to bardzo interesujące. Chcemy usłyszeć, czego się nauczyli i co zrozumieli.

Nie. Jest zakaz. W ogóle nie wolno.

Postaliśmy przez następny kwadrans. Z sal na piętrze również dobiegły oklaski — monotonne, bardzo rytmiczne, dość silne. Z drugiego piętra rozległ się zbiorowy śpiew, podobny do recytacji.

Czy ci tam, na piętrach, też przechodzą reedukację?

Tak.

Czy możemy ich zobaczyć?

Nie. Nie wolno przerywać reedukacji.

Czy możemy porozmawiać z kimś, kto już ukończył reedukację?

Nie. Takich jeszcze nie ma.

A czy możemy porozmawiać z kimś, kto w ogóle nie był poddany reedukacji?

Oczywiście. Zaraz go pokażemy.

Po dwóch minutach żołnierz przyprowadził pierwszego z naszych rozmówców dotykając lufą automatu pleców więźnia. Był to młody mężczyzna o wspaniałej, wręcz pięknej twarzy i czarnej burzy włosów nad czołem, ubrany w czystą, choć mocno już wyszarżałą bluzę, kraciasty zawój na szyi i płócienne spodnie. Był bosy; na przegubach rąk nie dostrzegłem śladów po

kajdankach. Stał bez słowa przed nami i cierpliwie pozwalał się fotografować.

Spisaliśmy najpierw personalia. Nazywa się Moah Khun, ma lat 28, pochodzi z prowincji Kompong Chhnang. Walczył w partyzantce Czerwonych Khmerów, po wyzwoleniu był szefem komuny, później szefem bezpieczeństwa.

Jak się nazywała ta komuna?

Khun nie pamięta, powiedzieli tłumacze.

Jak to nie pamięta? Jak można zapomnieć nazwę miejsca, gdzie spędziło się prawie cztery lata życia?

Nie, on nie był tylko w tej jednej komunie. Przerzucano go.

Mniejsza z tym. Czy on umie pisać i czytać?

Nie. Nie umie.

Ile osób zabił?

Chwila przerwy. Moah Khun umie liczyć tylko w systemie dwunastkowym. Odgina spokojnie palce prawej dłoni, liczy długo i w końcu powiada, że zabił dwanaście razy dwanaście i jeszcze osiem razy po dwanaście osób. Razem dwieście czterdzieści.

Gdzie to się stało?

W Phoum Thamay.

Czy to właśnie w tej wsi był szefem komuny?

Tak. To znaczy nie. Przerzucano go często. On mówi, że to było gdzie indziej.

Co było gdzie indziej?

Tłumacz traci wątek. Dajemy za wygraną. Pytamy, czy Moah Khun ma dzieci.

Tak. Jedno. Nie, dwoje.

Duże?

Moah Khun pokazuje ręką: pół metra nad ziemią. Potem stopniowo podnosi dłoń do wysokości własnego biodra.

Czy zabijał również dzieci?

On nie rozumie.

No, czy zabijał obce dzieci?

On nie pamięta.

Dlaczego zabijał ludzi?

Ponieważ takie były rozkazy.

Kto wydał rozkaz, żeby zabić dwieście czterdzieści osób?

On nie wie.

Podniosłem głos. Zażądałem od oficera i tłumacza, aby przyspieszyli proces myślenia u Moah Khuna. Nie wyglądał na debila; jego wielkie, płonące oczy o barwie węgla miały w sobie raczej szaleństwo niż idiotyzm. Więc kto wydał taki rozkaz?

On mówi, że nie wie. Przyjeżdżali jacyś. Różni. Gdyby nie wykonał rozkazów, sam zostałby zabity.

Kim byli ludzie, których zabijał?

Oficerowie Lon Nola.

A kobiety?

Też oficerowie. To znaczy żony oficerów. Zresztą, on nie wie. To było dawno.

Ile osób zastrzelił?

Jedną.

Jedną na dwieście czterdzieści? To znaczy, że resztę zabijał motyką?

Tłumacz zapomniał, jak się nazywa motyka po khmersku. Ze stosu złomu podniosłem spory, metalowy pręt i zamachnąłem się nim w powietrzu, jak gdybym miał zamiar strzaskać więźniowi czaszkę.

Moah Khun kiwnął głową: tak, właśnie tak zabijał. Ale teraz nie wciągnął nawet głowy w ramiona i nie cofnął się nawet o pół kroku. Oficer ostro zwrócił mi uwagę, że nie wolno się tak zachowywać.

Dobrze. Co jeszcze ma do powiedzenia ten człowiek?

Dostaje za mało jedzenia. Tak mówi.

Ach tak, za mało jedzenia. A kiedy wróci do wsi Phoum Thamay?

On nie rozumie.

Pytam, czy chce wrócić do wsi, w której zamordował dwieście czterdzieści osób.

Nie. On woli zostać tutaj.

Przez chwilę patrzyliśmy w milczeniu na tego smuk-

łego, ciemnego chłopca; na jego smagłe dłonie o szczupłych palcach, złożone na brzuchu, na zmierzwioną czuprynę, na delikatne rysy twarzy i cienkie, wąskie nozdrza. Czy tak może naprawdę wyglądać morderca dwustu czterdziestu ludzi? Stał przed nami w pełnym słońcu, spokojny, kruchy, niewysoki. Dziedziniec był napełniony zapachem trupów, leżących pod ceglanym gruzem o czterdzieści metrów od miejsca, w którym teraz staliśmy. Z niewielkiej odległości dobiegały co chwilę odgłosy pojedynczych strzałów, w różnych miejscach budynku zrywały się rytmiczne oklaski, dwa rzędy reedukowanych wysłuchiwały tekstu broszurki.

Nie wiedzieliśmy, o co dalej pytać. Wartownicy uznali tę chwilę naszej bezradności za zakończenie rozmowy. Odprowadzili Moah Khuna o dziesięć metrów i kazali mu usiąść na betonowych schodach. Siedział bez słowa, bez gestu, po jego ciemnej twarzy nie przebiegła nawet jedna fala ciekawości czy niepokoju.

Potem aż czterech żołnierzy przyprowadziło nowego więźnia i ulotny klimat nierzeczywistości prysnął natychmiast.

Jasna, prawie biała twarz tego człowieka nie przypominała niczego, co dotychczas widziałem. Wokół naszej grupy stało sześciu żołnierzy z palcami na spustach, oficer i tłumacz mieli pistolety przy pasach, pod murem przechadzali się uzbrojeni wartownicy, a jednak wszyscy równocześnie doznaliśmy chwili fizycznego lęku. Nie mogliśmy oderwać oczu od straszliwej, nieczłowieczej twarzy tego antropoida.

Ogromne, skośne oczy, przywalone ciężkimi powiekami, przypominały oczy tygrysa: miały tak wielkie, seledynowe tęczówki, jakich u ludzi nie widuje się nigdy. Brunatne źrenice były martwe jak u niewidomego, sprawiały wrażenie matowych, źle oszlifowanych kamieni, pozbawionych blasku. Wypukłość czoła i brody kontrastowała z silnym wklęśnięciem warg i zębów, które znów przypominały kły zwierzęcia. Ten człowiek miał w twarzy stężone, nieopisane okrucień-

stwo; dwie skośne zmarszczki, biegnące od końca płaskich, kocich nozdrzy aż po wysunięty szczyt brody, zamieniały tę twarz raz w straszliwą maskę chińskiego lub jawańskiego demona, to znów w pysk tygrysa.

Ustawiliśmy go pod drzewem i zaczęliśmy fotografować bez opamiętania. Był w ogóle niekształtny, krępy, o krótkich i krzywych nogach. Jego wielkie, tęgie łapy były zakończone ostrymi paznokciami, które w niczym nie przypominały ludzkich.

Nazywa się Sin Sieu Samoan, jest Khmerem, choć wygląda jak Czam, ma trzydzieści dwa lata. Umie pisać i czytać. Najpierw był szefem komuny Svay Ong, potem w roku 1976 szefem bezpieczeństwa w powiecie Kandal w prowincji o tej samej nazwie, od roku 1978 został szefem bezpieczeństwa na całą prowincję Svay Rieng — tę, którą postanowiono zniszczyć w całości. Był więc wysoko postawionym funkcjonariuszem reżimu, człowiekiem w pełni zaufanym. Ujęto go z bronią w rękę w nocy z 6 na 7 stycznia, w miejscu, którego nazwa nie ma tu nic do rzeczy, a gdyby nawet miała, to i tak wymienić jej nie wolno. Ta ostatnia informacja pochodziła od naszego oficera.

Ilu ludzi zabił Sin Sieu Samoan?

Dziewięćdziesiąt tuzinów i jeszcze pół tuzina. To znaczy tysiąc osiemdziesiąt sześć osób. Sin Sieu umie liczyć w systemie dziesiętnym, ale rachuby mylą mu się często i wplata w nie system dwunastkowy.

Gerhard traci panowanie nad sobą, zatrząskuje notes, krzyczy w dwóch językach, że nie można własnoręcznie zabić tysiąca ludzi.

Nie, on nie zabił ich wszystkich własnoręcznie.

No to powiedz, powiedz do jasnej cholery, ile osób zamordowałeś tymi grubymi łapami?

250 osób.

Gdzie to było? Kiedy?

12 sierpnia 1978 roku, w jednej wsi prowincji Svay Rieng. Ale to też nie sam. Z ośmioma kolegami.

Co się stało z tamtymi? Czy też są tutaj?

Nie. Chłopi ich zabili.

Teraz z kolei Leonid ma dość. Tak przecież nie można, to są kpiny, niech to zwierzę powie wreszcie wyraźnie, ile ludzi zginęło bezpośrednio z jego ręki.

Więc tak: 315 osób w komunie Svay Ong.

Tylko trzysta piętnaście?

Tak.

To dlaczego mówił przed chwilą, że tysiąc osiemdziesiąt sześć?

Bo był przy zabijaniu tych ludzi i tyle mu naliczono.

Co to znaczy? Kto naliczył?

Władze.

Jakie władze?

No, Angkar. A potem tu, w więzieniu.

Czy może się okazać, że zabił jeszcze więcej ludzi?

Tak, to się może okazać. Ale on mówi, że na pewno nie więcej niż dwa tysiące.

Dobrze. Wróćmy do tych trzystu piętnastu we wsi Svay Ong. Jak ich zabijał?

Po twarzy antropoida przebiega skurcz uśmiechu, od którego cierpnie nam skóra. No, tak, takim prętem zabijał. Albo motyką. Różnie. Bywało, że strzelał.

Dlaczego zabijał?

Takie były rozkazy.

Niech on przestanie bredzić o cudzych rozkazach. Był szefem bezpieczeństwa na całą prowincję, do tego pograniczną, najważniejszą ze wszystkich. To on sam wydawał rozkazy. Niech wyjaśni wyraźnie i dokładnie, dlaczego zabijał niewinnych ludzi i kazał to samo czynić innym.

Antropoid mruży swoje zielone oczy, oblizuje zacisnięte wargi i równym, gardłowym szeptem zaczyna coś wyjaśniać. Okazuje się, że nie był dostatecznie poinformowany. Nie powiedziano mu wyraźnie, kim są ci ludzie, których trzeba zabić. Uważa obecnie, gdyż długo już rozmyśla, że cała wina za dokonane morderstwa obciąża zbrodniczą klikę Pol Pot-Ieng Sary. On sam też wydawał rozkazy, to prawda, ale właściwie

tylko je przekazywał. Musiał tak postępować. Była ilość egzekucji do wykonania...

Jaka ilość? Ile wynosiła ta norma dzienna?

Nie, to nie było obliczane dziennie. Na przykład ludność komuny z IV kategorią musiała być zmniejszona o połowę w ciągu roku. Jak kto sam umarł, to go się już nie zabijało.

Czy zabijał dzieci?

Dzieci? Nie pamięta. Może zabijał.

Czy sam ma dzieci?

Tak. Dwoje.

Jak mógł zabijać inne dzieci, mając swe własne? Czy kiedykolwiek zastanawiał się nad tym?

Tak, on powiada, że się zastanawiał. Mówi, że gdyby nie zabił tamtych dzieci, inni zabiliby jego własne dzieci.

Kto mianowicie?

Złe elementy.

Wszyscy teraz dostajemy furii. Kto był wtedy złym elementem, ty głupi bydlaku?! Co ci zawiniły małe dzieci?

Antropoid oblizuje wargi. Zawiadamia, że nie rozumie, o co pytamy.

Czy brał udział w napadach na Wietnam?

Tak. Dwa razy.

Czy mordował chłopów wietnamskich po tamtej stronie granicy?

O, nie. Ani jednego.

Dlaczego urządzano stałe napady na bratni kraj?

Pol Pot powiedział na jednym zebraniu, że trzeba bronić Kambodży przed agresją wietnamską. Agresją, chyba tak. Agresją. Kadra nic nie wiedziała. Nie była poinformowana.

Czy wie, kto to był Marks albo Lenin?

Nie. Nigdy nie słyszał tych nazwisk.

Czy czytał jakąś książkę? I jaką?

Tak, kilka lat temu. To było coś o Ameryce. Strzelali. Było o kobietach.

Jak mu się powodzi w tym więzieniu?

Bardzo dobrze. Myślał, że zostanie zabity od razu. On się dziwi, że nikt tego nie zrobił.

Czy chciałby, żeby go odesłano do wsi Svay Ong?

Antropoid topi we mnie martwe spojrzenie. Widocznie przemknęło mu przez myśl, że po to właśnie tu przyjechalśmy. Trwa to tylko sekundę, ale dwaj wartownicy równocześnie poprawiają palce na kolbach.

Nie. Antropoid nie chce, żeby go odesłano do tej wsi.

Czego się spodziewa po popełnieniu tyłu zbrodni?

On nie rozumie.

Jakiej kary oczekuje?

W języku khmerskim nie ma słowa „kara”, tego nie można przetłumaczyć.

Słuchaj, mówi zdesperowany Gerhard, słuchaj i pomyśl przez jedną chwilę, ty intelektualisto: zabiłeś trzystu piętnastu niewinnych ludzi, a spowodowałeś bezpośrednio śmierć tysiąca lub nawet dwóch tysięcy ludzi. Czy myślisz, że będziesz nadal żył tak, jak dotychczas?

Nie, on tak wcale nie myśli.

Czy wiesz, że mogą cię rozstrzelać, na przykład jutro?

Oficer interweniuje. Nie wolno zadawać takich pytań.

A dlaczego nie wolno? Przecież on nie jest poddawany reedukacji. Na pewno już ciąży nad nim wyrok śmierci, niech coś w końcu powie, co będziemy mogli napisać.

Nie ma wyroku. On jest potrzebny. I w ogóle pora kończyć rozmowę.

Żołnierze odprowadzają antropoida w stronę betonowych schodków. Siada tuż koło Moah Khuna. Patrzą obaj bezmyślnie w przestrzeń. Milczą. Żadnego gestu. Żadnego słowa. Ich twarze nie wyrażają nic. Być może nie są w ogóle zdolni do refleksji nad swym psim życiem i jego dalszym ciągiem, który raczej nie będzie długi.

Ci dwaj są już najostatniejszym ogniwem wielkiego łańcucha myśli, skojarzeń i doktryn, który zaczyna się od Saint-Justa, Bakunina, Nieczajewa, Stirnera, Proudhona, Marcuse'a, tłumaczy szaleństwa chińskiej „rewolucji kulturalnej” i zamachy terrorystyczne w Europie zachodniej, a kończy się wizją małomównego ascety nazwiskiem Pol Pot.

CLXXII. Posiłek południowy jedliśmy dopiero po drugiej. Z Miasta Ho Szi Minha przywieziono nowe zapasy, kucharze wojskowi dołożyli starań, aby obiad był dostosowany do gustów europejskich towarzyszy. Były gołąbki ze słodkiej kapusty na zimno (niejadalne), twarde mięso w kawałkach (ktoś widocznie źle przetłumaczył przepis), zupa kalafiorowa (nie biorę kalafiora do ust), omlet z surowym jajkiem (średnio apetyczny). Nie szło nam to jedzenie. Upał przekroczył 40 stopni, cuchnęliśmy zapachem trupów i własnym brudem, wody starczyło tylko na opłukanie rąk. Moja koszula była już sztywna jak pancerz, nieogolony zarost uwierał jak rana.

Na stolikach znów pojawiły się alkohole z królewskiej piwnicy i słabe, wietnamskie piwo, bez którego naprawdę nie można tu przeżyć. Mieszaliśmy piwo z koniakiem, *lua moi* z sherry. Gerhard nie mógł się uspokoić i co chwilę sięgał po notes, ja również miałem w spoconym mózgu tysiąc zupełnie nowych i zupełnie genialnych pomysłów. Andriej przedrzeźniał Igora i opowiadał o nagich tancerkach w basenie przed pawilonem restauracyjnym tak szczegółowo, jak gdyby sam je widział. Byłem głodny, ale nie mogłem jeść; dziobałem plasterki ogórka, na którym pokazywaliśmy sobie wielkie jak palec ameby, dłużyłem w pomidorach, rojących się od lambrii. Zapragnąłem kawy — jak się nazywa kawa po khmersku? Żołnierz przyniósł najpierw herbatę z kozim mlekiem, potem słoik z czymś czarnym, w końcu dostałem półlitrowy

garnek kawy, niesmacznej, lecz bardzo mocnej. Sięgnąłem po papierosa i wytrzeźwiałem w ciągu sekundy: to był mój przedostatni papieros.

Do odlotu pozostawało jeszcze kilka godzin, mieliśmy wziąć udział w jakimś wiecu, a potem dopiero lot, przejazd z lotniska... Nie dam rady. Zacząłem się rozglądać za papierosami; byłem gotów zapłacić za paczkę pięć dolarów albo pięćdziesiąt dongów, oddać swój nóż podróżny, prosić, wydrzeć, zabrać; tłumaczyłem żołnierzom, pokazywałem pustą paczkę, bez skutku. Wśród kolegów palił tylko Andriej, wiedziałem jednak, że i jemu się kończy zapas papierosów. Uświadomiłem sobie jeszcze raz, że to zabudowane miejsce, w którym się znajdujemy, nie jest miastem, lecz bezkresną pustynią. Wiedziałem, że ten przeklęty nalóg doprowadzi mnie kiedyś do takiej sytuacji; stało się to jednak zbyt nieoczekiwanie, żebym mógł uwierzyć w zupełny, całkowity brak papierosów. Wtedy Andriej, który zauważył moje daremne próby, podszedł do stolika i wyciągnął w moim kierunku paczkę wietnamskich melii. Były w niej ostatnie dwa papierosy. Wzbraniałem się nieszczerze. Andriej powiedział: *niczewo, bieri. Ja russki, ja priwyknu.*

Miałem teraz trzy papierosy na mniej więcej dziesięć godzin.

Wtedy do pawilonu wszedł szef ochrony i zawiadomił, że z dzisiejszego odlotu do Miasta Ho Szi Minha nic, niestety, nie będzie. Na granicy z Chinami sytuacja staje się coraz bardziej napięta, odwołano loty samolotów wojskowych do Phnom Penh. Będziemy musieli tu przenocować. Jutro prawdopodobnie wrócimy, ale nie jest to zupełnie pewne.

Zmartwiałem. Nie mogłem sobie wyobrazić, że przetrzymam wieczór, noc i jeszcze następny dzień bez papierosów. Powiedziałem szefowi ochrony, że nie gwarantuję za swoje zdrowie, jeśli nie zdobędzie mi gdzieś papierosów, a lekarzy tu przecież nie ma. Szef pokiwiał głową, nie ukrywając przygany, i odparł, że po-

stara się wysłać żołnierzy, aby poszperali po sklepach. Nigdzie jednak nie widział papierosów.

Ja ich także nigdy nie widziałem w żadnym sklepie i w żadnym opuszczonym mieszkaniu.

CLXXIII. Wiec przyjaźni odbywał się w auli ministerstwa obrony, zadziwiająco pięknej i akustycznej. Na sali siedziało ze stu pięćdziesięciu młodych ludzi, których określono jako studentów, oraz sporo wyższych wojskowych obu armii. Pierwszy rząd krzeseł zajmowali starzy mężczyźni w czarnych garniturach i krawatach, chyba jacyś ocaleni cudem profesorowie. Ale to chyba niemożliwe, było ich pięciu, a Keo Chanda mówił nam przed dziesięcioma dniami, że nie ocalał ani jeden.

W sali było jeszcze goręcej niż wtedy, przy odgrzewaniu zwłok w Phoum Tachi. Jupitery zasilane z połowych agregatów podnosiły temperaturę sali, i tak ogrzewanej bezkarnie przez popołudniowe słońce, chyba do pięćdziesięciu pięciu stopni. Nie tylko my byliśmy u kresu wytrzymałości; pot spływał z generalskich mundurów Wietnamczyków, z czarnych garniturów honorowych gości w pierwszym rzędzie, zalewał oczy dziewczyn w niezgrabnych mundurach, płynął strugami z czoł, pach, uszu i nogawek. Korzystając z przywileju zagranicznego korespondenta stanąłem przy pierwszym rzędzie ławek i bezceremonialnie nalałem sobie pełną szklankę lemoniady, zapewne specjalnie wyprodukowanej w byłym browarze na dzisiejszą okazję. Płyn był prawie gorący, obrzydliwie lepki i cuchnął trupem. Pewno to było złudzenie, ale ja sam cuchnąłem trupem i nie mogłem już znieść rozgrzanego, mdlącego zapachu własnej koszuli. Marzenie o kąpieli i zmianie koszuli napadło mnie tak gwałtownie, że czułem napływające do gardła ni to łzy, ni to wymioty. Poprosiłem wietnamskiego pułkownika o papierosa, pokazując na migi, że chce mi się palić; wie-

działem doskonale, że papierosy są racjonowane nawet dla wysokich szarż i że częstowanie nie jest przyjęte, ale było mi już wszystko jedno. Dostałem papierosa i postanowiłem go zapalić za dziesięć minut. Zastanawiałem się, czy nie wyjść z tego wiecu, zanim się jeszcze zaczął. Ministerstwo obrony było jednak odległe od centrum, sam nie umiałbym znaleźć drogi do hotelu. Pozostawał tylko Isuzu. Poczujęm, że nie ma już we mnie ani kropli wilgoci; krew, zgęstniała jak roztopiony ołów, z trudem przepychała się przez żyły i pęczniące z wysiłku komory serca.

U wejścia zaczął się ruch. Na salę wszedł premier Pham Van Dong w towarzystwie Heng Somrina i Pen Sovana. Błysnęły flesze, terkot zużytych Arriflexów dzwonił w uszach jak grzmot.

Powitania, pozdrowienia, zapewnienia.

Wyciągnąłem z kieszeni przepocony notes i zacząłem zapisywać główne punkty przemówienia premiera. Zorientowałem się po chwili, że nie umiem odczytać własnych liter.

Wypatrzyłem na sali studenta, któremu z kieszeni bluzy wystawała paczka papierosów i nie zważając na czujne spojrzenia ochrony podszedłem do niego, uśmiechając się przymilnie. Nie zareagował. Spostrzegłem, że miał papierosy 555; ich paczka kosztuje na południu Wietnamu osiem dolarów. Zrobiłem nieokreślony ruch głową i wyszedłem na dziedziniec. Żołnierze z kompanii ochrony popatrzyli na mnie uważnie i bez sympatii. Wtedy stały się nagle dwie rzeczy na raz. Na końcu wypalonego przez słońce trawnika zobaczyłem kran, zwykły ogrodowy kran, z którego ciurkała woda. Zanim zdążyłem skoczyć w jego kierunku, ktoś trącił mnie w ramię i podał papierosa. Nie umiałem powiedzieć, kto to był. Zaciągnąłem się papierosem i poczułem, że wraca we mnie życie. Potem powoli, na nogach z miękkiej gliny, poszedłem w kierunku kranu. Ktoś krzyknął, żebym nie pił tej wody, ale nic na świecie nie mogło mnie już powstrzymać od złożenia dłoni

i nieprzytomnego wychłęptania pięciu, ośmiu, piętnastu garści wody.

Wróciłem na salę i zapisałem w notesie trzy kartki notatkami z przemówień. Szef wietnamskiego sztabu generalnego, Van Din Son, mówił o potrzebie zwarcia szeregów. Ktoś, czyjego nazwiska nie dosłyszałem, potępiał ekspansjonizm chiński, jednakowo wrogi interesom obu narodów. Podkreślono, że mimo wszelkich intryg udało się jednak przywrócić braterstwo dwóch sąsiedzkich narodów. Ekspansjonizm chiński, wspomagany obecnie przez imperializm amerykański, stawia sobie za cel zawładnięcie całym obszarem południowo-wschodniej Azji. Dopiero teraz zauważyłem, że nad stołem prezydiąlnym wiszą długie girlandy uplecione z kwiatów lotosu, że w wietnamskim tekście transparentu przewijają się znajome słowa: niepodległość, wolność, jedność. Że po stole prezydiąlnym łażą wielkie, pąsowe mrówki. Że Gerhard, skupiony i przejęty, stenografuje każde słowo, jakie tu padło od godziny. Że Andriej dłubie w uchu i patrzy na khmerskiego oficera, który też dłubie w uchu.

Nagle wróciła mi pewność siebie. OK, nie pracuję przecież dla agencji. Mogę sobie pozwolić na pobieżne streszczenie wygłoszonych przemówień. Zanim wrócę, teksty ulegną całkowitej dezaktualizacji. Każdy w końcu, nawet w tej branży, ma prawo do chwili kryzysu.

Wiec przyjaźni skończył się kwadrans po szóstej. Popchnęliśmy naszego Isuzu, co tym razem okazało się wyjątkowo trudne, i przez puste, widmowe ulice miasta wróciliśmy do hotelu.

CLXXIV. Kolacji prawie nie mogliśmy tknąć, tylko Bułgarzy, z natury odporni na stresy, spałaszowali wszystko, co postawiono na ich stoliku. Wypiliśmy po trzy piwa. Przyszło mi do głowy, że jeśli kiedyś opiszę ten pobyt w Phnom Penh, nie będę miał właściwie sposobu, aby zilustrować najbardziej dojmującą osobli-

wość tych godzin: pozorną normalność pracy, posiłków, wyjazdów na tle niepojętej pustki i ciszy miasta. Opis udreń, jakie towarzyszą brakowi papierosów, jest sam przez się czymś nonsensownym; to, że w żaden sposób nie można kupić papierosów, jest ciekawostką najwyższą na dwa wiersze. W ogóle opisy takich przygód są śmieszne. W każdym zawodzie przydarzają się trudne chwile. Ciekawe, co bym napisał po przepracowaniu jednej szychty w gazowej kopalni węgla lub po dobie zanurzenia na pokładzie okrętu podwodnego.

Zabraliśmy ze sobą piwo i zasiedliśmy w saloniku na parterze. Zastanawiałem się, czy lepiej przetrwam brak papierosów patrząc na grających w karty kolegów, czy czekając na sen we własnym łóżku. Przemknęła mi myśl, że może teraz właśnie nadszedł moment, żeby rzucić palenie. W kieszeni został mi już tylko jeden jedyny papieros — na całą noc i zapewne na cały następny dzień.

Wyszedłem na oświetlony dziedziniec i zacząłem się zastanawiać, skąd właściwie bierze się w sieci hotelu napięcie, skoro elektrownia miejska nie działa, a kable są poniszczone. Obliczyłem, że połowy generator, zasilający sieć hotelu, musiałby mieć co najmniej pięćset kilowatów mocy, co było oczywistym nonsensem. Zrezygnowałem z obliczeń. Młody wartownik kazał mi wejść do holu; nieprzenikniona ciemność za ogrodzeniem wyglądała jak postawiona pionowo toń górskiego jeziora w nocy. Popatrzyłem na grających w karty kolegów i poszedłem do siebie na górę.

W pokoju znów działał hałaśliwy klimatyzator, pod sufitem płonęła słaba żarówka. Smród z łazienki był już tak duszący, że postanowiłem nie uchylać drzwi. Potrzeba umycia się przez chwilę stała się dokuczliwsza niż najgorsze pragnienie wody.

Do wazonu na kwiaty nalałem pół butelki piwa i zacząłem się golić. Krem Polleny mazał się po policzkach. Zdążyłem ogolić pół twarzy. Potem zgasło światło i zamilkł klimatyzator. Przyświecając sobie płomieniem

zapalniczki dokończyłem golenia. Postanowiłem zapalić ostatniego papierosa. Było znów zupełnie ciemno i cicho, zza okna dobiegały tylko bardzo odległe strzały i co chwilę rozlegał się krzyk jakiegoś ptaka.

Koszula, którą rozpostarłem na oparciu krzesła, wydawała z siebie tak wyraźną, mdlącą woń trupa, że poczułem mdłości. Poczulem, że po brodzie ścieka mi krew. Widocznie zaciąłem się przy goleniu. Zwilżyłem pałeczkę ałunu w piwie i po omacku zatamowałem krew.

Nagle zerwałem się na równe nogi. Drzwi do pokoju otworzyły się, ktoś wszedł i zbliżył się do mnie. W płomyku zapalniczki dostrzegłem mundur, pas, kaburę, chińską czapkę. Odruchowo skoczyłem za załom wnęki sypialnej. Ale to był tylko żołnierz z ochrony.

Przyniósł mi sześć paczek papierosów.

Pachniały goździkami, cynamonem, werbeną, kardamonem, diabli wiedzą, czym jeszcze. Tytoń był czarny jak węgiel, dym szczypał w język. Wypaliłem trzy papierosy jeden po drugim i poczułem, że usnę. Wśliznąłem się pod moskitierę. Zaprzyjaźniona jaszczurka przyprowadziła sobie towarzyszkę, śmigwały razem po ścianach i moskitierze jak para odrzutowych myśliwców. Ciężko przeszedł kudłaty pajak, straszny i obrzydliwy, jak z bajek Grimma. Przed drzwiami balkonu klóciły się dwa gekongi. Usłyszałem jeszcze łopot jakiejś ogromnej émy i zasnąłem.

CLXXV. Spałem mocno i bardzo długo. Obudziły mnie wrzeszczące ptaki. Kiedy kwadrans po ósmej zeszedłem na śniadanie, okazało się, że moich kolegów już nie ma. Wyjechali stąd przed godziną.

Dokąd wyjechali?

Do Miasta Ho Szi Minha.

A co ich znów tak przypiliło?

Jak to, to towarzysz nie wie? Chiny napadły na Wietnam. Na całej długości granicy. Toczą się krwawe

walki. Zniszczono sześćdziesiąt czołgów chińskich. Wojna trwa.

Dlaczego mnie nikt nie obudził? W jaki sposób moi koledzy dostali miejsce w samolocie?

To był przypadkowy samolot z Siem Reap, lądował tutaj tylko na chwilę. Nie było już miejsc, ale towarzysze radzieccy i bułgarscy stanowczo żądali, aby ich zabrać, powiedzieli, że mają takie polecenie od swych redakcji.

Ja też muszę jechać na front chiński. Natychmiast. Jak najszybciej.

Może dziś będzie jakiś samolot.

Musi być. Przecież nie będę tu siedział bez końca.

Nie wiadomo. Wojna trwa, towarzyszu. Wszystkie samoloty są potrzebne.

No to pojedę samochodem. Znajdźcie jakiegoś łażnika.

Nie, to niemożliwe. Taki mamy rozkaz. Odpowiadamy za bezpieczeństwo towarzysza.

Dobrze. Pójdę teraz do miasta, wrócę na obiad o pierwszej, zameldujcie, że czekam na natychmiastowy odlot do Wietnamu. Tam jest reszta polskiej ekipy.

Napaść chińska na Wietnam przydawała nowego wymiaru temu, co widziałem w Kambodży. Było oczywiste, że Chińczycy posłużyli się tą samą metodą, jakiej już raz użyli wobec Indii podczas konfliktu indyjsko-pakistańskiego: pragną zmusić Wietnam do walki na dwa fronty. Inaczej mówiąc, chcą tu przywrócić władzę Pol Pot'a. W tej sytuacji muszę szybko pojechać na front, równie szybko wrócić do kraju i opowiedzieć, co tu widziałem. Trzeba jednak będzie napisać książkę.

CLXXVI. Poszedłem w miasto zupełnie sam, bez celu, powolnym krokiem, aby oszczędzać siły. W śródmieściu nadal nie było nikogo. Przeszedłem około trzech kilometrów i spotkałem tylko jednego samotnego żołnie-

rza na rowerze. Wszedłem do kilku willi w rejonie bulwaru Monivonga. Ziały pustką i śmiercią. Rozległe tarasy i pergole były już częściowo porośnięte zachłanną roślinnością, w jakimś domu dostrzegłem grube liany, które wpełzły przez okno i zakorzeniły się w donicy z uschniętą palmą. Jedna z willi na pewno należała do bogatego kupca chińskiego; w szafie wisiały damskie stroje z jedwabiu, po podłogach poniewierały się strzepy chińskich druków, pieczętki noworoczne z ideogramami, szarfy, pozłacane papierowe pieniądze dla nieboszczyków.

Po półtorej godziny stwierdziłem, że pustka Phnom Penh przestaje sprawiać na mnie wrażenie; zdaje się, że w ogóle nie istnieje sytuacja, w której instynkt szybkiej adaptacji nie zapanowałby nad osłupieniem. Postanowiłem wrócić inną drogą, kierując się słońcem. Skręciłem w pierwszą przecznicę i po przejściu stu metrów skręciłem jeszcze raz, aby iść równoległe do osi bulwaru Monivonga.

Przy ulicy znów ziały jamy rozbebeszonych sklepów, po chodnikach i jezdni wały się buty, taśmy, narzędzia, płyty. Przed sklepem z zegarami dostrzegłem kilka wyściełanych foteli, potłuczone tarcze ściennych zegarów elektrycznych i mnóstwo drobnych przedmiotów o nieokreślonej przydatności.

Jeden z nich zwrócił moją uwagę: wieżyczka, wykonana z polerowanych kolanek młodego bambusa na wzór japońskiej pagody o siedmiu dachach, tak jednak skonstruowana, że można ją było stawiać w dwóch pozycjach, jak kuchenną klepsydrę piaskową do mierzenia krótkich odcinków czasu. Chyba rzeczywiście służyła jako klepsydra. W pojemniku z opalizującego szkła znajdował się ciężki, błyszczący pył o barwie cyklamenu. Obróciłem klepsydrę. Pył zaczął się sączyć przez przewężenie i wtedy spod środkowego dachu wieżyczki wysunęła się para małych, starannie wyrzeźbionych dłoni z drewna, rozłożonych w geście

prośby czy rozpaczy. Nie umiałem sobie wyjaśnić, w jaki sposób tak prosta i dobrze widoczna konstrukcja mogła powodować wysuwanie się dłoni. Być może przesypujący się pył wytwarzał podciśnienie w jakichś ukrytych kanalikach. Ale gdzie chowały się te ręce, skoro stromy dach wyglądał na zupełnie szczelny? Obróciłem klepsydrę do góry dnem; dłonie zniknęły, jak gdyby ich nigdy nie było.

Przysiadłem na wypłowiłym fotelu i zacząłem przewracać klepsydrę: góra-dół, góra-dół. Surrealizm tej sceny mógłby się przyśnić Buñuelowi. Siedziałem sam jeden na długiej, opustoszałej ulicy, wśród dziwnych przedmiotów, w ostrym słońcu południa i czekałem z niecierpliwością, aż różowy pył uwolni z więzienia parę drewnianych dłoni. Byłem pochłonięty tą czynnością całkowicie, nie rozumiałem, do czego służy ten dziwny przedmiot, jak został zbudowany i dlaczego właściwie tak mnie zafascynował. Klepsydra ważyła około pół kilograma; obracałem nią na wszystkie strony, lecz doznawałem uczucia, jak gdybym zetknął się z jakąś niewytłumaczalną tajemnicą na granicy mistyki lub czarnej magii. W końcu obróciłem klepsydrę tak, aby dłonie zniknęły we wnętrzu wieży i wstałem z fotela. Uzmysłowiłem sobie przez moment, że ta bambusowa klepsydra mogłaby być symbolem Kambodży po potopie. Stworzona przez nieznaną dla nieznaną, odmierza czas dowolnie wybrany ze strumienia dziejów i przypomina, że nieodłączną częścią każdego czasu są czyjeś ręce rozłożone w prośbie lub cierpieniu. Co my w końcu naprawdę wiemy o losie niewolników w imperium khmerskim z XI wieku albo o tym, co się działo na tej ziemi, kiedy z północy i zachodu spadały napastnicze armie, które nie pozostawiały po sobie kamienia na kamieniu? Może to wszystko, co tu teraz oglądam, jest po prostu jednym z epizodów w nie kończącym się nigdy *zgiełku i furii*, o których sądzimy, że stanowią historię.

CLXXVII. Doszedłem do pustego, zaśmieconego placu przed dworcem kolejowym. Postanowiłem zobaczyć, jak wygląda dworzec w kraju, w którym zniszczono siedemset kilometrów jedynej linii kolejowej.

Tu także nie było żadnych napisów. W kasach biletowych wały się banknoty i monety, sterty tekturowych biletów, potłuczone filizanki. W przechowalni bagażu stało kilkanaście rozprutych walizek. Przy wyjściu leżał płaski, chłopski kapelusz, mocno poplamiony krwią, tuż obok dziecięcy bucik i ramię celuloidowej lalki.

Przy lewym peronie stał ów słynny pociąg ewakuacyjny, o którym kilkakrotnie nam już opowiadano. Nie zdążył odjechać przed południem 17 kwietnia 1975 roku i od czterech prawie lat stoi w jednym miejscu. Być może zostanie tu na zawsze — zaraz za końcem peronu tory są rozkręcone i pogięte, ramiona semaforów zerwane, zwrotnice pordezwiązałe i uszkodzone.

Pociąg składał się z dwudziestu dwu wagonów towarowych, wypełnionych ludzkim dobytkiem. Bety, lachy, manele, podziurawione walizki, przegniłe kurtki, rozklejone sandały, smętna maszyna do szycia, garnek, węzełek, but. Część tej magmy wylewała się na peron, trzeba było brodzić po niej jak po usypisku śmieci.

Doszedłem do jedenastego wagonu, który służył prawdopodobnie do ewakuacji personelu medycznego. U wejścia stały nosze, zaplamione krwią i owinięte przy uchwytach poplątanym, brunatnym od krwi bandażem. Wewnątrz widniały sterty potłuczonych ampulek, odpieczętowane słoiki i zwoje gazy.

Zerknąłem na następny wagon i zamierzałem już wracać, gdy nagle w bliskiej odległości huknęły w moją stronę dwie krótkie serie strzałów z pistoletu maszynowego; ktoś dwa razy nacisnął spust przy przełączniku nastawionym na ogień przerywany. Pociski uderzyły w sąsiedni, dwunasty wagon, o sześć metrów od miejsca, w którym stałem. Odlupały z drewnianej

ściany wagonu cienkie, podłużne drzazgi i ugrzęzły prawdopodobnie w rupieciach zalegających podłogę wagonu.

Przykucnąłem przy jedenastym wagonie tak nisko, że na poziomie oczu miałem pokrytą smarem i kurzem oś. Przez szpary zawieszona usiłowałem wypatrzeć, kto strzelał w moim kierunku. Jednak w gęstej ścianie zieleni za torami, odległej o czterdzieści metrów od peronu, nie można było dostrzec żadnego ruchu. W ogóle nie działo się nic. Po niebie uganiały się ptaki i to było wszystko.

Odczekałem około minuty i zacząłem się skradać wzdłuż pociągu, rad, że żaden z kolegów nie widzi mnie w tej idiotycznej sytuacji. Od trzeciego wagonu począwszy szedłem już wyprostowany. Wyszedłem z dworca na pusty, zalany słońcem plac i pogwizdując bardzo głośno ruszyłem energicznym krokiem do hotelu Le Royal, nie oglądając się za siebie. Uznałem, że w samym centrum miasta, o czterysta metrów od silnie strzeżonego hotelu, nikt nie strzelałby do mnie z rozmysłem. Prawdopodobnie któremuś z wartowników broń odpaliła przy gwałtownym ruchu, ponieważ posługiwanie się bezpiecznikiem nie jest tu umiejętnością najpowszechniej znaną. Z odległości czterdziestu metrów mogło we mnie trafić nawet dziecko.

CLXXVIII. Posiłek południowy jadłem zupełnie sam. Żołnierze przynieśli mi osiem butelek piwa, butelkę *lua moi* i ze cztery butelki różnych koniaków. Micha makaronowej zupy z surową cebulą starczyłaby do nakarmienia batalionu wojska.

Pod koniec posiłku przyszedł dowódca ochrony i powiedział, że samolot do Miasta Ho Szi Minha odleci dopiero jutro rano. Prosił, aby mi zarezerwowano miejsce. Oznaczało to, że muszę spędzić w Phnom Penh jeszcze jedną noc bez mycia.

CLXXIX. Przez dwie godziny leżałem pod moskitierą, odcytując własne zapiski z notesu i dziennika. Pod progiem łazienki kręciły się mrówki i jakieś długie, ruchliwe robaki w kolorze świeżej sałaty. Widocznie w zamkniętej łazience musiały się dziać interesujące rzeczy.

O trzeciej znów wyszedłem w miasto. Miałem już absolutnie dość wszelkich spacerów, zwiedzania miasta, samotności, brudu. Gdybym miał ze sobą coś do czytania lub przynajmniej partnera do rozmowy, zostałbym na pewno w hotelu. Ale panicznie boję się nudy i bezczynności; wydaje mi się wtedy, że umrę lub zwariuję. Wolałem brnąć przez ten okropny upał niż leżeć z oczami utkwionymi w sufit.

O dwieście metrów od hotelu Le Royal wznosił się eklektyczny pałacyk, na którego frontonie widniały ślady po zerwanych literach: Bibliothèque Nationale. Wszedłem tam z zamiarem pedantycznego opisanie wszystkiego, co zobaczę; po odwiedzinach w byłym pałacu gubernatora spodziewałem się zastać tylko sterty popiołu.

Z holu zasłanego łuskami po pociskach, pierzem z podartych materaców i potłuczonymi naczyniami skręciłem na prawo, do sporej, otwartej na oścież sali z nie zniszczonym napisem: Salle de lecture. Przez chwilę stałem jak wryty: cała ta sala była pełna książek, bardzo starych, sądząc po oprawach. Zacząłem je ostrożnie brać w rękę i otrząsać z kurzu. Pierwodruki Woltera. Francuskie wydanie dzieł Szekspira z roku 1818. Jakieś leksykony francuskie z pierwszych lat po Wielkiej Rewolucji. Pierwsze wydania Teofila Gautier, Wiktora Hugo, Stendhala, Balzaca, Marivaux. Cudowne mapy i przewodniki po różnych krajach, w tym cała sterta opisów Indochin sprzed epoki kolonizacji francuskiej. Thesaurus poezji anglosaskiej. Bardzo stare wydania Larousse'a i Brockhousa. Ale to wszystko było zrzucone z regałów, pokryte grubą warstwą kurzu i ekskrementami ludzi, szczurów i ptaków. Kosztowne opra-

wy były poprzebijane bagnietami, czerpany papier starych map poplamiony krwią i moczem. Fiszki katalogów, wysypane z szuflad, zalegały całą podłogę i przyległą, kompletnie opustoszałą salę.

Biblioteka Narodowa była dumą rodziny królewskiej. Założył ją jeszcze pradziad Sihanouka Varmana. Najrzadsze i najcenniejsze wydawnictwa francuskie sprowadzano zapewne z Paryża przez długie lata, bo inaczej nie można wyjaśnić pochodzenia leżących tuż przy wejściu pierwodruków Woltera. Prawdopodobnie Czerwoni Khmerowie postanowili wyłączyć te zbiory z akcji palenia książek, w nadziei, że bibliofilskie rarytasy uda im się sprzedać za dewizy w Europie lub Ameryce. Były to jedyne książki, jakie widziałem w tym kraju; ich wartość, w tej jednej sali, musiała sięgać kilkuset tysięcy dolarów.

Zacząłem krążyć po bibliotece, co krok przeżywając nowe zaskoczenia. Niektóre sale były już kompletnie puste, wymiecione do cna z książek, regałów i sprzętów; w innych stały rzędami nie odpieczętowane paczki książek, oznakowane jeszcze stemplami i naklejkami USIA, amerykańskiego ministerstwa propagandy. Na korytarzach pełno było żołnierskich legowisk, podartych koców, potłuczonych naczyń. W całym budynku było tak pusto i cicho, jak gdyby ostatni człowiek odszedł stąd przed dziesiątkami lat.

Nagle z niewielkiej salki, przyległej do głównej czytelni, usłyszałem krótki, ostry kwik, a potem nierównomierne sapanie. To, co zobaczyłem, było widowiskiem okrutnym, lecz trzymającym w napięciu i dostarczającym pewnych sportowych emocji. U wejścia, na wysokość pół metra, piętrzyła się sterta starych, oprawnych w skórę książek, odgradzających pokoi od czytelni. Wewnątrz miotał się pokrzwawiony szczur, za którym biegła rosła, czarna świnia o oczach rozpalonych żądzą mordy. Zwierzęta zostały zapewne odcięte od wyjścia przez przewróconą stertę książek. Trafiłem chyba na końcową fazę pojedynku, bo szczur

włókł już ogon po ziemi i rozpaczliwymi susami usiłował co chwilę skryć się pod książkami; świnia roztrącała ryjem książki i raz po raz przydeptywała racicą ogon lub tułów szczura. W końcu szczur popełnił błąd: wydostał się na nie osłonięty książkami skrawek podłogi. Świnia w jednej chwili zdeptała go na miazgę, a potem jednym wyrzutem ryja odrzuciła ten strzęp mięsa w drugi koniec pomieszczenia, tuż pod moje nogi.

Pysk szczura spoczywał na karcie tytułowej otwartej książki, wydanej w Paryżu w roku 1811, nakładem Marcela Fouchieta. Tytuł książki brzmiał tak: *Dokładne opisanie Indochin, to znaczy kraju dalekowschodniego, położonego na południe od Chin, z uwagami o możliwości handlu i zarysem gospodarki oraz miejscowych obyczajów.*

Wychodząc z Biblioteki Narodowej ustaliłem bez trudu, skąd się w tym gmachu wzięła świnia. Na bocznym dziedzińcu obozował jakiś tabor, prawdopodobnie oddział zaopatrzeniowy armii khmerskiej. Między namiotami biegało ze trzydzieści dużych, czarnych świń.

Szczury rozmnożyły się w Bibliotece Narodowej dlatego, że jedną z mniejszych czytelni podręcznych przeznaczono na skład ziarna.

CLXXX. Poszedłem jeszcze dalej przed siebie. Nie miałem już ochoty wchodzić do opustoszałych willi. Sklepy przestały mnie nęcić. Nie do wiary, jak szybko zużywa się ludzka chłonność. Byłem znużony, przesycony monotonią oglądanych widoków, pełen lęku, że nie potrafię tego opisać. Zacząłem marzyć o hotelu Doc Lap, jak o własnym domu; zobaczyłem wannę, książki do czytania, walizkę ze znajomymi drobiazgami, czystą koszulę. Potem zreflektowałem się: trzeba uważnie patrzeć dokola, żeby zobaczyć jak najwięcej.

Zobaczyłem jednak tylko dwie sceny, dla których chciało mi się sięgnąć po notes.

Na chodniku przed jakimś sklepem o nieokreślonej specjalności stał półmetrowy posąg Buddy, odlany z mosiądzu. Podszedłem, aby mu się dokładnie przyjrzeć, gdyż wydawał się nieforemny i dziwaczny, ale odskoczyłem natychmiast, jak dźgnięty bagnietem. Wokół szyi i fałdów na brzuchu Buddy owinął się spory wąż; jego barwa była idealnie szarmonizowana z barwą mosiądzu, tylko cienkie, czarne pierścienie odcinały się od jednolitego tła. Wąż był tak leniwy, że ledwo podniósł na mnie swój cienki, trójkątny pysk.

Nieco dalej, w stercie zeschniętych liści i śmieci, zobaczyłem album jakiejś zamożnej rodziny. Zawierał ze dwieście amatorskich zdjęć. Musiała to być bardzo liczna rodzina: oprócz rodziców i dziadków przewijały się dziesiątki pociotków, tabuny małych dzieci, jakaś pokorna służba, czcigodni goście. Zainteresowałem się dziejami córki, jedynej chyba wśród licznych braci w różnym wieku. Śniady, płaczący bobas; chudziutki podlotek wpatrzony z przejęciem w obiektyw; potem coraz piękniejsza, coraz dorodniejsza dziewczyna, uczesana po europejsku, kształtna jak renomowane modelki z Madison Avenue, o wesołych, inteligentnych oczach. Potem pojawiają się koło niej chłopcy, również ubrani po europejsku: jeden, drugi, trzeci. Pod zdjęciami jakieś podpisy po khmersku, aż wreszcie, na przedostatniej stronie, widnieje triumfalny napis po angielsku: *I am studing*. Tak właśnie, z błędem. Świetne zdjęcie portretowe ukazuje dziewczynę wyjątkowej urody, pełną szczęścia i radości, jakie nawiązują człowieka tylko około osiemnastego roku życia.

Pod zdjęciem widnieje wyraźna data: 1 kwietnia 1975 roku. Szesnaście dni przed wkroczeniem Czerywonych Khmerów do stolicy.

CLXXXI. Kolację jadłem zupełnie sam, w obezwładniającej nudzie i milczeniu. Wypiłem szklanek *lua moi*,

w nadziei, że tę ostatnią noc prześlę możliwie szybko, bez lęku przed nudą i bezsennością. Tłumacze gdzieś zniknęli, żołnierze bezszelestnie stawiali przede mną coraz to inne potrawy, których nie mogłem tknąć. Dochodziła ósma; samolot miał odlecieć o szóstej. Miałem przed sobą dziesięć godzin nicości. Sam ze sobą nie miałem już tematów do dyskusji.

Światło zgasło akurat wtedy, kiedy szedłem po schodach na górę. Widocznie włączono je tylko na okres przygotowywania posiłku wieczornego. Poruszałem się już swobodnie w ciemności; tylko przed wejściem do pokoju musiałem skrzesać płomień zapalniczki. Oświetlił smugę krwi Caldwell'a i otwór po wyrwanej kłamce, w który trzeba było głęboko włożyć palec.

Byłem zupełnie sam w stu trzydziestu ośmiu pokojach hotelu Le Royal. Gdybym się tu zapadł pod ziemię, nikt już nie odtworzyłby okoliczności, w których to nastąpiło. Pomyślałem przez chwilę, że chciałbym, żeby się coś takiego zdarzyło; zawsze to gustowniej-sze niż jęczenie w szpitalnych betach i nieporadne pocieszenia przyjaciół. Byłaby to wreszcie męska i lakoniczna śmierć, o jaką dziś coraz trudniej. Za mało nas jednak ginie na frontach różnych wojen i w niebezpiecznych punktach globu. Nasze słowa są miątkie, ciurkają jak ciepła woda z zaworu o uszkodzonej uszczelce. Obsługujemy, komentujemy, mądrzymy się, czarujemy czytelników tysiącem przygód — ale co my właściwie wiemy o prawdziwej barwie krwi i pojęć elementarnych? Jeden tylko Rysiek K. patrzy czasem śmierci w oczy.

Tak. Gdyby dziś te pociski na dworcu padły o sześć metrów bliżej, miałbym niezłą pointę do życiorysu. Swoje już widziałem i przeżyłem. Ale na każdego przychodzi pora, kiedy chciałby zginąć za coś, z jakimś posłaniem do tych, co zostaną. Za co mianowicie można by dziś umrzeć w Kambodży?

Z trudem zdjąłem z siebie koszulę. Swędzenie nie mytej od trzech dni skóry stało się natychmiast nie

do zniesienia; na ramionach i plecach pojawiły się podłużne, piekące bąble. Prosiłem w ciągu dnia, aby mnie zawieziono do ministerstwa obrony, gdzie w trawniku tkwił ogrodowy kran, ale nic z tego nie wyszło. Prawdopodobnie uznano, że mogłem myć się razem z żołnierzami w gęstej, czarnozielonej sadzawce przed pawilonem restauracyjnym. Jedno zaczerpnięcie garści wody z tej sadzawki wystarczyłoby, aby twarz pokryła się liszajami i wrzodami; widywałem już takie przypadki.

Przepędziłem jaszczurki i włochate ćmy, strzepnąłem z wezglowia stonogę i wsunąłem się pod moskitierę. Stwierdziłem ze zdumieniem, że nawet tutaj zdążyłem się zaadaptować. Wnętrze moskitiery stanowiło już maleńki, własny dom. Szklą, zapalniczka i nóż miały swe stałe miejsca, mokre prześcieradło układało się posłusznie w regularne fałdy. Instynkt osiadłości i zdolność zagospodarowywania się są w człowieku niepodatne na żadne właściwie przeszkody zewnętrzne.

Słuchałem ciszy za oknem przerywanej z rzadka odległymi strzałami, łopotem nietoperzy i ostrym krzykiem nocnych ptaków. Nie odczuwałem lęku, raczej nieokreśloną tęsknotę za znajomym zakątkiem Warszawy i jakąś łaką pod lasem, jak gdybym wszystko to stracił na zawsze. Potem obróciłem się na bok; pęcherze zaczęły pękać, odsłonięta skóra piekła jak polana kwasem. Umyć się. Umyć się. Poczulem, że nie wytrzymam ani chwili dłużej. Wstałem i postanowiłem obmyć twarz w piwie. Przemogłem odrazę, uchyliłem solidne, szczelne drzwi łazienki. Buchnął gęsty, duszący obłok odoru; w stojącej wodzie umywalki roily się całe kłęby obłych, błyszczących robaków; na desce sedesu siedziało jakieś niewielkie zwierzę, które w migotliwym świetle płomyka zapalniczki wyglądało jak bazyliśzek. Zatrzasnąłem pospiesznie drzwi łazienki. Z butelką piwa poszedłem do drzwi balkonowych i odsunąłem żaluzje. Zdążyłem tylko wystawić ramię, kiedy z ciemności napłynęły miękkie, bezgłośnie stada

jakichś latających stworzeń; tłukły zapamiętałe o moje ramię i szkło butelki. Zamknąłem drzwi od balkonu, stanąłem pośrodku pokoju i zacząłem lewą ręką saczyć piwo na prawą dłoń, którą przecierałem twarz, uszy i szyję. Ściekające na kamienną podłogę krople wydawały dźwięk tak donośny, że przypuszczalnie było go słychać w całym opustoszałym skrzydle. A może w całym hotelu.

Pomogło. Wykonałem kilka skłonów tułowia i znów wpelźnąłem pod moskitierę. Pamięć podsunęła nagle jakiś wczesny, grudniowy wieczór na nowojorskiej alei Lexingtona, rozjarzony światłami i przyprószony lekkim, wesołym śniegiem. Potem obrazy zaczęły się na siebie nakładać, znajome twarze przemawiały do mnie bez słowa, widziałem moment powrotu do kraju, sterty papierów na biurku. Ale sen nie nadchodził.

Wiedziałem już, że napiszę stąd książkę, która wcale nie będzie się składać z krótkich, lakonicznych zdań. Że będę znów łykał w milczeniu zdawkowe komplementy i złośliwe przytyki. Ale bez napisania tej książki nie potrafię się uwolnić od tego kraju, opęta mnie nierozładowana obsesja.

Ciągle jeszcze żyję, myślałem. Chciałbym wreszcie wiedzieć ponad wszelką wątpliwość, w co zainwestowałem te tysiące dni, przesłęczanych nad maszyną; co właściwie głosiłem przez trzydzieści lat uprawiania zawodu.

Przewróciłem się na bok i znów poczułem piekący ból skóry. Otrzeźwił mnie i zawstydził. Dostyc, do cholery, tego przetrząsania duszy. Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć.

Usłyszałem jeszcze ciężkie człapanie gekonga i usnąłem.

CLXXXII. Podczas śniadania powiedziano mi, że Isuzu już nie istnieje. Poprzedniego wieczora na nieoświetlonej ulicy zderzył się czołowo z ciężarówką

wojskową. Nasz wspaniały kierowca z coltem u pasa jest ciężko ranny.

Zderzenie samochodów w kompletnie opustoszałym mieście miało posmak makabrycznej anegdoty. Poczulem jednak przez chwilę nieklamany żal, jak po stracie kogoś bardzo bliskiego.

CLXXXIII. O wpół do szóstej rano, cuchnąc jak szmata wyciągnięta ze śmietnika, pojechałem białym mercedesem 280S na lotnisko Poczentong. Samolot którym miałem wrócić do Wietnamu, powinien przylecieć z Siem Reap, nikt jednak nie wiedział, czy na pewno przyleci i czy znajdzie dla mnie miejsce.

Przez pierwszą godzinę oczekiwania w saloniku królewskim siedziałem bez słowa, gapiąc się w rozżarzoną, bezbarwną przestrzeń lotniska. Byłem znów zupełnie sam; tylko na końcu budynku, gdzie kiedyś mieściła się restauracja, dwaj żołnierze khmerscy grali w ping-ponga. Nie znali ani słowa w żadnym obcym języku.

Przypomniałem sobie ten moment wścieklej antropofobii, który spłynął na mnie w chwili pierwszego wyjazdu do Kambodży. Poczulem wstyd i znużenie. Przecież każdy z nas ma swoją opowieść i nigdzie nie jest powiedziane, że moja opowieść jest lepsza niż inne. Czasami naprawdę wydaje mi się, że gdzieś tutaj, w południowej Azji, zaczyna się formować jądro tajfunu, który pochłonie kiedyś nasz śliczny, cacany świątek, a my rozbawieni, zapędzeni, wpatrzeni we własne pępki, nie chcemy tego przyjąć do wiadomości. Ale może się myłę. Może przemawia przeze mnie tylko potrzeba kolejnego mitu i wytłumaczalna wprawdzie, lecz po tylu doświadczeniach chyba trochę infantylna chęć utożsamienia się z czymś, co odległe, a więc tym samym czyste, jednoznaczne i wolne od paskudztw codzienności. Chyba już pora rozstać się z tą pychą. Z udawaniem, że jestem mądrzejszy lub bardziej da-

lekwzroczny niż ci, których z takim upodobaniem znieważam w myśli, gdyż psują mi obraz świata, jaki powinien być, a nie tego, jaki jest naprawdę. OK, ja też mam swoją opowieść i nie będę się jej zapierał. Ale to jest tylko jedna z wielu, bardzo wielu opowieści współczesnego świata.

Kwadrans po pierwszej w płynnym od żaru niebie rozległ się warkot silników. Przed trzecią lądowaliśmy na lotnisku Than Son Nhut.

CLXXXIV. Dziewiętnastego lutego o piątej rano odlecieliśmy na front chiński. Noc w Hanoi, potem wyjazd o czwartej rano łazikami na północ. Pierwszym etapem było miasto Lang Son, jeszcze wówczas nie zajęte przez Chińczyków. W dwa tygodnie później chiński snajper zabił tam naszego japońskiego kolegę, z którym byliśmy razem w Kambodży. Potem spędziliśmy dwa dni i dwie noce w strefie najcięższych walk pod Lao Cai.

Ale to jest już zupełnie inna historia.

CLXXXV. Z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka amerykański tygodnik „Newsweek” zamieścił w numerze z 23 lipca 1979 roku na stronie 26 następującą korespondencję z Tajlandii.

„Kiedy dwunastoletnia Maem została zabrana po raz pierwszy do Bangkoku, sądziła, że jedzie na rodzinną wycieczkę. Okazało się jednak, że jej ojciec, biedny chłop, sprzedał ją za 80 dolarów pewnej agencji pośrednictwa pracy. Maem pracowała przez jakiś czas jako niania, potem jednak odsprzedano ją fabryce, gdzie wraz z 58 innymi dziewczętami pracowała przez 15 godzin dziennie przy pakowaniu cukierków. Miały one otrzymywać 50 centów dziennie, nikt jednak nie widział żadnych pieniędzy, gdyż właściciel oświadczył, że dziewczęta muszą mu płacić za wyży-

wienie i zakwaterowanie. Dziewczęta spały w rojącym się od karaluchów pomieszczeniu nad fabryką. W ciągu czterech miesięcy, jakie Maem spędziła w tym miejscu, dwie dziewczyny zmarły z braku jakiegokolwiek opieki lekarskiej, a sześć innych zostało sparaliżowanych na skutek wielogodzinnego siedzenia w kuczki przy pracy. Właściciel fabryki zmusił sparaliżowane dziewczęta do pracy mimo wszystko: Maem wraz z innymi dziewczętami znosiła chore koleżanki z góry do pracy i zносиła je z powrotem po zakończeniu dniówki.

Doświadczenia tego rodzaju nie są bynajmniej niezwykłe dla tajlandzkich dzieci. Tysiące ich pracuje jako służba domowa lub w fabrykach, choć prawo postanawia, że nie wolno zatrudniać dzieci poniżej dwunastego roku życia. Władze oceniają, że od 5 do 17 tysięcy fabryk i warsztatów rzemieślniczych w samym tylko Bangkoku stanowią zakłady wyzyskujące młodocianych; zatrudniają one głównie dzieci, nagminnie naruszają wszelkie przepisy regulujące długość dnia pracy, warunki sanitarne i bezpieczeństwo pracy. Dzieci są zazwyczaj sprzedawane fabrykom za 50 do 100 dolarów, co stanowi niebłahe uzupełnienie dochodu w wysokości 75 centów dziennie, uzyskiwanego z gospodarstwa rolnego. Rodzice, którzy sprzedają swe dzieci, niekoniecznie są okrutni — są po prostu bardzo biedni i całkowicie nie zorientowani w warunkach pracy w Bangkoku. Poza tym wierzą w zapewnienia wyzutych z sumienia pośredników, że dzieci zostaną otoczone odpowiednią opieką.

Agencje pośrednictwa pracy (skupujące dzieci od chłopów) i zakłady prosperujące dzięki wyzyskowi młodocianych działają często z oficjalnym przyzwoleniem. Preecha Attlavipach, były kierownik wydziału inspekcji fabrycznej, przyznaje otwarcie, że wielu nielegalnym zakładom pozwala się działać «na zasadzie kompromisu», ponieważ stanowią one integralną część gospodarki tajlandzkiej. «Gdybyśmy użyli drastycznych środków, aby ukrócić wyzysk dzieci, większość tych

zakładów zbankrutowałyby, co miałyby wpływ na ty-
siące ludzi zatrudnionych w pokrewnych branżach». Nawet gdy usiłuje się wprowadzić w życie postanowienie prawne, właściciele zakładów wyzyskujących dzieci zupełnie się tym nie przejmują. «Musimy być elastyczni w stosowaniu obowiązujących przepisów. w imię rozwoju gospodarczego» — mówi Attlavipach.

Fabryka cukierków, w której pracowała Maem, stanowi dobry przykład. Do fabryki zjechała wreszcie policja, i to na polecenie Ministerstwa Pracy, które przyrzekło, że podejmie śledztwo przeciw właścicielowi i przeciw agencji pośrednictwa pracy, która mu dostarczała niewolniczej siły roboczej. «Ich postępowanie było w najwyższym stopniu nieludzkie» — oświadczył dyrektor generalny ministerstwa pracy, Vichit Saentong. Działo się to osiem miesięcy temu. Do dziś nic z tego nie wynikło. Właściciel fabryki znajduje się na wolności za kaucją i zapewne daruje sobie obecność na procesie, rezygnując z kaucji. Policja wprowadziła wyciągnęła «zeznania» od właścicieli agencji pośrednictwa pracy, lecz krótko potem oskarżenie przeciw nim wycofano — bez podania żadnych wyjaśnień.

Dziewczęta z fabryki zostały umieszczone w Ośrodku dla Dziewcząt w Phya Thai, prowadzonym przez Ministerstwo Opieki Społecznej, do czasu odebrania ich przez rodziców. Większość czeka już na to od miesięcy. «Tracimy tu nasze życie» — mówi dziesięcioletnia Chan.

Nie ma pewności, czy po opuszczeniu Ośrodka dziewczynki nie zostaną sprzedane do innej fabryki, również funkcjonującej na zasadzie wyzysku dzieci."

CLXXXVI. Nie jest to rodzajowy obrazek w stylu Dickensa. Tak naprawdę wygląda do dziś rzeczywistość społeczna w większości krajów południowo-wschodniej Azji. Rzadko ją dostrzegają turyści zapatrzeni w pagody i egzotyczne dziwa; gubi się w statystykach, które w tym akurat rejonie świata są jeszcze

bardziej kłamliwe niż gdzie indziej; nigdy nie trafia na łamy intelektualnych periodyków, gdzie najsubtelniejsze umysły stulecia roztrząsają tajemnice strukturalizmu lub sztydzą z prostactwa wszelkich ideologii.

Więc to już ma tak zostać na zawsze? Więc przez całą dającą się przewidzieć przyszłość Azja ma być takim samym piekłem, jakim była w latach trzydziestych i pięćdziesiątych, a może nawet jeszcze gorszym, jeśli wziąć pod uwagę przyrost ludności i zbyt niską stopę wzrostu gospodarczego?

Czy rzeczywiście można wybierać tylko między sprzedawaniem dzieci i szaleństwami „rewolucji kulturalnej” w wydaniu chińskim lub kambodżańskim? Czy wobec tego, że logiczne przesłanki Pol Pota doprowadziły w rezultacie do ludobójstwa — należy uznać, że jedyną sensowną alternatywą jest bierne akceptowanie systemów, które nie mogą się obejść bez katorżniczej pracy dzieci?

Wiele, bardzo wiele bym dał, żeby znać odpowiedź na te pytania, zanim kiedyś postawię ostatnią kropkę po ostatnim zdaniu przeznaczonym do druku.

Można zawsze przywołać przykład kubański lub wietnamski i dowodzić samemu sobie, że jednak istnieje jakieś wyjście z tego zaklętego koła nędzy i krzywdy. Można sobie samemu uświadomić, że aberracje, okresy szaleństw, nawet inwolucyjnego regresu, nie ominęły wielu innych rewolucji i że nie wolno rozstrzygać o wielkich nurtach historii na podstawie krótkich w końcu odcinków czasu. Można znaleźć sporo racjonalnych argumentów, które pozwolą uznać wydarzenia kambodżańskie za straszny, lecz odosobniony epizod, w gruncie rzeczy bez większej nośności ideologicznej, ponieważ terror nigdzie nie może trwać bez końca.

Nie wszystkich jednak stać na to, aby los pojedynczego człowieka rozpatrywać w perspektywie wielu pokoleń. Dzieci sprzedawane do fabryk, chłopci otepiali z głodu, udręka starców i krzywda kobiet, ocean cierpienia i krzywdy, któremu świat nie chce i nie umie

zaradzić — to wszystko nie usposabia do chłodnych analiz. Nędza i gorycz prawdziwej, nie wymyślonej *doli człowieczej* — w Azji i wszędzie indziej — raz po raz podsuwa przerażające pytanie, czy przypadkiem Aryman nie wygrał już swojej bitwy o dusze mieszkańców naszej małej planety.

CLXXXVII. Potem już tylko powrót. Jeszcze milczące, zakutane kobiety w Karaczi, nuda i zgroza pustynnego islamu. Jeszcze rześki, elegancki chłód Berlina. Nazajutrz tylko godzina lotu nad niepojętą, zupełnie białą płaszczyzną — i Okęcie. Jakie masz wrażenia z Kambodży? Wrażenia? Nie mam żadnych wrażań. W każdym razie nie, co by się nadawało do opowiadania przy wódce lub przez radio. A co u was? Ach, normalnie, człowieku. Nie załatwili, nie dowieźli, powiedzieli, odwołali, zdrożało, nie wyszło. Mówią, że

CLXXXVIII. Wróciłem z Indochin 28 lutego 1979 roku. Piątego marca wystąpiłem w Helsinkach na Światowej Konferencji Solidarności z Wietnamem, zorganizowanej przez Światową Radę Pokoju.

Opowiedziałem obszernie o tym, co widziałem w Kambodży. Ośmiuset delegatom, wśród których był wicepremier Finlandii i kilkudziesięciu ambasadorów, pokazałem chłopską szablę z plamami ludzkiej krwi, zabraną ze szpitala w Phnom Penh. Pokazałem chińską amunicję, znalezioną przy czaszkach w Prey Veng, odłamki chińskich pocisków artyleryjskich z frontu pod Lao Cai, zebrane na ulicach zdjęcia pomordowanych ludzi, paczkę z milionem rialów, ułamek jedenaścowiecznej mozaiki ze zniszczonej pagody.

Po raz pierwszy w życiu zwołałem konferencję prasową dla swych zagranicznych kolegów. Zreferowano ją na czołówkach prasy fińskiej i szwedzkiej. Moje korespondencje z Kambodży ukazały się w trzydzie-

stu trzech pismach zagranicznych, w dziewięciu językach, w nakładzie prawie dwóch milionów egzemplarzy.

Wystąpiłem w telewizji polskiej. Przemawiałem w Szwajcarii i Czechosłowacji. Zamieściłem artykuł w amerykańskiej gazecie „Baltimore Sun”.

20 czerwca ukończyłem manuskrypt tej książki, wiedząc doskonale, że gorączkowy pośpiech przy jej pisaniu nie wyjdzie tekstowi na dobre.

Sądziłem, że działając tak energicznie i na tylu frontach równocześnie spłacam moralny dług wobec ofiar reżimu Pol Pot. Że w granicach, jakie są mi dostępne, zwrócę uwagę opinii światowej na bezmiar zbrodni. Podejmowałem działania wykraczające daleko poza normalne powinności zawodowe, w przeświadczeniu, że w takiej sprawie milczeć ani zwlekać nie wolno.

Myliliem się, niestety. Myliliem się jeszcze raz. Okazało się, że w polityce międzynarodowej istnieją rzeczy dużo ważniejsze niż na przykład los mieszkańców miasta Prey Veng.

Latem 1979 roku podjęto na Zachodzie kontrofensywę propagandową w obronie reżimu Pol Pot, choć jeszcze pół roku wcześniej sam pomysł wybielania Czerwonych Khmerów musiałby uchodzić za niedorzeczny. Kontrofensywa nastąpiła tak gwałtownie, że sprawiała wrażenie, jak gdyby dyrygowano nią równocześnie z Pekinu i Waszyngtonu.

Od tego momentu nie udało mi się już nigdy więcej na Zachodzie wystąpić w charakterze naczynego świadka.

Zachodnioniemiecki tygodnik „Stern” zamówił jeszcze w marcu wszystkie moje reportaże i zdjęcia z Kambodży, żądając wyłączności na cały obszar niemieckojęzyczny w Europie Zachodniej. Mimo monitów przetrzymywał materiał przez cztery miesiące i w lipcu odmówił druku, skutecznie blokując dostęp do kilku milionów czytelników, mówiących po niemiecku. Dwie gazety amerykańskie odpisały chłodno, że spr-

wa Kambodży straciła aktualność. Z prasy zachodniej zniknęły z dnia na dzień doniesienia o okrucieństwach obalonego reżimu. Przystąpiono do kontrofensywy dyplomatycznej, której cel został określony jasno i bez niedomówień: Pol Pot i Ieng Sary są „jedynymi prawowitymi reprezentantami narodu khmerskiego”.

Od 15 do 19 sierpnia odbywał się w Phnom Penh zaoczny proces Pol Pota i Ienga Sary'ego, prowadzony jawnie i zgodnie z normalną procedurą sądową w obecności kilkudziesięciu obserwatorów zagranicznych. Ujawnione na procesie fakty i zeznania 80 świadków dystansowały wszystko, o czym dowiedziałem się w lutym. Pol Pot i Ieng Sary zostali skazani na karę śmierci. Prasa zachodnia skwitowała ten fakt kilkudziesięcioma wzmiankami na dalekich stronach. Komentarzy prawie nie było; te, które się pojawiły, wyrażały rozbawienie z powodu „niezdarnych posunięć wietnamskich, mających na celu skompromitowanie Pol Pota”. Tak to dosłownie określił wielki dziennik francuski, „L'Aurore”. Prasa springerowska była jeszcze dowcipniejsza: proces w Phnom Penh nazwała po prostu „szopą”.

Stałym miejscem pobytu Ienga Sary'ego jest Pekin. Ten człowiek podróżuje z chińskim paszportem, którego fotokopię zamieściła w kwietniu prasa indyjska; koszty podróży ponoszą w całości Chińczycy. Wszystko to nie przeszkodziło, aby pod koniec sierpnia Ieng Sary wybrał się do Hawany na konferencję krajów niezaangażowanych jako... przedstawiciel „Demokratycznej Kampuczei”. Państwo to nie istniało już od pół roku, lecz Ieng Sary powołał się na aktywność, jaką w ruchu państw niezaangażowanych przejawiała Kambodża za rządów Sihanouka. Konferencja hawańska nie uznała wprawdzie mandatu Ienga Sary'ego, choć jego elokwentni obrońcy zdzierali gardła, aby mu to zapewnić, lecz, i to większością głosów, odmówiła rządowi Henga Somrina uczestnictwa w obradach.

W ten sposób osiągnięty został pierwszy cel tak-

tyczny chińsko-amerykańskiej kampanii dyplomatycznej: w opinii publicznej świata powstało wrażenie, że Kambodża ma „dwa rządy” i nie sposób już dociec, jak to z nimi naprawdę było. W tej sytuacji przypominanie pewnych nieprawidłowości rządów Pol Pota i Ienga Sary’ego byłoby szkodliwe z punktu widzenia nadrzędnego, strategicznego celu, jakim jest zadławienie samodzielnego Wietnamu i ustawienie kurateli chińskiej nad całym Półwyspem Indochińskim. Zapewne dlatego w całej prasie zachodniej zniknęły ostatecznie wszelkie doniesienia o zbrodniach Czerwonych Khmerów, zaczęły się natomiast pojawiać aluzje, że poprzednie informacje na ten temat były „grubo przesadzone”.

Potem nadeszła pora, aby z rzekomych „dwóch rządów” Kambodży tylko jeden uzyskał aprobatę Narodów Zjednoczonych i wykazał się legitymizmem. Z zaskakującą zgodnością uznano w Waszyngtonie i Pekinie, że jedynymi reprezentantami narodu khmerskiego powinni być kaci tego narodu. Ci sami, którym zabrakło dwóch, najwyżej trzech lat, aby liczebność narodu khmerskiego zmniejszyć o połowę.

Pod koniec września, po ostrej, lecz niezbyt długiej dyskusji proceduralnej nad sprawozdaniem komitetu pełnomocnictw Zgromadzenie Ogólne większością głosów, 71 przeciw 35, uznało, że jedynym przedstawicielem narodu khmerskiego na forum NZ może być tylko reżim Pol Pota.

W wyniku tego głosowania, którego przebieg i wynik powinny na zawsze przejść do historii wraz z nazwiskami dyplomatów, którzy jawnie oddawali swe głosy, „wicepremier i minister spraw zagranicznych Demokratycznej Kampuczei” Ieng Sary stanął na czele „delegacji kambodżańskiej na XXXIV sesję Zgromadzenia Ogólnego”. Zachował tytuł ekscelencji, wszelkie przywileje dyplomatyczne i nieskazitelną reputację męża stanu. Otrzymał również prawo głosowania „w imieniu Kambodży” we wszystkich spra-

wach, jakie znalazły się na porządku dziennym sesji.

Ale to był dopiero przedsmak tego, co miało nastąpić w ciągu kilku najbliższych tygodni.

W pierwszych dniach października znalazłem się w Nowym Jorku. Zacząłem wypytywać znajomych dyplomatów i kolegów dziennikarzy, jak właściwie mogło dojść do tak nieprawdopodobnego obrotu spraw; gdzie się podziało już nie sumienie świata, lecz najprostsze poczucie przyzwoitości. Odniosłem jednak wrażenie, że nikt nie podzielał mojego wzburzenia. Ostatecznie, na świecie dzieje się tyle okropnych rzeczy... Kilka osób powiedziało mi wręcz, że doniesienia o rzekomych zbrodniach Pol Pota należałoby dokładnie zweryfikować. Nikt nie twierdzi, że Pol Pot i Ieng Sary byli aniołami, lecz pierwszym obowiązkiem wspólnoty międzynarodowej jest poszanowanie suwerenności i integralności terytorialnej.

Dziwiącego października na sesji wieczornej Zgromadzenia Ogólnego wystąpił w debacie generalnej Ieng Sary. Słuchałem go siedząc sam jeden na galerii prasowej; transmisja w zamkniętym obwodzie telewizyjnym wydała mi się niewystarczająca. Chciałem zobaczyć tego człowieka na własne oczy, usłyszeć jego prawdziwy głos, popatrzeć na reakcję sali.

Tezy przemówienia Ienga Sary'ego były zwięzłe, jasne i nie pozostawiały miejsca na dowolną interpretację. „Demokratyczna Kampucea” stała się ofiarą niesprowokowanej agresji; wspaniały dorobek ludu khmerskiego jest obecnie niszczone i grabiony przez agresora; z Kambodży wywozi się skarby khmerskiej kultury, demontuje przemysł i rozmyślnie rujnuje rolnictwo, aby pogłębić głód; naród kambodżański pada ofiarą eksterminacji, ponieważ dochowuje wierności jednemu legalnemu i suwerennemu rządowi „Demokratycznej Kampucei”, to znaczy rządowi jego ekscelencji premiera Pol Pota; rząd ten ma za sobą poparcie przeważającej większości demokratycznej opinii publicznej na świecie; nowe władze w Phnom

Penh nie mają żadnych związków z narodem khmerskim; „Demokratyczna Kampuczea” wyraża gorącą wdzięczność wszystkim rządóm, które poparły jej słusne interesy, opowiedziały się za szczęściem, wolnością i suwerennością narodu kambodżańskiego; rząd premiera Pol Pota jest zdecydowany kontynuować swą tradycyjną politykę niezaangażowania, obrony demokracji i suwerenności; w tym celu gotów jest współpracować ze wszystkimi bez wyjątku ugrupowaniami khmerskimi w Kambodży i za granicą, aby przywrócić w Kambodży demokrację i taki porządek społeczny, za którym swobodnie wypowie się większość narodu.

Nazajutrz sprawdziłem to wszystko w stenogramie. Nie dowierzałem własnym uszom, nie miałem zaufania do własnych notatek.

Ale notatki były jednak zgodne z tym, co naprawdę powiedział z trybuny Zgromadzenia ów powszechnie znany demokratą, pionier przemysłu, mecenas kultury i przyjaciel dzieci.

W końcowej części swego wystąpienia Ieng Sary domagał się, aby Narody Zjednoczone udzieliły pomocy „prawowitemu rządowi Demokratycznej Kampuczei”, umożliwiły mu powrót do Phnom Penh i zahamowały popełniane obecnie „zbrodnie na narodzie khmerskim”. Ieng Sary określił to jako „moralny obowiązek społeczności międzynarodowej”.

W chwili kiedy Ieng Sary zaczął przemawiać, salę Zgromadzenia Ogólnego opuściły 34 delegacje, w tym te wszystkie delegacje socjalistyczne, które uznały rząd Henga Somrina. Reszta delegatów pozostała jednak na miejscach, a potem nagrodziła zbrodniarza oklaskami, jak każe obyczaj Organizacji. Mało tego. Dwunastu delegatów podeszło do Ienga Sary’ego i ostentacyjnie, na oczach całej sali, złożyło mu gratulacje. Pierwsi byli oczywiście Chińczycy. O pozostałych krajach zamilczę, ale dobrze sobie zapamiętam ich nazwy.

Jedenastego października Ieng Sary urządził w gmachu ONZ konferencję prasową.

Przyszedłem na nią o kwadrans wcześniej, aby usiąść możliwie najbliżej tych dwóch ludzi — Ienga Sary'ego, najwierniejszego z wiernych oprawców, i Thieunn Prathitha, „stałego przedstawiciela” w ONZ, który przed wyjazdem do Nowego Jorku był szefem bezpieczeństwa na południowe prowincje kraju. Uświadomiłem sobie, że z równym powodzeniem mógłbym się znaleźć na konferencji szefa Gestapo, Kaltenbrunnera, a może nawet samego Himmlera. Wszystko, dosłownie wszystko jest dziś możliwe. Ocean kłamstwa pochłonął już wszelkie ludzkie reakcje; nadmiar słów otepił ludzkie mózgi. Przyszły mi na myśl widoki konających w Svay Rieng, studnie wypełnione płynem z ludzi, czaszki z gwóźdźmi w oczodołach, spalone pagody, zniszczone pola ryżowe.

Przygotowałem dla Ienga Sary'ego sześć pytań i zabrałem głos jako pierwszy. Transkrypt konferencji brzmiał tak:

Pytanie pierwsze: Powiedział pan przedwczoraj, że nowe władze w Phnom Penh „nie mają korzeni” w społeczeństwie. Tymczasem wszyscy oni z wyjątkiem Pen Sovana byli wyższymi oficerami w armii Czerwonych Khmerów, współtworzyli partię i partyzantkę za rządów Lon Nola, zajmowali wysokie stanowiska w początkowym okresie pańskich rządów.

Odpowiedź: Wszyscy ci ludzie są agentami wietnamskimi i nie reprezentują naszego narodu.

Pytanie drugie: Twierdził pan, że ofiary wśród ludności kambodżańskiej zdarzają się dopiero teraz. Bilans pańskich rządów jest zbyt dobrze znany i dostatecznie udokumentowany, aby nie trzeba było polemizować z podobnym oświadczeniem. Chcę jednak zadać zupełnie konkretne pytanie. W połowie lutego byłem w mieście Prey Veng, gdzie widziałem na własne oczy setki, jeśli nie tysiące czaszek i szkieletów. Miasto jest niemal całkowicie zarośnięte przez dzun-

glę. Jak pan to wyjaśnia? Przecież dżungla nie rośnie aż tak szybko, aby w ciągu trzech tygodni zniszczyła dwudziestotysięczne miasto?

Odpowiedź: Faktem jest, że z powodu braku siły roboczej na wsi przesiedlono część ludności miejskiej na wieś i dlatego niektóre miasta mogą być trochę zaniedbane...

Głos z sali: Zaniedbane?

Odpowiedź: Tak, to znaczy sprawiają wrażenie opuszczonych. Pragnę jednak jeszcze raz podkreślić, że wszystkie rozpowszechniane przez Wietnam informacje o rzekomych masowych morderstwach w okresie rewolucji są niczym więcej niż wymysłem. Po roku 1975 nie zamordowano w Kambodży ani jednego człowieka. Powtarzam: ani jednego. W najgorszym razie mogły się zdarzyć pojedyncze przypadki samowoli niższych ogniw terenowych, jednakże działa się to wbrew woli rządu. Co się tyczy czaszek i kości, jakie pan widział w Prey Veng, nie mogę tego zakwestionować, mam jednak zupełną pewność, że zostały one zwiezione przez Wietnamczyków w celu oczernienia prawowitego rządu Demokratycznej Kampuczei.

Poruszenie na sali.

Pytanie trzecie: Nie ma pan nic dobrego do powiedzenia o Wietnamie, czemu trudno się dziwić. Pańscy rodacy w Kambodży są innego zdania. Interesuje mnie jednak ewolucja pańskich poglądów. Pomijam już rok 1971, kiedy był pan w Wietnamie trzykrotnie, i rok 1973, kiedy aż czterokrotnie przebywał pan w Hanoi, publicznie i serdecznie dziękując Wietnamczykom za pomoc dla rewolucji khmerskiej. Jednakże w Phnom Penh w dniu 19 kwietnia 1975 roku, w dwa dni po zdobyciu miasta, był pan głównym mówcą na wiecu zwycięstwa, gdzie bardzo długo i bardzo wylewnie wyrażał pan znów podziękowania dla Wietnamu. Co i kiedy zmieniło się w pańskich poglądach?

Odpowiedź: Nie przypominam sobie takiego prze-

mówienia. Jako wicepremier jestem człowiekiem bardzo zajęтым i nie wszystkie wydarzenia jednakowo pozostają w mojej pamięci.

Poruszenie na sali.

Pytanie czwarte: Proszę nam wyjaśnić, co się stało z Hu Nimem, członkiem najściślejszego kierownictwa i czołowym ideologiem Czerwonych Khmerów, po którym objął pan tę funkcję.

Odpowiedź: O ile pamiętam, Hu Nim został zde-maskowany jako agent wietnamski i umieszczony w areszcie.

Głos z sali: Wyrokiem sądu? Co to był za sąd?

Odpowiedź: Doprawdy nie pamiętam. Nie zajmowałem się więzieniami, sferą moich zainteresowań były sprawy zagraniczne i kultura.

Śmiech na sali.

Pytanie z tylnych rzędów: Ale sam pan przecież napisał artykuł uzasadniający rozstrzelanie Hu Nima i wzywający do nieubłaganej walki z osobami, które kroczą drogą kapitalistyczną?

Brak odpowiedzi.

Pytanie piąte: Mieszka pan na stałe w Pekinie, podróżuje z chińskim paszportem, pańska żona jest obywatelką chińską. Mimo to, co drugie słowo w pańskim przemówieniu dotyczyło suwerenności. Kto opłaca pańskie podróże i kto ponosi koszty utrzymania „przedstawicielstwa” w ONZ?

Odpowiedź: Przyjechałem tu prosto z Kambodży, nasz rząd posiada wystarczające środki, aby zapewnić działalność naszych przedstawicielstw zagranicznych.

Zirytowany głos z prawej strony: Którędy pan wyjechał z Kambodży? Jaka droga? Jakim środkiem lokomocji?

Odpowiedź: Nie mogę tego ujawnić.

Moje ostatnie, szóste pytanie brzmiało tak: W sierpniu bieżącego roku został pan skazany przez trybunał w Phnom Penh na karę śmierci za zbrodnię ludobójstwa. Nie oczekuję od pana skomentowania tego wy-

roku, chciałbym jednak wiedzieć, czy osobiście czuje się pan czegokolwiek winny? Czegokolwiek, powtarzam.

Odpowiedź: Proces w Phnom Penh był aktem politycznym, obliczonym na to, aby mi uniemożliwić udział w konferencji hawańskiej. Nie czuję się winien jakichkolwiek błędów. Ukończyłem studia humanistyczne we Francji i zawsze pracowałem dla dobra narodu kambodżańskiego.

Śmiech na sali.

Pozostałe pytania dotyczyły różnych spraw szczegółowych, związanych z konferencją w Hawanie i sesją Zgromadzenia Ogólnego.

Konferencja trwała pięćdziesiąt dwie minuty.

Kilku amerykańskich kolegów pokazało mi teksty swych sprawozdań z konferencji, z prośbą o korektę nazwisk i nazw miejscowych. Uczyniłem to z radością. Pomyślałem jeszcze raz, że chociaż w ten sposób przysłużę się sprawie, którą chyba nie ja jeden uważam za słuszną.

Pomyliłem się jeszcze raz. Następnego dnia w całej prasie amerykańskiej nie ukazało się ani jedno słowo na temat konferencji prasowej Ienga Sary'ego. Natomiast w czterech wielkich dziennikach i w dwóch wielkich stacjach telewizyjnych pojawiły się informacje o Kambodży, odzwierciedlające dokładnie argumentację, jaką posłużył się Ieng Sary w Zgromadzeniu Ogólnym.

Pomyślałem, że nie mogę na to wszystko wzruszyć ramionami. Zaproponowałem dwóm największym stacjom telewizyjnym, ABC i NBC, że opowiem o swych wrażeniach z Kambodży w dowolnej formie, w dowolnym miejscu, w dowolnym programie.

Nie przyjęto propozycji.

Zgłosiłem się do jednego z wydawców amerykańskich z pytaniem, czy nie zainteresuje go przekład mojej książki o Kambodży, która to książka powinna się lada moment ukazać.

Wydawcę nie interesowała moja propozycja.

Wyraziłem w różnych miejscach gotowość wygłoszenia publicznego odczytu, udziału w dyskusji z dowolnie dobranymi partnerami, dostarczenia zdjęć lub filmów z Kambodży.

Bez skutku.

W przeciągu jednego półrocza Czerwoni Khmerowie stali się sojusznikami „wolnego świata”, cennym i użytecznym narzędziem w rozgrywaniu partii szachów, rezerwą strategiczną w arsenale.

W dniu, kiedy opuszczałem Nowy Jork, stacja telewizyjna ABC nadała krótki program o głodzie w Kambodży. Winą za głód obciążono całkowicie Wietnamczyków. O polityce ekonomicznej reżimu Pol Pot, o zniszczeniu przez jego siepaczy pól ryżowych, o wymordowaniu specjalistów rolnych czy choćby o zniszczeniu stacji doświadczalnej w Prek Leap nie padło nawet jedno słowo.

Właściwie dopiero wtedy zrozumiałem naprawdę, co miał na myśli James Baldwin, wołając przed dziesięcioma laty, że uczciwi ludzie mogą się różnić poglądami na politykę, ale nie mogą się różnić poglądami na ludobójstwo.

CXXXIX. Pod koniec października konserwatywna gazeta szwedzka „Svenska Dagbladet”, która jeszcze całkiem niedawno z upodobaniem przytaczała informacje o okrucieństwach Czerwonych Khmerów i obszernie zreferowała moją konferencję prasową w Helsinkach, rozpoczęła druk „korespondencji z Kambodży”, pisanych przez fanatycznego maoistę szwedzkiego, Jana Myrdala. Drastyczna różnica poglądów politycznych we wszystkich możliwych sprawach zupełnie nie przeszkodziła ani gazecie, ani Myrdalowi, w pouczającej symbiozie.

Myrdal wsławił się kiedyś na Zachodzie niepohamowanymi zachwytyami nad wspaniałościami chińskiej

„rewolucji kulturalnej”, a obecną „bandę czworga” przedstawiał wytrwale, w prasie i w swych dwóch książkach, jako jedynych prawdziwych proroków maoizmu. Myrdal mieszka na stałe w Pekinie. Stamtąd właśnie wysłano go do jakiejś bandy polpotowskiej, ukrywającej się w górskich dżunglach w północnej części kraju. Pisze oczywiście, że naród kambodżański miał się doskonale pod rządami Pol Pota, że w kraju zaprowadzono sprawiedliwość i swobody demokratyczne, a wszystkie doniesienia o eksterminacji są wynysłem Wietnamczyków i ich europejskich agentów.

Nie wiem, doprawdy nie wiem, czy istnieją granice dobrowolnego zakłamania. Sześć milionów świadków i dwa miliony trupów są widocznie dla Myrdala niczym.

XCX. To krótkie kalendarium wydarzeń nie stanowi żadnej pointy. Jeżeli tak dalej pójdzie, Pol Pot zacznie być przyjmowany w Białym Domu, Ieng Sary dostanie może pokojową Nagrodę Nobla, Thiounn Prathith zasiądzie w fotelu przewodniczącego kolejnej sesji ONZ. Dlaczegożby nie? Co stoi na przeszkodzie, skoro nic na razie nie przeszkodziło rehabilitacji reżimu Pol Pota, podjętej wspólnym wysiłkiem przez Pekin i główne stolice Zachodu?

Trzeba wyjątkowej odporności psychicznej i bardzo głębokiej, a nie wiadomo, czy zasadnej, wiary w sensowność historii, żeby w tym ciemnym, neurotycznym, sfrustrowanym świecie dochować wierności przynajmniej sobie samemu. Coraz o to trudniej. Ale jakież byłoby inne wyjście?

Ludzie, ludzie...

PRINTED in POLAND

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1980 r.

Wydanie pierwsze

Nakład 30 000 + 315 egz. Ark. wyd. 15,9. Ark. druk. 21,75

Oddano do składu 24 października 1979 r.

Podpisano do druku w styczniu 1980 r.

Druk ukończono w kwietniu 1980 r.

Wrocławskie Zakłady Graficzne, Zakład Główny

Wrocław, ul. Oławska 11

Nr zam. 566/79 C-37

Cena zł 40,—